

PAWEŁ POLLAK

KOLEJNY DZIEŃ, KOLEJNE MORDERSTWO...
PRACA GLINIARZA NIGDY SIĘ NIE KOŃCZY

PRZEPUSTKA DO MĘSKOŚCI



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

**PAWEŁ
POLLAK**

KOLEJNY DZIEŃ, KOLEJNE MORDERSTWO...
PRACA GLINIARZA NIGDY SIĘ NIE KOŃCZY

**PRZEPIUSTKA
DO MĘSKOŚCI**



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

PROLOG

Bogumiła Kownacka wstała jak zwykle o siódmej rano. Włączyła telewizor, ale prezenterów telewizji śniadaniowej słuchała z uwagą tylko przez dwie minuty. Potem wyjrzała przez okno. Zapowiadało się na ładną pogodę, kwietniowego słońca nie przesłaniała najmniejsza chmurka i trawniki na podwórku przy ulicy Gersona lśniły soczystą zielenią. Z betonowego boiska nikt nie korzystał. Nie dlatego, że za wcześnie, w ostatnich latach rzadko ktoś się na nim bawił albo grał w piłkę, bo rodzin z dziećmi na osiedlu ubywało. Poza tym rodzice nie puszczali teraz swoich pociech samopas na podwórko jak kiedyś. Jej Zygmus spędzał tam całe dni i tak mu się podobało, że po trzy razy musiała go na obiad wołać.

Oczy zaszklily się jej na to wspomnienie i westchnęła rozpaczliwie. Kiedyś miała nadzieję, że Zygmus, jak dorośnie, będzie mieszkał na tym osiedlu, kupiła mu nawet z mężem mieszkanie, w tej nowej plombie za przedszkolem. Ale nie chciał. Wykształcił się na lekarza i mówił, że w Polsce nie ma przyszłości, dostał ofertę pracy w szwedzkim szpitalu i wyjechał. Wnuczek i wnuczka, zamiast przybiegać do niej po szkole, zgłaszały się przez Skype'a. Chociaż dobre i to, pani Irenka też miała córkę za granicą, i to znacznie dalej, bo w Stanach, a wnuków w ogóle się nie doczekała. Oficjalnie nie traciła jeszcze nadziei, bo w dzisiejszych czasach późne macierzyństwo nie było niczym niezwykłym, ale Bogumiła widziała, że sąsiadka robi dobrą minę do złej gry. Jej Katarzynka wcale nie chciała mieć dzieci. Dziwna dziewczyna. Jak kobieta może nie pragnąć dziecka? Nie chce przytulić do piersi takiego słodkiego maleństwa? Patrząc, jak dorasta? Przecież to tak nienaturalne, jakby przestać jeść. A czy człowiek może żyć bez jedzenia?

Zresztą ta Katarzynka zawsze była dziwna. Dobrze, że nic z tego Zygmuśowego zakochania nie wynikło. Swoje przecierpiał, ale to normalne, że nastolatki nieszczęśliwie się zakochują, za to teraz miał

przynajmniej porządną żonę, a nie jakąś tam latawicę, która zaliczyła dwa rozwody, a kochanków nie wiadomo ilu. Pani Irencie wymknęło się kiedyś, że szkoda, że ich dzieci się nie zeszyły, bo Zygmunt to taki stateczny jest. Pewnie myślała, że ta porządność Zygmunia na jej córkę by przeszła. Może i tak. Zwłaszcza że z domu Katarzyna tej swojej rozwiązłości nie wyniosła, pani Irenka żyła z jednym mężem, jak Pan Bóg przykazał. Inna sprawa, że ciapowatym strasznie. W odróżnieniu od jej świętej pamięci Edwarda. Ona, będąc wdową, nie musiała do pracy chodzić, bo mąż ją zabezpieczył, osiem mieszkań na wynajem zostawił, i nawet sama nie musiała tego pilnować, bo zanim umarł, fachowej firmie zlecił, żeby się wszystkim zajmowała. Pani Irenka nie mogła z pracy zrezygnować, na co zresztą często narzekała, kiedy się w sobotę przy kawie spotykały. Taki rytuał sobie ustaliły, każda sobota, jedenasta rano, kawa, ona rozpuszczalną, sąsiadka z ekspresu, ciastko, ona torcik makowy, sąsiadka napoleonkę, czasami nawet dwie i nadmiar kremu w biodrach rzeczywiście było u niej widać. Dlatego częściej spotykały się u pani Irenki, bo ciężko jej się po schodach wchodziło, choć to tylko jedno piętro. Dzisiaj też u niej były umówione.

Odeszła od okna, żeby przygotować sobie śniadanie. Drobnopokrojone owoce zalane jogurtem. Zygmunt ją tego nauczył, kiedy w Szwecji go odwiedziła. Owoce albo müsli. Zdrowe jedzenie. Ale Zygmunt nie był dietetykiem, tylko chirurgiem. On sam mówił, że urologiem, trochę się jednak wstydziła tak go znajomym przedstawiać, bo przecież mogli sprawdzić, od czego ten urolog jest. Ale z tego, co jej wyjaśnił, to najprawdziwszy chirurg, bo i kroi człowieka, i wycina mu, co trzeba, więc ani odrobinę nie kłamała, chwając się, że ma syna chirurga. Za to pani Irenka łągała w żywe oczy, kiedy opowiadała, że jej córka jest psychologiem. Czy psycholożką, jak krzyczała w telewizji, że trzeba mówić, jedna fenistka. Chyba tak to się nazywało. Katarzyna niby też była fenistką i dlatego się rozwodziła. Tak przynajmniej twierdziła

pani Irenka, ale Bogumiła wiedziała, że fenistki wcale się nie rozwodzą, tylko w ogóle za męża nie wychodzą. Więc tę fenistkę to sąsiadka tak samo sobie wymyśliła jak psycholożkę. Przecież Katarzyna w ogóle studiów nie skończyła, przerwała, żeby za mężem do Stanów pojechać, a tam to ledwie parę kursów zaliczyła.

Z miseczką owocowo-jogurtowej mieszanki usiadła przed telewizorem. Dobrze, że jest taki wynalazek, bo odkąd się Edwardowi zmarło, nie miał do niej kto zagadać, a cisza w domu ją przygnębiała. Dlatego na cały dzień włączała telewizor, chociaż interesowały ją tylko seriale. No i jak o Szwecji coś mówili, skoro Zygmunt tam mieszkał, ale to rzadko.

Popatrzyła na zegar w rogu ekranu, jeszcze dużo czasu do spotkania z panią Irenką. Co tu robić? Na szydełkowanie nie miała ochoty, na czytanie gazet też nie. Może do Zygmunta by zadzwoniła? Nie, wczoraj rozmawiali, trochę był zirytowany, bo dzień wcześniej również dzwoniła, nawet powiedział, że żałuje, że jej ten komputer dał i Skype'a pokazał. Oczywiście wcale tak nie myśli, to ze stresu, ma strasznie odpowiedzialną pracę, a wiadomo, im więcej odpowiedzialności, tym mocniej człowiek się stresuje.

Zdecydowała się na sprzątnięcie. Jakoś bardzo brudno nie było, ale już ze trzy dni nie sprzątała i kurz zaczął się pojawiać. Poza tym mogła też umyć okna, nie musiała czekać z nimi do Wielkanocy. Najwyżej przed świętami jeszcze raz je przetrze, jakby Zygmunt miał przyjechać. Pytała go, powiedział, że dzieci chodzą normalnie do szkoły, że tam ferie są w inne dni, bo w Szwecji ten protestantyzm zaprowadzili, jakby wszyscy nie mogli trzymać się prawdziwej wiary, ale obiecał, że jeszcze rozważy. To i tak lepiej niż ta Katarzynka, która już z pięć lat rodziców nie odwiedziła. Niby zapraszała ich do siebie, ale wiadomo, że jak człowiek starszy, to nawet na drugi koniec miasta ciężko mu się wybrać, a co

dopiero za Atlantyck. Ostatnim razem to sama pani Irenka poleciała, bo pan Bogusław coś ze zdrowiem czy pracą miał.

Kiedy była gotowa z porządkami, akurat starczyło jej czasu, by wziąć kąpiel i trochę bardziej elegancko się ubrać. Wizyta u sąsiadki to nie wyjście do teatru czy na przyjęcie, ale w łachmanach iść przecież nie można.

Zeszła jedno piętro w dół i wcisnęła dzwonek, uśmiechając się, szczerze, bo ogromnie lubiła te spotkania z panią Irenką. Czekwała na tradycyjne „Już idę”, ale ani te słowa do niej nie dotarły, ani żadne inne dźwięki z mieszkania. Zadzwoiła ponownie. Dalej nic. Poczowała ogarniające ją rozczarowanie. A nawet złość. Bo najwyraźniej miała ją ominąć zaplanowana przyjemność, do tego zostawała z wolnym czasem, z którym nie bardzo wiedziała, co zrobić. Cholerna małpa, mogła przynajmniej SMS-a wysłać, że gdzieś wychodzą.

A może wysłała, tylko odkurzacz zagłuszył sygnał wiadomości? Sięgnęła po komórkę, jednak okazało się, że nie przełożyła jej do sukienki, w którą się przebrała. Wróciła na górę. Ale nie, ekran nie sygnalizował nieprzeczytanych wiadomości. Sprawdziła jeszcze w katalogu, tam ostatnim otrzymanym SMS-em pozostawała jednak nadal informacja, że ma dużą szansę wygrać na loterii. Nie zagrała, bo Zygmunt powiedział, że to oszustwo, i zabronił jej na takie SMS-y odpisywać. Poszukała nieodebranych połączeń, bo może pani Irenka zadzwoniła, a ekran tego nie wyświetlił, ale też nie.

No to sama zadzwoni do tej małpy i powie jej, że jak człowiek się z kimś umawia, to albo powinien być obecny, albo powiadomić, że go nie będzie. Na coś te telefony komórkowe wymyślono.

Wybrała numer, formułując w myśli słowa, tak by brzmiały niewinnie, ale zawierały w sobie ciężkie oskarżenie o brak grzeczności. Nie miała jednak okazji ich wypowiedzieć, bo po kilku sygnałach

włączyła się poczta głosowa. Zdeprymowana Bogumiła wcisnęła czerwony przycisk.

Nie odbiera, bo wstydzi się, że zapomniała powiadomić o odwołaniu spotkania? Czy też jest to dalsze lekceważenie sąsiadki, którą można zostawić na lodzie, nic jej nie mówiąc?

Rozeźlona Bogumiła wyszła na balkon, żeby trochę ochłonać na świeżym powietrzu. Ważąc komórkę w rękę, zastanawiała się nad wysłaniem SMS-a, ale w sumie nie wiedziała, co napisać. W końcu jeszcze raz wcisnęła przycisk wybierania. Takim natrętnym dodzwanianiem się da do zrozumienia, że nie życzy sobie, by ją w ten sposób traktowano.

Na dole rozległa się melodia *Take A Chance On Me*. Że ma ona coś wspólnego z jej telefonem, Bogumiła zorientowała się dopiero, kiedy ponownie włączyła się poczta głosowa, a melodia w tym samym momencie zamilkła. No, racja, pani Irenka miała ustawioną piosenkę Abby jako dzwonek w swojej komórce. Musiała ją zostawić w domu. I musiała z tego domu wychodzić w pośpiechu, skoro zostawiła otwarte okno. Bo przy zamkniętym melodii raczej nie dałoby się usłyszeć. Może zdarzył się jakiś wypadek. To by też panią Irenkę usprawiedliwiało, dlaczego nie odwołała spotkania. Kiedy człowiek dowiaduje się, że bliska mu osoba uderzyła samochodem w drzewo albo wpadła pod tramwaj, mało ważne staje się, że był z kimś umówiony. Tylko o kogo mogło chodzić? Brzeczcy nie mieli innej rodziny poza córką, a do Stanów raczej by nie gnali na łeb, na szyję.

Może ktoś z przyjaciół? Ale o wypadku zawiadamia się tylko rodzinę, nie znajomych. Nie, wypadek wydawał się jednak nieprawdopodobny. To co? Co jeszcze powoduje, że człowiek musi nagle gdzieś pojechać? Na to pytanie pojawiło się wspomnienie, jak mały Zygmunt spadł z trzepaka i złamał sobie obojczyk. Gnali wtedy na

pogotowie jak szaleni. Może pani Irenka musiała pojechać do szpitala. Z mężem. Bo dostał zawału albo właśnie sobie coś złamał. Chociaż tak ślamazarnie, jak on się porusza, to naprawdę trudno się przewrócić. Czyli zawał. To akurat niewykluczone, pan Brzecki ani do najmłodszych, ani do najchudszych nie należał. Ale dlaczego żona miałaby sama wieźć na ostry dyżur, zamiast wezwać karetkę? Przecież już w karetce takiego sercowca ratują, a w samochodzie mógłby jej umrzeć.

A co, jeśli tak się przeraziła jego zawałem, że zemdląca? I leżą teraz oboje tam na dole, a ona wścieka się niesłusznie na panią Irenkę, zamiast pomóc?

Zeszła ponownie piętro niżej i wcisnęła dzwonek, a jednocześnie załomotała w drzwi. Hałas powinien sąsiadkę ocucić.

– Pani Irenko!

Żadnej reakcji. Bogumiła zakręciła się bezradnie w miejscu. Potem nacisnęła klamkę. Bardziej dlatego, że z tej bezradności nie wiedziała, co począć, niż spodziewając się niezakluczonych drzwi. To nie była wieś jej dziadków, gdzie domy stały zawsze otwarte, tylko Wrocław, wprawdzie Biskupin, który uchodził za bezpieczną dzielnicę, ale złodzieje przecież tutaj też grasowali. Drzwi jednak ku jej zaskoczeniu ustąpiły. Ostrożnie weszła do środka.

– Pani Irenko! Panie Bogusławie!

Żadnego odzewu. Ale coś było z pewnością nie tak. Nie zostawiliby otwartych drzwi – pomyślała i wtedy go zobaczyła. Leżał na podłodze, zaraz przy wejściu do dużego pokoju, do pasa przykryty kurtką z przewróconego wieszaka. Musiał za niego chwycić, upadając. Czyli jednak zawał. Przyklęknęła przy nim, rozglądając się za panią Irenką. Tej jednak nigdzie nie dostrzegła. Drżącymi rękami wcisnęła trzykrotnie

dziewiątkę na klawiaturze telefonu. Ktoś mądry wymyślił ten numer, jakby miała wybrać trzy różne cyfry, mogłoby się jej nie udać.

– Pogotowie ratunkowe, słucham.

– Przyślijcie karetkę! On miał zawał!

– Gdzie?

– Na Gersona siedemnaście. To na Biskupinie, za pętlą druga w lewo, tylko nie ten blok przy ulicy, a w podwórku. Jeszcze trzeba skrócić w prawo.

– Numer mieszkania?

Bogumiła podała.

– W jakim wieku jest ten mężczyzna?

– Przed sześćdziesiątką.

– Skąd pani wie, że zawał?

– Bo leży na podłodze i jest nieprzytomny.

– Chorował wcześniej na serce?

– Nie wiem.

– Nie wie pani? Kim pani jest?

– Sąsiadką. Weszłam do mieszkania i znalazłam pana Bogusława na podłodze.

– Czy chory oddycha?

– Nie wiem.

– Leży na plecach czy na brzuchu?

– Na plecach.

– No to niech pani sprawdzi.

Bogumiła przyłożyła ucho do ust leżącego i wydało się jej, że poczuła słaby powiew.

– Tak, oddycha.

– W porządku. Posyłam karetkę. Najlepiej, jeśli pani wyjdzie na dwór i wskaże ratownikom drogę, bo z tego, co słyszę, to jakiś skomplikowany układ tam macie.

– Ale ja muszę poszukać pani Irenki!

– Kim jest pani Irenka?

– Jego żoną.

– A czemu to nie ona dzwoni?

– No właśnie nie wiem. Może zemdląca.

– Dobrze, niech jej pani poszuka. Ma pani zawroty głowy albo widzi gdzieś wymiociny przy leżącym?

– Nie, dlaczego?

– Bo jak dwie osoby są nieprzytomne w mieszkaniu, to może być zatrucie tlenkiem węgla.

– Ale okno jest otwarte.

– Może ta pani Irenka otworzyła je ostatkiem sił. Nie leży przy tym oknie?

– Nie wiem, bo jeszcze nie patrzyłam.

Dyspozytor nie wnikał, skąd w takim razie wie, że jest otwarte, tylko poprosił o sprawdzenie i ponowny telefon, gdyby okazało się, że pomocy potrzebują dwie osoby, a nie jedna.

W pokoju, w którym znalazła pana Bogusława, okna były zamknięte, więc Bogumiła sprawdziła przyległy, kiedyś należący do Katarzyny, ale tam również żadne nie było otwarte. A przecież to musiało być po tej

stronie, skoro słyszała komórkę. Wtedy przypomniała sobie o balkonie i wróciła do dużego pokoju. Rzeczywiście, drzwi prowadzące na balkon zostawiono lekko uchylone. Pchnęła je, ale przesunęły się ledwie o kilka centymetrów. Naparła na nie ciężarem całego ciała, by odepchnąć to, co je blokowało. Wtedy zobaczyła, że tym czymś były zwłoki pani Irenki, leżące w potężnej kałuży krwi.

SOBOTA

Panie komisarzu, słucha mnie pan?

Marek Przygodny zamrugął oczami i spojrzał na aspiranta.

– Oczywiście, że słucham. Co mówiłeś?

– Mamy trupa na Gersona, na Biskupinie. Pogotowie najpierw myślało, że trzy, bo postrzelony facet leżał w pokoju, a dwie zakrwawione babki na balkonie, ale potem okazało się, że facet zarobił tylko jedną kulkę i przeżył, a jedna z tych babek na balkonie zemdląła i upaprała się krwią drugiej. I ta druga jest właśnie tym trupem, do którego mamy wezwanie. A najśmieszniejsze jest, że ci z pogotowia myśleli, że jadą do zawału.

Ponieważ Robert Gajda miał predylekcję do przydługich wstępów, konkretna informacja podana w pierwszym zdaniu ujawniała, że wcześniej już przez jakiś czas mówił, z czego do Przygodnego nie dotarło ani jedno słowo. Miał nadzieję, że nie wyglądał zbyt idiotycznie, uśmiechając się do własnych myśli. A te myśli skupiały się wokół jednej osoby. Wokół Justyny. Czterdziestopięcioletni komisarz zakochał się jak dwudziestopięcioletek. Choć może był to właściwy stan ducha, wzięwszy pod uwagę, że jego wybranka tyle właśnie lat sobie liczyła.

– No to jedźmy.

Mimo soboty obaj przyszli do pracy; Gajdzie tak wypadł grafik, komisarz musiał odrobić wczorajszy dzień, bo wziął sobie wolne, chcąc spędzić go z Justyną. Na weekend wyjeżdżała z mamą i bratem na ślub kuzynki do Bydgoszczy, a jeszcze nie doszli do etapu przedstawienia swojego partnera rodzinie. Nie byli na to gotowi, obawiali się, jak zostanie przyjęta tak duża różnica wieku między nimi. Przygodny bał się oskarżeń ze strony Gabi, że porzucił ją dla młodszej, chociaż kiedy odchodził od żony, odchodził nie do kogoś, tylko od kogoś. O istnieniu Justyny wtedy nawet nie wiedział, nie myślał o nowym związku, po

prostu nie chciał tkwić w małżeństwie, w którym wygasły wszelkie uczucia. I też nie od razu trafił w ramiona nowej kobiety. Mimo że nie był tą porzuconą stroną, dopadła go fala depresji.

Opuścili budynek komendy i idąc do samochodu, obaj ściągnęli kurtki. Było bardzo ciepło, promienie słońca, odbite od wypolerowanej srebrnej karoserii ich służbowego opla vectry, raziły w oczy.

– Aleś go wypucował.

– Mężczyzna musi mieć czyste skarpetki i czysty samochód, panie komisarzu.

Po tym, jak Gajda kilka miesięcy wcześniej w pościgu za mordercą licealistów uratował mu życie, Przygodny chciał, żeby aspirant również zwracał się do niego po imieniu, bo trudno było mu w świetle tego wyczynu nadal utrzymywać między nimi relację szef – podwładny, ale młodszy o dwanaście lat Gajda wcale się do takiego równouprawnienia nie kwapił.

– E, lepiej nie, głupio bym się czuł, tak pana tykając.

W środku samochód też był wypucowany, przyjemny zapach środków czyszczących unosił się jeszcze nad siedzeniami.

Aspirant ruszył z piskiem opon, który zagłuszyła włączona syrena. Z Podwała, gdzie mieściła się Komenda Wojewódzka, w kierunku Biskupina można było pojechać pod prąd w stronę Świdnickiej albo zgodnie z przepisami ulicą Krupniczą. Mimo syreny Gajda wybrał tę drugą drogę. W neogotyckiej kamienicy na rogu Krupniczej i Włodkowica mieściła się redakcja „Kurier”, o czym informował ogromny banner, który z pewnością musiał kłuć w oczy miejskiego konserwatora zabytków.

– Ciekawe, szefie, czy pana przyjaciel też już jedzie.

Aspirant miał na myśli Jerzego Kuriatę, dziennikarza „Kurier”, który zwykle pojawiał się na miejscu zbrodni równo z nimi albo niewiele później. Ale mimo że się z przyjaźnili, to nie Przygodny powiadamiał go o morderstwach. W interesie policjantów leżało, żeby o znalezieniu zwłok dziennikarze dowiadywali się jak najpóźniej, najlepiej z oficjalnego komunikatu rzecznika prasowego. I Przygodny uważał, że musi rozdzielać między Kuriatą dziennikarzem a Kuriatą przyjacielem. Ten zresztą nie miał o to pretensji, odcięty od jednego źródła, znajdował sobie inne, o czym świadczyło niebieskie porsche cayman zaparkowane pod blokiem na Gersona. Gajda jak zwykle westchnął na widok samochodu dziennikarza, woskować takie cudeńko to by dopiero była przyjemność, nie mówiąc o jeździe.

Kuriata nie wyglądał równie rewelacyjnie jak jego bryka, od zawsze miał lekką nadwagę, a od zeszłego roku, kiedy skończył czterdziestkę, proces tycia jakby przyśpieszył, czego nie maskowała źle dobrana dżinsowa kurtka. Warował pod drzwiami mieszkania, w którym doszło do strzelaniny, usiłował zajrzeć do środka i zagadywał wchodzących i wychodzących techników, lekarza i śledczych. Od nikogo nie doczekał się jednak odpowiedzi, od Przygodnego też nie, w każdym razie żadnej konkretnej.

– Za wcześnie, Jurek, sami jeszcze niewiele wiemy.

W mieszkaniu natknęli się najpierw na mężczyznę w białym kombinezonie, kończącego spryskiwać luminolem ciemnoczerwony dywan w dużym pokoju. Był to szef techników Leszek Leśniewski. Dowodził nimi od niedawna, z początku niechętnie przyjęty jako spadochroniarz z Katowic, ale szybko ujął swoich podwładnych pasją, z jaką podchodził do kryminalistyki, i tym, że na miejscu przestępstwa chętniej zakasywał rękawy i sam zbierał ślady, niż wydawał polecenia. Zobaczywszy komisarza i aspiranta, podniósł się z klęczek, podszedł do okna, spuścił żaluzje i włączył trzymaną w rękę lampę UV.

– Macie ochotę na mały pokaz? Nałóżcie gogle – wskazał na żółte okulary, leżące na płachcie z rozłożonym sprzętem kryminalistycznym.

Krew zmieniła kolor na niebieski, odcinający się od dywanu, i przy drzwiach zobaczyli jej kałużę, a potem szeroki strumień, ciągnący się przez cały pokój.

– Babka ostro puściła farbę, musiała dostać w aortę albo zarobić kilka kulek, potem gość zawlókł ją na balkon – zinterpretował te ślady Leśniewski.

– Po co? – zdziwił się Gajda.

Technik wzruszył ramionami.

– To już wasza robota, żeby się tego dowiedzieć.

– Czy jest taka możliwość, że ten gość to jej mąż? Rozszerzone samobójstwo, zabił żonę, a potem próbował zabić siebie?

– Innymi słowy, czy znaleźliśmy w mieszkaniu pistolet? Nie. Broni nigdzie nie ma.

Policjanci przeszli na balkon, na którym wokół zwłok korpulentnej kobiety krzątał się łysy pięćdziesięciolatek. Był to patolog Józef Małecki, jak zwykle mający kwaśną minę.

– Ustalił już pan, ile razy została postrzelona? – zapytał bez powitania i bez wstępów Przygodny. Spodziewał się odpowiedzi przeczącej, ubranej w jakiś sarkazm, stąd nie silił się na grzeczności, ale ku swojemu zaskoczeniu usłyszał, że jest pięć ran wlotowych.

– Czas zgonu?

Dalsze indagowanie jednak się patologowi nie spodobało.

– Półtorej nanosekundy po dostaniu śmiertelnego strzału.

Komisarz, współpracujący z Małeckim dopiero od sprawy indiańskiego zabójcy^[1], nie po raz pierwszy zatęsknił za poprzednim patologiem, który odpowiadał po prostu, że jeszcze nie wie albo że jest to w stanie ustalić dopiero w trakcie sekcji. Ale, gwoli sprawiedliwości, ustalał podczas tej sekcji źle, co jego następcy się nie zdarzało. I jeśli Przygodny miał wybierać między brakiem kultury a brakiem fachowości, z ociąganiem przyznawał, że woli to pierwsze.

– Widzi pan przecież, że nie leży dupskiem do góry, znaczy się, dopiero będę jej wkładał.

Małecki mówił o termometrze.

– Byłbym więc wdzięczny, gdyby przeprowadził pan tę operację.

Z wyrazu twarzy lekarza dało się jednoznacznie wyczytać, co myśli o tym poleceniu, mimo to je wykonał. Przewrócił zwłoki na brzuch, podciągnął zakrwawioną kolorową sukienkę i rozsunął palcami pośladki.

– Szerszych już mieć nie mogła. Córka musi być starą panną, bo każdy adorator, mający pojęcie o genetyce, zobaczywszy przyszlą teściową, zwiewał pewnie, aż się kurzyło.

Przygodnemu nie spodobał się ten pogardliwy komentarz, ofiara zasługiwała na szacunek bez względu na swoją tuszę, ale nic nie powiedział.

Kiedy po czterdziestu sekundach elektroniczny termometr zasygnalizował koniec pomiaru, patolog dokonał w myślach obliczeń.

– Czas zgonu wczoraj między siedemnastą a dwudziestą pierwszą. Po sekcji zawęzę wam to do dwóch godzin.

Wrócili do pokoju. Jeden z podwładnych Leśniewskiego pędzelkował właśnie meblościankę, na której stało zdjęcie może piętnastoletniej blondynki o długich włosach.

– Pewnie wnuczka – powiedział aspirant.

Komisarz rozejrzył się za innymi fotografiami.

– Wtedy powinno być też zdjęcie córki albo syna, a nie ma.

Nie zgłębili tematu, bo w drzwiach pojawił się szef techników.

– Nie zabezpieczymy ich laptopów, bo sprawca je zabrał.

– Może nie mieli – znalazł inne wyjaśnienie Gajda. – Starsi ludzie niekoniecznie posiadają komputery.

– Co najmniej jeden mieli, jest myszka, zasilacz i modem.

– Czegoś jeszcze brakuje?

– W tamtych pokojach są dwa obrazy wycięte z ram. Resztę sprawdzamy.

Przygodny chciał zapytać, czy znaleźli telefony, kiedy koło Leśniewskiego przecisnął się Jarosław Kania. Jak zwykle miał na sobie garnitur, czym odróżniał się od pozostałych, pracujących na miejscu zbrodni. Ze względu na drobną posturę wyglądał w nim jednak raczej na domokrażcę sprzedającego odkurzacze niż na surowego prokuratora, którym w rzeczywistości był.

– Co mamy, panowie?

– Wygląda na zabójstwo i próbę zabójstwa. Zastrzelona kobieta, ranny mężczyzna, najprawdopodobniej małżeństwo, sąsiadka, która wezwała pogotowie, mówiła, że znalazła pana Bogusława i idzie szukać jego żony Ireny – komisarz zreferował, co usłyszał od Gajdy w samochodzie, kiedy tu jechali. – Potem już się nie odezwała, znalazła martwą na balkonie, najpewniej tę panią Irenę, i zemdląca.

– A gdzie teraz jest?

– Jak rozumiem, ją też zabrało pogotowie. – Przygodny popatrzył pytająco na aspiranta.

– Nie! Nie chciała jechać, dali więc jej tylko coś na uspokojenie i odprowadzili do domu.

– Czemu od razu nie mówisz? Skoro mamy naocznego świadka na miejscu, to trzeba go przepytąć.

Nie wiedzieli wprawdzie, gdzie szukać, ale ponieważ Gajda spisał personalia, ustalone przez pogotowie, wystarczyło zapytać sąsiada z naprzeciwka, pod którym numerem mieszka Bogumiła Kownacka. Okazało się, że piętro wyżej, udali się więc wraz z Kanią na górę. W reakcji na dzwonek do drzwi dobiegło ich słabe, ale jednak słyszalne:

– Kto tam?

– Policja, musimy zadać pani kilka pytań.

– Otwarte, proszę wejść.

Gospodyni leżała w ubraniu na kanapie, przykryta częściowo kocem. Musiała na policjantów czekać, bo każdy normalny człowiek, w którego domu popełniono morderstwo i który jeszcze oglądał miejsce zbrodni na własne oczy, zamyka się na cztery spusty. Mimo to Przygodny zapytał:

– Obudziliśmy panią?

– Nie, próbowałam zasnąć, ale co zamknę oczy, to mam pod powiekami ten straszny widok, jak pani Irenka leży tam na balkonie, taka zakrwawiona i bezbronna...

– Jak brzmi nazwisko pani Irenki? – komisarz jej przerwał, zakładając, że poza tą jedną konkretną informacją, potwierdzającą tożsamość zabitej, będą już tylko biadolenia.

– Brzecka. Po mężu, bo kiedy myśmy za mąż wychodziły, to jeszcze takiego idiotycznego zwyczaju nie było, żeby podwójne...

– Ile miała lat?

– Jeste... byłyśmy rówieśniczkami, pięćdziesiąt siedem, żaden wiek na umieranie, jeszcze...

– Proszę nam opowiedzieć, jak doszło do tego, że ją pani znalazła – polecił Kania.

Wysłuchali mocno nieskładnej relacji, zawierającej poza faktami wiele pytań w rodzaju „Jak to się mogło stać?” i „Skąd się biorą takie potwory?”.

– Drzwi nie były zakluczone? – Komisarz upewnił się, czy dobrze zrozumiał, jak Kownackiej udało się wejść do mieszkania.

– Nie. Też się zdziwiłam, bo...

– Czy Brzeccy mieli cenne obrazy?

– Obrazy? Pani Irenka nic nie mówiła. Bizuterię to miała cenną, ale sama musiała sobie kupować, bo ten ciapa... Chociaż może nieładnie tak o nim teraz mówić, jak miał zawał, nie wiadomo, czy się wygrzebie, a kto wie, czy nawet dla niego nie byłoby lepiej, żeby nie, bo bez pani Irenki to on nie da sobie rady, pewnie dlatego dostał zawału, jak ją zobaczył martwą...

– Pan Bogusław też został postrzelony, ale przeżył.

– O Jezu!

Przygodny miał nadzieję, że to komentarz do pierwszego zdarzenia.

– Gdzie trzymała tę bizuterię?

– W takim puzdrze z różyczkami w szufladzie meblościanki, zaraz pod zdjęciem Katarzyny.

Nie było dalszego ciągu, najwyraźniej zaskoczenie losem pana Bogusława wpłynęło na ukrócenie słowotoku.

– Katarzyny?

– To ich córka.

– Taka młoda? Wie pani, gdzie ona teraz może być? Zabójstwa dokonano wczoraj, dlaczego nie wróciła na noc do domu?

Komisarz przestraszył się, że gdzieś w krzakach leżą drugie zwłoki, może od tego się zaczęło, ktoś najpierw zabił córkę, a dopiero potem chciał zlikwidować rodziców, którzy mogli go wskazać jako sprawcę, ale odpowiedź Kownackiej rozwiązała te obawy.

– Katarzyna ma trzydzieści pięć lat i mieszka w Stanach, to zdjęcie na meblościance jest stare, jeszcze z liceum.

– A jakie nosi nazwisko?

– Takie samo jak rodzice. Brzecka.

– Nie wyszła za mąż?

Przygodny mimowolnie pomyślał, że Małecki mógł mieć rację co do wyglądu córki, co też wyjaśniałoby, dlaczego rodzice woleli pokazywać zdjęcie sprzed dwóch dekad, z czasów, zanim latorośl zaczęła gromadzić kilogramy.

– Wyszła, i to nawet dwa razy, ale po drugim rozwodzie wróciła do swojego panieńskiego.

– Słyszała pani jakieś hałasy na dole wczoraj między siedemnastą a dwudziestą pierwszą? Strzały?

– Nie.

– Widziała pani jakieś obce osoby na klatce schodowej o tej porze?

– Nie.

Przygodny spojrzał na aspiranta.

– Weź, Robert, przejdź się z tymi dwoma pytaniami po sąsiadach.

Kiedy aspirant opuścił pokój, jego przełożony kontynuował przesłuchanie.

– Czy potrafi pani wskazać kogoś, kto miałby powód, by nastawać na życie państwa Brzeckich?

– Ale skąd! Pani Irenka należała do najwspanialszych ludzi, jakich znałam, a pan Bogusław to już naprawdę nikomu nie wadził. Jakby go nie było.

– Czy Katarzyna jest ich jedynym dzieckiem?

– Tak. I jedyną rodziną. Pan Bogusław miał brata, ale chociaż był młodszy, też już umarł. Rak trzustki. Pewnie ze zgryzoty, bo sam był na tym świecie jak palec, ani żony, ani dzieci.

– Ma pani może jakiś kontakt do Katarzyny, telefon albo e-mail?

– Nie, ale na pewno będzie w ich komputerze, bo przez Skype'a często rozmawiali.

Tyle że komputer został zabrany przez zabójcę.

– A wie pani chociaż, gdzie dokładnie ona w tych Stanach mieszka?

– W Miami na Florydzie. Najpierw mieszkała w St. Louis, ale się przepro...

– Dobrze, dziękujemy pani.

Przygodny z Kanią zeszli z powrotem na dół. Kuriata, który wcześniej gdzieś zniknął, znowu czekał pod drzwiami, ale kiedy zobaczył, kto idzie u boku przyjaciela, zrezygnował z zadawania pytań. Był u prokuratora na cenzurowanym, odkąd ten przyłapał go, jak podstępem wszedł do mieszkania zamordowanego emeryta[2].

Komisarz od razu podszedł do meblościanki i wysunął wskazaną przez Kownacką głęboką szufladę. Nie musiał przerzucać znajdujących się w niej przedmiotów, by zobaczyć, że puzdra wśród nich nie było.

– Biżuterię też zabrał.

Kania nie zapytał, do czego owo „też” się odnosi, najwyraźniej z przedpokoju słyszał technika, mówiącego o wyniesionych obrazach i laptopie. Podsunął za to teorię co do przebiegu zdarzeń:

– Zabójstwo na tle rabunkowym? Włamywacz zaskoczony przez lokatorów nie wytrzymuje nerwowo i urządza jatkę?

Nic nie mówiąc, Przygodny podniósł się z przykłąku i przeszedł do jednego z mniejszych pokoi. Nie znalazł tam, czego szukał, opustoszałe ramy były w drugim. Komisarz przyjrzał się ich wewnętrznej stronie.

– Co pan sprawdza?

Przygodny nie zdążył prokuratorowi odpowiedzieć, bo z obchodu wrócił Gajda i, nie patrząc, czy nie przerywa rozmowy, zaczął zdawać relację. Tyle że ze swoich wrażeń, a nie ustaleń.

– Niechętni ci ludzie do współpracy, patrzą na mnie, jakbym chciał im coś sprzedać, a nie złapać mordercę ich sąsiadki, żeby sami mogli poczuć się bezpieczniej, odpowiadają, jakby mi łaskę robili...

– Robert!

– No co, przecież mówię, że w dwóch mieszkaniach nikogo nie ma, w dwóch lokatorzy byli wczoraj nieobecni, ale nie wiem, czy kłamią, czy nie chcą być zamieszani, a ci z pozostałych czterech nie słyszeli strzałów ani nikogo podejrzanego nie widzieli.

– Tłumik – mruknął Przygodny.

– Co? – Dla prokuratora mruknięcie okazało się zbyt ciche.

– Sprawca musiał użyć broni z tłumikiem. Szkopuł w tym, że na włamanie z taką się nie chodzi. Pistolet służy do zastraszenia właściciela mieszkania, gdyby się tam wbrew przewidywaniom włamywacza znajdował. Tłumik bierze się wtedy, gdy planuje się strzelać, a złodzieje

nie planują strzelać. I nie dokonują kradzieży między siedemnastą a dwudziestą pierwszą, kiedy lokatorzy są w domu i nie śpią. Nie, ten motyw rabunkowy jest grubymi nićmi szyty. Proszę spojrzeć na ramy, obrazy wycięto niestarannie, zostawiając zbyt duże kawałki płótna. Gdyby to były cenne malowidła, złodziej nie uszkodziłby ich w ten sposób, poza tym właścicielka pochwaliłaby się sąsiadce, że ma coś wartościowego na ścianach, skoro kosztowną biżuterią lubiła się chwalić. Sprawca sugeruje nam motyw rabunkowy, ale przyszedł tutaj, żeby zabić. A te pięć kul w ciele pani Brzeckiej wskazuje na mocno osobiste pobudki. Do unieszkodliwienia człowieka wystarczy jedna kula, góra dwie. I to człowieka agresywnego albo uzbrojonego, w przypadku takich mieszczuchów włamywacz z pewnością mógłby ograniczyć się do pomachania pistoletem, by utorować sobie drogę ucieczki.

– Myśli pan, że celem była ta kobieta, a mąż został postrzelony przy okazji, bo na przykład próbował ją zasłonić? – Kania w świetle argumentów komisarza nie miał zamiaru upierać się przy teorii zabójstwa na tle rabunkowym.

– Możliwe. Ale też możliwe, że sprawca chciał zabić oboje, a do niej żywił prawdziwą nienawiść i dlatego władował jej cały magazynek. W każdym razie musiał być przekonany, że męża też zabił, inaczej nie wynosiłby jej zwłok na balkon.

– Nie rozumiem...

– Wygląda mi na to, że zależało mu, byśmy jak najszybciej znaleźli zwłoki. A na rodzinę nie mógł liczyć, skoro jedyna córka jest w USA. Smród z balkonu rozszedłby się znacznie prędzej niż z mieszkania. Nie zamknął też drzwi na klucz, a przecież bez większego trudu mógł znaleźć klucze i to zrobić. Gdyby zakładał, że mąż żyje, spodziewałby się, że on wezwie pomoc.

– Albo wiedział, że Brzecki żyje, ale nie był pewien, czy przetrzyma i zdoła kogokolwiek powiadomić, więc poczynił takie kroki, o jakich pan mówi.

Komisarz musiał przyznać, że zbyt pochopnie wyciągnął swój wniosek.

– Jeśli morderca rzeczywiście orientował się w ich rodzinnych relacjach, mielibyśmy do czynienia z kimś ze stosunkowo wąskiego kręgu – podsumował Kania.

– Ale dlaczego zabójcy miałyby zależeć, żebyśmy jak najszybciej znaleźli zwłoki? – wtrącił Gajda, przysłuchujący się tej wymianie zdań.
– Zwykle starają się to opóźnić.

– Dobrze pytanie.

Kolejną czynnością po oględzinach miejsca zbrodni powinno być przesłuchanie ofiary, która przeżyła, ale w szpitalu imienia Tadeusza Marciniaka na Fieldorfa, przeniesionym tu stosunkowo niedawno z ulicy Traugutta, policjanci otrzymali informację, że Bogusław Brzecki jest nieprzytomny i nie tylko nie wiadomo, kiedy się wybudzi, ale czy w ogóle to nastąpi.

– Postrzał w udo z uszkodzeniem naczynia żylnego. Stracił bardzo dużo krwi, na szczęście dla niego powoli, dzięki czemu trafił do nas, a nie do zakładu pogrzebowego. Ale jeszcze może tam trafić – opisał dość niekonwencjonalnie stan pacjenta niejaki doktor Stanisławski.

Z tym że komisarz był optymistą.

– Nie znam się na medycynie, ale jeśli jedną noc przeleżał postrzelony bez opieki lekarskiej i przeżył, to drugiej pod okiem lekarzy raczej nie zejdzie.

Nie mając w szpitalu nic do roboty, wrócili do komendy.

Przygodny uruchomił Skype'a na swoim laptopie i wpisał jako szukaną osobę Katarzynę Brzecką. Poza polskimi otrzymał cztery trafienia zagraniczne: dwa w Holandii i jedno w Niemczech, ale ostatnia Katarzyna miała konto w USA na Florydzie. To jeszcze niczego nie przesądzało, ta właściwa mogła korzystać ze Skype'a, posługując się jedynie nickiem.

Ignorując ikonkę, że właścicielka konta jest niedostępna, spróbował nawiązać połączenie. Niektórzy ustawiali opcję „niewidoczny”, nie chcąc, by przeszkadzano im podczas pracy na komputerze, inni mieli włączone przekierowanie na telefon.

Ta musiała należeć do tych drugich, bo na ekranie nie pojawił się żaden obraz, ale rozległ się zaspany głos, pytający o coś po angielsku, czego komisarz, spodziewający się odpowiedzi po polsku, nie zrozumiał. Uświadomił sobie, że w USA musiało być jeszcze wcześniej albo natrafił na osobę, która w sobotę mogła i lubiła sobie pospać.

– Are you Katarzyna Brzecka from Poland, daughter to Irena and Bogusław?

– Yes, I am.

– Komisarz Marek Przygodny z Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu. Pani nie odebrała na komputerze?

– Nie. Jeszcze śpię, przerzuciło mi rozmowę na komórkę – mimo przejścia na polski pozostała przy amerykańskim akcencie.

– Mam prośbę, żeby włączyła pani komputer, zależy mi na wideopołączeniu.

Skoro nie mógł przekazać informacji o śmierci matki osobiście, chciał przynajmniej, żeby rozmówczyni go widziała. Spodziewał się protestu, że ona mu się nie pokaże tak zerwana z łóżka, ale widocznie

była zbyt zasnana, aby o tym pomyśleć, albo telefon z policji przestraszył ją na tyle, że nie miała głowy, by troszczyć się o swój wygląd.

– Okay.

Rozłączyła się, a po dwóch, trzech minutach ikonka przy jej nazwisku zmieniła kolor na zielony. Przygodny ponownie nawiązał połączenie.

Bez trudu rozpoznał w rozmówczynie dziewczynę ze zdjęcia na meblościance, bo choć przybyło jej dwadzieścia lat, to kilogramów niewiele – wbrew przepowiedniom Małeckiego nie roztyła się.

– Pani Katarzyna Brzecka, córka Ireny i Bogusława?

Takie sformułowanie musiała odebrać jako suche potwierdzenie personaliów. Gdyby zapytał, czy jej rodzicami są Irena i Bogusław, zasugerowałyby, że dzwoni w związku z nimi.

– Już pan pytał, to ja.

– Mam, niestety, bardzo złą wiadomość. Pani rodzice padli ofiarą przestępstwa, pani mama nie żyje, ojciec jest ciężko ranny.

– O Boże!

Dał jej czas na przetrwanie tej wiadomości. Potem odpowiedział na pytania, które z pewnością kłębiły się w jej głowie, ale było ich zbyt dużo, by mogła je składnie zadać.

– Oboje zostali postrzeleni. Dla pani ojca najbliższa doba będzie rozstrzygająca. Leży w szpitalu na Fieldorfa. Ale do niego sprawca strzelił tylko raz – miał nadzieję, że owo „tylko” natchnie ją chociaż odrobinę optymizmem. – Do pani matki aż pięciokrotnie, nie miała szans. Zamachu dokonano w ich mieszkaniu. Podejrzewamy motyw osobisty.

– Ale kto mógłby chcieć ich zabić?

– To jest moje pytanie do pani.

Pokręciła głową, tak energicznie, że blond loki zawirowały wokół szczupłej twarzy. Niezbyt ładnej. Niby miała regularne rysy, ale było w niej coś, co psuło ich harmonię. Jakieś skrzywienie warg, jakiś nieprzyjemny chłód w spojrzeniu.

– Nie mam pojęcia. To w ogóle ostatnia myśl, jaka przyszłaby mi do głowy, że ktoś mógłby chcieć śmierci moich rodziców.

– Jak się układało ich małżeństwo?

– Dobrze.

– Żadnych zawiedzionych kochanek?

Parsknęła śmiechem, co w świetle otrzymanej przez nią wiadomości było tak zdumiewające, że komisarzowi opadła szczęka. Dostrzegła to.

– Przepraszam, ale myśl, że moją matkę zabiła ewentualna kochanka mojego ojca jest tak absurdalna, że... – przez dwie sekundy szukała brakującego jej słowa – mimowolnie się zaśmiałam. Tata dobiega sześćdziesiątki, a nie szukał sobie kochanek nawet wtedy, gdy był o połowę młodszy. Prawdę powiedziawszy, siedział u mamy pod pantoflem. Ale był z tym szczęśliwy.

Przygodny musiał przyznać, że w przypadku zgodnego starszego małżeństwa buzujące napiętności rzeczywiście nie stanowiły obiecującego motywu.

– Co z ich życiem zawodowym?

– Mama pracowała w biurze architektonicznym, tata...

– Kim tam była?

– No, architektem – odpowiedziała takim tonem, jakby te biura nie zatrudniały sekretarek ani innego personelu.

Do architekta teoretycznie mógł strzelać ktoś, kto stracił członka rodziny w katastrofie budowlanej, ale z dalszego indagowania wynikało, że żaden most ani wieżowiec zaprojektowany przez Irenę Brzecką się nie zawalił.

– Czym zajmował się pani ojciec?

– Prowadził hurtownię książek.

Choć córka Brzeckich po polsku mówiła sprawnie, amerykański akcent i kilkusekundowe przerwy na poszukiwanie ojczystych słów świadczyły o tym, że przestawiła się na angielski, więc komisarz postanowił upewnić się, czy rzeczywiście powiedziała to, co chciała powiedzieć.

– Był jej właścicielem?

– Nie, nie... kierownikiem takim, który wszystkiego pilnował. Zamawiał książki, rozliczał się z wydawnictwami...

Książki to nie narkotyki, handel nimi raczej nie prowadził do rozrachunków z bronią w ręku. Komisarz uznał, że w tej chwili Katarzyna Brzecka nie da im żadnego punktu zaczepienia, przy czym nie wyglądało na to, by coś przed nimi ukrywała. Najwyraźniej rzeczywiście ktoś wpadł na pomysł, żeby rozstrzelać przeciętne, nikomu niewadzące starsze małżeństwo. Nie zapowiadało to łatwej sprawy. Dopytał o nazwę hurtowni i biura architektonicznego, po czym podziękował za informacje i dodał:

– Na razie to tyle, ale możemy mieć dalsze pytania, więc proszę, żeby natychmiast po przyjeździe do Polski zgłosiła nam pani, pod jakim numerem telefonu będzie dostępna.

– Przyjeździe do...? Ale ja nie mogę teraz przyjechać! Mam pacjentów!

– Pani jest lekarzem?

– Psychoterapeutką. Specjalizuję się w problemach małżeńskich.

Szewc bez butów chodzi, pomyślał Przygodny, przypominając sobie słowa sąsiadki o dwukrotnym rozwodzie młodszej pani Brzeckiej. Ale oczywiście zachował tę uwagę dla siebie. Podobnie jak to, co myśli o córce jedynaczce, dla której śmierć matki i ciężki stan ojca nie są powodem, by przełożyć zaplanowane wizyty pacjentów. Nie miał jednak zamiaru moralizować. W swojej pracy stykał się z tyloma ludźmi, którzy za nic mieli, wydawałoby się, powszechnie obowiązujące normy etyczne, że musiałyby porzucić prowadzenie śledztw, gdyby chciał zajmować się kierowaniem ich na właściwą drogę.

– Rozumiem. Gdyby jednak zdecydowała się pani przyjechać, to proszę pamiętać, by nas o tym powiadomić.

Podyktował jej swoje dane i bezpośredni numer telefonu. Kiedy się rozłączył, popatrzył na aspiranta, który przysłuchiwał się całej rozmowie.

– Mam nadzieję, że Michał przyjedzie z Anglii na pogrzeb albo do szpitala, jeśli mnie zastrzelą albo postrzelą – oznajmił Przygodny z zadumą, po czym zaraz uświadomił sobie, że wcale nie jest to takie pewne. Odkąd syn wyjechał, praktycznie ich nie odwiedzał, a kontakt telefoniczny był coraz rzadszy.

– Ja myślę, że ona przyjedzie – powiedział Gajda. – To była tylko pierwsza reakcja, że nie zostawi pacjentów, bo bez niej się porozwodzą albo pozabijają, ale jak pojawi się refleksja, że matkę trzeba pochować, a ojciec może umrzeć, to wsiądzie w samolot.

– Wątpię – nie zgodził się z nim Przygodny. – Właśnie pierwsza reakcja powinna być taka, że rzucam wszystko i jadę, bo moich rodziców dotknęła tragedia. Skoro ona w takiej chwili myśli o pracy, to nie przyjedzie. Jeśli ojciec też umrze, będzie musiała pochować ich gmina albo sąsiadka.

– Jak jej powiemy, że umarł, to przyjedzie – upierał się przy swoim aspirant.

– Tyle że my nie jesteśmy od przekonywania jej, że właśnie ona powinna pochować swoich rodziców. Zresztą zostawmy to. Ojciec nie umarł, raczej przeżyje, będzie więc mógł wyprawić żonie pogrzeb, a to, czy córka będzie chciała się na tym pogrzebie pojawić, czy nie, jest ich prywatną sprawą, która nie powinna nas obchodzić.

Gajda przytaknął głową, że się z tym zgadza, jednak kiedy milczenie się przedłużało, wpadł na pewną teorię.

– Skoro ona nie pała do swoich rodziców wielką miłością, to może przyczyna jest ta sama, która doprowadziła do zabójstwa.

Ta trochę mętnie sformułowana teza nie wydała się Przygodnemu zbyt prawdopodobna.

– Chcesz powiedzieć, że na przykład była w dzieciństwie molestowana, a teraz się zemściła? Jak? Przecież jest za oceanem.

– Tego pan nie wie, panie komisarzu. Konto na Skypie ma zarejestrowane w Stanach, skąd z niego rozmawia, tego nie widać.

– Teoria, Robert, wzięta z powietrza. Gdybyśmy każdego, kto nie pojawia się na pogrzebie rodziców, uznawali za mającego motyw do ich zamordowania, to spokojnie parę stadionów piłkarskich wypełnilibyśmy potencjalnymi mordercami. Nie, trzeba mieć coś więcej, żeby takie tezy formułować.

– To gdzie szukamy tego „więcej”?

Zastanawiając się nad odpowiedzią, Przygodny wstał od biurka i podszedł do okna, jednego z dokładnie pięciuset dziewięćdziesięciu w komendzie. Do takiej liczby doszli architekci z Pruskiego Zarządu Budownictwa Lądowego, opierając się na przepisie, że naczelnikowi policji przysługują trzy okna, kierownikowi dwa, a szeregowemu urzędnikowi musiało wystarczyć jedno.

– Pójdź do kolegów od mienia i dopytaj, czy mają na oku jakiegoś włamywacza, który lubi sięgać po broń. Może wykluczyłem go zbyt pochopnie i jednak była to skrajnie brutalna kradzież. Ostatecznie zabrał cenne rzeczy, o obrazach na ścianach mógł mieć błędne informacje albo Brzeccy nie ujawniali ich wartości, bojąc się właśnie napadu, a wyciął je nierówno, bo odstawił fuszerkę. Procent fuszerów wśród przestępców nie jest niższy niż w legalnych zawodach, bo niby dlaczego.

Gajda poderwał się, jak zawsze gotów do błyskawicznego wypełniania zadań, które nie wymagały pisania, notowania czy porządkowania dokumentów, ale komisarz zatrzymał go gestem ręki.

– Weź podejdź też do Leśniewskiego i spróbuj przyspieszyć raport techników. Jak im się pomarudzi, to zawsze dadzą trochę wcześniej.

– Co racja, to racja, szefie. Człowiek nie lubi się prosić, ale ci, co proszą, dostają.

Wygłosiwszy tę sentencję, Gajda zniknął za drzwiami, a Przygodny sięgnął po komórkę i wysłał SMS-a do Justyny: „Jak podróż?”. „Brat marudny, bo się boi, że będzie musiał tańczyć, a mama robi aluzje, kiedy to mnie zobaczy na ślubnym kobiercu” – brzmiała odpowiedź. Przemknęło mu przez głowę, że to wezwanie, by się oświadczył, ale zaraz tę myśl odrzucił: zbyt krótko ze sobą byli, żeby Justyna miała takie oczekiwania. Przeciwnie, raczej by ją oświadczynami przestraszył, niż ucieszył. Ich związek dopiero raczkował, z pewnością jeszcze nie była gotowa na deklaracje, że chce z nim spędzić resztę życia.

Z komórki, którą nadal trzymał w ręku, rozległa się melodia piosenki Kukiza „Miasto budzi się”. Ale to nie Justyna dzwoniła. Spostrzegł zresztą, że podczas gdy on wolał rozmawiać, ona chętniej komunikowała się za pomocą SMS-ów. Jedną z tych różnic pokoleniowych, które przyjdzie im przewycięzać.

– Słucham pana doktora.

Małecki był gburowaty, złośliwy i opryskliwy, ale komisarz musiał przyznać, że nigdy wcześniej nie pracował z lekarzem sądowym, który równie sprawnie wykonywałby sekcje. Za taki telefon w ciągu kilku godzin od znalezienia zwłok każdy śledczy dałby się, nomen omen, pokroić.

– Przebiłem się przez te zwały tłuszczu, świnie, które kupuję na wsi na kiełbasy, tyle nie mają.

Podobnie jak na miejscu zbrodni komisarz uznał, że w dyskusję o mankamentach fizycznych ofiary nie będzie się wdawał.

– I jaki wynik?

– Czas zgonu trochę później, niż typowałem, dlatego nigdy nie chcę przed sekcją podawać. Między wpół do ósmej a wpół do dziesiątej, maksymalnie do dziesiątej wczoraj wieczorem. Najpierw dostała dwie kule. Jedną w brzuch, drugą w prawą pierś. Korzystnie na stan jej zdrowia oczywiście nie wpłynęły, ale gdyby na tym się skończyło, mogła przeżyć. Pod warunkiem że najdalej przed północą znalazłaby się w szpitalu, do następnego dnia tak jak jej mążonek na pewno by nie doczekała, za mocno krwawiła. Później są trzy strzały. Z przyłożenia. Jeden prosto w serce i dwa w głowę. Każdy z osobna śmiertelny.

– Sprawca strzelał do kobiety, która już nie żyła? Z jakiego powodu?

– I czego jeszcze chce się pan dowiedzieć z wyników sekcji? Składu gruntu na Księżycu? To już musi pan sobie ustalić na podstawie innych

okoliczności, które z medycyną nie mają nic wspólnego.

Choć Małecki mógł jakieś przypuszczenie w ramach burzy mózgów wyrazić, Przygodny musiał przyznać, że pytanie faktycznie skierował pod złym adresem. A ściśle trzymanie się swojej działki, choć może formalistyczne, z pewnością było lepsze niż wkraczanie w cudze kompetencje.

– Ile później są te trzy strzały?

– Jakiś kwadrans. Wnioskuje z upływu krwi. Gdyby zabił ją niemal od razu, serce nie wspomagałoby wycieku krwi i straciłaby jej mniej.

Komisarz przypomniał sobie niebieski strumień na dywanie. Sprawca po pierwszych dwóch strzałach musiał zaciągnąć Irenę Brzecką na balkon i dopiero tam dobić. Podzielił się tym spostrzeżeniem z lekarzem i zapytał:

– Czy próbowała bronić się przed napastnikiem, kiedy ją tam ciągnął? Są jakieś ślady?

– Nie, nic. Albo była za słaba, albo nieprzytomna, albo sparaliżowana ze strachu. Pod paznokciami czyściutko. Tą drogą jego DNA pan nie dostanie.

– Okej, dziękuję. Podeśle mi pan raport z sekcji?

– Oczywiście, że nie podeślę. Schowam do szuflady. Dlatego właśnie dzwonię, bo jeśli panu powiem, co i jak, to nie będę musiał wysyłać.

Przygodny uznał, że pretensje o ten sarkazm może mieć jedynie do siebie, bo od dawna powinien wiedzieć, że zadając Małeckiemu nieprecyzyjne pytanie, narazi się na kontrę. Powinien był zapytać, kiedy dostanie raport. Wcześniej o tym nie pomyślał, ale teraz nasunęło mu się podejrzenie, że Małecki cierpi na jakiś rodzaj aspergera.

Zakończyli rozmowę, a Przygodny rozważył otrzymane informacje. Sposób oddania strzałów potwierdzał wcześniejsze przypuszczenie, że napastnik żywił jakąś urazę przede wszystkim do pani Brzeckiej. Pierwsze dwa nie były śmiertelne, w każdym razie nie bezpośrednio. Oczywiście, mógł przestrzelić, ale kiepski strzelec może trafić nie tylko źle, lecz także za dobrze. A na to, że trafił tam, gdzie celował, wskazywała okoliczność, że nie dobił jej na miejscu, kiedy upadła na ziemię, tylko żywą zaciągnął na balkon. Jakby chciał, żeby jeszcze pożyła, żeby pocierpiała, żeby w pełni dotarło do niej, że za chwilę umrze. I potem te dwa zbędne strzały. Albo przynajmniej jeden. Można z rozpędu strzelić kilka razy, ale w to samo miejsce. Jeśli się zmienia punkt, w który się celuje, nie dzieje się to już mechanicznie. Nie, sprawca chyba chciał podkreślić, że tę kobietę zabija.

Strzały z przyłożenia pokazywały też, że zabójca nie miał oporów, by z zimną krwią ofiarę dobić. Nie każdy to potrafił. Komisarz zetknął się w swojej karierze z mordercami, którzy wprawdzie potrafili wystrzelać cały magazynek wskutek ogromnego wzburzenia, a zaraz potem odrzucali pistolet i drugi raz za nic nie wzięliby go do ręki, nie mówiąc o dobijaniu rannego, gdyby strzelaninę przeżył. Owo opanowanie jednak i wyraźnie dobre umiejętności strzeleckie świadczyły o tym, że mąż pani Brzeckiej nie przeżył przypadkowo. Bo dlaczego też nie został dobity? Jedna kula więcej dla niego, jedna mniej dla żony nie zmieniały znacząco bilansu. To, że tak skrupulatny zabójca nie upewnił się, czy mąż jest martwy, wydawało się komisarzowi coraz bardziej nieprawdopodobne. Nic go też nie spłoszyło, miał czas, żeby splądrować mieszkanie. Bogusław Brzecki najwyraźniej był tylko przeszkodą do usunięcia. Kiedy został unieszkodliwiony, przestał zabójcę obchodzić. Inna sprawa, że też nie obchodził go na tyle, by ten podjął jakiegokolwiek próby uratowania mu życia. Z pewnością taką próbą nie było wyniesienie żony na balkon, bo nie dawało gwarancji, że zwłoki zostaną

wykryte wystarczająco szybko, by pomoc dla Brzeckiego przysłała w porę. Najwyraźniej zabójca nie przejmował się tym, czy Brzecki umrze, czy nie.

Drzwi pokoju otworzyły się, co przerwało myślowe wywody Przygodnego. Był to oczywiście Gajda, kto inny by zapukał. Zdążył zasięgnąć języka w wydziale zajmującym się włamaniami, a ponieważ musiał z powrotem minąć ich pokój, żeby dotrzeć do techników, zajrzał, by poinformować komisarza, czego się dowiedział.

– Za nic nie chciałbym robić w kradzieżach, jak mi podali wykrywalność, to zdębiałem, musi być stresujące dla człowieka, że mu się większość przestępców wymyka, dobrze, że my...

– Robert!

– No co, przecież mówię, że wcale by się nie zdziwili, gdyby włamywacz wystrzelał domowników, że czasy jakiegoś Arsena, nazwisko wypadło mi z głowy...

– Lupina.

– Co?

– Arsène Lupin, dżentelmen włamywacz, postać literacka.

– Aha. No więc te jego czasy minęły, złodzieje są coraz brutalniejsi, biją okradanych albo właśnie grożą im bronią...

– Dostałeś jakieś nazwiska?

– Obiecali podesłać mi SMS-em.

– Dobrze. W tej sytuacji będziemy musieli tych brutalniejszych sprawdzić.

– Jasne. Lecę do techników.

Aspirant zniknął ponownie za drzwiami, a Przygodny sięgnął po elektryczny czajnik i nastawił wodę. Przy sypaniu kawy do kubka odpłynął jednak myślami do Justyny. Była taka ciepła, taka kochana. Uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu tym szczęśliwym uśmiechem, jaki pojawiał się na jej twarzy, gdy trzymał ją w objęciach. Nie mógł uwierzyć, że daje jej szczęście, że ona od niego to szczęście chce wziąć...

– Panie komisarzu!

– Tak? – Zamrugął oczami, zdumiony, że Gajda jest już z powrotem. Pofrunął do tych techników czy jak?

– Woda chyba panu ostygła. Albo zapomniał pan włączyć. Jak to drugie, to w porządku, bo komendant przysłał okólnik, że mamy wszystko oszczędzać, nawet papieru toaletowego brać połowę mniej, to by się zirytował, że ktoś gotuje wrzątek, a potem nie zalewa kawy, chociaż można by powiedzieć, że kawy pan zaoszczędził, gdyby nie to, że nasza własna.

Przygodny nie miał żadnych szans, by zatrzymać goniącego meandrami myśli podwładnego, ale ten niespodziewanie sam porzucił temat zaciskania przez policję pasa albo dziadowania, jak to ujęłaby większość funkcjonariuszy.

– Mam wstępne ustalenia – pomachał kartką papieru, na której widniały odręczne notatki, sporządzone kulfoniastym charakterem pisma. – Raportu jeszcze nie mieli, ale kiedy im pomarudziłem, to mi parę rzeczy powiedzieli, oczywiście strasznie się zastrzegając, że nieoficjalnie.

– I co ci powiedzieli?

– Wszystkie strzały poszły w ludzi, nie było żadnych dziur w ścianach, łusek jest sześć, więc jeśli ofiary mają sześć ran, to za okno

też nic nie posłał.

– Sześć – potwierdził komisarz i zrelacjonował Gajdzie ustalenia Małeckiego oraz swoje wnioski, że głównym celem była pani Brzecka i że zabójca musiał żywić do niej wielki resentyment. Wnioski potwierdzone teraz dodatkowo przez techników: napastnik był dobrym strzelcem, trafiał tam, gdzie chciał.

– Względnie, jeśli jednak pójdziemy tropem włamania, taka zaciekłość włamywacza-mordercy mogłaby świadczyć o tym, że Brzecka stawiała mu aktywny opór. Pasowałoby do tego, co córka powiedziała o ich małżeństwie, że rządziła w nim matka.

Pantoflarze bali się nie tylko swoich żon.

– Wiemy, z jakiej broni strzelał?

– Nie – odparł Gajda – łuski jeszcze badają. Pobranych odcisków palców nie ma w AFIS-ie. Albo facet... kobieta zresztą też mogła strzelać... miał rękawiczki, albo nie figuruje w bazie. W tej drugiej sytuacji, jak zabójca wpadnie później na czymś innym i wezmą od niego palce, to może będziemy mieli trafienie. Już się zdarzało. Z tym że na razie odciski z mieszkania nie są wprowadzane na stałe do bazy, żeby nie dać do niej odcisków Brzeckiego.

Bogusław Brzecki był ofiarą, nie podejrzanym, a od ofiar odciski palców pobierało się wyłącznie w celu ustalenia, że te zostawione przez nich nie mogą należeć do potencjalnego sprawcy, i nie wprowadzało się ich do AFIS-u.

– Jeszcze mu nie zdjęli?

– Nie. Lekarze się nie zgodzili. Krzywdy się przy tym nie da zrobić, ale jak lekarz powie, że zagrożenie medyczne, to trzeba by mieć pisemną ekspertyzę dwóch innych, żeby to obalić. Niby wiadomo, które odciski

są Brzeckiego, bo tylko od dwóch osób jest ich w mieszkaniu od groma, a jedne są jego żony, no ale nieoficjalnie.

– DNA?

Aspirant pokręcił głową.

– Nie znaleźli nic, z czego można by pobrać. To znaczy jest ta krew, są jakieś włosy, ale to wszystko najprawdopodobniej pochodzi od ofiar, nie od sprawcy. U Brzeckiej na sukience znaleźli szare włókno. Nie jej, bo wszystko na sobie miała takie kolorowe, jakby chciała specjalnie nadejście wiosny uczcić. Może być jej męża, a jeśli nawet nie, to technicy oceniają, że ze swetra albo czapki z tak masowej produkcji, że nic nam nie pomoże. Tyle by nam powiedziało, że gość pojawił się w szarym wdzianku, ale to i tak ulubiony kolor przestępców.

– A czemu nie wiedzą, czy to szare włókno jest z ubrania jej męża?

– Bo go jeszcze nie wzięli ze szpitala.

Te informacje nieco zbiły Przygodnego z pantafelku. Zwykle po zabójstwie, jeśli morderca – jak to najczęściej się zdarzało – nie leżał pijany na kanapie w sąsiednim pokoju, pierwsze przesłuchania wskazywały, jakim tropem należało pójść. Tutaj rozmowy z córką i sąsiadką, która – choć sama pewnie by tak tego nie ujęła – najwyraźniej była też bliską przyjaciółką ofiary, nic nie dały. Rozmowy z kolegami z pracy nie zapowiadały się obiecująco, małżonkowie wykonywali zawody będące od wszelkiej przestępczości tak dalekie, jak to tylko możliwe. Normalnie też, jeśli wywiad zawodził, sytuację ratowali technicy, znajdując ślady prowadzące do sprawcy. Zabójcy wcale nie byli tak dobrzy w ich zacieraniu, jak to się niektórym na podstawie książek czy filmów mogłoby wydawać. Powieściowego mordercy nigdy nie dawało się złapać po odciskach palców, w prawdziwym życiu nadal demaskowały niejednego.

– Chyba utknęliśmy i to na samym początku – podsumował swoje ciche rozważania komisarz. – Miejmy nadzieję, że kiedy Brzecki się obudzi, coś nam będzie mógł powiedzieć. Bo jeśli nie, to źle wyglądamy.

– A do tego czasu?

– Sprawdzimy tych brutalnych włamywaczy... Masz już SMS-a?

– Jeszcze nie.

– To upomnij się o niego. Poza tym popytamy o Brzeckich w miejscu pracy, może jednak się okaże, że ta hurtownia książek jest przykrywką dla handlu narkotykami. Proponuję też dłuższą rozmowę z sąsiadką. Ona wie dużo o swojej Irencie, ale jeśli wie coś dla nas ciekawego, nie zdaje sobie z tego sprawy. Dlatego zapytana wprost nigdy nie wskaże, kto mógłby chcieć zaszkodzić Brzeckim. Trzeba dać jej mówić i samemu wyłuskać kluczową informację.

Nieszczęśliwa mina Gajdy pokazywała, że wcale nie ma ochoty na historie pani Bogumiły, a obawia się, że ich wysłuchanie jemu przypadnie w udziale. Przygodny to spostrzegł.

– Spokojnie. Ty weźmiesz biuro i hurtownię. Chętnie bym się tobą wyręczył przy sąsiadce, ale na nią trzeba śledczego z większym doświadczeniem niż twoje, więc, niestety, pada na mnie.

„Niestety” było trafnym słowem. Bogumiła Kownacka należała do osób, które uwielbiały mówić, ale zupełnie nie przejmowały się, czy słuchacz coś z tego rozumie. Potok słów nie układał się w żadną składną opowieść, stanowił bezładną emanację kłębiących się w jej głowie myśli. A że Przygodny nie mógł jej przerywać i naprowadzać na właściwy wątek, bo szukał w ciemno, cierpiał.

– ...i z kim ja teraz w sobotę kawy się napiję? Z panią Irenką to mi się tak świetnie rozmawiało, o wszystkim, o polityce... Tego łobuza z tej

partii pan wczoraj słyszał w telewizji? Idiota, jakich mało, ale mam TVN24, to lubię obejrzeć, „Szkło kontaktowe” zwłaszcza. Pan ogląda? Bo ja to lubię, pani Irenka też lubiła, a teraz nie żyje, ciekawe, jak z pogrzebem, chyba ja się będę musiała zająć, bo pan Bogusław nawet jak się wyliże, to nie da rady, on nigdy w organizowaniu dobry nie był, pani Irenka zawsze załatwiała, pracę mu też załatwiała, ale serce nie sługa, zakochasz się w niedojdzie, to z niedojdą jesteś, bo pani Irenka tak miała, że sercem się kierowała, to tylko ta jej córeczka się wyrodziła i patrzyła, żeby co bogatszego złapać, no i złapała tego, ale że właśnie taki, to się rozwodem skończyło, a potem drugim, bo to źle za pieniędzmi patrzeć, chociaż nie powiem, rodzinę zaopatrzyć trzeba, mój Edward, świeć Panie nad jego duszą, umiał i teraz mam z nich spory dochód, a pan Bogusław nie i w tej pracy za grosze siedział, co mu żona załatwiała, bo ona ta zaradna była, ale nawet jak zaradny jesteś, to dziecka nie dasz rady wychować po swojemu, bo ono ma swoje, nie wiadomo skąd, bo przecież charakter z genów po rodzicach powinien być, ale nie jest, i pani Irenka taka cudowna, a ta jej córka żołą, Zygmuśowi cierpień zadała, bo się w niej zakochał, i taki nieszczęśliwy był, bo go odrzuciła, chociaż chłopak jak malowanie i dbałby o nią, ale dobrze, że ją poznał, to teraz ma porządną żonę, a nie jaką latawicę, i wnuki śliczne mam, zdjęcia panu komisarzowi pokażę...

Tu Przygodny zdobył się na protest, który lekko panią Bogumiłę dotknął, ale odbiła to sobie, opowiadając, że pani Irenka wnuków się nie doczekała, co bardzo ją bolało, ale nic dziwnego, że córka pozbawiła ją tej radości, skoro to skończona egoistka i myśli tylko o sobie.

Ze słów Kownackiej wyzierała tak szczera nienawiść do Katarzyny Brzeckiej, że Przygodny zaczął się zastanawiać, skąd się wzięła. Nie wyjaśniały jej zgryzoty, jakie ta przysparzała matce, bo przyjaźń między sąsiadkami wyraźnie oparta była na rywalizacji, a nie na empatii. Przynajmniej ze strony pani Bogumiły, która mimowolnie ciągle

pokazywała, jakie to na tle pani Irenki ma udane życie. Komisarz spostrzegł, że Kownacka za oczywistość przyjęła, że Katarzyna nie przyjedzie do Polski, bo w ogóle nie wzięła jej pod uwagę jako osoby mogącej zorganizować pogrzeb. Ale kryjąca się za tym ocena, że córka Brzeckich jest po prostu złym człowiekiem, też nie tłumaczyła tej nienawiści. Ludzi złych i zepsutych, owszem, darzy się niechęcią, krytykuje, przedstawia jako etyczne zera, ale takie prawdziwe emocje i prawdziwa nienawiść pojawiają się dopiero wtedy, gdy ich działania dotkną kogoś osobiście. Czyżby chodziło o te miłosne cierpienia jej Zygmunta?

– Kiedy pani syn był w Katarzynie zakochany?

Kownacka zastygła na moment z rozdziawioną buzią, bo Przygodny bezceremonialnie przerwał jej w pół słowa.

– W liceum, takie nastoletnie zauroczenie, nic poważnego, jak to z nastolatkami bywa, chociaż im się wydaje, że to koniec świata, sama tak myślałam, bo też się w różnych kochałam, ale dopiero jak Edward się pojawił, kiedy mi się... specjalnie do restauracji mnie zaprosił, w Rynku, teraz już jej nie ma, do tego te restauracje teraz to same fastyfudy, nic pożywnego...

Czyli Kownacka, chociaż dostrzegała przeżycia syna, w sumie jego ból lekceważyła i oceniała jako przemijający – zresztą wyglądało na to, że słusznie – więc nie to było przyczyną jej nienawiści. A może nie chodziło o uczucia, o empatię, tylko o urażoną dumę? Na zasadzie, jak ta zdzira śmiała nie chcieć mojego wspaniałego syna.

Komisarz uznał, że tego nie rozstrzygnie, zresztą nie wydawało się to konieczne – rozwikłanie przyczyn, dlaczego Katarzyna była jej solą w oku, nie pchnęłoby śledztwa ani o centymetr do przodu. Nie ona padła ofiarą zabójcy.

Spróbował się więc ponownie skupić na słowotoku Kownackiej. Nie było to łatwe, chwilami łapał się na tym, że przekształcał się on w brzęczenie w tle, a do niego docierały frazy wypowiedziane przez Justynę, kiedy spędzali razem czas. Na szczęście nie groziło mu, że coś istotnego przeoczy, bo Kownacka jeśli nawet danego tematu nie omawiała zbyt obszernie, zawsze do niego wracała. Mimo to, kiedy po dwóch godzinach z okładem pożegnał się z rozgadanyim świadkiem, musiał stwierdzić, że ze spotkania nie wyniósł nic poza potężnym bólem głowy.

Życie Brzeckich coraz bardziej jawiło się jako typowa egzystencja przedstawicieli klasy średniej, a typowi przedstawiciele klasy średniej najrzadziej padali ofiarą morderstw, o zaplanowanych zabójstwach nie wspominając. Nie odbywały się tu pijackie libacje, które często kończyły się dyskusją na noże, brakło wielkich pieniędzy, które ktoś chciał sobie przywłaszczyć.

Zadzwoił do Gajdy, ale bez większej nadziei, że ten dowiedzia się czegoś, co zburzyłoby obraz normalnej starszej pary, dla której największą ekstrawagancją była jednorazowa wizyta w kasynie, o czym oburzona opowiedziała mu Kownacka. Wskazując oczywiście, że ten zły wpływ na swoich rodziców miała Katarzyna, bo z zachwytem opisywała im swoją wycieczkę do Las Vegas. Ale Brzeccy nie stoczyli się, jak to określiła Kownacka, bo zraził ich dym papierosowy, w kasynie wolno było palić, a do tego przegrali sto złotych i nie uśmiechało im się dalej tracić w ten sposób pieniądze.

– Jeszcze jestem w trakcie, panie komisarzu, bo dzisiaj sobota i ta pracownia architektoniczna zamknięta, musiałem odnaleźć dyrektora w domu, a właściwie dyrektorkę, bardzo była niezadowolona, że jej wolny dzień zakłócam, ci ludzie naprawdę uważają, że policja pracuje od ósmej od piętnastej w dni powszednie i że jak morderstwo zostanie dokonane w piątek po południu, to się tym nie przejmujemy, zamykamy

biznes i idziemy do domu, a śledztwo zaczynamy w poniedziałek o ósmej...

– Skoro jesteś w trakcie, to zadzwoń, jak skończysz.

– Nie, nie, już od niej wychodzę. Niech pan chwilę zaczeka, szefie.

Przygodny posłyszał w tle słowa pożegnania i trzaśnięcie drzwiami.

– Już jestem.

– Czego się dowiedziałeś?

– Nic, co rodziłoby jakiegokolwiek podejrzenia. Niespecjalnie Brzecką w firmie lubili, ale nie na tyle, by ją mordować czy nawet zwalniać. Żaden geniusz architektoniczny, ale też nie leserka, robiła solidnie, co do niej należało. Niezbędny członek zespołu. No właśnie, ta dyrektorka mówi, że kontrowersyjnych projektów nie mają, są średniakami w branży, ale nawet gdyby mieli, to byłaby pod nimi podpisana pracownia jako całość, a nie Brzecka osobiście.

Czyli zawiść o niesłusznie przyznanej nagrodzie również odpadała jako motyw zabójstwa.

– A w tej hurtowni?

– Podobno, zdaniem wydawcy, którego tam zastałem, hurtownicy to złodzieje i bandyci, i powinni siedzieć w więzieniu, ale chodziło mu o to, że biorą książki w komis, kładą na półce i z założonymi rękami czekają, aż księgarz je tam znajdzie, zamiast podtykać mu pod nos, a kiedy coś mimo wszystko się sprzeda, to płacą po pół roku albo w ogóle.

– Czyli co? Jakiś zdesperowany, bliski bankructwa wydawca sięgnął po broń?

– Nawet jeśli, to strzelałby do właściciela hurtowni, a nie do kierownika. O nim wypowiadał się w samych superlatywach. Coś mam

wrażenie, że ten pan Bogusław nawet w obozie koncentracyjnym nikomu by się nie naraził.

– No i zamach dotyczył w pierwszej kolejności jego żony – ostatecznie obalił własną teorię komisarz.

– Pan coś, szefie, od tej sąsiadki uzyskał?

– Też nic. Masz już nazwiska włamywaczy?

– Dalej nie, chociaż się o tego SMS-a upominałem, kiedy z hurtowni jechałem tutaj.

– Wróć na komendę i pójdz po nie osobiście, bo inaczej najwyraźniej ci nie przyślą.

Przygodny rozłączył się i wybrał jeszcze jeden numer. Do Asi, do córki. Miał do niej dwa kroki, jeśli była w domu, mógł do niej zajrzeć. Była. Ruszył na piechotę, bo nie należał do ludzi, którzy, gdyby mogli, jeździliby do toalety samochodem. Poza tym gdyby nawet podjechał, skończyłoby się pewnie tym, że musiałyby wrócić się z połowę drogi, żeby znaleźć miejsce do zaparkowania. Osiedle zbudowano w czasach, kiedy mało kto miał samochód, i w sobotę w środku dnia każdy wolny skrawek był zastawiony.

Zadzwoił domofonem i wszedł na górę. Asia przywitała go z książką w ręku, może z powodu tego zamięłowania, które podzielali, związała się z pracownikiem wydawnictwa.

– Co czytasz?

– „Powrót Aleksandra” Kruszyńskiego. Tego od „Schwedenkräuter” – odwołała się do książki, którą kiedyś jej pożyczył, żeby skojarzył autora.

– I jak?

– Ta sama genialna zabawa z językiem. Ale nie dla samej zabawy, jak twierdzi Stefan, ja tam dostrzegam sporo treści.

– À propos, gdzie twój chłopak?

– Poszedł biegać. W każdy wolny dzień robi dwadzieścia kilometrów, szykuje się do maratonu.

– Naszego wrocławskiego?

– Tak.

– Ale to dopiero we wrześniu.

Asia potaknęła.

– Gdyby więc rozpoczął przygotowania w sierpniu, byłoby trochę za późno. Wejdz, rozgość się. Co się z tym Biskupinem stało, że masz tu kolejne morderstwo? – Jego córka mówiła o sprawie zabójstwa licealistów, tej samej, w której Gajda uratował mu życie. – Dotąd była to jedna z najbezpieczniejszych dzielnic. Powinniśmy zacząć myśleć o wyprowadzce?

Odpowiedział, że nie, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zamach był skierowany w konkretne osoby, zanim się zorientował, że Asia tak naprawdę wcale się nie bała. Miała świadomość, że gdyby nie ojciec komisarz, informacja o tych morderstwach może w ogóle by do niej nie dotarła. Zresztą o tym, czy dana dzielnica uchodziła za bezpieczną, nie przesądzała wcale liczba zabójstw, bo do tych dochodziło rzadko, tylko liczba włamań, napadów rabunkowych i kradzieży samochodów. Te przestępstwa w swej masie były widoczne dla mieszkańców i decydowały, jak postrzegali oni swoją dzielnicę.

Usiadł na nieco podniszczonej kanapie; Asia jeszcze studiowała, a Stefan w wydawnictwie zarabiał raczej niewiele. Do tego wolał wydawać pieniądze na książki niż na meble, o czym świadczyły przepełnione półki. Co najmniej tysiąc egzemplarzy. Na pewno nie

dostał wszystkich z własnego wydawnictwa. Żeby to sprawdzić, Przygodny podniósł się i podszedł do regału. Rzeczywiście, loga oficyn na grzbietach były bardzo różne.

– Chciałbyś coś pożyczyć? – Asia wniosła filiżanki i patereę z ciastkami, z kuchni dochodziło pyrkotanie ekspresu do kawy.

– Nie, dziękuję, na razie mam co czytać. „Twarze” duńskiej autorki, nie pamiętam nazwiska, psychologiczna rzecz, dostałem od... – Zbyt długo szukał, jakim słowem zastąpić imię „Justyna”, i kiedy w końcu wpadł na „koleżankę”, uwaga Asi skupiona była nie na książce, lecz na tej „koleżance”.

– Znam ją?

– Nie sądzę, poznaliśmy się niedawno, podczas sprawy tych dwojga nastolatków. – Powiedział prawdę, ale zasugerował, że chodzi o kogoś z policyjnej ekipy, o neutralną znajomość. Asia nie byłaby jednak jego córką, gdyby tak łatwo dała się wpuszczać w maliny.

– Czyli ktoś z pracy?

– Nie... niezupełnie.

– Niezupełnie? Ta koleżanka trochę pracuje w policji? Może też jest trochę w ciąży? – Asia była bezlitosna.

– Planuje dopiero ubiegać się o przyjęcie, najpierw musi skończyć...

– Przygodny zamilkł, zdając sobie sprawę, że całkiem się odkrył. Był tak łatwym świadkiem do zdemaskowania mimo swego zawodu czy chciał się odkryć?

– Co skończyć? Studia? To teraz mi wyjaśnij, proszę, co ty masz za koleżanki studentki, które pożyczają ci książki. Tylko bez dalszego kręcenia. Przygruchałeś sobie młodą dziewczynę?

– To nie tak. Naprawdę poznałem ją przy śledztwie, była potencjalnym świadkiem. Wyprowadza psa w tej alejce, gdzie morderca zostawił zwłoki na ławce, a mieszka tam nad sklepami. Nie planowałem jej podrywać, nie szukałem takiej młodej partnerki, w ogóle nie szukałem partnerki. Po prostu zdarzenia potoczyły się w ten sposób, że...

– Że jesteście razem?

– Tak.

Asia nic nie powiedziała, poszła do kuchni i wróciła z dzbankiem kawy.

– Zdajesz sobie sprawę, jaki to będzie cios dla mamy? Na dodatek teraz choruje.

– Na co? – przestraszył się Przygodny.

– Nie bój się, nie żaden rak, sprawy kobiece. Gorzej, że ma kłopoty z samym leczeniem, bo NFZ wykreślił ją jako nieubezpieczoną i zamiast po lekarzach, chodzi po urzędnikach, żeby sprawę odkręcić.

– Ale dlaczego ją wykreślił?

– Z tego samego powodu, z którego Józefowi K. wytoczono proces. Nagle po prostu świecisz się w systemie na czerwono, zamiast na zielono, mimo że opłaciłeś wszystkie składki, i masz udowodnić, że nie jesteś wielbłądem.

Asia rozlała kawę do filiżanek.

– Ale dość o chorobach i chorych systemach. Pytałam, czy wiesz, jaki to będzie cios dla mamy.

– Tak, dlatego się z tym chowałem, ale na dłuższą metę się nie da. Mama zresztą musi to zaakceptować, nie może ode mnie wymagać, żebym przez resztę życia był sam.

– Być z kimś a być z dwudziestoparolatką to dwie różne rzeczy. Gdybyś znalazł sobie kobietę w jej wieku, pocierpiałaby, ale przyjęła to jako naturalne następstwo waszego rozvodu. Masz zdjęcie tej dziewczyny? Jak ona ma na imię?

– Justyna.

Niechętnie wyciągnął smartfona. Kłamstwo, że nie dysponuje zdjęciem, by nie przeszło, a tylko zburzyłoby zaufanie, jakim córka go darzyła. Zaufanie, które sobie wyrobił, właśnie nie uciekając od niewygodnej prawdy w kłamstwa.

– Ładna – powiedziała Asia, patrząc na zdjęcie zgrabnej, uśmiechniętej szatynki. – Zbyt ładna. To mamę dobije.

Tej właśnie konkluzji się bał.

– To co mam zrobić? Przecież nie wymienię Justyny na starszą kobietę.

– Mógłbyś ją ucharakteryzować. – Żart Asi trochę rozładował napięcie, ale nie rozwiązał problemu. – Nie, nie ma się z czego śmiać. Najlepiej jeszcze przez pewien czas się nie ujawniaj, ja spróbuję mamę jakoś przygotować.

– Podkreśl, że poznałem Justynę dopiero po naszym rozstaniu, to bardzo dla mnie ważne. Tobie powinna uwierzyć.

– Nie podkreślę, bo jej o Justynie nie powiem, to twoje zadanie, przygotuję tylko grunt. Poza tym nic by to nie dało, jest przekonana, że miałeś kogoś przed rozводом. Koleżanka z pracy powiedziała jej, że nie ma takiej sytuacji, by mężczyzna odchodził w próżnię, że zawsze odchodzą do innych kobiet. To ją tylko utwierdziło w tym przekonaniu.

– Ta koleżanka pewnie twierdzi też, że każdy mężczyzna zdradza żonę, a twoja mama wie, że nigdy jej nie zdradziłem.

– No cóż, zwykle człowiek z tego, co słyszy wokół, wybiera sobie to, co chce usłyszeć.

Dojrzałość Asi zaskoczyła go nie po raz pierwszy. Przeszło mu przez głowę, że doskonale będą się z Justyną rozumiały, ta też była znacznie mądrzejsza, niż wynikałoby to z metryki. Potem jednak poczuł się nieswojo: dwie przyjaźniące się studentki, z których jedna jest jego córką, a druga dziewczyną. Tyle dobrze, że Asia była młodsza, a nie starsza, bo to dobiłoby go do reszty.

Przeszli do neutralnych tematów, ale ten zasadniczy wisiał w powietrzu, więc jak tylko Przygodny wypił kawę, wstał i się pożegnał. Musiał zresztą wracać do pracy, długiej wizyty tak czy tak nie miał w planach.

Kuriata nie zraził się tym, że Przygodny go spławił, a reszta ekipy milczała. Był do tego przyzwyczajony. Dziennikarstwo polegało na zdobywaniu informacji, a nie na łaskawym przyjmowaniu ich podanych na srebrnej tacy. Nie rozumieli tego jedynie ci od polityki i na okrągło pomstowali, że jakiś radny czy przyniesiony w teczce prezes miejskiej spółki utrudnia im dostęp do dokumentów. Gdyby narzekali tylko w redakcji, to jeszcze by uszło, ale potrafili rzeczywiście poskarżyć się w artykule. Dla Kuriaty było to tak, jakby modelka zamiast na wybiegu się uśmiechać i prezentować swoje wdzięki, zaczęła opowiadać zebranym widzom, że idealną sylwetkę zawdzięcza temu, że trzy razy dziennie wymiotuje.

Na dodatek była sobota, a że w niedzielę „Kurier” się nie ukazywał, Kuriata miał na zebranie informacji i napisanie artykułu więcej czasu niż zwykle. Wiele to nie zmieniało, poradziłby sobie też w każdy inny dzień, umiał działać pod presją, jaką stwarzał cykl wydawniczy gazety. Zdarzyło się już, że informację o morderstwie dostał na dwie godziny

przed zamknięciem numeru, a artykuł oddał jeszcze z trzyminutowym zapasem. I to wcale nie prowizoryczny, byleby cokolwiek napisać i mieć materiał o sensacyjnym wydarzeniu. Owszem, nieco uboższy niż normalnie, ale na tyle treściwy, że nawet fachowiec nie domyśliłby się, w jak krótkim czasie powstały, nie mówiąc o przeciętnym czytelniku. Misiak, naczelny, był wtedy wniebowzięty, bo pozostałe wrocławskie gazety się nie wyrobiły i „Kurier” to zabójstwo opisał jako jedyny. A Misiak tą konkurencją żył. Z fanatycznym zacięciem śledził, o czym napisały lub nie napisały „Dolnośląska” i „Wrocławska”. I kiedy nie napisały o sprawie, która znalazła się w „Kurierze”, swoich dziennikarzy wychwalał i nagradzał, ale kiedy ci coś przeoczyli, dostawał piany na ustach.

Wizyta policjantów i prokuratora u sąsiadki na górze oczywiście nie uszła uwagi Kuriaty, a z rangi odwiedzających Kownacką i długości rozmowy wywnioskował, że to ważny świadek. Natychmiast po ich odejściu sam więc do niej zapukał. Rozważając, czy nie udawać śledczego, bo dziennikarz wypytyjący na miejscu zbrodni wzbudzał u niektórych niechęć i Kuriata czasami więcej się dowiadywał, zatajając, kim jest. Ale kiedy Kownacka otworzyła mu drzwi, w jej pytaniu „Jeszcze coś? A ja taka zmęczona jestem” dostrzegł tyle fałszu, że chociaż wzięła go za policjanta i wystarczyło potwierdzić, nie zrobił tego. Ta kobieta znalazła się w centrum uwagi i chciała być wypytywana, chciała mówić, nieważne przez kogo i do kogo. Pilnowała się jedynie, żeby nikt nie zorientował się, ile to jej sprawia radości, cokolwiek niestosownej, skoro sąsiadka trafiła do kostnicy.

– Nie jestem z policji, z prasy. Z „Kuriera”.

– Z „Kuriera”? – Błysk w jej oku świadczył, że gazetę znała i chętnie zobaczyłaby w niej swoje nazwisko.

– Tak. Nazywam się Jerzy Kuriata. Czy mogę zadać pani kilka pytań na temat strzelaniny na dole? Z tego, co się zorientowałem, jest pani głównym świadkiem.

– Tak, ale właśnie dlatego nie wiem, czy powinnam rozmawiać z prasą.

Kuriacie przypomniła się jedna z jego kochanek, która leżąc na łóżku z szeroko rozłożonymi nogami, jeszcze się krygowała, że nie wie, czy powinna.

– Prawo tego nie zabrania, a chyba nie chce pani, żeby relacje o brutalnym zabójstwie pani sąsiadki...

– I przyjaciółki...

– Tym bardziej. Żeby te relacje pochodziły od osób, które niewiele widziały, ale chcą zaistnieć. I jeszcze może przedstawią pani przyjaciółkę w złym świetle, że na przykład zasłużyła sobie na los, jaki ją spotkał.

– Na pewno sobie nie zasłużyła! I nikt nic nie widział, ja byłem pierwsza!

Powiedziała to takim tonem, jakby ktoś chciał jej odebrać jedną z większych zasług w życiu.

I tym sposobem Kuriata wiedział bardzo dużo, kiedy wracał do redakcji. W wolny od pracy dzień ulice były pustawe, więc dziennikarz rozpędzał swoje porsche, by potem zahamować gwałtownie na światłach. Uwielbiał szybką, ostrą jazdę. Na pierwszych światłach, które go zatrzymały, przed Halą Stulecia, wybrał numer do Przygodnego. Czekaając na połączenie, spojrzął w lewo, gdzie zaczynał się ogród zoologiczny, i pomyślał, że warto byłoby zobaczyć głośne już oceanarium. Tylko nie bardzo uśmiechało mu się samotne zwiedzanie.

A nie miał partnerki, z którą chciałby spędzać czas też poza łóżkiem, żony ani dzieci, dla których byłaby to największa frajda.

– Słucham cię – refleksję o bezdzietności przerwał głos Przygodnego.

– Masz teraz chwilę, żeby coś mi powiedzieć o zabójstwie? – Kuriata momentalnie zapomniał o wszystkim poza pracą. Dziennikarstwo zastępowało mu żonę i dzieci, i to całkiem skutecznie.

– Pytaj.

Polecenie, sugerujące chęć udzielenia informacji, przemyślnie ograniczało do nich dostęp. Dziennikarz nie był w stanie zapytać o coś nietypowego, o czym nie miał pojęcia. Gdyby policjant chciał rzecz ujawnić, po prostu by mu o tym opowiedział. Ale Kuriata nie mógł grymasić, nie on dyktował tutaj reguły. Zastanowił się, jakie pytania naprowadziłyby go na trop ewentualnie zatajanej informacji.

– Zabójca był jeden czy kilku?

Po drugiej stronie słuchawki przez chwilę panowała cisza.

– Nie wiem – oznajmił w końcu Przygodny. – Niejako z automatu wykluczyliśmy tę drugą możliwość, a jeszcze nie mamy ku temu podstaw. Dopiero raport balistyczny, potwierdzający, że wszystkie kule padły z jednego pistoletu czy karabinu, będzie stanowił dowód, że był jeden sprawca. A w każdym razie, że tylko jeden strzelał. Ofiara, która przeżyła, jest nieprzytomna, więc na razie też nic nam nie powie.

– Potrafisz wyjaśnić, dlaczego mąż przeżył?

– Bo dostał jedną kulę, a jego żona pięć.

– Marek!

– Ale tak jest. Głównym celem najwyraźniej była Brzecka.

– Czyli motyw osobisty?

– Niekoniecznie. Mógł być rabunek, a Brzecka tą osobą, która aktywnie przeciwstawiła się złodziejowi, co go zirytowało.

– Coś potwierdza tę teorię?

– Pracujemy nad tym.

– Czyli nie potwierdza. Macie jakiś trop w najbliższym otoczeniu?

– Na razie nie.

– Jakies przestępcze powiązania?

– Też nie. Przeciętna para w starszym wieku, średnio zamożna, bez konfliktów z prawem.

– To chyba macie zagwozdkę.

– Ano mamy.

– Czy...

– Sorry, Jurek, muszę kończyć, i tak ci dużo powiedziałem.

Kuriata nie próbował nalegać, znał Przygodnego od lat, nie był to człowiek, którego wierceniem dziury w brzuchu dało się do czegokolwiek nakłonić. Jeśli Przygodny mówił „dość”, znaczyło to „dość”, a nie „jak trochę pomarudzisz, to może dostaniesz coś więcej”.

– Dobra, dzięki.

W trakcie tej rozmowy dotarł do placu Grunwaldzkiego, łuk ronda pokonał z piskiem opon i pognął w stronę mostu o tej samej nazwie. Parę minut później zaparkował w podwórku przy Włodkowica. Inni dziennikarze musieli szukać wolnych miejsc na zatłoczonej ulicy, jemu Misiak załatwił abonament jak dla stałego mieszkańca. Choć z początku na to żądanie Kuriaty stanął okoniem.

– Dlaczego ty miałbyś być uprzywilejowany?

– Bo mam brykę za kilkaset tysięcy, którą mi z ulicy buchną.

– To ubezpiecz albo zmień na tańszą. Dlaczego nie możesz, jak każdy normalny człowiek, jeździć paroletnim golfem?

Kuriata skwitował to rozwiązanie wybuchem śmiechu.

– Dobra. Żarty na bok. Poza tym coś mi się należy za mój geniusz. Skoro jestem najlepszy, to trudno, żebym ciągle szukał miejsca do parkowania jak jakiś początkujący stażysta albo ta niezguła Mrożewicz. Jak myślisz, dlaczego dział kryminalny kwitnie, a kulturalny leży?

– Ja też ciągle szukam miejsca do parkowania.

– Skoro trzymasz takiego niedojdę jak Mrożewicz, to ja się wcale nie dziwię.

– Mrożewicz ma trudniejsze zadanie niż ty, relacja z wystawy to nie jest taki samograj jak zabójstwo.

– Aha. To daj mu na miesiąc zabójstwa, a mnie kulturę. Pokażę ci, że to nie kwestia działu, tylko dziennikarskiego talentu.

Naczelnny nie miał jednak na podobne eksperymenty ochoty, poza tym musiał przyznać, że chociaż chełpliwość Kuriaty była irytująca, to wcale nie przesadzał z oceną swoich umiejętności. I dlatego miejsce parkingowe dostał. Misiak wiedział, że jeśli nie pójdzie mu na rękę, Kuriata gotów jest nawet zastrajkować. I wiedział, jak fatalnie wpłynie to na poziom „Kuriera”, bo zdarzało się już wcześniej, że Kuriata po prostu na jakiś czas sobie zniknął – „Dolnośląska” albo „Wrocławska” bez trudu wychodziły wtedy na czoło stawki. Dlatego też te zniknięcia były Kuriacie wybaczone, każdy inny dziennikarz wyleciałby z gazety z hukiem.

Kręcąc młynka kluczykami od swojego porsche, wszedł na piętro. W redakcji panowały pustki, bo nawet ci obsługujący sobotnie wydarzenia nieraz odkładali napisanie artykułu na niedzielę. Albo decydowali się na pisanie go w domu, gdyż w sobotę naczelnny niezbyt

skrupulatnie egzekwował zasadę, że jeśli dziennikarzowi wypada dzień pracy, to ma znajdować się na miejscu w redakcji, a nie pod telefonem na własnej kanapie.

W drodze do swojego biurka minął bez słowa Danutę Wronecką z działu społeczno-politycznego. Od początku byli ze sobą na stopie wojennej, bo Wronecka należała do zagorzałych feministek, a Kuriata jej światopogląd definiował jako feminonazizm. Najpierw dochodziło między nimi do ostrych słownych przepychanek, które od rękoczynów niewiele dzieliło, a kiedy Kuriata zrobił Wroneckiej ośmieszający ją dowcip^[3], przestali się do siebie odzywać i nawzajem ignorowali. Wronecka była urażona, a Kuriata wściekły, bo dowcip obrócił się przeciwko niemu: Misiak wykorzystał sytuację i przymusił go do zrezygnowania z ciągle zmieniających się praktykantek i zatrudnienia do działu kryminalnego współpracownika na stałe, co gorsza, współpracownika płci męskiej.

Kuriata zżymał się w duchu, że nie jest pedałem, ale musiał ustąpić, sam się pod ten cios podłożył i jego normalnie silna pozycja na nic mu się nie zdała. Z początku planował pozbyć się Andrzeja, wykorzystując do tego jakąś grubszą wpadkę, ale chłopak był utalentowany i szczęśliwie dla siebie omijał rafy. Po jakimś czasie Kuriata musiał też przyznać, że ma w nim prawdziwą wyrękę, że stażysta przeistoczył się w samodzielnego dziennikarza. A nawet najlepszej praktykantce musiał zaglądać przez ramię, przyjmował je na zbyt krótko, by obeszło się bez mniejszego lub większego nadzoru. Te jednak, które mu uległy, szybko go nudziły, nie widział zaś sensu w trzymaniu tych, które nie rozumiały, że zostały przyjęte ze względu na swoje wdzięki, a wiadomość o tym przyjmowały ze zbyt dużymi oporami.

Zasiadł do pisania artykułu. Szło mu bardzo sprawnie, napisał takich już setki, jeśli nie tysiące. Starał się przede wszystkim uwypuklić, że ofiarą zamachu padło zupełnie zwyczajne małżeństwo. To powinno

wzbudzić żywe zainteresowanie czytelników. Ludzie lubią, kiedy mogą utożsamić się z bohaterami, i lubią się bać. Czytelnicy „Kuriera” rekrutowali się głównie z klasy średniej, więc to morderstwo musiało nimi wstrząsnąć, bo mogło dotknąć ich samych. Na zabójstwa w patologicznych rodzinach mało kto reagował emocjonalnie, bo rozgrywały się one w innej rzeczywistości. Kuriata zacytował parę słów Kownackiej o poszkodowanych sąsiadach, ale przekreślił jej nazwisko na Konacka. Ze szlachetnych pobudek, jak sam się usprawiedliwił, żeby nie zmuszała wszystkich w swoim otoczeniu do ciągłego podziwiania, że napisano o niej w gazecie. A tak by robiła też wtedy, gdyby jej nazwisko pominął i określił ją jako „sąsiadkę”. Błędnie napisanym głupio będzie się jej chwalić. Nawet jeśli dołączy notkę ze sprostowaniem „pomyłki”. Przy czym nie było wcale pewne, czy wiedziała, że takiego sprostowania ma prawo się domagać. A jeśli wiedziała, to pozostawała kwestia, gdzie je prześle. Jeśli bezpośrednio do działu kryminalnego, Kuriata zamierzał je „zgubić”. Nie dlatego, że na Kownacką jakoś szczególnie się uwziął, tylko wszystkie nadsyłane sprostowania wyrzucał do kosza. Spora ich część zawierała zmanipulowane fakty, żeby podważyć niewygodną krytykę, a te wytykające rzeczywiste błędy nie miały, zdaniem Kuriaty, racji bytu, bo gazeta była towarem z jednodniowym terminem ważności. Wątpił, by ktokolwiek czytywał albo zapamiętywał króciutkie notki, że w artykule sprzed tygodnia coś tam błędnie podano. Oczywiście Misiak miał w tej kwestii inną opinię.

– Kuriata, kurwa, „Kurierowi” grozi pozew!

Dziennikarza przede wszystkim zachwyciła aliteracja, zagrożenie procesem nie wywarło na nim większego wrażenia.

– Strachy na Lachy!

– Nie strachy, tylko prawnik tego gościa przesłał pismo przedsądowe, że jeśli nie zamieścimy sprostowania, wnosi pozew.

– To zamieść, jaki problem?

– Problem jest, kurwa, taki, żeś je wywalił!

– Bo ściemniał. Odpisz im, że się zawieruszyło, że ubolewasz i prosisz o dosłanie. Doślą, w żadnym sądzie nie będą mieli szans, jeśli odrzucą taki pojednawczy gest.

– Mam się korzyć przed gościem? Dlaczego to ja mam pić piwo, którego ty nawarzyłeś?!

– Bo jesteś naczelnym, to chyba oczywiste. Ta funkcja to nie tylko frukta.

– Doigrasz się, Kuriata, zobaczysz.

Kiedy wybierał z notatek odpowiednie słowa Kownackiej/Konackiej, jego wzrok przesunął się po imieniu Zygmunt. Syn tej rozgadanej kobiety. Relacjonując wydarzenia, oczywiście o nim nie wspomniał, w żaden sposób nie wiązał się on ze sprawą. Jednak po naniesieniu poprawek w gotowym artykule i przesłaniu go Waldziowi, redaktorowi prowadzącemu, z komentarzem, że może zapomnieć o ich przyjaźni, jeśli zamiast tego zabójstwa da na pierwszą stronę jakąś polityczną aferę, wrócił myślami do „Zygmutusa”. Może dlatego, że Kownacka ciągle o nim wspominała i musiał ją naprowadzać na właściwy temat, może dlatego, że chyba lepiej go rozumiał niż własna matka. Dla niej nastoletnia nieszczęśliwa miłość była czymś, co wprawdzie bardzo boli, ale trwałych obrażeń nie zostawia. Kuriata z własnego doświadczenia wiedział, że bywało inaczej, że młodsze odrzucenie potrafi wpłynąć na całe życie. A z opisów Kownackiej zorientował się, że uczucie Zygmunta nie było przelotnym zauroczeniem, chłopięcą fascynacją koleżanką, lecz czymś znacznie więcej. Że Zygmunt należał do tych nieszczęśliwców, których dojrzałe zakochanie się dopadało dziesięć lat za wcześniej. Może tu kryło się rozwiązanie mordu? Przygodny sugerował motyw osobisty, a przecież nic tak nie pchało ludzi do

przekraczania granicy między życiem a śmiercią jak zawiedziona miłość. Jedni zabijali siebie, drudzy obiekt swych niezaspokojonych pragnień. Hm, ale Katarzyna żyła, ofiarą padli jej rodzice. Wyjaśnienie, że sprawca spodziewał się jej w mieszkaniu, a kiedy jej nie zastał, wpadł w wściekłość i zaczął strzelać do rodziców, nie wydawało się prawdopodobne, skoro strzały rozdzielił tak nierównomiernie. Poza tym Zygmunt ułożył sobie życie: miał żonę i dzieci.

Kuriata postukał palcami w blat biurka. Ale czy udane życie nie było często fasadą? Czy za uśmiechem na twarzy nie kryło się nieraz zgorzknienie i rozczarowanie? I czy zabójca nie uderzał niekiedy w osobę najbliższą, a nie w samego „winowajcę”, zakładając perfidnie, że sprawi mu tym większy ból, niż posyłając w nicość? Zwykle wprawdzie chodziło wtedy o dziecko albo partnera, ale przecież i śmierć matki była dla wielu jednym z najtragiczniejszych przeżyć.

Jasne, spekulował, ale co mu szkodziło te spekulacje sprawdzić? A nuż trafił w dziesiątkę. A że Przygodny z pewnością takim wątlym tropem nie pójdzie, jemu przypadłaby chwała za wskazanie zabójcy. Doczekałby się artykułu, o jakim zawsze marzył: „Dziennikarz rozwiązuje zagadkę morderstwa”.

[1] Opisaney w pierwszej części cyklu pt. „Gdzie mól i rdza”.

[2] Zdarzenie z powieści „Gdzie mól i rdza”.

[3] Opisany w drugiej części cyklu pt. „Zbyt krótkie szczęście”.

NIEDZIELA

Jędrzej Polaczek, dla przyjaciół Jepo, obudził się na torze kolejowym na Wojszycach. Bynajmniej nie dlatego, że wypadł z wagonu czy próbował popełnić samobójstwo. Uważał się za szczęśliwego człowieka, a tacy pod pociąg się nie rzucają. Po prostu między szynami, które idealnie służyły za poręczę, w miejscu wyrwanych podkładów kolejowych zrobił sobie legowisko. Śmierć pod kołami składu pędzącego ze Świdnicy przez Dzierżoniów mu nie groziła, bo linia, uruchomiona jeszcze w 1884 roku, od dawna była nieczynna. Oczywiście Jepo nie znał tej daty, podobnie jak nie wiedział, że już dokumenty z połowy trzynastego wieku wymieniały wieś Wojszyce, choć dopiero w dwudziestym stała się częścią Wrocławia. A nawet gdyby się dowiedział, najprawdopodobniej nie wzbudziłoby to jego zainteresowania, bo tylko ludzie nieszczęśliwi żyją historią, Jepo zaś – jako się rzekło – był człowiekiem szczęśliwym. Obchodziła go wyłącznie terażniejszość, a w tej terażniejszości tylko dwie rzeczy: żeby znaleźć coś do jedzenia i coś mocniejszego do picia. Kiedy się najadł i napił, jego potrzeby były zaspokojone, a zaspokojone potrzeby są – jak wiadomo – warunkiem szczęścia.

Ponieważ Jepo miał zasadę, że na czczo nie pije – to cechowało będących na dnie alkoholików – udał się na obchód po śmietnikach okolicznych restauracji i pizzerii. Te śmietniki miały dwie zalety: nie zamykano ich na klucz jak wiele osiedlowych i wyrzucano do nich dużo jedzenia. Resztki, ale też niewykorzystane produkty czy potrawy, a najobfitsze łowy wypadały właśnie w niedzielę rano. Jepo najbardziej lubił przypalone pizze, ale tym razem na zapleczu Fariny żadnej nie znalazł, wyciągnął tylko nieco zapleśniałą bułkę. Kiedy przerzucał dalej śmieci w poszukiwaniu kawałka sera czy wędliny, żeby zrobić sobie kanapkę, dostrzegł fragment skórzanego przedmiotu. Serce zabiło mu mocniej, bo po chwili trzymał w rękach najprawdziwszy damski portfel.

Potem jednak spotkało go rozczarowanie. W środku ani złotówki. Tak, powinien zapamiętać z poprzedniego życia, że pogoń za pieniędzmi przynosi same rozczarowania. I już miał wyrzucić portfel z powrotem, kiedy jego uwagę przykuły trzy kolorowe prostokątne plastiki. Sprawdził, wszystkie miały funkcję zbliżeniową. Niewiele gorsze niż gotówka, zakupy do pięćdziesięciu złotych dało się zrobić bez podawania PIN-u, żaden sprzedawca nie patrzył, do kogo należy karta.

Nie pomylił się, przy zakupach spożywczych na czterdzieści dziewięć złotych i dziewięćdziesiąt dziewięć groszy – wyliczył dokładnie – młoda kasjerka z obrzydzeniem przesuwiała produkty, których dotykał, i odetchnęła z wyraźną ulgą, kiedy nie wysupłał monet i zmiętych banknotów, tylko powiedział, że zapłaci kartą. Od poproszenia o jej pokazanie i wzięcia jej do ręki była tak samo daleka, jak od chęci pocałowania go w usta. Jepowi bardzo to pasowało. Przeszedł na stoisko monopolowe. Tu zabawił znacznie dłużej, bo nie mógł się zdecydować, czy kupić dużo taniego alkoholu, czy lepiej mniej, ale za to wyborczego. Kiedy podszedł do kasy i podał kartę, kasjerka, tym razem w średnim wieku, powiedziała:

– Musi pan zapłacić gotówką albo chwilę zaczekać, mamy jakieś kłopoty z terminalem.

– Mogę dać inną kartę.

– To nie jest kwestia karty, tylko terminala, żadnych nie przyjmuje. Zaraz powinien się odblokować.

„Zaraz” trwało tak długo, że kasjerka, zmęczona informowaniem klientów, wywiesiła kartkę z napisem „Płatność tylko gotówką”. Jepo, chociaż wolnego czasu miał aż nadto, chciał już odłożyć wybraną bols platinum i udać się do innego sklepu, kiedy przez bramkę na monopolowy weszli policjanci. Ponieważ wrocławskiego komendanta znaleziono niedawno pijanego i pobitego na torach (choć nie na tych, na

których sypiał Jepo), co potwierdzało znaną prawdę, że policjant też człowiek i musi wypić, Jepo łudził się jeszcze, że planowali zaopatrzyć się w trunki. Ale szybko go tych złudzeń pozbawili.

– Czy możemy zobaczyć karty, którymi pan się posługuje?

– Nie możecie, są moje!

– Obsługa sklepu ma co do tego wątpliwości, bo banki raczej nie wystawiają kart płatniczych bezdomnym, więc będziemy się upierać, żeby je pan pokazał. Jeśli rzeczywiście należą do pana, potwierdzimy to i sobie pójdziemy.

Jepo z żalem podał im plastiki. Na wódkę już nie liczył, miał nadzieję, że zostawią mu jedzenie.

– Kim jest Irena Brzecka?

– Irena Brzecka?

– Tak, jej nazwisko jest na tych kartach.

– To moja... żona.

– Jak się pan nazywa?

– Jędrzej Polaczek.

– A dlaczego pana żona nazywa się Brzecka, panie Polaczek?

Musiał przyznać, że byli sprytni, powinien był powiedzieć „córka”, córki zmieniają nazwisko, kiedy wychodzą za mąż.

– Skąd ma pan te karty?

– Znalazłem.

– Tak, oczywiście.

Policjant sięgnął do radiotelefonu i wywołał dyżurnego.

– Słuchaj, bezdomny płaci kartami na nazwisko Irena Brzecka. Możesz sprawdzić, czy jest zgłoszenie kradzieży?

– Już patrzę.

Stukot klawiszy zasygnalizował wprowadzanie nazwiska do komputera.

– Nie, kradzieży nie... Ja pierdołę!

– Co jest?

– Ona została zamordowana!

Z badania balistycznego wynikało, że wszystkie strzały zostały oddane z jednej broni, z pistoletu beretta M9. Nie tylko to potwierdzało, że sprawca działał sam. Ustalili, że nie nastawiał się na wyniesienie z domu jak najwięcej rzeczy, a skoro ofiary nie miały możliwości skutecznie się obronić, to nieuzbrojony czy niestrzelający pomocnik nie był mu do niczego potrzebny. Zwiększałby tylko ryzyko, że zostaną dostrzeżeni przez świadków.

Te wyniesione rzeczy znaleźli bowiem w komplecie w różnych śmietnikach na Wojszycach: laptopy, obrazy, biżuterię i portfel Brzeckiego. Opróżniony wprowadzie z pieniędzy, mimo to motyw rabunkowy ostatecznie upadł. Sprawca nie wyrzuciłby pozostałych przedmiotów, gdyby na napadzie chciał się wzbogacić, zabranie gotówki świadczyło jedynie o zdrowym rozsądku: lepiej mieć parę groszy więcej niż mniej, a płacenie takimi banknotami nie niosło za sobą żadnego ryzyka. W tej sytuacji twierdzenie bezdomnego, który znalazł portfel Ireny Brzeckiej, że też nie było w nim pieniędzy, nabrało wiarygodności. Zresztą gdy po wezwaniu policji kasjerka, żeby zyskać na czasie, powiedziała mu, że terminal uległ awarii, z pewnością zapłaciłby gotówką, gdyby ją miał, nawet jeśli najpierw chciał wykorzystać karty.

Przygodny, zadowolony, że Polaczek pchnął mu śledztwo naprzód, poprosił kolegów, by go nie ścigali za bezprawne użycie kart, nieświadom, że wcale nie mają takiego zamiaru i że ich entuzjazm do uczenia bezdomnego praworządności był jeszcze mniejszy niż normalnie. Wynikało to z rozczarowania: byli przekonani, że mają w ręku zabójcę, a okazało się, że nawet nie złodzieja.

Niestety, przeszło dobę od znalezienia zwłok nie mieli więcej nowych ustaleń, co niezbyt dobrze rokowało dalszemu śledztwu. Nic nie wniosło sprawdzenie rozmów telefonicznych i korespondencji. Telefonu stacjonarnego małżeństwo nie posiadało, a na komórkach, których sprawca nie zabrał, zarejestrowane były w ostatnim tygodniu zaledwie trzy połączenia przychodzące, nie licząc tych od Kownackiej, kiedy usiłowała dodzwonić się w sobotę rano. Wszystkie trzy u Brzeckiej, najwyraźniej to przez nią ta para kontaktowała się ze światem. W dwóch przypadkach dzwonili znajomi, w trzecim pracownia sondażowa. Połączenia wychodzące były równie nieliczne i też nie prowadziły do podejrzanych numerów. Korespondencja mailowa w znalezionych laptopach okazała się wprawdzie bogatsza, ale ewidentnie sprawca zabrał je dla upozorowania motywu rabunkowego, a nie, by zataić demaskujące go e-maile.

– Z tej beretty dotąd nie strzelano – powiedział komisarz, zamykając raport z balistyki. – W każdym razie nie podczas przestępstwa, co najwyżej w lesie. Utknęliśmy.

Gajda pokiwał głową, ale nic nie odrzekł. Myślami był przy pretensjach żony, że zjawił się w domu dopiero późnym wieczorem i że znowu w weekend synek nie ma z niego pożytku. A przecież Ula wspierała go, kiedy starał się o przydzielenie do zabójstw, chociaż musiała zdawać sobie sprawę, że służbę będzie miał jeszcze bardziej nieregularną niż wcześniej. I była z niego taka dumna, kiedy pochwalił się, że pracuje dla komisarza Przygodnego, który miał opinię –

potwierdzoną statystykami – najskuteczniejszego w kraju w ściganiu morderców. Ta skuteczność brała się jednak między innymi stąd, że zawsze starał się ująć zabójcę w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Niektórzy nie traktowali poważnie ostrzeżenia, że potem szanse na dopadnięcie mordercy znacznie maleją, a co za tym idzie, mieli gorsze wyniki. Ula powinna się cieszyć, że w ogóle wrócił do domu, bo nieraz pierwsze noce po zabójstwie spędzał w komendzie. Przy tej sprawie brakowało punktów zaczepienia, więc komisarz go puścił, uznając, że i tak nic nie dziająca. To też aspirant doceniał, że przełożony nie był dogmatyczny. Jeśli nie mieli na czym się oprzeć, nie kazał mu zostawać na miejscu i markować pracy, bo muszą się uwinąć w dwie doby. Czasami zwyczajnie nie dało się w tym czasie dotrzeć do mordercy. I ta sprawa wyraźnie do takich należała.

– Czarno to widzę, jeśli Bogusław Brzecki nie rozpoznał zabójcy i nie wskaże go nam, kiedy się obudzi.

Przygodny rozmawiał rano z lekarzami, którzy wprawdzie ucieszyli go wiadomością, że życiu Brzeckiego nie zagraża już niebezpieczeństwo, ale nie potrafili powiedzieć, kiedy pacjent odzyska przytomność, co gorsza, przewidywali, że może wtedy cierpieć na pourazową amnezję.

– Powinien go znać – wyraził swoją opinię Gajda. – No, bo jeśli motyw był osobisty, a nie rabunkowy, to trzeba się z kimś stykać, żeby zaleźć mu za skórę. A mąż raczej ma pojęcie, z kim styka się żona. Brzecki musiałby być ślepy, żeby nie dostrzec, że ktoś tak znienawidził jego żonę, że gotów był wpakować jej pięć kul.

– Niektórzy mężowie bywają ślepi – zauważył trochę filozoficznie Przygodny. – Poza tym jeśli go znał, to dlaczego przeżył? Zabójca powinien usunąć świadka.

– Też racja.

– Nie, spekulacje nic nam nie dadzą, musimy szukać faktów.

– Tylko gdzie?

Przygodny po raz kolejny w tym śledztwie musiał stwierdzić, że aspirant zadaje dobre pytanie, na które nie ma odpowiedzi.

Koła samolotu twardo zetknęły się z płytą lotniska. Pilot wyraźnie popełnił błąd, ale nie z tych, które kończyły się zjechaniem z pasa, i maszyna po wygaszeniu prędkości skierowała się w stronę terminala. Szczupła kobieta o blond włosach, zajmująca siedzenie 7C, wyduła wargi w wyrazie lekkiej pogardy dla kwalifikacji pilota.

– Chociaż i tak należy się cieszyć, że nie pierdolnął w zbocze góry, bo chciał się zabić – powiedziała cicho ni to do siebie, ni to do siedzącej obok pasażerki. Tamta nie zareagowała, a i blondynka nie była nastawiona na zawieranie znajomości. Ledwie samolot się zatrzymał, podniosła się i zaczęła szykować do wyjścia. Dzięki temu była jedną z pierwszych wysiadających i szybko dotarła do taśmy z bagażami. Zielona torba, odcinająca się od dominujących szarych i czarnych, wyłoniła się akurat z luku. Kobieta nie czekała, aż do niej podjedzie, tylko podeszła, ściągnęła ją energicznym ruchem na ziemię i złapała za wysuniętą rączkę. Kiedy minęła rozsuwane fotokomórką drzwi, za którymi krewni i przyjaciele wypatrywali przylatujących, na jej widok nie podniosła się w górę żadna ręka ani żadna twarz nie rozpromieniła się w uśmiechu. Blondynka nie poszła jednak do wyjścia, lecz ruszyła w kierunku schodów. Ruchomymi wjechała na górę i miała właśnie usiąść w niewielkim bistro, kiedy zaczepiła ją sprzątaczką i wręczyła jej kartkę ze słowami „Jakaś pani kazała to pani dać”.

– Co to jest? Kto?

Pytania spotkały się ze wzruszeniem ramion.

– Nie znam przecież. Idzie pani?

– Iść? Dokąd?

Sprzątaczką ponownie wzruszyła ramionami i pokazała na kartkę, że tam znajduje się wyjaśnienie. Blondynka rozłożyła liniowany papier i przeczytała nakreślony odręcznie, niestaranny tekst.

Wiem dlaczego pani przyjechała. znam odpowiedzi na pytania, które teraz pani sobie zadaje. Jerzeli chce pani te odpowiedzi to prosze przyjsc do damskiej ubikacji, nie chce żeby kamery nagrały jak rozmawiamy. Sprzątaczką zamknie chwilowo na sprząkanie i spokojnie pogadamy.

List nie był podpisany.

– Od kogo to pani ma?

– Już mówiła, że nie znam. Wysoka, czarna, elegancko ubrana. Idzie pani?

Blondynka zawahała się, z jednej strony nie podobała się jej ta konspiracja, z drugiej strony świadczyła o tym, że tajemnicza kobieta rzeczywiście miała jakieś informacje. Których nie powinna jej przekazywać i dlatego pilnowała się, by nie zobaczono ich razem. Zresztą w jakim innym celu nieznajoma próbowałaby zwabić ją do toalety? Na lesbijski seks?

Uśmiechnęła się na to wyjaśnienie, bo wcale nie czułaby się pokrzywdzona, gdyby tak się stało. Nie była lesbijką, ale dwukrotnie po nakrapianych imprezach zdarzyło się jej zabawić z przyjaciółkami i całkiem mile to wspominała.

– Idę, niech pani prowadzi.

Zjechały ponownie na dół, a potem skierowały się w róg hali, gdzie znajdowały się toalety. Weszły do damskiej, z której korzystały dwie

panie. Najwyraźniej nie było wśród nich autorki liściku, bo obie po umyciu rąk opuściły toaletę, nie zwracając większej uwagi na nowo wchodzące. Sprzątaczką sprawdziła, czy w kabinach ktoś jeszcze nie został, po czym wyciągnęła ze schowka mopa do mycia podłogi i tabliczkę z napisem „Chwilowo nieczynne”. Mopa oparła o ścianę przy wejściu, tabliczkę powiesiła na drzwiach.

– To tyle. Ja idę, proszę czekać.

– Na co?

Odpowiedzią było wzruszenie ramion, powoli już tradycyjne.

– Nie wiem. Tyle miała zrobić i kazać czekać.

Zostawiona sama, blondynka biła się przez chwilę z myślami, czy jednak nie uznać, że ta maskarada jest zbyt niepoważna, by dalej się w nią bawić. Ale kiedy doszła do wniosku, że tak, i ruszyła w stronę drzwi, te otworzyły się i ktoś wszedł do środka. Nie kobieta opisana przez sprzątaczkę, lecz mężczyzna. Poznała go od razu. I zirytowała się. Co on wyczyniał?

Nie zdołała jednak zadać mu tego pytania, bo spojrzał na nią tylko przelotnie, odwrócił się, sięgnął po mopa i zablokował nim klamkę.

To ją zaniepokoiło. Właśnie tak. Nie przestraszyło, bo się go nie bała, ale zaniepokoiło.

– Co ty wyprawiasz? I co tutaj robisz?

Nie odpowiedział. Wolnym krokiem zbliżył się do niej. Zastanawiała się, po co ściągnął ją do tej toalety i dlaczego zablokował drzwi. Co miał jej takiego do powiedzenia, że nie mógł im przeszkodzić żaden przypadkowy świadek? A przede wszystkim, co nowego? Wszystkich jego żali i pretensji wysłuchiwała przecież już niejednokrotnie. I mogła je wyczytać z dziesiątek listów. Gdyby chciało się jej te listy czytać.

A może... przypomniała sobie, jak wypisywał, że chciałby ją spotkać i napluć jej w twarz. E, nie odważy się. Zresztą nie leżało to w jego charakterze. Często się pieklił i krzyczał, ale nigdy jej nie uderzył.

Ta konstatacja sprawiła, że potężny cios pięścią całkowicie ją zaskoczył. Poleciała w tył na podłogę wyłożoną kafelkami, o które dodatkowo się potłukła. Usiłowała się podnieść, oszołomiona chyba bardziej samym atakiem niż bólem. Wtedy dosięgło ją silne kopnięcie, które przewróciło ją na brzuch. „Co on wyprawia, przecież za pobicie grozi więzienie? Czy jemu się wydaje, że nie pójdę na policję?”. Poczula szarpnięcie za włosy, a potem ostry ból zmiażdżonych uderzeniem o posadzkę kości nosa. Tak ostry, że zagłuszył wszelkie myśli, w ich miejsce pojawił się zwierzęcy strach. Racjonalnie rzecz biorąc, nigdy nie spodziewałaby się z jego strony zagrożenia, ale instynkt mówił jej, że musi walczyć o życie. Podjęła próbę wyrwania się, jednak nieudaną. Miał nad nią przewagę wynikłą z zaskoczenia, osłabił ją ciosami i sprowadził do pozycji, w której trudno było się bronić. Kolejne uderzenie o posadzkę pokruszyło jej zęby, poza rozdzierającym bólem poczuła ciepło, a czerwona plama na białych kafelkach zdradzała, że twarz zalewa jej krew. Szarpnęła się ponownie, z całej siły, podświadomie czując, że to jej ostatnia szansa, by się oswobodzić. Że w następne próby nie zdoła już włożyć tyle energii. I udało się. Zrzuciła go z siebie, poderwała się i ruszyła z krzykiem do drzwi. Tak jej się przynajmniej wydawało, w rzeczywistości z gardła wydobył się jedynie charkot. Rozpaczliwy charkot. Którym się też dopingowała. By dopaść drzwi, odsunąć mopa, wybiec na zewnątrz, gdzie są ludzie, którzy przyjdą jej z pomocą. Podcięcie nóg zniweczyło ten prosty plan ratunku. Runęła na posadzkę, a sekundę później przygniatał ją do ziemi całym ciężarem swojego ciała. Znowu szarpnięcie za włosy. Wiedząc, co zaraz zrobi, wymamrotała:

– Nie, błagam.

To go powstrzymało. Ale tylko na moment.

– Ja też cię błagałem, ty szmato!

Wściekłość wypływająca z tych słów zwiększyła impet dwóch następnych uderzeń. Z jej twarzy została miazga, a kolejnych już nie poczuła.

– Dzień dobry. Moje nazwisko Kuriata. Jerzy Kuriata, dziennikarz. Czy mógłbym rozmawiać z panem Zygmuntem Kownackim?

Kuriata zadał pytanie po polsku, mając nadzieję, że odebrała żona i że jest ona Polką. Jego znajomość języków obcych sprowadzała się do średniego niemieckiego, którym nie posługiwałby się nawet wtedy, gdyby w Szwecji był to język urzędowy. Z tego względu do pomocy w szukaniu numeru musiał najać Andrzeja. Numeru telefonu, bo konta Skype'a lekarza nie udało mu się odnaleźć. Angielszczyzna jego współpracownika mimo pomocy tłumacza Google'a okazała się jednak niewystarczająca i musieli zwrócić się do kogoś znającego szwedzki. Nie był to zbyt popularny język i Kuriata chciał już odstąpić od pierwotnego założenia, że nie będzie pytał Kownackiej, by nie ujawniać jej, że interesuje się jej synem, kiedy okazało się, że szwedzkim władał jeden z dziennikarzy działu sportowego. Nie tylko władał, lecz skończył nawet odpowiednią filologię. Tak już było, że do dziennikarstwa trafiało się po najrozmaitszych kierunkach.

– Męża nie ma. Jest w Polsce.

– W Polsce? W jakim mieście?

– We Wrocławiu.

– We Wrocławiu?!

– Tak, co w tym dziwnego?

– Rozmawiałem z jego matką i nie wydawała się świadoma, że Zygmunt przebywa we Wrocławiu.

– Bo nie pojechał w odwiedziny do niej, tylko na konferencję naukową. Plan konferencji jest napięty, Zygmunt nie miałby czasu teściowej odwiedzić, a gdyby jej o tym powiedział, urządziłaby histerię, że wyrodny syn, i demonstrowałaby urazę przez kolejne dwa dziesięciolecia. Rozsądniej było zataić.

– To jednodniowa konferencja?

– Można wiedzieć, dlaczego interesuje się pan Zygmuntem?

– To pani nie wie? Sąsiedzi pani teściowej padli ofiarą napadu. Brzeccy. Ona nie żyje, on jest ciężko ranny.

– Oj! To dlatego teściowa tak się dobijała wczoraj przez Skype'a. Tyle razy próbowała, że w końcu wyłączyłam komputer. A nie mogłam odebrać, bo wyszłoby na jaw, że Zygmunt jest w Polsce.

– A od kiedy tu jest?

– Od piątku, inaczej nie zdążyłby na konferencję, bo zaczynała się w sobotę o ósmej. Zresztą w piątek też wyleciał z samego rana, później nie było dogodnego połączenia. Musiał się przesiadać, a tylko przy tym locie nie czekał kilku godzin na drugi samolot.

Czyli miał pół dnia na to, by odwiedzić swoją matkę. Albo przygotować się do zabicia Brzeckiej.

– Rozumiem. Mogłaby mi pani dać do niego telefon?

Dostał i od razu wybrał podyktowany mu numer, ale mimo dwukrotnej próby połączenia nikt nie odebrał. Zygmunt Kownacki słuchał zapewne jakiejś prelekcji o chorobach i sposobach ich leczenia. Kuriata zadzwonił ponownie do jego żony.

– Czy wie pani, gdzie odbywa się ta konferencja?

- Na Akademii Medycznej.
- W którym konkretnie miejscu, to pani nie wie?
- Wiem! W Klinice Urologii.

Sprawdzenie, że Klinika Urologii mieści się w kompleksie szpitalnym przy Borowskiej, zajęło Kuriacie dzięki internetom – jak żartobliwie sami internauci pisali o tym medium – pół minuty. Postanowił tam podjechać i po prostu wyciągnąć Kownackiego z obrad. Telefon doktor mógł mieć wyciszony, osobistą prośbę, żeby na chwilę wyjść na zewnątrz, mało kto odrzucał. A Kuriata nie miał ochoty czekać, aż wykłady o pęcherzach i cewkach moczowych – bo takie nasuwało mu się skojarzenie, kiedy słyszał słowo urologia – dobiegną końca. W dziennikarstwie, podobnie jak w życiu, przez odkładanie spraw na później nic się nie zyskiwało, można było co najwyżej stracić. Zgodnie z tą dewizą po dalszych dwóch minutach siedział w samochodzie i wyjeżdżał z podwórka na Włodkowica. Ponieważ w niedzielę ruch był nieduży, a Kuriata znaki ograniczenia prędkości traktował wyłącznie jako ozdobny element krajobrazu, dotarł na miejsce szybciej, niż zrobiłaby to karetka na sygnale.

Uniwersytecki Szpital Kliniczny, który miał być medyczną wizytówką stolicy Dolnego Śląska, nie cieszył się ostatnio dobrą prasą. Najpierw lekarze z oddziału ratunkowego odesłali helikopter z rannym w wypadku ośmiolatkiem, co skończyło się jego śmiercią, bo na stole operacyjnym w innym szpitalu znalazł się za późno, a potem chirurg omyłkowo usunął pacjentowi zdrową nerkę, zamiast tej zaatakowanej przez nowotwór. Wszczepić jej z powrotem się nie dało, bo technika usuwania chorego narządu jest inna niż pobierania zdrowego do przeszczepu.

Przypominając sobie te zdarzenia, które wszystkie wrocławskie gazety z rzadko spotykaną jednomyślnością oceniły jako niewyobrażalny

skandal, Kuriata wszedł do środka i rozejrzył się za jakimś punktem informacyjnym lub osobą w białym kitlu. Dostrzegł zgrabną pielęgniarkę i podszedł do niej z zamiarem dowiedzenia się nie tylko o klinikę urologii. Po krótkim pytaniu i dłuższym monologu ustalił, jak dojść do kliniki i że dziewczyna za nic się z nim nie umówi.

Trochę zły, ruszył wskazanym korytarzem, na którym unosił się lekki zapach środków dezynfekujących. Było to nic w porównaniu ze smrodem, który Kuriata pamiętał z lat 80. Pamiętał, bo wygląd i atmosferę tamtych szpitali przypomniawszy mu niedawno obejrzany film „Bogowie”. Opowieść o wybitnym kardiochirurgu zrobiła na nim takie wrażenie, że ku zdumieniu swej młodej towarzyszki po seansie zostawił ją niemal bez słowa, bo chciał pogadać o filmie z kimś, dla kogo Religa był postacią wspominaną, a nie historyczną.

Odtwarzając w myślach sceny z ekranu, dotarł na miejsce. Tu również zagadnął pielęgniarkę, ale wyłącznie o konferencję, gdyż kobieta była w jego wieku, co w przypadku płci przeciwnej Kuriata definiował jako późną starość, a kształty wskazywały na intensywne przygotowania do zawodów sumo.

– Konferencja? Tutaj nie ma żadnej konferencji. Tu się leczy, a nie debatuje!

– Ale...

Nawet gdyby pielęgniarka nie zignorowała tego protestu, po prostu odchodząc, Kuriata sam spostrzegłby, że przyjeżdżając do szpitala, zachował się jak idiota. Przecież konferencje urządza się na uczelniach, w przeznaczonych do tego centrach, a nie w lecznicach. Kownacki mówiąc żonie o klinice urologii, miał pewnie na myśli wydział Akademii Medycznej, a nie oddział szpitalny. Nie chcąc powtórzyć swojego błędu, Kuriata nie wrócił się do samochodu, lecz wyciągnął z kieszeni kurtki smartfona i wpisał w okienko wyszukiwarki zapytanie

o kwietniową konferencję urologów we Wrocławiu. Nie było żadnych trafień, ale to niczego nie przesądzało. Wbrew powszechnemu mniemaniu nie wszystko ogłaszano w internecie, a na pewno nie w jego publicznej części. Specjaliści mieli swoje kanały komunikacji. Żeby takowego odnaleźć, dziennikarz zapytał jednego z pacjentów, snującego się z kroplówką po korytarzu, gdzie można legalnie albo półlegalnie zapalić. Lekarze nadal z pewnością nie byli wolni od nałogu – Religę w końcu zabiły papierosy – a podczas dymka każdy miał czas na chwilę rozmowy. I rzeczywiście w zaimprovizowanej palarni za drzwiami ewakuacyjnymi stał szczupły mężczyzna w białym kitlu, urolog, co ujawnił, odpowiadając na pytanie Kuriaty.

– Nie mamy w ten weekend konferencji we Wrocławiu. Nie siedziałbym wtedy tutaj, tylko wygłaszał prelekcję. Byłoby to niezłe *faux pas* ze strony organizatorów, gdyby nie zaprosili ordynatora największej kliniki urologicznej w mieście, w którym jest konferencja.

Dziennikarz nie próbował się upewniać, czy lekarz aby na pewno jest dobrze poinformowany. Nawet jeśli przeceniał swoją rolę i znaczenie kliniki albo jeśli nie został zaproszony z powodu animozji, których w żadnym środowisku zawodowym nie brakowało, o konferencji musiałby wiedzieć. I wtedy by jej nie zatajał, tylko wyraził pogląd, że banda debili nie potrafi docenić takiego koryfeusza jak on. Wyglądało na to, że Kownacki nałgał żonie. Z jakiegoś powodu zataił przed nią prawdziwy cel swego wyjazdu. Kuriata chciałby uznać te kombinacje za potwierdzenie, że poszedł dobrym tropem, ale musiał być uczciwy wobec siebie i przyznać, że raczej świadczyły o absurdalności jego podejrzeń. Bo Kownackiego najprawdopodobniej w ogóle nie było we Wrocławiu. Inaczej spotkałby się przecież z matką.

Wybrał ponownie numer do Szwecji.

– Pani Kownacka, jeszcze jedno pytanie. Czy odprowadzała pani męża na samolot?

– Nie, wziął taksówkę. Przecież ja pracuję.

– Proszę mi powiedzieć, czemu pani mąż nie mógł odwiedzić matki w piątek, skoro konferencja zaczynała się dopiero w sobotę.

Milczenie, które zapadło, było chyba wynikiem zakłopotania.

– No, dobrze, mógł, ale nie chciał. Ale wcale nie jest wyrodnym synem, po prostu z nią...

– ...ciężko się dogadać. Wiem, rozmawiałem.

Bynajmniej nie oburzało go, że ktoś nie chce widzieć własnej matki. Przeciwnie, uważał, że gdyby niektóre kobiety w porę dały spokój swoim synom, historia przestępczości byłaby uboższa o kilku seryjnych zabójców.

Uznał, że nieodbywającej się konferencji nie ma co wspominać. Skoro Kownacka nie odprowadziła męża na samolot, nie mogła wiedzieć, dokąd poleciał, co znaczyło, że prędkiej sama została okłamana, niż kryła jego kłamstwo. A jeśli facet jedzie gdzieś indziej, niż mówi żonie, to zwykle wybiera się do kochanki albo na dziwki. Tymczasem Kuriata nie uważał tego za jakiś wielki grzech czy powód, by podkopywać czyjeś małżeństwo. Ewolucja tak już mężczyzn ukształtowała, że lubili wsadzać w różne dziury, a panie z obrączkami podchodziły do tego zdecydowanie zbyt histerycznie.

Spróbował ponownie dodzwonić się do potencjalnego niewiernego małżonka. Ten wprawdzie nie odebrał, ale ku zaskoczeniu Kuriaty po paru minutach oddzwonił.

– Doktor Zygmunt Kownacki, ktoś do mnie...

– Tak, telefonowałem do pana. Jerzy Kuriata, dziennikarz z wrocławskiego „Kuriera”. Pański numer mam od pana żony i od niej wiem, że jest pan we Wrocławiu na konferencji urologicznej. Czy moglibyśmy się spotkać i porozmawiać?

Lekarz nie sprostował, że żonie coś się pokręciło i w rzeczywistości jest w Gdańsku albo w ogóle na Malediwach, tylko zapytał:

– O konferencji?

– Nie, o zamordowanej sąsiadce pana matki.

– Co?!

– Pani Brzecka została zastrzelona.

– Przez kogo?

– Parę osób szuka intensywnie odpowiedzi na to pytanie. To jak, możemy się spotkać?

– W jakim celu właściwie? Co ja mogę o tym wiedzieć? Od lat już tam nie mieszkam.

– To fakt. Ale pańska matka sporo mi o swojej sąsiadce opowiedziała, a ja potrzebuję jakiejś weryfikacji tych opowieści, co jest prawdą, co konfabulacją, co wyolbrzymieniem, co krzywym zwierciadłem.

– To mogę od razu panu powiedzieć, że wszystko jest konfabulacją. Tak jak ona przekręca i myli fakty, to mało kto potrafi.

– Stąd prośba, by pomógł mi je pan sprowadzić do właściwych proporcji. A nie mogę z jej relacji zrezygnować, to ona znalazła ofiarę i była z nią najbliżej ze wszystkich sąsiadów. Też bym chciał mieć tylko rzeczowych rozmówców, niestety, takich ludzi to w ogóle mało jest na planecie i siłą rzeczy są w mniejszości wśród świadków morderstw.

– Skoro pan nalega... Miałbym czas za godzinę. Gdzie chciałby się pan spotkać?

– Dojadę, gdzie trzeba.

Umówili się w Rynku, w kawiarni Literatka, mieszczącej się w północnej pierzei, zwanej dawniej stroną Targu Łakoci. Kuriata skierował się tam od razu, uznając, że poczeka na Kownackiego na miejscu. Był bardzo zadowolony, gdyż obecność lekarza we Wrocławiu dała na nowo pożywkę jego podejrzaniom. Powinien dyskretnie wy badać, co on w tym Wrocławiu robi. Choć musiał przyznać, że nadal najprawdopodobniejszym wyjaśnieniem pozostawało, że Kownacki miał w swoim rodzinnym mieście kochankę. Wbrew wyznawcom teorii spiskowych zbieżność zdarzeń w czasie wcale nie dowodziła, że się ze sobą wiązały, i bez dalszych dowodów trudno było zakładać, że jego przyjazd i śmierć jego dawnej sąsiadki miały ze sobą cokolwiek wspólnego.

Sprzątaczką krążyła po terminalu, co jakiś czas zbliżając się do drzwi toalety. Wciąż wisząca tabliczka z napisem „Chwilowo nieczynne” niepokoiła ją coraz bardziej. Zbyt długo to trwało. Kobieta obiecywała, że załatwi sprawę raz dwa. Tylko dlatego się zgodziła. Gdyby wiedziała, że będzie się to tak przeciągać, nie skusiłoby jej nawet dwieście złotych, a co dopiero sto. Pewnie, przy jej pensji kupa pieniędzy, ale żaden dodatkowy zarobek nie usprawiedliwiał ryzyka wylądowaniu na bezrobociu. Nawet niska pensja miała tę zaletę, że wpływała regularnie co miesiąc. Za samo zamknięcie toalety wyrzucenie z pracy oczywiście by jej nie groziło, ale podpadła już w tym miesiącu. Miała scysję z gburem, który nie chciał się przesiąść, żeby mogła umyć krzeselko. Nie dość, że poskarżył się na piśmie dyrekcji, to jeszcze nakłamał, że obrzuciła go wulgarnymi wyrazami. A przełożeni nie chcieli słuchać, że

to nieprawda. Powiedzieli, że podróżny ma zawsze rację, więc należało go zostawić w spokoju i przyjść później. Ciekawe, kiedy później. I bez dodatkowego chodzenia ledwo się wyrabiała ze sprzątaniami, bo skąpili na godzinach. A potem zwagarowała jeden dzień. Normalnie jak w szkole. Ale kiedy dzieciak dostaje czterdziestu stopni gorączki i człowiek gna do szpitala, to przecież nie sprawdza, czy aby na pewno wziął ze sobą komórkę. Niby przyjęli jej tłumaczenia, ale gdyby teraz jakaś pasażerka, mająca słabszy pęcherz, poskarżyła się na zamkniętą toaletę, mogłoby to wyczerpać cierpliwość dyrekcji.

Podeszła po raz kolejny do drzwi i pewnie znowu by odeszła, ale powstrzymało ją pytanie kobiety, która przystanęła za nią.

– Zamknięte?

– Nie, już otwarte. Właśnie skończyłam sprzątać.

Zdjęła tabliczkę, otworzyła drzwi i przepuściła pytającą, niewysoką brunetkę w średnim wieku. Jeśli tamta nie zdążyła załatwić swojej sprawy, trudno. Miało być szybko i dała jej na pewno wystarczająco dużo czasu. Wywiązała się z umowy i pieniędzy nie odda, nawet jeśli...

Jej rozważania przerwał przeraźliwy krzyk. Wbiegła do środka, żeby zobaczyć, co go spowodowało, przestraszona, że jednak źle zrobiła, otwierając za wcześnie toaletę. Najpierw spostrzegła zabrudzoną krwią podłogę, cholera, powiedziała, że posprzątała, a syf taki, jakby z dziesięć babek dostało okresu. I dokładnie w chwili, kiedy dotarło do niej, że tej krwi jest za dużo, by wzięła się z comiesięcznej dolegliwości, zobaczyła, co było jej źródłem. I też zaniósła się krzykiem. Jednak wtórowała brunetce dość krótko, bo ta nagle urwała, osuwając się bezwładnie na podłogę.

– Co się stało?

Głęboki męski głos nie uspokoił jej na tyle, by przestała wrzeszczeć wniebogłosy, ale wyciągnęła rękę, pokazując na zmasakrowane zwłoki.

Mężczyzna i bez tej wskazówki zorientował się, że z dwóch kobiet leżących na ziemi jedna bez wątpienia jest martwa, pochylił się nad drugą i zbadał jej puls.

– Ta żyje. Nie widzę też żadnych obrażeń.

To metodyczne podejście sprawiło, że sprzątaczką udało się przejść od krzyku do artykułowanej mowy:

– Nie, ona... weszła... pierwsza. Zemdląła.

– Rozumiem. Niech pani spróbuje ją ocucić, ja wezwę policję.

Z wewnętrznej kieszeni garnituru mężczyzna wyciągnął telefon i wybrał numer.

– Zgłoszenia alarmowe sto dwanaście, słucham?

– Dzwonię z wrocławskiego lotniska. W toalecie terminalu leży martwa kobieta. Najprawdopodobniej...

– Przełączę pana na policję.

– Ale...

– Proszę czekać na połączenie. Proszę czekać na połączenie. Proszę czekać...

Widząc, że brunetka wskutek poklepywania po twarzy dochodzi do siebie, mężczyzna, nie odrywając telefonu od ucha, pomógł jej wstać, wyprowadził obie kobiety na zewnątrz i przypilnował, by usiadły. Na szczęście krzeselka były wolne, z hali przylotów wychodzili akurat podróżni i ci, co po nich przyjechali, stali przed barierką, by wypatrywać znajomych twarzy.

– Proszę czekać...

Komunikat powtarzał się przez dalszą minutę i mężczyzna zrezygnował. Okazało się, że zbyt pochopnie, bo kiedy wybrał 997, napotkał wprawdzie długi sygnał, ale był to też jedyny odzew.

– Nie do wiary. Nie można dodzwonić się na policję.

Ponownie wystukał 112.

– Proszę pana, dzwoniłem przed paroma minutami, miałem zostać przełączony na policję, ale cały czas jest komunikat, żeby czekać.

– To musi pan czekać, dużo osób dzwoni, często z duperelami, co blokuje dostęp.

– Rozumiem. Ale ja nie dzwonię z duperelą, tylko żeby powiadomić o morderstwie. Czy jest sposób na ominięcie kolejki?

– Nie. Przełączę pana...

– Nie macie jakiejś selekcji, żeby zabójstwa szły w pierwszej...

– Proszę czekać na połączenie. Proszę...

– Nie do wiary – powtórzył mężczyzna, ale tym razem grube rysy jego twarzy wyrażały prawdziwe zdumienie. Nie czekał też, lecz od razu się rozłączył i wcisnął ikonkę jednego ze swoich kontaktów.

– Zenek? Jesteś na służbie?

– Tak. Właśnie wróciłem z akcji. Nie z pożaru, tylko ze ściągania kota z drzewa. Tego samego kota zresztą po raz n-ty. Ciągłe babci zwiewa. Zgłaszam propozycję, żeby następnym razem babcię dosadzić do kota, i będzie spokój.

Zaśmiał się, uznając najwyraźniej, że udało mu się świetnie zażartować, ale rozmówca nie podzielił jego rozbawienia.

– Słuchaj, w toalecie na lotnisku są zwłoki, najprawdopodobniej zamordowanej kobiety, ale na policję nie idzie się dodzwonić. Możesz

powiadomić ich naszymi kanałami?

– Jasne. Coś jeszcze muszę wiedzieć?

– Damska toaleta w rogu terminalu przy hali przylotów. Ofiara zmasakrowana. Znaleziona przez dwie kobiety.

– No tak, trudno, żeby facet wchodził do babskiego kibla. Już ich powiadamiam.

– Dzięki.

Strażak rozłączył się i z niepokojem popatrzył na te, które znalazły zwłoki.

– Jak się panie czują?

Brunetka pokiwała tylko głową, co jednak uznał za sygnał, że powoli dochodzi do siebie. Sprzątaczką za to bez wątplenia doszła do siebie, bo podniosła się ze słowami:

– Muszę wracać do pracy.

– Nie ma mowy! Policja na pewno będzie chciała z panią rozmawiać.

Argument nie okazał się zbyt przekonujący.

– Muszę. Dyrekcji nie będzie obchodziło morderstwo, tylko że nieposprzątane.

– W porządku, ale proszę mi dać numer komórki, zadzwonię po panią, kiedy przyjadą – po raz kolejny, zamiast walić głową w mur, mężczyzna znalazł inne rozwiązanie. – Pani – zwrócił się do brunetki – niech tu zostanie i nie odchodzi, ja będę pilnował pod drzwiami, żeby nikt tam więcej nie wszedł.

A właśnie zamierzała to zrobić młoda matka z pięcioletnią może dziewczynką. Strażak ruszył biegiem, by uchronić małą przed traumą na resztę życia.

W kolejce po kebab w niewielkim barze koło multikina Helios, w którym od niedawna dzięki wsparciu miasta wyświetlano ambitne filmy, czekało pięć osób. Dwie z nich jednak o tak potężnej posturze i dodatkowo ją podkreślających strojach, że małe pomieszczenie wydawało się zatłoczone. Byli to posterunkowi Wójcik i Wojtkiewicz.

– Co bierzesz? – zapytał Wojtkiewicz.

– Kebab. Tu dają tylko kebab.

– Ale jaki, drobiowy czy wieprzowy?

Wójcik podrapał się po krótko ostrzyżonej głowie.

– A ty?

– Ja wieprzowy.

– Czemu?

– Nie jadam drobiu. Roznosi chorobę.

– O! – przestraszył się Wójcik, który kurczakiem z różną nie gardził, ale pierwsze słyszał, że może z tego powodu złapać jakieś paskudztwo. – Co za chorobę?

– Afrykański pomór świń.

Wójcik przetrwał tę wiadomość tak długo, że sprzedawca zdążył obsłużyć jednego z klientów przed nimi.

– Ale czy ze świni nie masz właśnie kebaba wieprzowego?

– Nie. To znaczy tak. – Wojtkiewicz zamilkł, próbując rozwikłać, skąd wzięła się ta sprzeczność. Potem wyjaśnił: – Namieszałeś.

– Ja namieszałem? – zdziwił się niepomiernie jego partner. – Jak?

– Bo kebab wieprzowy jest ze świni, ale na afrykański pomór chorują kury. Czyli niebezpieczny jest ten drobiowy.

– No jak? Przecież powiedziałeś „afrykański pomór świń”, nie „kur”. Przejęczyłeś się?

– Nie. Choroba nazywa się afrykański pomór świń, ale chorują na nią kury.

Za ich plecami ktoś parsknął śmiechem. Policjanci obejrżeli się, ale kiedy zobaczyli, że młoda dziewczyna pogrążona jest w lekturze książki, uznali, że musiała ją rozbawić jakaś powieściowa scena.

– A dlaczego nie nazwali właściwie? – dociekał Wójcik. – Przecież jak była ptasia grypa, to na grypę chorowały kaczki, a nie krowy. Krowy chorowały na priony.

– Bo to jest wirus, który roznoszą świnie, ale on świniom nie szkodzi, tylko kurom. Nazwa nie zawsze pasuje. Weź nas. Kto my jesteśmy?

– Policja.

– Tak, ale jaka?

Nad tą kwestią Wójcik musiał się chwilę zastanowić, bo dotąd wiedział, że pracuje w policji, ale że w jakiejś szczególnej, to nie.

– Polska?

Dziewczyna za nimi znowu parsknęła śmiechem, ale tym razem nie zwrócili na nią uwagi. Zwłaszcza że Wojtkiewicz nieco zirytowała ta niedomyślność partnera i pośpieszył z wyjaśnieniem:

– Posterunkowi jesteśmy. Ale nie pracujemy na posterunku, tylko w radiowozie. A jak musimy napisać raport, to gdzie go piszemy?

Tym razem Wójcik wiedział, o co partnerowi chodzi.

– Na komisariacie.

– No właśnie! Nie na posterunku.

Wybuch śmiechu był tak głośny, że musieli się odwrócić, ale dziewczyna, wyraźnie speszona, wyszła z kolejki i chowając książkę do plecaka, skierowała się do drzwi.

– Śmieszne powieści teraz wydają – skomentował tę rejteradę Wójcik, który w ich duecie uchodził za specja od literatury, odkąd udało mu się zadać mądre pytanie zatrzymanemu podczas rozróby pisarzowi, niejakiemu Adamowi Sobieskiemu[4].

Dotarli do lady, obaj wzięli po kebabie wieprzowym i wrócili do radiowozu, parkującego w zatoczce przed kinem. Nie przejmując się, że znak zezwalał jedynie na pięciominutowy postój, zabrali się do jedzenia. W połowie posiłku odezwało się radio:

– Zwłoki na lotnisku. Wygląda na zabójstwo. Trzeba zabezpieczyć do czasu przyjazdu ekipy.

Wójcik mimo niedojedzonego kebabu sięgnął po mikrofon. Praca przy morderstwie uchodziła za atrakcję i stawiała wyżej w hierarchii od patrolu, którego wzywano do szczekającego po nocy psa. Dla takiego zaszczytu warto było poświęcić kawałek kebabu. Poza tym posterunkowi lubili współpracować z komisarzem Przygodnym. Wprawdzie nieraz na nich krzyczał, ale inni krzyczeli nie mniej, za to w jakiś taki bardziej uwłaczający sposób.

– Wiwera-13, bierzemy to. Gdzie dokładnie są te zwłoki?

– W damskiej toalecie w hali przylotów. A wy gdzie dokładnie jesteście?

– Na Strzegomskiej – skłamał Wójcik, słusznie uznając, że dyspozytor wyśle bliżej znajdujący się radiowóz, jeśli pozna ich prawdziwe położenie. Strzegomska też nie była w bezpośredniej

bliskości lotniska, ale tu posterunkowy zabezpieczał się na przyszłość przed pretensjami, że na pokonanie krótkiego odcinka potrzebowali zbyt wiele czasu.

– Niech będzie. Tam jakiś strażak kontroluje sytuację, więc chwilę mogę wam dać na dojazd. Ale gaz do dechy.

– Strażak? To pożar też był?

Dyspozytor zmełł w ustach jakieś słowo, które zaczynało się na „m” i kończyło na „ł”, po czym zniknął z eteru, nie troszcząc się o formułkę „bez odbioru”.

– Co on powiedział? – zapytał Wójcik.

– Powiedział „madoł” – Wojtkiewicz wykazał się lepszym słuchem.

– Madoł? Co znaczy „madoł”?

– Coś po angielsku. Chyba, żebyśmy szybko jechali.

– Czemu on do nas mówi po angielsku?

– Bo to makaroniarz.

– Makaroniarz?

– Szpaner, który używa obcych wyrazów, chociaż ich nie rozumie.

– Myślałem, że makaroniarze to Włosi.

– Nie, Włosi mówią po włosku, nie po angielsku.

– Ale...

– Jedź, bo stoimy, a nie jesteśmy na Strzegomskiej.

Wójcik ruszył tak chwacko, że omal nie spowodował kolizji z samochodami nadjeżdżającymi W-Z-tką. Nikt jednak nie ośmielił się zatrąbić na radiowóz, chociaż ten włączył się w niebezpieczny sposób do ruchu bez syreny.

– Najszybciej to jak najlepiej dojechać? – Wójcik nigdy w życiu nie leciał samolotem, interwencji na lotnisku jeszcze nie miał i tylko mniej więcej wiedział, gdzie ono się znajduje, ale nie chciał się do tego przed partnerem przyznawać.

– Strzegomską do końca, za Nowym Dworem na rondzie Pileckiego w prawo, a potem to już nawet nie trzeba radiowozu, żeby szybko jechać, bo tam ładna droga jest.

– Leciałeś stamtąd?

– Dwa razy.

– Dokąd?

– Do Anglii do siostry. Raz nas zaprosiła, żeby zobaczyć, jak tam ma, a drugi raz na ślub, kiedy hajtnęła się z tym swoim Angolem.

– Komisarz Przygodny też ma syna w Anglii.

Wojtkiewicz, chociaż żadnego syna na Wyspach nie miał, przytaknął, że paralela się zgadza.

– Bałeś się lecieć?

– Nie, dlaczego?

– Ja bym się bał, że spadnie.

– Co ty, fajnie jest, widoki super z góry. Tylko ciasno trochę, no, ale dla nas to normalka.

Projektanci rzeczywiście nie urządzali świata pod szerokich w barach mężczyzn, mierzących po 190 centymetrów.

Wójcik nic na to nie powiedział, skoncentrował się na prowadzeniu, bo rozpędził radiowóz do takiej prędkości, że miał większe niż normalnie szanse, by uprzedzić ewentualną katastrofę lotniczą i zabić się w wypadku samochodowym. Ale tak się nie stało, z piskiem opon

wyhamowali przed terminalem i wbiegli do środka. Odnaleźli damską toaletę i z ulgą stwierdzili, że strażak zachował zimną krew: nie wszczął bezładnego alarmu, który ściągnąłby tłum gapiów, tylko dyskretnie powiadomił kogo trzeba. Teraz wprawdzie gdzieś zniknął, ale pewnie został powiadomiony, że policja już jedzie, a skoro toaletą nikt się nie interesował, mógł ją chwilę zostawić bez nadzoru. Zwłaszcza jeśli śpieszył się do własnych obowiązków.

Wójcik z Wojtkiewiczem zajęli pozycje przed drzwiami, w samą porę, bo akurat pulchna matrona w zbyt obcisłej sukni zamierzała skorzystać z WC.

– Przykro nam, nie wolno – zatrzymał ją Wójcik.

– Właśnie. – Wojtkiewicz przy obcych stawał się małomówny i zazwyczaj ograniczał się do potwierdzania słów partnera.

– Dlaczego nie?

– Teren zabezpieczony, proszę się rozejść.

– Właśnie.

Kobieta najpierw próbowała wdać się w dyskusję, wskazując na bezsens polecenia „rozejść się”, skoro była tylko ona jedna, ale chyba uświadomiła sobie, że jeśli ją przegra, na znalezienie innej toalety będzie za późno, bo po kilku słowach zrezygnowała i oddaliła się.

Posterunkowi, zadowoleni z interwencji, czujnie śledzili, czy ktoś inny nie zamierza wtargnąć na miejsce przestępstwa.

– Pusto jakoś na tym lotnisku – podzielił się Wójcik dokonaną podczas tego śledzenia obserwacją. – A moja mama czytała, że z Wrocławia coraz więcej ludzi lata.

– Rzeczywiście pusto, tak pusto nie było nawet, jak ja leciałem.

– Może teraz nie sezon.

– Jak ja leciałem, też nie był sezon – Wojtkiewicz wskazał, że to nie może być przyczyną. – Pewnie dziura jest.

– Dziura?

– No, na tym Hit... na lotnisku w Londynie to co pięć minut ląduje i startuje samolot, więc cały czas są ludzie, we Wrocławiu dużo rzadziej, może wypadła taka przerwa, że z poprzedniego samolotu ludzie już poszli, a na nowy jeszcze nie przyszli.

Wójcik chciał przyznać, że ma to sens, kiedy zaskrzeczał jego radiotelefon.

– Palanty jedne, gdzie jesteście? Jak ustale, że nie byliście na Strzegomskiej, tylko gdzieś dalej, to nogi z dupy...

– Melduję, że na lotnisku i już dawno zabezpieczamy.

– Na jakim lotnisku?

Wójcik nie bardzo wiedział, jakiego sprecyzowania oczekuje dyspozytor, popatrzył w stronę Wojtkiewicza, ale ten pokręcił głową, że również nie wie, o co pytającemu chodzi.

– Na samolotowym?

– We Wrocławiu, kurde, jesteście czy może zabłądziliście do Modlina?! Bo strażak mówi, że was wciąż nie ma. Przy takich debilach nic mnie już nie zdziwi.

Wyraz twarzy obu posterunkowych wyraźnie wskazywał, że poczuli się urażeni, „palantów” mogli jeszcze przełknąć, ale zdecydowanie nie zasłużyli sobie na epitet „debile”, zwłaszcza że tym razem nic nie pokręcili. Wójcik powiedział więc sucho „oczywiście, że we Wrocławiu” i dodał, że są, jak należy, pod damską toaletą w hali przylotów, a kiedy Wojtkiewicz huknął gromko „właśnie”, chciał o tych

debilach napomknąć, że w sumie należą się im przeprosiny, gdy otwierające się drzwi tejże toalety odwróciły jego uwagę.

Ze środka wyszła dwudziestoparoletnia dziewczyna, długie ufarbowane na fioletowo włosy poprawiła wytrenowanym gestem, jakby podobny zabieg wykonany zapewne kilka chwil wcześniej przed lustrem nie był wystarczający, i ruszyła przed siebie, kiedy Wojtkiewicz zastąpił jej drogę.

– Kto pani pozwolił wejść do toalety? – pytanie zadał nie Wojtkiewicz, który ograniczył się do roli barykady, a Wójcik.

Dziewczyna zmierzyła go takim wzrokiem, że poczuł się jak w podstawówce, gdy wychowawczynie wyciągniętą ręką nakazywała mu stanąć w kącie, chociaż od tego czasu proporcje wzrostu zdecydowanie zmieniły się na jego korzyść.

– Miałam pytać pana o pozwolenie, czy mogę się załatwić?

– Tak, bo to jest miejsce zbrodni.

– Właśnie.

Teraz z kolei Wojtkiewicz miał wątpliwą przyjemność poczuć na sobie wzrok dziewczyny.

– I co, aresztujecie mnie za to, że nasikałam na miejscu zbrodni?

– Zanieczyściła pani ślady!

– Mogę pana zapewnić, że w muszli klozetowej żadnego trupa nie było. A w odróżnieniu od wielu przedstawicieli pańskiej płci obok muszli nie sikam.

Wójcika ta deklaracja skonsternowała i zmusiła do namysłu, który zakończył się logiczną konkluzją, że skoro dziewczyna nie widziała zwłok w kabinie, to musiały one znajdować się poza kabiną, co wyraził słowami:

– On nie leży koło muszli, tylko na podłodze!

– Kto?

– Ten trup.

– Właśnie.

– Jaki trup, człowieku?! Tam nie ma żadnego trupa, idźcie sprawdzić, zamiast napadać bez sensu na babki, że skorzystały normalnie z kibla.

Zaniepokojeni posterunkowi poszli za tą radą, czy raczej wykonali to polecenie, i dokładnie przeszukali toaletę. Nawet dwa razy, bo wynik pierwszego przeszukania wypadał na ich niekorzyść.

– I co, są tam jakieś zwłoki? – odezwał się dyspozytor, o którym Wójcik zapomniał, a który musiał słyszeć całą wymianę zdań.

Posterunkowy pokręcił przecząco głową.

– Ej, odbiór! Są tam zwłoki?

– Nniee... ma.

– Poszliście do złej toalety?

– Tu nas od razu skierowano, jak zapytaliśmy o damską toaletę w hali przylotów, więc nie może być innej.

– Jak nie może, przecież toalet jest wię... Czekajcie, na jakim lotnisku wy jesteście?

Wójcik westchnął, dyspozytor był jakiś tępy, już tę kwestię omawiali.

– Wy jesteście na starym!

– Starym?

– Wrocław ma nowe lotnisko, debile, i to już od jakiegoś czasu! Stare działa jako port cargo!

– Ale ja przecież niedawno stąd leciałem.

Wojtkiewicz uznał, że skoro trafili tutaj za jego wskazaniem, nie może ograniczyć się do potakiwania partnerowi.

– Niedawno to jest kiedy?

Niewyraźnie pomruki i nieszczęśliwa mina Wojtkiewicza ujawniały, że w trakcie liczenia wychodziła mu coraz odleglejsza data.

– Ruszajcie dupy na nowe lotnisko!

Posterunkowi pognali do radiowozu, ale tu utknęli. Nie wiedzieli, gdzie to nowe lotnisko jest. Plan miasta wyciągnięty ze skrytki okazał się pochodzić z czasów lotniczych wojaży Wojtkiewicza, wymianę służbowych komórek na smartfony policja dopiero miała przed sobą i oni prywatnie też. Nowiutkie radiowozy były wprawdzie wyposażone w nawigację, ale ich rekrutował się jeszcze ze starej floty, o tych nowych czytali tylko w policyjnym okólniku. To znaczy słyszeli od kogoś, kto czytał.

W końcu, dość niechętnie, bo prawdziwi mężczyźni zawsze wiedzą, gdzie są i dokąd zmierzają, zapytali o drogę taksówkarza, polującego pod terminalem na pasażera, który będzie na tyle nierozsądny, że wsiądzie „ze słupka”. Najwyraźniej mimo przekwalifikowania portu na towarowy ludzie wciąż korzystali tu z taryf. Taksiarz spojrział na nich dziwnym wzrokiem, ale że dostrzegł zbliżającą się potencjalną ofiarę, szybko udzielił im wskazówek.

– Tak jak tu jechaliście, tylko jeszcze kawałek w przód, lotnisko zobaczycie po lewej, zresztą tą drogą nie da się nigdzie indziej dojechać.

Nazwa Literatka mogła wskazywać na kawiarnio-księgarnię, księgarni jednak w lokalu nie było, za to właściciel rzeczywiście organizował spotkania autorskie i wieczorki muzyczno-poetyckie. Kuriata, odkąd zabrał się za pisanie własnej powieści, na tych pierwszych bywał, żeby podpytywać pisarzy o ich warsztat. Z przyzwyczajenia przeszedł więc od razu do pomieszczenia w głębi, gdzie te spotkania się odbywały. Rozglądając się za wolnym stolikiem, dostrzegł znajomą sylwetkę, lekko przygarbioną nad książką. Zbliżył się do czytającego.

– Dzień dobry, panie profesorze.

Adam Sobieski uniósł głowę, a zmarszczki jego twarzy wygładził szeroki uśmiech.

– A, witam pana redaktora. Bardzo się cieszę, że pana widzę. Zwłaszcza że nasza ostatnia rozmowa miała dość niefortunny finał.

Kuriata lekko się uśmiechnął, przypominając sobie wybuch wściekłości Sobieskiego w księgarni, który zakończył się interwencją policji.

– Będzie pan miał spotkanie autorskie?

– Nie, nie. Jestem umówiony z moim wydawcą. Ale proszę się dosiąść, jeszcze trochę muszę na niego poczekać – profesor odciągnął rękaw marynarki i spojrzął na zegarek – a jak go znam, to na dodatek się spóźni.

Dziennikarz skorzystał z zaproszenia i bezceremonialnie wziął do ręki odłożoną przez Sobieskiego książkę.

– Co pan czyta?

– „Bóg urojony” Dawkinsa. Jestem w połowie i wygląda na to, że zanim dotrę do końca, zostanę przynajmniej agnostykiem.

– Teraz jest pan wierzący? To czemu sięgnął pan po tę książkę?

Kuriacie jako ateście nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby czytać długie wywody autorów, udowadniających istnienie Boga.

– Bo nie zamykam się na poglądy sprzeczne z moimi. Jako naukowiec, wprawdzie emerytowany, ale naukowcem pozostaje się do końca życia, muszę słuchać argumentów i dać się nimi przekonać, jeśli są rozsądne. A Dawkins pisze wyjątkowo rozsądnie. À propos pisania: jak idzie praca nad powieścią?

– Powoli, ale cały czas do przodu. Myślę, że prędzej czy później mój maszynopis trafi w ręce wydawców.

– Nie wiem, czy mam panu tego życzyć. Niech pan zgadnie, dlaczego spotykam się z tymi łobuzami z wydawnictwa.

Podeszła kelnerka, więc Kuriata najpierw zamówił kawę, a dopiero potem odpowiedział:

– Wycięli panu kolejny numer?

– Trzecia część mojego tryptyku, „W stepie szerokim”, miała wyjść w nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy, a huncwoty wydrukowały ledwie tysiąc. To za mało, żeby książka była widoczna w księgarniach, jeśli się z tego sprzeda pięćset, będę mógł mówić o sukcesie. Jakbym napisał tomik poezji, a nie powieść z wartką akcją.

– Rzeczywiście wartka – przyznał Kuriata. – Pańskie poprzednie powieści pochłonałem w jeden wieczór. Jeśli ta trzecia jest tak samo dobra, to naprawdę szkoda, gdyby miała szerzej nie zaistnieć. Nie mogą teraz dodrukować?

– Przede wszystkim nie chcą, ale też taki dodruk parę miesięcy po premierze nie ma sensu. Żadna hurtownia nie weźmie nowych egzemplarzy tytułu, który nie schodzi jak ciepłe bułeczki, bo i po co? Trzeba wejść z mocnym uderzeniem: przyzwoity nakład początkowy

i szeroka reklama. Wtedy jest szansa, że powieść chwyci, a jak chwyci, to księgarze sami będą domawiać.

– Po co więc spotyka się pan z wydawcą?

Sobieski wzruszył ramionami.

– Pogroziłem im sądem, więc rzekomo mają dla mnie jakąś propozycję, choć przypuszczam, że chcą mnie po prostu urabiać, żebym odpuścił. Wcześniej wypisywali mi dyrdymały, że te pięć tysięcy z umowy to jest nakład, który mają sprzedać, a nie wydrukować. Obaliłem tę bzdurę prostym pytaniem: jak można sprzedać książkę, której nie ma?

– I co odpisali?

– Nic, po prostu zostawili bez odpowiedzi. To norma: dyskutują, dopóki im się wydaje, że mają argumenty, a kiedy braknie im argumentów, przyjmują postawę „może nam pan skoczyć”. To im skoczyłem: dostali ode mnie pisemko przedsądowe i na nowo zrobili się rozmowni.

Kuriata zaśmiał się i zamieszał łyżeczką w przyniesionej przez kelnerce kawie.

– Oni w ogóle nie są zbyt lotni. Wie pan, jak odkryłem, że oszukali mnie z tym nakładem?

– Jak?

– Sami się inteligenci pochwalili, inaczej bym tego nie odkrył, nie ma szans. Przysłali mi rozliczenie, w którym jak byk widniało: wydrukowano tysiąc egzemplarzy, sprzedano czterdzieści – chociaż mogli ograniczyć się do podania, ile wyniosła sprzedaż.

– Czterdzieści egzemplarzy to strasznie mało.

– No mało, nie umieją sprzedawać. Zaoferowali mi te pięć tysięcy, żeby mnie do siebie zwabić, dobrze piszący autor może małe wydawnictwo wywindować, nawet jeśli jeszcze nie osiągnął sukcesu komercyjnego. A ja po złych doświadczeniach z gigantami chciałem spróbować w mniejszej oficynie.

– I się pan przejechał – skonstatował dziennikarz.

– Na całego. Nawet za te czterdzieści egzemplarzy nie zobaczyłem ani grosza honorarium. Przelew podobno jest w drodze. Zdaje się, że wysłali dyliżansem albo gołębiem pocztowym. Dosyć narzekania. Wróćmy do pańskiej powieści.

Kuriata nie miał nic przeciwko temu, bo chociaż perypetie wydawnicze go interesowały, to zawsze mniej niż własna twórczość, ale akurat w tej chwili w drzwiach pojawił się mężczyzna z telefonem przy uchu. Komórka Kuriaty rozbrzmiała i dziennikarz domyślił się, że tym mężczyzną jest Kownacki.

– Chętnie, nawet bardzo chętnie, ale muszę to przełożyć, bo jest mój rozmówca.

– Mój chyba też.

Barczysty dwudziestolatek, w którym łatwiej było się domyślić zawodnika futbolu amerykańskiego niż przedstawiciela wydawnictwa, wyminął Kownackiego i rzeczywiście zbliżył się do ich stolika. Kuriata zrobił mu miejsce i usiadł ze swoim gościem pod ścianą, którą tworzyły półki zastawione książkami.

– Dziękuję, że pan przyszedł.

Kuriata bacznie obserwował lekarza, kiedy referował mu rozmowę z matką i zadawał do niej pytania, jakby artykułu nie miał od dawna napisanego. Kownacki był parę lat przed czterdziestką, czyli w wieku, w którym można już się znudzić żoną poznaną w okresie studiów.

Wyglądał przeciętnie, ofert pracy jako model z pewnością nie dostawał, ale przy jego zawodzie wystarczyło nie mieć rażących defektów fizycznych, by przyciągać kobiety. W przeciwieństwie do swojej matki odpowiadał krótko i rzeczowo, więc omówienie jej opowieści poszło bardzo sprawnie. Kuriata zresztą prawie go nie słuchał, tylko rozważał, jak przejść do rozmowy, w której wybadałby, co Kownacki robi we Wrocławiu. Rozważania okazały się niepotrzebne, gdyż ten po ostatniej odpowiedzi dodał:

– W tej sytuacji chyba jednak będę musiał ją odwiedzić, chociaż nie planowałem.

– Konferencja jest aż tak napięta?

– Co? Nie, niespecjalnie mam ochotę z nią gadać, chociaż może teraz skupi się na tym zabójstwie, a nie na tradycyjnym wypominaniu, że za rzadko ją odwiedzamy, że w ogóle nie widuje wnuków i że doskonale mógłbym być wziętym lekarzem w Polsce. Pewnie mógłbym, ale Szwecję cenię sobie nie tylko za wyższe zarobki, chodzi o to, że wszystko jest tam lepiej zorganizowane. My nigdy nie dojdziemy do ich poziomu, bo kiedy trzeba coś przedyskutować i podjąć decyzję, to Polak jest nastawiony na przeforsowanie swoich racji, a Szwed na wysłuchanie argumentów. Kwestia mentalności. W efekcie w Szwecji wprowadza się optymalne rozwiązania, a u nas te, które za właściwe uważa strona silniejsza. I ma pan wyjaśnienie, czemu Polacy emigrują do Szwecji, a nie Szwedzi do Polski.

– Może dobrze się stało. – Kuriata miał na myśli to, że Kownacki w sumie został zmuszony do odwiedzenia matki, nie zaś takie, a nie inne ukształtowanie się mentalności obu nacji. – Informacje o konferencji wraz z listą uczestników są pewnie publicznie dostępne i pańska mama mogłaby odkryć, że był pan we Wrocławiu, a do niej nie zajrzał.

Kownacki wydał pogardliwie nieco za wąskie usta.

– Nie potrafiłaby znaleźć informacji nawet o przyjeździe papieża. Od śmierci ojca nie poszła czy nie pojechała w żadne nowe miejsce, w którym nie byłaby razem z nim. To ideał kury domowej: gotowała mężowi obiadki, prasowała mu koszule, ładnie wyglądała na spotkaniach towarzyskich i wychowywała dziecko. Tyle że kariera kury domowej przypomina sportową: trwa krótko i trzeba mieć pomysł, co ze sobą zrobić po jej zakończeniu. Ona nie ma żadnego, przeciwnie, bardzo chętnie by wróciła do poprzedniej roli, stąd jójczenie, że nie może zajmować się wnukami.

Dziennikarz uznał, że delikatne drażnienie sprawy nie doprowadzi go do celu.

– Ja potrafię znajdować informacje i wiem, że żadnej konferencji urologicznej w ten weekend we Wrocławiu nie ma.

Zaskoczony lekarz trochę zbyt długo zwlekał z odpowiedzią, by wyjaśnienie typu „to nie jest konferencja urologiczna, tylko ogólnochirurgiczna” było wiarygodne.

– Do czego pan zmierza?

– Do tego, jaki jest rzeczywisty powód pańskiego przyjazdu do Wrocławia.

– Nie pana sprawa.

– Nie moja – zgodził się Kuriata. – Jednak pańska tajemnicza obecność tutaj w powiązaniu z faktem, że był pan śmiertelnie zakochany w córce ofiary, każe snuć domysły. Takie, które mogą zainteresować policję.

Sugestia dziennikarza z początku wydawała się do Kownackiego nie docierać, a później zareagował na to oskarżenie śmiechem.

– Miałbym zamordować matkę Kaśki, bo ta mnie w liceum nie chciała? Po dwudziestu latach? Jak ktoś, snujący takie nonsensowne

przypuszczenia, mógł zostać dziennikarzem od spraw kryminalnych?

Rozbawienie lekarza nie tyle zaskoczyło Kuriatę, co uświadomiło mu absurdalność własnych podejrzeń. Zreflektował się, że swoją teorię skonstruował mocno na wyrost. A Kownacki pewnie najzwyczajniej w świecie miał we Wrocławiu kochankę, do czego oczywiście się nie przyzna, gdyż z jego punktu widzenia to było wykroczeniem, które musiał zatajać. Nie pod groźbą policyjnego przesłuchania, która nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. Słusznie zresztą, Przygodny taki trop też by wyśmiał. Jeśli się komuś grozi, nie mając w ręku realnego środka nacisku, tak się na tym wychodzi.

Z niezręcznej sytuacji wybawił dziennikarza rumor przy stoliku Sobieskiego. Pisarz poderwał się, przewracając krzesło, i zaczął krzyczeć na przedstawiciela wydawnictwa.

– Kpiny sobie robicie?! Żadnego odszkodowania, tylko łaskawie zapłacicie mi zaległe wynagrodzenie w zamian za to, że położę uszy po sobie i przestanę mieć pretensje o zaniżony nakład?!

Jego rozmówca rozejrzał się po lokalu, stwierdzając z zakłopotaniem, że wszyscy bywalcy patrzą w ich stronę.

– Nie ma powodu, żeby robić sceny.

– Pan uważa, że pańska hucpiarska propozycja nie zasługuje na scenę?! Jak pan śmie pieniądze, które są już moje, oferować mi jako rekompensatę? Hitler, proszę pana, był mniej bezczelny, kiedy chciał od Czechosłowacji Kraju Sudeckiego!

– Wypraszam sobie takie porównania.

– Wypraszać to pan może niechcianych gości!

– Jeśli się pan natychmiast nie uspokoi i nie usiądzie, posadzę pana siłą!

– No, właśnie! To są metody działania waszego wydawnictwa, z pozycji siły! Prawem kaduka!

Młodzieniec podniósł się, ale obserwujący nie dowiedzieli się, czy chciał spełnić swoją groźbę, czy po prostu opuścić rozwścieczonego pisarza, bo Sobieski złapał ze stolika dzbanek z wodą na herbatę i rozbił go na głowie oponenta. Ten runął na ziemię, łamiąc po drodze swoim potężnym korpusem krzesło.

– Jak na takiego mięśniaka, to ma strasznie słaby czerep – skomentował dziennikarz.

– Boże, zabił go! – Jedna z kobiet nie przyjęła akcji profesora tak spokojnie jak Kuriata. – Czy jest tu lekarz?!

Kownacki nie potrzebował tego wezwania, nie wnikał też, do czego zabitemu lekarz, tylko tuż po upadku znalazł się przy poszkodowanym. Zbadał mu najpierw puls, stwierdzając, że diagnoza postawiona przez kobietę, czy to z braku wykształcenia medycznego, czy z braku badania, nie okazała się trafna. Następnie obmacał głowę w miejscu ciosu i zabrał się za cucenie.

– Miał szczęście, powinno się skończyć guzem. Potężnym, ale guzem. Halo, proszę pana!

– Cccoo... się... dzie... je?

– Został pan uderzony, musi pan pojechać do szpitala, żebyśmy wykluczyli wstrząśnienie mózgu, ale myślę, że wszystko będzie dobrze.

W tym momencie do sali weszło dwóch policjantów. Zapewne ktoś z gości lub z obsługi poprosił przechodzący patrol o interwencję. Ku rozczarowaniu dziennikarza nie byli to Wójcik z Wojtkiewiczem, którzy przy wcześniejszym incydencie z Sobieskim zapewnili mu przednią zabawę. Ci szybko wytypowali spośród obecnych świadków, którzy nie konfabulowali i nie starali się wybielić Sobieskiego, jak Kuriata,

twierdzący, że młodzieniec ewidentnie chciał zaatakować profesora, a ten tylko się bronił. A kiedy ustalili, że poszkodowany wprawdzie zagroził, że posadzi swego interlokutora siłą, ale groźba miała na celu uspokojenie rozmówcy i od słów do czynu było jeszcze bardzo daleko, zatrzymali Sobieskiego pod zarzutem pobicia.

– Jeśli nie ma jej w AFIS-ie, to z identyfikacją będzie straszny problem. – Przygodny przyklęknął koło zwłok i wskazał na twarz martwej kobiety czy raczej na miejsce, w którym kiedyś znajdowała się twarz: teraz była tam jedynie krwawa miazga. – Ubranie też zabrał.

Tu komisarz nie musiał wskazywać, co miał na myśli, nagość ofiary biła po oczach.

– Ale jak już ustalimy, kim ona jest, powinniśmy szybko złapać zabójcę. – Gajda okazał się optymistą. – Skoro zadał sobie tyle trudu, żeby ukryć jej tożsamość, powiązanie między nimi musi być oczywiste.

– O ile rzeczywiście chciał ukryć jej tożsamość. Mógł ją zmasakrować z nienawiści, a rozebrał, żeby ją poniżyć.

– Ale skoro tak bardzo jej nienawidził, to musieli się dobrze znać.

W tym punkcie komisarz musiał przyznać swojemu podwładnemu rację.

– Bagaż, Robert. Sprawdź, czy na lotnisku nie ma bezpańskiego bagażu. Jeśli nie przyszła kogoś odebrać, musiała mieć jakąś torbę albo walizkę. Może sprawca o niej nie pomyślał.

– Już się robi, szefie.

Aspirant opuścił toaletę, a Przygodny odsunął się od zwłok, by zrobić miejsce Małeckiemu. Nauczony przykrym doświadczeniem postanowił lekarza o nic nie pytać, tylko zaczekać na oficjalny raport,

a na razie poprzestać na własnych obserwacjach. Te były bowiem chwilowo wystarczające: ofiara została załuczona i nie wyglądało na to, by patolog mógł skorygować tę diagnozę inaczej, niż podając fachowe określenie obrażeń, które doprowadziły do zgonu. Jego czas też raczej nie budził wątpliwości: zwłoki w publicznej toalecie na lotnisku nie mogły długo leżeć nieodkryte, jeśli odkrycie nie nastąpiło przed pierwszym rannym lotem. A nie nastąpiło.

Przesłuchanie strażaka niewiele wniosło, ale kobieta, która pierwsza natknęła się na zabitą, dostarczyła Przygodnemu amunicji przeciwko sprzątacze, która wyraźnie usiłowała coś ukryć, twierdząc, że w okolicy toalety znalazła się całkowitym przypadkiem.

– To dlaczego powiedziała pani tej pasażerce, że właśnie skończyła pani sprzątać, i zdjęła tabliczkę, że chwilowo nieczynne?

– Bo... – Dalsze milczenie świadczyło o tym, że żadne kłamstwo nie przyszło jej na myśl.

– Słusznie zakładam, że skoro ją pani zdjęła, to również pani ją powiesiła? Dlaczego?

– Bo...

– Proszę posłuchać, jeśli nie chce pani kłopotów, to radzę pani jak najprędzej powiedzieć prawdę.

– Kiedy właśnie kiedy powiem, to będę miała kłopoty!

Myśl, że sprzątaczką była zamieszana w zabójstwo i się do tego przyznaje, komisarz od razu odrzucił.

– Nie ze strony policji. A nie mam żadnego powodu, żeby pani szefowi czy szefowej ujawniać, co mi pani powie.

– Ale ja właśnie chyba pomogła tej morderczyni.

Zaskoczenie komisarza nie trwało dłużej niż sekundę. Przynajmniej nie w kwestii płci mordercy.

– Z pewnością nie zrobiła pani tego świadomie. Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło.

– No, bo ona dała mi pieniądze, żeby dała jej karteczkę, żeby przysłała i żeby powiesiła tabliczkę.

– Po kolei, kto dał pani te pieniądze?

– Morderczyni.

– Ale jak wyglądała?

Sprzątaczką wzruszyła ramionami.

– Normalnie. Czarna, wysoka, elegancko ubrana.

– Czarna? Murzynka?

– Nie, czarne włosy. Bardzo czarne. Farbowane. Miała też czarne okulary.

– W co była ubrana?

– W garsonkę, ciemnobieżową.

– Ile pieniędzy pani dała?

– Sto złotych.

– Jeden banknot czy więcej?

– Jeden.

– Ma go pani jeszcze?

– Mam.

– Proszę mi go dać.

Przez „dać” komisarz rozumiał, że ma mu wskazać, gdzie banknot trzymała, i umożliwić do niego dostęp, po czym ręką ubraną w lateksową rękawiczkę wziął go i zapakował do foliowej torebki. Towarzyszyło temu tak zrozpaczone spojrzenie sprzątaczkii, że Przygodny zapewnił:

– Biorę tylko w depozyt, dostanie go pani z powrotem. Trochę to potrwa, ale z pewnością te pieniądze pani nie przepadną. Teraz proszę mi powiedzieć, za co je pani dostała.

– Miała dać karteczkę tej kobiecie.

– Tej zabitej?

– Tak. I przyprowadzić ją do toalety.

– Miała pani dać tej kobiecie karteczkę i powiedzieć, żeby poszła za panią do toalety?

Sprzątaczkia pokręciła zniecierpliwiona głową.

– Nie, miała dać karteczkę, a potem przyprowadzić do toalety.

– Czyli tam było napisane, żeby przysłała do toalety?

– Nie wiem. Nie czytała.

– Jak ta czarna wskazała pani, komu ma pani dać karteczkę?

– Normalnie, pokazała mi ją.

– Gdzie? To znaczy, gdzie panią zagadnęła, gdzie znajdowała się wówczas zabita i gdzie wręczyła jej pani wiadomość?

Trzy pytania w jednym zaowocowały tak bezładnymi wyjaśnieniami, że komisarz musiał powtórzyć każde z osobna. Dopiero wtedy stało się dla niego jasne, że ofiara szła w kierunku schodów, kiedy wskazała ją nieznajoma, ale że obie ze sprzątaczką stały pod kioskiem, ta zdołała dogonić ją dopiero na piętrze.

– Jak zabita była ubrana?

– Sweter miała. Taki zielony z białym wzorem. I dżinsy.

– I co potem?

– Nic. Przyszła do toalety, zamknęła ją i poszła. Ta miała szybko załatwić i zdjąć tabliczkę, ale nie zdjęła. Dlatego się denerwowała. Chciała pójść, ale jak ta kobieta pyta, czy otwarte, to pomyślała sobie, że tyle czasu miało być już załatwione, więc ją wpuściła.

– W porządku. Pani zeznanie będzie musiało zostać oficjalnie zaprotokołowane, pomoże nam też pani sporządzić portrety pamięciowe obu kobiet. Tych portretów potrzebujemy natychmiast, więc proszę stąd nie odchodzić, pojedzie pani ze mną do komendy, kiedy skończymy.

– Ale ja nie mogę, pracuje.

– Pracodawca musi panią zwolnić na żądanie policji.

– Ale...

– Jeśli pani nie pojedzie, nie dostanie pani z powrotem pieniędzy, bo depozyt też trzeba zaprotokołować.

Przygodny od zawsze wychodził z założenia, że lepsza od przymusu jest ekonomiczna zachęta. Zostawił sprzątaczkę i wrócił do toalety.

– Mam do pana prośbę – zwrócił się do Małeckiego, który w sobie tylko wiadomym celu dłubał w oku zabitej, czy, żeby być precyzyjnym, w miejscu, w którym zabita miała kiedyś oko. – Chciałbym, żeby pan po ustaleniu obrażeń ocenił, czy kobieta mogła mieć tyle siły, by je zadać.

Nie czekał na odpowiedź, więc w drzwiach dobiegła go tylko jakaś uwaga o King Kongu. Rozejrzał się za sprzątaczką, bo uświadomił sobie, że nie zadał jej jednego ważnego pytania, ale ta, wbrew jego poleceniu i finansowej zachęcie, jednak sobie poszła. Najwyraźniej bardziej bała się niezadowolenia kierownictwa lotniska niż utraty pieniędzy. Komisarz

zlecił jej szukanie Wójcikowi i Wojtkiewiczowi, którzy mieli zabezpieczać teren, ale zjawili się równo z ekipą dochodzeniową. Kiedy na pytanie, dlaczego są tak późno, Wójcik zaczął tłumaczyć, że Wojtkiewicz leciał gdzieś samolotem, ale dawno temu, co ten potwierdził swoim sakramentalnym „właśnie”, Przygodny uznał, że woli pozostać w nieświadomości, niż wysłuchać wyjaśnienia, które zresztą niekoniecznie musiało okazać się wyjaśnieniem.

Posterunkowi mieli przyprowadzić kobietę do biura dyrekcji, dokąd komisarz się udał, gdyż jej przedstawiciel, który kręcił się w pobliżu, wzburzony faktem, że ktoś śmiał dokonać zamachu na PR lotniska, kiedy jest tyle stosowniejszych miejsc, by zatłuc człowieka, również zniknął. Może dlatego, że skutków zamachu na razie nie musiał niwelować, Przygodny nigdzie nie dostrzegł Kuriaty ani tym bardziej innych dziennikarzy, najwyraźniej informator zawiódł. Komisarz chciał, by to dyrekcja wydała sprzątaczkę polecenie pojechania do komendy: z jednej strony by to ją uspokoiło, z drugiej strony trudniej, nie tylko z formalnego, lecz także z psychologicznego punktu widzenia, karać pracownika za to, że zrobił coś, co mu przełożony nakazał. Kiedy czekał na przyprowadzenie sprzątaczkę, zadzwonił do Gajdy.

– Gdzie jesteś?

– W punkcie zgłaszania zaginionego bagażu. Nie uwierzy pan, ile bagażu te linie lotnicze gubią, mają tu nawet taki kapownik z wyrysowanymi różnymi torbami, na którym klient pokazuje im, jak wyglądała jego.

– Robert...

– Chociaż „gubią” to jest złe określenie, bo ten bagaż nie ginie, tylko lata sobie po świecie. Tu koło mnie stoi pasażer z Niemiec, który właśnie dowiedział się, że jego walizka poleciała do Lizbony, biedak nie ma

nawet ze sobą szczoteczki do zębów, nie mówiąc o majtkach na zmianę, a...

– Robert!

– No co, przecież mówię, że tutaj nie odbierają zgubionego bagażu, tylko szukają go po świecie. Jakby ktoś zostawił na lotnisku torbę bez opieki, to zajęłaby się nią ochrona, takie są procedury antyterrorystyczne, ale żadnego alarmu nie było.

– A jest szansa, że jeszcze będzie?

– Z tego, co pytałem, to przez ten czas już by się na bezpieczną torbę natknęli.

– Czyli bagaż z ubraniami musiała zabrać morderczyni. Chyba że zamordowana przyszła na lotnisko kogoś odebrać i w ogóle nie miała bagażu. Zapomniałem o to zapytać sprzątaczkę. Starzeję się.

W rzeczywistości szkolne błędy, jeśli chodzi o technikę przesłuchania, wynikały dokładnie z czegoś przeciwnego: komisarz przeżywał drugą młodość i zamiast być stuprocentowo skoncentrowany na okolicznościach zabójstwa, bujał w obłokach, przy czym obłoki miały kształt młodych jędrnych piersi. Ale oczywiście nie przyznałby się do tego nawet sam przed sobą, a co dopiero przed podwładnym, który dopytał o nowe dla niego fakty.

– Morderczyni? Sprzątaczkę?

– Sprzątaczką zeznała, że jakaś kobieta wykorzystała ją, by zwabić ofiarę do toalety.

– Kobieta urządziłaby taką jatkę?

– Też mam wątpliwości, poprosiłem Małeckiego, by ocenił, czy miałyby na to dość siły.

– Co powiedział?

– Coś o King Kongu. Muszę kończyć, znaleźli mi sprzątaczkę.

Posterunkowi rzeczywiście pojawili się w drzwiach biura, swoimi potężnymi sylwetkami niemal całkowicie przesłaniając prowadzoną. Komisarza korciło, żeby jak najszybciej ją dopytać, ale wpierw załatwił z dyrekcją zwolnienie i dopiero kiedy z powrotem znaleźli się na zewnątrz, zaczął indagować o bagaż ofiary.

– Miała jakiś ze sobą?

– Tak, torbę na kółkach. Też zieloną.

– Czy to była torba wielkości bagażu podręcznego, czy raczej taki, który trzeba nadać?

– Do nadania.

– A miała etykietę, że była nadawana?

– Nie patrzyła.

– Ale przyleciała?

– Ta kobieta?

– Tak.

Sprzątaczką dosyć długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Nie wiem. Była bliżej hali przylotów, ale ludzie tędy też wchodzi, kiedy idą tam.

Wyciągnięta ręka wskazywała właściwie tylko kierunek, ale Przygodny domyślił się, że „tam” oznacza stanowiska odpraw.

– Wzięła tę torbę ze sobą do toalety?

– Tak.

Komisarz zadzwonił ponownie do Gajdy, żeby wezwać go do siebie, po czym zawrócił do biura dyrekcji i poprosił o listy pasażerów

wszystkich lotów w przedziale dwóch godzin przed znalezieniem zwłok i dwóch po. Po namyśle rozszerzył go do trzech. Zapytał też, czy monitoring lotniska obejmuje obszar przed toaletami, ale nie uznano go za newralgiczny dla bezpieczeństwa, więc nie obejmował. Poprosił o przekazanie pozostałych nagrań, już współczując funkcjonariuszowi, który musiałby obejrzeć je wszystkie, gdyby punktowe sprawdzenie nic nie dało.

Więcej obiecywał sobie po portretach pamięciowych, toteż zaraz po przyjeździe do komendy przekazał sprzątaczkę rysownikowi. Kiedy szedł do techników, żeby dać im stuzłotówkę do badania, natknął się na patrol, prowadzący starszego pana w kapeluszu. Zdumiony przystanął, rozpoznając w zatrzymanym profesora Sobieskiego.

– Co on zrobił?

– Przyłożył swojemu rozmówcy dzbankiem.

Pisarz uznał to najwyraźniej za półprawdę, bo rzucił gromko:

– Napadł na mnie!

– Świadkowie nie potwierdzili.

– Dajcie tego Rambo do mnie, ja się nim zajmę.

Przygodny zdecydował tak, mimo że nie powinien brać innych spraw, kiedy zajmował się dwoma zabójstwami. Nie chciał jednak, by Sobieski, który już dwukrotnie mu się naraził, został zbyt łagodnie potraktowany przez policjantów, nieznających jego wcześniejszych wybryków. Zresztą chwilowo powstała luka, musiał czekać na portrety, a także na listy pasażerów, które wraz z filmami miał przywieźć Gajda.

Wyrobiwszy sobie ogład sytuacji na podstawie tego, co przekazali mu funkcjonariusze, przystąpił do przesłuchiwania profesora. Po wpisaniu jego danych do komputerowego formularza wydrukował i dał mu pouczenie o obowiązkach i uprawnieniach podejrzanego. Sobieski

zachował się jak znakomita większość podejrzanych, czyli podpisał pouczenie bez czytania. Komisarz lekko westchnął, spodziewał się, że człowiek z akademickim tytułem będzie zainteresowany swoimi prawami. Chociaż dwie strony A4, wypełnione drobnym drukiem, rzeczywiście nie zachęcały do lektury.

– Może pan odmówić składania wyjaśnień albo...

– Dlaczego miałbym odmawiać? – przerwał mu Sobieski, ale już bez podnoszenia głosu. – Tłumaczę przecież, że się broniłem. Ten człowiek groził mi, że posadzi mnie siłą, a potem się poderwał. Trzy razy młodszy ode mnie i o takiej posturze, że tylko Michalczewski by się nie przestraszył. Każdy by tak zareagował.

– Śmiem wątpić. Nie każdy ma takie skłonności do rękoczynów jak pan.

– Ja? Do rękoczynów? Jestem, proszę pana, szanowanym profesorem i pisarzem. Intelktualistą, a nie jakimś skłonnym do bitki żulem spod budki z piwem.

– Tyle że ilekroć pana spotykam, bije pan człowieka.

– Raz uderzyłem szubrawca w pana obecności, należało mu się, zniszczył moją pracę, bo nie chciało mu się wykonać swojej, w poczytnej gazecie pastwił się nad moją powieścią, chociaż jej nie przeczytał. Za drugim razem pan nie był obecny, teraz zresztą też nie, i wtedy nie uderzyłem, lecz obezwładniłem. Odpierałem atak.

– Pan ciągle odpiera ataki, tyle że one następują jedynie w pańskiej wyobraźni – wskazał Przygodny. – Albo jest pan bardzo strachliwy, w co przy pańskich umiejętnościach, bardziej odpowiednich dla Rambo niż intelektualisty, trudno mi uwierzyć.

– Niech pan przestanie z tym Rambo, powtarzany dowcip nie jest śmieszny.

Przygodny, podobnie jak twórcy seriali, którzy w każdym odcinku pokazywali różne warianty tej samej zabawnej sceny, czyli tak zwany running gag, był innego zdania, ale przeprosił, uznając swój komentarz za nieprofesjonalny.

– Miarka się przebrała, panie profesorze. Dwa razy przymknąłem oko i to był mój błąd, bo gdybym przymknął pana, zaczęłyby się pan hamować. Te dokumenty pójdą do prokuratury. Obstaje pan przy swojej wersji? Bo żal i skrucha mogą zmniejszyć wymiar kary.

Korzyści wynikające z przyznania się nie przemówiły do Sobieskiego, który oznajmił, że to nie jest żadna jego wersja, lecz święta prawda. Dawało mu to duże szanse na zwycięstwo nad komisarzem, z czego na razie nie zdawał sobie sprawy. Policjanci i prokuratorzy byli w sporej części nastawieni na nieprzyjmowanie zgłoszeń o przestępstwie bądź umarzanie postępowań na jak najwcześniejszym etapie. Jeśli uznali, że sprawa jest drobna w porównaniu z innymi przez nich prowadzonymi, albo jeśli prawdopodobieństwo znalezienia sprawcy lub skazania było niewielkie, szukali pretekstu, by się jej pozbyć. Bo nie chcieli marnować na nią czasu albo psuć sobie statystyk. Przygodny jako specjalista od zabójstw dość długo pozostawał w nieświadomości, że tak jest, dopóki nie złożył zawiadomienia przeciwko świadkowi, który swoimi fałszywymi zeznaniami omal nie doprowadził do uniewinnienia mordercy. Teraz był już mądrzejszy i wiedział, że mało który prokurator potraktuje uderzenie dzbankiem jako poważne przestępstwo. Chyba że skończyłoby się ono ponadtygodniowym leczeniem, ale na to się nie zanosilo, policjanci z patrolu, cytując lekarza, mówili, że poszkodowany miał tylko guza. Twierdzenia podejrzanego otwierały zaś furtkę do niewszczynania śledztwa. Działał w obronie koniecznej, a ta przestępstwem nie jest. Przygodny nie zamierzał jednak rezygnować. Jeśli profesor nie przejmie się ostrzeżeniem i po raz kolejny spuści komuś manto, prokuratura będzie musiała wziąć pod uwagę, że ma do

czynienia z recydywistą. Nie z formalnego punktu widzenia, ale faktycznie tak. Przecież dokładnie z tego powodu komisarz nie chciał Sobieskiemu odpuścić.

– No cóż, jak pan chce.

Przygodny zaprotekował wersję profesora albo, jak ten twierdził, świętą prawdę i dał mu do podpisania. Potem go zwolnił, informując, że dostanie pismo z prokuratury, i doradzając, żeby wziął sobie dobrego adwokata. Miał nadzieję, że tą radą choć trochę przestraszy krewkiego staruszka.

– Skąd to macie?! – wstrząśnięty redaktor naczelny, zaciągając się papierosem, podniósł wzrok znad zdjęć, które Kuriata i fotograf „Kuriera” Juliusz Brodziak położyli mu na biurku.

– Z toalety na lotnisku.

– Weź, Kuriata, nie zgrywaj durnia – wycedził Misiak przez zęby. – Wiesz, o co pytam.

– Przygodny ma takich dwóch kretynów, których, nie wiadomo dlaczego, się nie pozbywa. Przyjechali zabezpieczać miejsce zbrodni, ale po drodze szukali pewnie swoich mózgów, więc trochę to trwało. Ja w tym czasie zdążyłem dostać cynk i dotarłem z Andrzejem i Julkiem na lotnisko. Andrzej odwrócił uwagę strażaka, który znalazł zwłoki, a my weszliśmy do środka i Julek pstryknął fotki.

– Nie możemy ich opublikować.

– Dlaczego nie?! – pytanie zadał Brodziak, szef i najstarszy pracownik działu fotograficznego „Kuriera”. Lubił powtarzać, że zaczynał w czasach dagerotypii, i rzeczywiście od dawna powinien być na emeryturze, ale na żadną się nie wybierał. A decyzje rządu o skracaniu wieku emerytalnego dla Polaków, bo ci uznawali, że są

wyjęci spod praw ekonomii albo w ogóle nie mieli o nich pojęcia, kwitował stwierdzeniem, że najlepszy system stworzył Bismarck: świadczenie dostawało się po skończeniu siedemdziesięciu lat przy średniej długości życia trzydzieści pięć.

– Bo są zbyt drastyczne.

– Drastyczne to one były w czasach przed internetem.

– Internet? Nie słyszałem, co to?

– Nie możesz ignorować rzeczywistości wokół i redagować gazety, jakby były lata osiemdziesiąte. Wtedy sam bym powiedział, że te zdjęcia nie nadają się do publikacji, w ogóle bym ich nie pstryknął, odwróciłbym się w tej toalecie na pięcie i wyszedł. Ale teraz próg wrażliwości znacznie się obniżył. Tego rodzaju drastyczne fotografie ludzie już widzieli w internecie.

– Co nie znaczy, że poważna gazeta ma nimi epatować.

Kuriata wydał z siebie coś na kształt kwiku, kwestionując powagę „Kuriera”, a że spotkało się to z rozzłoszczonym spojrzeniem naczelnego, zareplikował:

– I co wlepiasz we mnie ślepią jak bazyliżkę? Nie ja zamieszczałem relację z konkursu mokrego podkoszulka.

– Nie uważam, żeby luźniejszy temat w czymkolwiek nam uchybiał.

– Luźniejszy temat nie, półpornografia tak.

– To nie była półpornografia, tylko lekka erotyka.

– Jak zwał, tak zwał, faktem jest, że babskich cycków w „Washington Post” ani w „Financial Times” nie uświadczysz.

– Zdjęć trupów też nie.

– Teraz to się zaplątałeś i obaliłeś własny argument – zauważył Kuriata. – „Washington Post” i „Financial Times” to poważne gazety, nie zamieszczają fotek gołych bab i zmasakrowanych zwłok. „Kurier” nie jest z tej samej półki, skoro stara się przyciągnąć czytelników zdjęciami miss mokrego podkoszulka. Ergo: nic nie stoi na przeszkodzie, żeby fotografie z lotniska opublikować.

– Poza tym – Brodziak przeczuwał, że ta logika nie przekona naczelnego – publikacja będzie w interesie społecznym. Identyfikacja zmasakrowanych zwłok nastreczy policji sporo trudności, tymczasem z pewnością któryś z czytelników rozpozna ten tatuaż.

Fotograf wskazał na dwa splecione ze sobą węże pod zagięciem lewego łokcia.

– I policja nam jeszcze podziękuje, że pomogliśmy w śledztwie – dopowiedział sarkastycznie Misiak.

– Oficjalnie nikt się nie przyzna, ale będą nam wdzięczni.

– Oficjalnie nikt się nie przyzna, ale będą wkurwieni na maksa. Naprawdę masz mnie za idiotę, Julek? Policja sobie doskonale poradzi bez nas, mają swoje metody. Poza tym do ustalania tożsamości wystarczyłoby zdjęcie samego tatuażu, a niech zgadnę: taka moja decyzja wcale by was nie uszczęśliwiła.

Spojrzenia, które wymienili Brodziak i Kuriata, przyznawały, że naczelny trafił w dziesiątkę.

– Pomyśl, jak odsadzimy konkurencję – spróbował z innej beczki Kuriata. – Jakie zwroty będą miały tego dnia „Wrocławska” i „Dolnośląska”.

– Tak. A następnego obsmarują nas, że jesteśmy dziennikarskie hieny. Zwłaszcza w „Dolnośląskiej”, która i bez tego uważa się za moralny autorytet. Jak zresztą cała „Wyborcza”.

– To im się odetniemy, potrafię bez problemu napisać polemikę broniącą tych zdjęć. Taką, że im w pięty pójdzie.

– Nie wątpię, że potrafisz. Ale nie będziesz miał okazji, bo nie zgadzam się na ich publikację. Koniec kropka.

– Zaproponuję te zdjęcia innej gazecie – zagroził Brodziak, któremu żal było chować do szuflady taki materiał. Normalnie rzadko któremu fotoreporterowi udawało się sfotografować zwłoki na miejscu zbrodni i ilustracją był na przykład budynek. Jak w przypadku zabójstwa na Gersona.

Ale Misiak przejrzał blef.

– Taki lojalny gość jak ty? Pracujesz w tej redakcji dłużej ode mnie i Waldzia.

Wydawało się, że tę potyczkę przegrali, ale kiedy wyszli od naczelnego, Kuriata oznajmił:

– Właśnie, Waldzio!

– Co z nim? – zapytał Brodziak.

– Trzeba uderzyć do Waldzia. Jeśli ktoś jest w stanie przekonać Misiaka, to on. Tylko formalnie jest podwładnym, w rzeczywistości kumplem, z którym razem rwali panienki w liceum.

– Myślisz, że Waldzio kiedykolwiek rwał panienki? – Niechlujny redaktor prowadzący wydał się Brodziakowi w roli amanta niewiarygodny.

– Czy to teraz ważne? Grunt, że znają się jak łyse konie.

– I świetnie im się współpracuje, co może oznaczać, że Waldzio też nie będzie chciał opublikować tych zdjęć.

– Może oznaczać, ale nie musi, Waldzio chadza własnymi ścieżkami, miewa inne zdanie niż Misiak. Nie dowiemy się, dopóki nie zapytamy.

Nie wiesz, dlaczego go nie było?

Kuriata miał na myśli obecność podczas ich rozmowy z naczelnym. Obecność, która powinna wynikać z samego faktu, że Waldzio dzielił z nim mały pokój, w żadnym razie nie zasługujący na szumne miano gabinetu, i nader rzadko go opuszczał. Niechęć Waldzia do wychodzenia na zewnątrz była zresztą wręcz legendarna, a nic go do tego nie zmuszało: jako redaktor prowadzący decydował o kształcie gazety, do jego zadań należały selekcja artykułów i ich poprawianie, a nie zbieranie materiałów.

– Dobrze, że nie było, bo jakby jeszcze on kopcił, to nie doprałbym ciuchów. I tak śmierdzą jak fabryka tytoniu.

– Ciesz się, że palą tylko u siebie, a nie w całej redakcji.

Mówiąc te słowa, Kuriata wybrał na smartfonie numer do Waldzia i przeczekał wszystkie sygnały, chcąc dać mu czas na przykład na zatrzymanie samochodu. Potem zrobił niezadowoloną minę.

– Poczta głosowa.

– Musiał mieć jakąś super ważną sprawę, skoro opuścił swoją jaskinię i do tego nie odbiera telefonów – zauważył Brodziak. – Może poszedł do lekarza?

– Wątpię, żeby dla Waldzia jego zdrowie było super ważną sprawą.

– Też fakt.

– Trzeba zaczekać, aż wróci do redakcji. Jeśli nie umarł, nastąpi to w miarę prędko.

Po wyjściu profesora Przygodny zaczął się zastanawiać, czy nie kwalifikowałby się on na podejrzanego przy strzelaninie na Gersona. Ostatecznie Brzecki był kierownikiem hurtowni książek, a pisarz

wydawał się mieć pretensje do wszystkich, którzy nie dość sprawnie sprzedawali jego powieści. Po krótkim namyśle odrzucił jednak tę hipotezę. Nie pasował modus operandi. Gdyby Brzeckiemu rozkwaszono nos, mógłby stać za tym Sobieski, bo chętnie jako broni używał pięści czy nawet własnej głowy, ale w roli strzelającego Przygodny nie potrafił go sobie wyobrazić. Zwłaszcza że strzały zostały skierowane głównie przeciwko pani Brzeckiej, a ona nic Sobieskiemu zawinić nie mogła. No i jednak pobicie pod wpływem impulsu od zaplanowanego zabójstwa dzieliły może nie lata świetlne, ale jednak daleka droga. I nic nie wskazywało, by ten pisarz ją przebył.

Stwierdziwszy, że Sobieski sprawy mu nie zamknie, komisarz pogrążył się w myślach o Justynie. Tym razem mało przyjemnych. Rozwahał, jak powiedzieć o niej Gabi. Najpierw uznał, że najlepsze byłoby wspólne wyjście z ekszoną i Asią do restauracji. W publicznym miejscu Gabi raczej trudno będzie zrobić awanturę, należała do osób, które dość mocno przejmowały się tym „co ludzie powiedzą”. Przypuszczał, że między innymi dlatego tak ciężko zniosła rozwód. Łatka porzuconej doskwierała jej równie dotkliwie jak samo porzucenie, jeśli nawet nie dotkliwiej. Bo przecież i dla niej ich małżeństwo było już tylko fasadą, z tą różnicą, że ona chciała tę fasadę utrzymywać.

Pójście do restauracji wiązało się jednak z pułapkami. Przede wszystkim Gabi mogła odczytać zaproszenie jako wyrażenie przez niego chęci powrotu. Właściwie należało uznać za pewne, że tak je odczyta, bo czemu innemu miałyby służyć ta uroczysta oprawa. W restauracji nie byli wspólnie już od lat. A przykra wiadomość, kiedy człowiek spodziewa się miłej, uderza go dużo mocniej. Przyjście na spotkanie z Justyną zmieniało tylko tyle, że nadzieje Gabi zostałyby zdruzgotane na samym początku, a nie dopiero w jego trakcie. Za to dużo okrutniej. Asia miała rację: im młodsza i ładniejsza rywalka, tym trudniej, będąc kobietą, znosiło się porażkę. Nie, musiał powiedzieć Gabi o swoim

nowym związku przy okazji jakiegoś nieplanowanego spotkania. Niemal mimochodem, a zaraz potem odejść czy, nazywając rzecz po imieniu, uciec przed ewentualną sceną.

Ale czy rzeczywiście musiał? – chwycił się nowej myśli. Czy była żona to rodzina, której trzeba o wszystkim mówić? Zresztą nawet rodzinie nie trzeba, każdy ma prawo do tajemnic, to tylko zaborcze matki uważają, że dzieci, choćby dorosłe, powinny na bieżąco spowiadać się im ze swojego życia. Powiedział Asi, powiedziała by Michałowi, gdyby ten nie siedział w Londynie i gdyby choć odrobinę interesował się tym, co poczynają jego rodzice. Rozwód przyjął z taką obojętnością, jakby poinformowali go, że zmienili tapetę w salonie. Czy nie wystarczy, że o Justynie wiedzą jego dzieci ewentualnie wiedziałyby, gdyby je to obchodziło? Przecież nawet nie miał pewności, że związek z Justyną dłużej potrwa. Po co dołować Gabi czymś, co za rok może już być zapomnianą przeszłością? Młodym dziewczynom fascynacje starszym mężczyzną dość szybko przechodzą i musiał brać to pod uwagę, nawet jeśli jemu marzyłyby się ślub.

Przed uświadomieniem sobie, że tchórzy i szuka wymówek, by nie stawić czoła trudnej sytuacji, uchronił go telefon. Dzwoniła pielęgniarka ze szpitala na Fieldorfa, że Bogusław Brzecki się wybudził i lekarz zezwala na krótką rozmowę. Tyle że musiałyby się odbyć od razu, gdyż mają zamiar podać mu środki nasenne, by dobrze sobie pospał do następnego dnia i się zregenerował. Chyba że policja do tego następnego dnia zaczeka. Jutro byłaby też możliwa dłuższa rozmowa, skoro pacjent przewyciężył kryzys, powinien teraz szybko wracać do zdrowia. Przygodny jednak nie chciał i nie mógł czekać, powiedział, że przyjedzie.

Ponieważ służbowego opla zabrał Gajda, komisarz poprosił o radiowóz z kierowcą. Wzięli też technika, skoro Brzecki miał siłę, by odpowiedzieć na pytania, to z pewnością mógł podać rękę do pobrania

odcisków palców. Kierowca z technikiem okazali się gadatliwi, a że zajmowały ich przede wszystkim sukcesy polskich piłkarzy, nazwisko Lewandowskiego odmieniali przez wszystkie przypadki. Przygodny, który kibicem stawał się tylko przy okazji ważniejszych zawodów, bo w piłkę wolał grać, niż ją oglądać, z ulgą wysiadł z radiowozu, obiecując sobie, że w drodze powrotnej każe im milczeć. I nawet nie musiał szukać pretekstu, z pewnością będzie analizował zeznanie Brzeckiego.

– Co z moją żoną? – brzmiały pierwsze słowa postrzelonego, kiedy komisarz się przedstawił. Ten zaklął w duchu, wyrzucając sobie przeoczenie. Umknęło mu, że Brzecki nie wie, jak skończyła się napaść na nich, więc nie zapytał pielęgniarki, czy może przekazać wstrząsającą wiadomość. Z dwojga złego uznał, że lepiej powiedzieć prawdę. Bo ludzie często są silniejsi, niż się zakłada, za to bardzo nie lubią być okłamywani.

– Niestety, nie żyje. Dostała aż pięć kul, nie miała żadnych szans.

– O, Jezu! – Łysa głowa Brzeckiego opadła z powrotem na poduszkę, a zaniepokojony Przygodny starał się dociec, czy jego bladość się pogłębiła. – I co ja teraz zrobię?

To pytanie, zadawane zazwyczaj przez kobiety, uspokoiło komisarza. Jeśli tracąc małżonka, traciło się bardziej oparcie i pomoc niż kochanego człowieka, zawał czy wylew wskutek szoku raczej nie groził.

– Mam kilka pytań, ale najpierw musimy od pana pobrać odciski palców.

– Po co?

– Żeby wiedzieć, które ze znalezionych w mieszkaniu z pewnością nie należą do mordercy.

Brzecki bez dalszych zastrzeżeń pozwolił technikowi robić swoje. Kiedy ten opuścił pokój, Przygodny przysunął sobie krzesło, które stało

przy drugim łóżku. Na szczęście pustym, więc nie musiał się dopominać o możliwość przesłuchania rannego bez świadków.

– Czy pamięta pan, co się wydarzyło w waszym mieszkaniu?

– Jak mógłbym coś takiego zapomnieć? Nie codziennie do mnie strzelają.

– Rozpoznał pan napastnika?

– Nie, skąd. Dlaczego ktoś ze znajomych miałby do nas strzelać, przecież nikomu nie wadziliśmy?

Ta logika wcale nie wyjaśniała, dlaczego zamachu miałby dokonać obcy.

– Proszę opowiedzieć po kolei. Przede wszystkim, która była godzina.

– Ósma, właśnie się zaczynało „Minęła 20”, a ja to zawsze oglądam.

– Doskonale, co było dalej?

– Zadzwoił domofonem kurier... to znaczy ten... co strzelał... Powiedział, że ma paczkę ze Stanów. Od naszej córki... Jezu, muszę zadzwonić do Kasi.

– Już z nią rozmawialiśmy, o wszystkim wie. Ósma to trochę późno jak na kuriera, nie zdziwiło to państwa?

– Zdziwiło, ale wyjaśnił, że miał dużo więcej przesyłek do rozwiezienia niż zwykle, wpuściłem go, bo to przecież nie jest podejrzane, że się komuś praca przeciągnęła.

– Powiedział, że paczka jest od państwa córki?

– Nie, że z USA. Ale poza Kasią nikogo tam nie mamy, więc było to dla mnie oczywiste.

– Ale nie miał ze sobą żadnej paczki?

Brzecki spojrział na komisarza, a w jego oczach rysowały się wyraźne wątpliwości, czy ktoś tak wolno kojarzący będzie w stanie dopaść przestępcę.

– Przecież to nie był kurier, tylko... ten, co strzelał.

– Córka przysyłała państwu wcześniej paczki czy taką paczkę dostalibyście po raz pierwszy?

– Czasami przysyłała.

Morderca najwyraźniej o tym wiedział, niezapowiedziana paczka o nietypowej porze mogłaby wzbudzić wątpliwości. Chociaż czy o ósmej wieczór trzeba mieć naprawdę dobry pretekst, żeby dostać się do cudzego domu? Nie jest to środek nocy, nawet nie dwudziesta druga, by ludzie mieli jakieś obawy przed otwarciem drzwi.

– Do kogo najpierw napastnik strzelił?

– Do mnie, ja go wpuściłem.

– Coś powiedział czy od razu zaczął strzelać?

– Do mnie strzelił od razu. Do żony powiedział najpierw „pozdrowienia dla Kaśki”, dopiero potem usłyszałem strzały. Właściwie puknięcia, bo miał tłumik. Dwa.

– Pozdrowienia dla Kaśki? Jest pan pewien? Nie pozdrowienia o d Kaśki?

Brzecki, chcąc być rzetelnym świadkiem, przez dłuższą chwilę rozważał, czy dobrze zapamiętał, i wtedy do niego dotarło, co kryło się za tą pozornie drobną korektą.

– Sugeruje pan, że Kasia zleciła zabójstwo swojej matki? Jak pan śmie?!

Nie najchudsza twarz Brzeckiego podbiegła czerwienią. Podejrzenie, że córka mogła stać za morderstwem własnej matki, wzbudziło w nim

znacznie większe emocje niż samo morderstwo i komisarz nie na żarty przestraszył się, że skończy się apopleksją.

– Nic nie sugeruję, po prostu się upewniam. Przyzna pan, że pozdrowienia dla brzmiały w tej sytuacji dziwnie.

Brzmiały dziwnie, co nie zmieniało faktu, że poprawka Przygodnego była dokładnie taką sugestią, jaką odczytał Brzecki. I dlatego nie dał się zbyć tym tłumaczeniem.

– One miały ze sobą świetny kontakt, doskonale się rozumiały. Czasami nawet bywałem zazdrosny, bo czułem się trochę odsunięty na bok. Jakby obie nieco mnie lekcewały. W przypadku żony...

Zamilkł, jakby zreflektował się, że przyzna się do czegoś, co chwały mu nie przynosiło. Komisarz nie dopytywał, bez trudu dopowiedział sobie, że w przypadku żony Brzecki uznawał to za normalne, w przypadku córki bolało.

– Jak wyglądał napastnik? Czy to był mężczyzna?

Wszystkie określenia, które dotąd padły, na to wskazywały, ale Przygodny chciał wykluczyć jakiegokolwiek wątpliwości w tej kwestii, wystarczyły mu niejasności co do płci zabójcy na lotnisku.

– Mężczyzna, dość wysoki, tak z metr osiemdziesiąt pięć, ciemnowłosy, między trzydzieści a czterdzieści lat.

Ten rysopis definitywnie wykluczał Sobieskiego jako ewentualnego podejrzanego.

– Chudy, gruby?

– Ani, ani. Krzepki.

– Rozpoznałby go pan, gdyby go pan ponownie spotkał?

– Myślę, że tak.

– Na zdjęciu też? Pokazałbym panu parę naszych kartotek, mało kto rozpoczyna swoją przestępczą karierę od strzelania do ludzi, więc jest szansa, że mamy go już w bazie.

– Myślę, że na zdjęciu też.

– Jak on był ubrany?

– W kombinezon. Taki szary. I miał rękawiczki, na co zwróciłem uwagę, bo pomyślałem, że to dziwne, że w kwietniu jest w rękawiczkach.

– Ten kombinezon to był uniform kurierski?

Brzecki znowu zastanowił się przed odpowiedzią. Tacy świadkowie należeli do najlepszych. Nie uznawali z góry, że wszystko doskonale wiedzą i pamiętają, przyjmowali za możliwe, że ich pierwsze wrażenia nie musiały być prawdziwe.

– Raczej nie, ale wtedy go za taki wziąłem, bo byłem nastawiony, że spotkam kuriera.

Pytanie, czy napastnik pistolet trzymał w ręku, czy wyciągnął dopiero w drzwiach, zostało przerwane przez pielęgniarkę, która weszła do pokoju, stanowczo oświadczając, że pora, by pacjentowi podać środki nasenne.

Przygodny wrócił do radiowozu, ale jechać z powrotem jeszcze nie mogli, gdyż wciąż nie było technika. Miał wziąć z depozytu zakrwawione ubranie Brzeckiego, więc jego nieobecność zaniepokoiła komisarza. Skoro załatwiał to tyle czasu, musiały pojawić się jakieś kłopoty. I rzeczywiście.

– Nie mają tego ubrania! – Rozeźlony technik z całej siły zatrzaskał drzwi samochodu. – To znaczy mają. Właśnie dosycha po praniu.

– Jak to? – zdziwił się Przygodny. – Przecież jeśli wiedzą, że pacjent padł ofiarą przestępstwa, muszą ubranie trzymać nieruszone przez siedemdziesiąt dwie godziny.

– To samo im powiedziałem, więc się przejęli i sprawdzali, co schrzanili.

– I co schrzanili?

– Jedna pani drugiej pani źle przekazała czy źle zaznaczyła w formularzu, albo dobrze, ale druga pani źle zrozumiała albo źle przeczytała. Diabli wiedzą. Jak w takich przypadkach, winnych nie ma, tłumaczą się, że są przeciążeni pracą i omyłkowo uznali, że właściciel krwawił wskutek choroby, a nie rany postrzałowej. Dlatego ubranie poszło natychmiast do pralni jako stanowiące zagrożenie sanitarno-epidemiologiczne.

– No, trudno – westchnął komisarz. – W tej chwili strata nie wydaje się duża, miejmy nadzieję, że tego ubrania nie zabraknie nam w późniejszym śledztwie.

– Nie podoba mi się ten dziennikarz. – Zwalisty mężczyzna, opierający się o barierkę Kładki Muzealnej, która oddzielała Zatokę Gondoli od Odry, przeniósł wzrok z rzeki na stojącego obok Kownackiego. – Za dużo węszy.

– Ale nic nie wie.

– Wie, że nie przyjechałeś na konferencję.

Urolog wzruszył ramionami.

– Czyli nic, mogą być dziesiątki powodów, które sprowadziły mnie do Wrocławia.

– Jak węży, może natrafić na prawdziwy. A wtedy będziemy mieć prawdziwe kłopoty. Może by go obić, żeby przestał węszyć?

Pytający pięścią wielką jak lekkoatletyczna kula uderzył w otwartą dłoń.

– Nie, to dziennikarz, jeśli go pobijesz, dopiero się zrobi ciekawski. Najlepszym sposobem, żeby się go pozbyć, jest lekceważenie. Demonstrowanie mu, że się nim nie zajmuję i że jego przekonanie, jakoby za moim pobylem we Wrocławiu kryło się nie wiadomo co, jest śmieszne. Zdaje się, że dość skutecznie taki właśnie komunikat przekazałem mu w knajpie.

Zwolennika obicia to nie przekonało.

– Nie podobają mi się takie psychologiczne gierki. Pokierszowana buzia przemawia do człowieka. A jak nie, to ucisza się ją na zawsze.

Ta perspektywa wzburzyła Kownackiego.

– Żebyś się nawet nie ważył! Jeden trup to aż nadto.

– Jeden czy dwa, co za różnica? Więcej niż dożywocie i tak nie dostaniesz.

– Etyczna. Śmierć tej kobiety nie pójdzie na marne, natomiast nie mamy żadnego dobrego powodu, żeby jego też zabijać.

Osilek zaniósł się takim rechetem, że aż się zakrztusił. Odkasznął i splunął do wody.

– Hm, nie wiedziałem, że to się nie liczy, jak się człowieka ukatrupi z dobrego powodu. Ale może dlatego, że w szkole chodziłem na religię, a nie na etykę – skomentował z przekąsem.

Sięgnął po papierosy i poczęstował też lekarza, który najpierw zapalił, a dopiero potem spokojnie odpowiedział:

– Skoro argument etyczny cię nie przekonuje, spójrz na to praktycznie. Każdy zabity zwiększa ryzyko wypadki. I to w postępie geometrycznym.

– Argument etyczny, postęp geometryczny, czy ty myślisz, kurwa, że ja jestem twoim studentem? Ale jasne, masz rację, psy się wkurzą, jak będzie za dużo trupów, i się przyłożą.

– Świetnie. Skoro w tym punkcie jesteśmy zgodni, omówmy dalsze działania. Pojawiły się jakieś inne przeszkody?

Ledwie Przygodny po powrocie ze szpitala usiadł za swoim biurkiem, kiedy do pokoju wpadł jak burza Gajda.

– Ja myślę, szefie, że ta zamordowana wylatywała – oznajmił wprost, jakby mówił do komisarza od dłuższego czasu, co może zresztą w samochodzie robił.

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo jeśli przyleciała, to ktoś musiał na nią czekać: na lotnisku albo w domu. I ten ktoś zrobiłby raban, że jej nie ma. Na pewno dowiadywałyby się w liniach lotniczych, a te po sprawdzeniu, że pasażerka przyleciała, zgłosiłyby się do nas, że coś jest nie w porządku. Jeśli nie od razu, to po usłyszeniu, że na lotnisku znaleziono zwłoki. A wieść o tym musiała roznieść się błyskawicznie.

W tym ostatnim punkcie Przygodny przyznawał aspirantowi rację, ale zastanawiał się, w jakim stopniu rzeczywistości odpowiada twierdzenie, że na każdego przylatującego ktoś czeka. Na pewno jeśli przyjeżdża się w gości, ale niekoniecznie, kiedy wraca się do domu na przykład z podróży służbowej. Tym bardziej jeśli mieszka się samemu, a liczba jednoosobowych gospodarstw domowych była już znaczna. Trochę by trwało, zanim rodzina czy przyjaciele zgłosiliby zaginięcie.

Komisarz podzielił się tymi wątpliwościami z Gajdą, co wydatnie osłabiło jego entuzjazm i przekonanie o własnej przenikliwości. Żeby do przeglądania list pasażerów zasiadł odpowiednio zmotywowany, Przygodny przyznał jednak, że wskazane okoliczności bardziej przemawiają za odlotem niż przylotem.

– Bo nawet jeśli kobieta mieszka sama, to zwykle ma w swoim mieście psiapsiółkę, która wie o jej podróży i do której dzwoni po wylądowaniu samolotu. Dobra, zacznij od odlatujących, od pasażerek, które nie zgłosiły się do odprawy.

Gajda zabrał się do pracy, by szybko przekonać się, że sam nie da rady. Spodziewał się góra kilkunastu nazwisk, tymczasem tych kilkanaście kobiet, do których musiał dotrzeć i ustalić, czy żyją, zebrał już z pierwszych dziesięciu lotów.

– Overbooking – skojarzył Przygodny, z początku też zaskoczony tą liczbą.

– Co to znaczy? – Gajda miał tę dobrą cechę, że jeśli czegoś nie wiedział, nie udawał, powodowany fałszywą dumą, że wie, tylko pytał.

– Linie lotnicze sprzedają więcej biletów na lot niż jest miejsc w samolocie, bo wiedzą, że część pasażerów się nie zjawi. Słyszałem o tym, ale nie zdawałem sobie sprawy, że to taki duży procent. Chociaż gdyby był mniejszy, może pogodziłyby się ze stratami i nie ratowały w ten sposób. Bo kiedy zgłosi się zbyt dużo pasażerów, mają kłopot.

– Co wtedy robią?

– Chyba płacą ludziom, żeby zrezygnowali z lotu. Poczekaj, dam ci kogoś do pomocy.

Wójcik i Wojtkiewicz do takiego zadania się nie nadawali, więc komisarz zadzwonił do kadr, gdzie ku swojemu zdumieniu usłyszał, że wolnych ludzi nie ma i musi opierać się własnych współpracownikach.

Kiedy zaprotestował, że prowadzi dwa śledztwa dotyczące morderstw, dowiedział się, że z naddatkiem wykorzystał ekstra siły do przeszukiwania śmietników na Wojszycach, a funkcjonariusze mają też inne obowiązki.

– Wygląda na to, że sam muszę ci pomóc. Najwyraźniej zabójstwa przestały być priorytetem.

Na szczęście linie lotnicze wymagały przy rezerwacji podania numeru telefonu, co znacznie ułatwiło im pracę. Dzwonili, upewniali się, że odebrała kobieta wymieniona na liście pasażerów, przedstawiali się jako pracownicy przewoźnika, pytali o poziom zadowolenia z usługi, co po informacji, że z niej nie skorzystano, pozwalało od razu zakończyć rozmowę i odhaczyć delikwentkę. Bez wikłania się w wyjaśnienia, które niewątpliwie każda chciałaby dostać po usłyszeniu „Policja, sprawdzamy, czy pani żyje”. Sporo telefonów pozostawało bez odpowiedzi; rytualne lamenty przewijające się w mediach, że komórka to elektroniczna smycz, którą każdy zawsze ma przy sobie i natychmiast odbiera, bazowały na wyobrażeniach lamentujących i z rzeczywistością miały niewiele wspólnego. Ludzie pracowali (nawet w niedzielę, i to nie tylko w handlu, ale akurat ci z niewiadomych względów powinni być zdaniem polityków i związkowców uprzywilejowani i mieć zagwarantowane w tym dniu wolne), przebywali w miejscach, gdzie telefon się wyłączało, albo zwyczajnie byli zajęci czymś innym i odkładali rozmowę na później. Ponieważ jednak niekoniecznie oddzwaniiali, zwłaszcza pod nieznane numery, policjanci zaznaczali na liście, że z daną panią trzeba skontaktować się ponownie. Także wtedy, gdy odebrał mąż i utrzymywał, że żona jest w toalecie. Mogła być w tej toalecie na lotnisku.

Monotonną pracę – na śledztwo częściej składały się takie żmudne czynności niż samochodowe pościgi z odbezpieczoną bronią – przerwało wejście rysownika. Sprzątaczką musiała być bardzo kiepskim

świadczeniem, skoro sporządzenie dwóch portretów zajęło mu aż tyle czasu. I właśnie żeby ją odprowadzić, pofatygował się osobiście, zamiast przesłać swoje szkice intranetem. Wręczył wydruki komisarzowi, który ucieszył się, że chwilowo może porzucić zajęcie pracownika call center. Przyjrzał się najpierw ofierze: była to blondynka po trzydziestce, raczej brzydka, choć gdyby ktoś kazał Przygodnemu określić, na czym defekt urody polegał, nie potrafiłby tego określić. Miał wrażenie, że gdzieś już ją widział, ale wynikało to zapewne ze specyfiki portretów pamięciowych, człowiek dopasowywał je do podobnych osób ze swojego otoczenia. Jeśli obracał się w tych samych kręgach co poszukiwany, istniała szansa, że akurat jego wskaże. Prawdopodobieństwo, że ofiara pochodziła z kręgu znajomych komisarza, było jednak znikome. Za to drugi rysunek dał Przygodnemu punkt zaczepienia. Przedstawiał kobietę z czarnymi włosami o wzroście – jak wynikało z załączonego opisu – między metr osiemdziesiąt a metr dziewięćdziesiąt. Coś, czy to masywny nos, czy dość wyraźnie zarysowana szczęka, natchnęło komisarza pewną myślą. Wyjaśniającą, dlaczego ofiarę do lotniskowej toalety zwabiła kobieta, ale mordu dokonano z brutalnością typową dla płci brzydkiej.

– Czy to mógł być mężczyzna przebrany za kobietę? – zwrócił się do sprzątaczk.

Ta machinalnie zaprzeczyła, że przecież by się na takim przebraniu poznała, ale naciskana przez Przygodnego musiała przyznać, że dostrzegła w tej postaci męski pierwiastek.

Tę obserwację komisarz wpisał do protokołu przesłuchania, który sporządził, podczas gdy Gajda nadal powtarzał do telefonu: „Pani Iksińska? Czy jest pani zadowolona z przelotu naszymi liniami w dniu dzisiejszym?”. Tyle wystarczyło, by uzyskać odpowiedź „Ale ja przecież nie poleciałam”, więc aspirant nie silił się na podawanie nazwy linii czy dłuższe wstępy ani nie przejmował się faktem, że loty w odleglejsze

miejsca mogły jeszcze trwać. Ostatecznie tak wiele firm myliło dbanie o klienta z wchodzeniem mu na głowę, że mało kogo zdziwiłoby pytanie, jak smakował posiłek, chociaż gość nie zdążył jeszcze zjeść.

Po zwolnieniu sprzątaczkę – Wójcik z Wojtkiewiczem mieli odwiedzić ją z powrotem na lotnisko – Przygodny, widząc, że aspirant rozpoczął drugą rundę, czyli dzwonienie do tych kobiet, które wcześniej nie odebrały, sięgnął po filmy z monitoringu. Wsunął płytkę DVD do napędu, wyszukał obraz z kamery obejmującej obszar najbliższej toalety i zaczął przeglądać nagranie, rozpoczynając trzydzieści minut przed godziną, o której sprzątaczkę została poproszona przez nieznaną czy nieznanego o przysługę. Zaraz jednak przerwał, bo uświadomił sobie, że chociaż przysługa była płatna, to banknotu, na którym miał nadzieję znaleźć odciski palców zleceniodawcy, wciąż nie oddał do badania. Najpierw przeszkodził mu w tym Sobieski, a potem rzecz wypadła mu z głowy czy raczej została z niej wypchnięta przez Justynę. Jak na ironię, właśnie po to, by przyśpieszyć badanie, nie zostawił banknotu technikom na miejscu zbrodni, tylko chciał wręczyć w komendzie.

– Idę do techników – rzucił Gajdzie.

Nadłożył drogi, żeby wstąpić do kantyny, i z lekkimi wyrzutami sumienia, które brały się stąd, że Justyna została weganą, zakupił kanapkę z salami. Z podwójnymi wyrzutami, bo kanapkę zapakowano w folię, a Justyna poza weganizmem zaczęła też wyznawać filozofię zero śmieci. Na zakupy chodziła nie tylko z własną płócienną torbą, lecz także z pudełkami i butelkami (szklanymi oczywiście, nie plastikowymi), do których kazała sobie wsypywać i wlewać produkty. W łazience zastąpiła tubki słoiczkami, a ich zawartość nieraz była własnego wyrobu.

Przygodny zastanawiał się, czy nie uznaje tego za dziwactwo dlatego, że jest taki tolerancyjny, czy też dlatego, że jako facet

w średnim wieku gotów był zaakceptować każde dziwactwo w zamian za związek z młodą dziewczyną, a zdawał sobie sprawę, że mógł trafić znacznie gorzej. Na taką, która na przykład chciałaby uprawiać seks z innymi albo palić z nim trawkę. Na dodatek Justyna wcale nie wymagała od niego, by ją naśladował, jedynie by respektował jej poglądy. Może stąd brały się wyrzuty sumienia. Gdyby zażądała od niego, by przestał jeść mięso, potraktowałby to jako zamach na swoją wolność i stanął okoniem, a tak czuł presję niewypowiedzianej prośby. Choć może ta prośba istniała tylko w jego głowie.

W pokoju techników zastał samego szefa, Leśniewskiego.

– Już jesteście gotowi na lotnisku?

Zapytany oderwał wzrok od komputera. Był szczupłym i wysportowanym mężczyzną z bujną czupryną, przez co nie wyglądał na swoje czterdzieści lat. Czy raczej nie wyglądałby jedno pokolenie wcześniej. Bohater „Czterdziestolatka” i rówieśnicy Leśniewskiego byli w tym samym wieku tylko metrykalnie.

– Prawie. Chłopaki jeszcze tam pracują.

– Macie coś dla nas?

– Tak, raport z zabójstwa na Gersona.

Komisarz skrzywił się na tę odpowiedź á la Małeckci, zwłaszcza że gdyby w oficjalnym raporcie było coś więcej, niż wynikło ze wstępnych ustaleń, to Leśniewski by mu o tym powiedział.

– Chodzi mi o lotnisko.

– Właśnie sprawdzam w bazie odciski palców. Dlatego wróciłem wcześniej, żebyście szybciej dostali wyniki, ale swojego czasu to jednak wymaga. Ofiary w AFIS-ie nie ma, tą drogą jej nie zidentyfikujecie.

O bazę DNA Przygodny nawet nie zapytał. W porównaniu z AFIS-em była bardzo skąpa i prawdopodobieństwo, że trafił tam ktoś, kto nie znalazł się w AFIS-ie, równało się praktycznie zeru. W polskich realiach DNA służyło do udowodnienia przestępcy, że przebywał na miejscu zbrodni, a nie do jego tropienia.

– Dzięki. A propos odcisków mam prośbę, żebyście zbadali ten banknot. Pilnie, bo z pewnością zabójca miał go w ręce.

Domniemanie było w pełni uprawnione, scenariusz, że morderstwa dokonała inna osoba niż ta, która zwabiła ofiarę do toalety, wchodziłby w grę tylko w kiepskiej powieści kryminalnej.

– Panie komisarzu, czy kiedykolwiek zleciliście nam badanie, które nie byłoby pilne? Jak będziecie mieć coś niepilnego, wtedy pan to podkreśli, ja doznam szoku i z tej okazji postawię szampana.

Dziwiąc się, co Leśniewskiego ugryzło, a raczej, czy ugryzł go Małecki, komisarz powtórzył tylko prośbę, by badanie zrobić jak najszybciej, wziął raport z Gersona i wrócił do siebie. Gajda jeszcze dzwonił, ale skończył w czasie, kiedy Przygodny przygotowywał sobie kawę, żeby mieć czym popić kanapkę.

– Nie wiem, jak ludzie w call center wytrzymują to ciągle dzwonienie, ja bym najdalej po tygodniu zwariował, chociaż...

– Robert!

– No co, przecież mówię, że zostały mi cztery nazwiska.

W tym momencie odezwała się komórka aspiranta. Odebrał, a kiedy rozmówczyni się przedstawiła i zapytała, w jakiej sprawie ktoś do niej dzwonił z tego numeru, powiedział, że telefon był omyłkowy.

– Trzy. Mamy trzy kandydatki na ofiarę.

– Jeśli też oddzwonią, trzeba będzie powtórzyć zabawę z listami przylatujących.

Gajda westchnął.

– Już się tego boję.

– Zobaczmy, może wcześniej film naprowadzi nas na trop.

Niestety, chociaż łatwo wytypowali ofiarę zmierzającą za sprzątaczką do toalety, kobietę o jasnych włosach, w spodniach i swetrze, ciągnącą za sobą torbę na kółkach, to ani razu nie odwróciła się ona do kamery tak, by jej twarz znalazła się w całości czy choćby w znacznej części na nagraniu. Również ubranie ani bagaż nie mogły pomóc w identyfikacji, gdyż film z monitoringu był czarno-biały.

Kiedy zaczęli szukać na nagraniu potencjalnego zabójcy, komisarz uświadomił sobie, że powinni byli zatrzymać sprzątaczkę, by im w tym pomogła. Na szczęście sami wyłowili wysoką kobietę o ciemnych włosach, w garsonce, bez bagażu, która zniknęła z ekranu w okolicy toalety, a po jakimś czasie pojawiła się na nim ponownie, ciągnąc za sobą torbę. Szkopuł w tym, że nie miała skąd jej wziąć – taśmy bagażowe znajdowały się w hali przylotów, do której nie wchodziła. Do tego zdjęła żakiet i niosła go na rękę, a oprócz niego jeszcze inne rzeczy.

– Ubranie ofiary – powiedział Przygodny, zatrzymując film. – I chyba nie tylko. Masz może linijkę?

Nie byli w szkole, ale Gajda chomikował najrozmaitsze przedmioty według zasady „przyda się”. Odkąd ze swej szuflady wyciągnął szachy wraz z zegarem i zaproponował partyjkę narzekającemu na nudę komisarzowi (zdarzały się okresy, że zabójcy wykazywali się znikomą aktywnością) z taką miną, jakby każdy policjant trzymał tego rodzaju zestaw w swoim biurku, Przygodny, jeśli czegoś potrzebował, zwracał się najpierw do niego.

– Oczywiście, że mam.

Komisarz zmierzył długość spódnicy, przykładając linijkę do ekranu, a potem cofnął nagranie i powtórzył mierzenie.

– Po wyjściu z toalety ma ewidentnie krótszą spódnicę. Przy takiej jatce nie da się nie ubabrać krwią, więc musiała czy musiał zmienić ubranie. I był na to przygotowany, czyli planował zabójstwo w ten sposób.

– Chyba że wziął spódnicę ofiary. Mam na myśli, z jej bagażu.

– Nie wcisnąłby się w nią, jest zbyt potężny. To musi być facet. Inaczej chowałby twarz przed kamerami, a tymczasem jego jest akurat dobrze widoczna. Wiedział, że pod taką warstwą pudru, tuszu i szminki, jaką musiał mieć, skoro wprowadził w błąd sprzątaczkę, i tak go nie rozpoznamy.

– Możemy sprawie nadać kryptonim „Tootsie”.

Przygodnego zaskoczyło, że aspirant zna tak stary film, i zaczął się zastanawiać, czy widziała go też Justyna. Jeśli nie widziała, mogliby razem obejrzeć. Chociaż może lepiej nie. Raz już źle wyszedł na wracaniu z nią do swoich dawnych fascynacji. Opowiadał jej, jakim świetnym serialem jest „07 zgłoś się”, a kiedy wspólnie obejrzeliby odcinek, wcale nie był zdziwiony, że uznała go za straszną ramotę. Jeśli jego dziewczyna nie miała dojść do wniosku, że jest starym dziadem żyjącym przeszłością, powinien oglądać z nią współczesne filmy i budować wspólne wspomnienia. Do których może wrócić razem po latach.

– Panie komisarzu?

Przygodny zamrugnął oczami.

– Tak?

– To jak?

– Co? Aha, kryptonim. Pewnie, że może być.

Nie przykładął większej wagi do kryptonimów, jeśli jakiś się nasunął, to sprawę nim oznaczali, jeśli nie, to nie, na śledztwo nie miało to żadnego wpływu.

– Pytałem, co dalej.

– Dalej jest ściana.

[4] Zdarzenie z powieści „Zbyt krótkie szczęście”.

PONIEDZIAŁEK

Bogusław Brzecki przebudził się pełen wigoru, jakby dwie i pół doby wcześniej nie został postrzelony i nie zginęła jego żona. Czyżby po cichu żywił zadowolenie z takiego obrotu sprawy? Cieszył się ze śmierci swojej żony? Był potworem? Nie, potworem była ona. I cieszył się jedynie z tego, że uwolnił się od potwora. Nie życzył mu śmierci, nie modlił się o nią, nie przyłożył do tego w żaden sposób ręki. A trudno, żeby nie odczuł ulgi, że w końcu się od tej kobiety uwolnił. Rozwód, rzekłby ktoś, można się rozwieść, nikt nie musi ginąć. Wielokrotnie przymierzał się, żeby powiedzieć, że chce odejść, ale nigdy nie przeszło mu to przez gardło. Tak samo jak długo nie mogło przejść mu przez gardło, że chce się z nią umówić. Wtedy się przemógł, zapytał ją i, wbrew jego oczekiwaniom, zgodziła się. Wybrała się z nim na randkę, a na jednej z kolejnych przyjęła oświadczyzny. Wiele razy powtarzała potem, że popełniła błąd życia, że miała szansę na dużo lepszą partię, ale bardzo chciała wyjść za mąż, a on, na jej nieszczęście, zadeklarował się przed innymi. I odgrywała się na nim za to swoje rzekome nieszczęście. Dopuszczała go do siebie niemal z łaski, za najdrobniejsze przewinienie karała awanturą. Przewinienie wedle jej samowolnego kodeksu: wystarczyło, że krzywo odłożył ściereczkę, zostawił zaciek na szklance, nie wyniósł śmieci przed odpadkiem przepelniającym kosz, kupił serek w normalnej cenie zamiast w promocji, zapłacił rachunki dzień przed terminem, choć pieniądze mogły jeszcze procentować na koncie, a dowiadywał się, że jest kompletnym niedojdą. Tyle że dbała o pozory, na zewnątrz starała się pokazywać, że są idealnym małżeństwem. W towarzystwie nigdy na niego nie krzyczała, choćby popełnił największą gafę, i to rzeczywistą, a nie wyimaginowaną. Przeciwnie, tuliła się do niego, całowała w usta, żeby inni widzieli, że są idealną parą, i zazdrościli. W efekcie zaczął się starać, by jak najrzadziej zostawali sami, choć normalnie mężczyzna dąży do tego, by być z ukochaną we dwójkę.

Ukochaną? Kochał ją? Na początku na pewno tak, był przeszczęśliwy, kiedy ją zdobył. Tyle że spełnione marzenia nieraz okazują się pułapką. I on w taką wpadł. Całą miłość przelał więc na córkę. I przez lata wmawiał sobie, że potwora znosi dla jej dobra, bo dziecko potrzebuje obojga rodziców. Zwłaszcza takie wrażliwe jak ich latorośl. Oszukiwał się, że z dniem, w którym Kasia dostanie w Urzędzie Stanu Cywilnego akt ślubu, on dostanie w sądzie wyrok rozwodowy. A bał się choćby o tym wspomnieć. Może Irena miała rację, że był skończonym niedojdą?

Brzęki talerzy i sztućców na korytarzu zapowiedziały śniadanie. Dwie cieniutkie kromki chleba, kapka masła i marmolada. Do tego słabiutka herbata, już gotowa, pewnie dlatego, że z jednej torebki zrobiono pięć. Zapytał o kawę i dowiedział się, że na korytarzu jest wprawdzie automat, ale wolno mu pić tylko herbatę. Mimo to wstał z łóżka i poszedł po tę kawę. Nikt mu już nie będzie niczego zabraniał. Nie, nie obejrzysz meczu, bo w tym czasie są „Gwiazdy na lodzie”. Nie, nie zaprosisz kolegów, bo od waszych dyskusji boli mnie głowa. Nie, nie będziesz wyrzucał pieniędzy na pizzę, moja kasza gryczana jest tańsza i zdrowsza. Koniec z tym. Chciał kawy i napije się kawy. A do kawy przeczyta sobie gazetę. Jak co ranka. Bo akurat do tego rytuału żona mu się nie wtrącała. Jakby wyczuwała, że musi mu zostawić skrawek wolności, taki zawór bezpieczeństwa, bez którego w końcu by eksplodował. Bez którego to on byłby tym strzelającym do niej trzy dni temu.

Przeszukał kieszenie szpitalnego szlafroka w nadziei, że przełożono mu do niego portfel ze spodni. Tak się nie stało, ale znalazł kwit z depozytu, poszedł więc odebrać swoje ubranie. Czekają na niego wyprane, w komplecie, była nawet kurtka, w której po domu przecież nie chodził, ratownicy musieli ją wziąć z wieszaka, miło z ich strony.

I najważniejsze: spodnie. Choć z dziurą po kuli i jedną nogawką rozciętą, wcale ich nie wyrzucono.

– Pana własność, nawet jeśli zniszczona – powiedział pracownik magazynu, kiedy Brzecki okazał swoje zdziwienie. – Nie możemy tak po prostu wyrzucać.

Portfela w spodniach wprawdzie nie było, ale paska nikt nie ruszył. Ponieważ Irena zabierała mu praktycznie wszystkie pieniądze, kupił sobie pasek ze skrytką, w której chował zaskórniaki. Tę część pensji, którą dostawał pod stołem. Inni narzekali na to rozwiązanie, że pomniejsza im przyszłą emeryturę, że zyskuje na nim tylko pracodawca, a on uważał je za jeden z większych plusów pracy w hurtowni. Na urzędowej posadzie nie miałyby szans na pieniądze, które mógłby zataić przed żoną. A dzięki temu, że paska nie trzeba było prac, Irena schowka nigdy nie odkryła. Nie znalazł go też, jeśli w ogóle szukał, zabójca i w środku znajdowało się kilka banknotów.

Kiedy sycząca maszyna wypełniła kubek brązową cieczą – kawę pił tylko z mlekiem – udał się na poszukiwanie kiosku. Znalazł go na parterze przy wejściu i wziął, jak zwykle, „Kuriera”. Był wiernym czytelnikiem, poprzednią ulubioną gazetę, „Słowo Polskie”, przestał czytać dlatego, że przestała wychodzić.

Usiadł w fotelu przy małym stoliku, na którym postawił kubek z kawą, rozpostarł złożoną w pół przez kioskarsza gazetę i... zrobiło mu się gorąco. Zdjęcie na pierwszej stronie przedstawiało jego blok przy Gersona, a tytuł artykułu głosił: „Śmiertelne strzały na Biskupinie”. W sumie nie wiedział, dlaczego tak go zaskoczyło, że napisano o jego żonie i o nim. Przecież w „Kurierze” często pisali o przestępstwach popełnionych we Wrocławiu, mieli bardzo dobrego dziennikarza od spraw kryminalnych, Kurtyka czy jakoś tak. Ale człowiek, czytając o różnych okropieństwach, nigdy nie myśli, że jego też mogą spotkać,

a kiedy spotkają, że to temat dla gazety. Przeczytał artykuł z dziwnym uczuciem, jakby zapoznawał się z losami obcych ludzi, chociaż miał pełną świadomość, że piszą o nim i jego bliskich.

Wstał i poprosił kioskacza o jeszcze jeden egzemplarz. Dla Kasi, żeby miała na pamiątkę. Chociaż „pamiątka” to złe słowo. Dla niej będzie to dokument, odnotowujący ważne wydarzenie rodzinne. Bo Kasia miała dobre relacje z matką. W tej kwestii nie skłamał komisarzowi, choć starał się grać przed nim komedię, że strasznie rozpacza po śmierci żony.

Kiedy płacił za drugą gazetę, uświadomił sobie, że wciąż nie porozmawiał z córką. A koniecznie musiał do niej zadzwonić, bo przeżywała stratę matki i zamartwiała się o niego. Pielęgniarka powiedziała mu, że Kasia dzwoniła w sobotę, ale niewiele się dowiedziała, personel bał się, że mogła się pod nią podszywać jakaś dziennikarka. Od czasu żartu australijskich radiowców, którzy wywiadywali się o stan zdrowia ciężarnej księżnej Kate, podając się za królową Elżbietę i księcia Karola, żartu, który skończył się tragicznie, bo nabrana pielęgniarka popełniła samobójstwo, informacji przez telefon udzielano bardzo niechętnie, jeśli pacjent mógł budzić zainteresowanie prasy. A w Polsce rana postrzałowa bez wątpienia takie zainteresowanie budziła.

W niedzielę nie miał jak zadzwonić, był za słaby, żeby wstać z łóżka, a że nie pojawił się tutaj na planowe leczenie, tylko przywieziono go karetką na sygnale, laptopa zostawił w domu. Problem w tym, że wstanie z łóżka mu tego laptopa nie wyczarowywało. Ale chyba była w tym szpitalu jakaś kafejka internetowa?

Kioskacz powiedział, że nie, szpital udostępniał bezpłatnie Wi-Fi, a pacjenci korzystali z własnego sprzętu. Ale w domu nie było nikogo, kto mógłby mu przywieźć komputer, zresztą zadzwonić z prośbą o taką

pomoc i tak by nie mógł, bo smartfona też ze sobą nie wziął. Gdyby wziął, to problem w ogóle by nie powstał, bo Skype'a miał zainstalowanego również w komórce. W pokoju leżał sam, więc pożyczenie laptopa od sąsiada nie wchodziło w grę, a innych pacjentów wstydził się prosić. Usiadł z powrotem w fotelu, zły na siebie. Dostrzegł, że banalny problem, który każdy, obdarzony minimalną asertywnością, rozwiązałby w trzy minuty, dla niego stawał się niepokonywalną barierą. Przypomniał sobie, jak na studiach zabrakło mu pieniędzy na jedzenie dwa dni przed wypłatą stypendiów. To nie były czasy kart kredytowych, nie dało się płacić nie swoimi pieniędzmi. Chyba że się pożyczyło. A on nie potrafił. Tylko rodziców śmiało prosić o pożyczkę, ci byli daleko, a on nie miał za co zadzwonić. Gdyby miał, kupiłby sobie bułkę. W efekcie dwa dni głodował. Chyba jednak Irena słusznie mu wypominała, że był życiowym niedojdą.

Nie! Musi sobie poradzić! Zaczynał nowy rozdział życia. Pokaże Irenie, że ona załatwiała wszystko dlatego, że chciała załatwić, a nie dlatego, że on nie umiał.

– Przepraszam, nie wie pan przypadkiem – zwrócił się do kioskarza – gdzie tu mogę pożyczyć laptopa albo smartfona ze Skype'em? Zostałem postrzelony i przywieziony do szpitala nieprzytomny, więc nie mam swojego, a muszę zadzwonić do córki za granicą, na pewno strasznie się niepokoi.

– Ode mnie może pan pożyczyć. Kto pana postrzelił?

– Nie wiem kto ani dlaczego. Policja wyjaśnia sprawę.

Wziął smartfona z otwartym Skype'em, wpisał nazwisko córki w wyszukiwarce kontaktów, potem spróbował się połączyć, ale nie odbierała.

– Nie odbiera. Będę mógł spróbować później?

– Pewnie.

Usiadł z powrotem w fotelu i przeczytał ponownie artykuł. Teraz trochę zdumiony odkrył, że w sprawie samego przestępstwa reporter tak właściwie niewiele wiedział – nie mogło być inaczej, Irena nie żyła, z nim nie rozmawiał, a jeśli rozmawiał z policją, to na pewno nie po wizycie komisarza tutaj w szpitalu – przekreślił nawet nazwisko sąsiadki, którą cytował, ale zgrabnie tworzył wrażenie, że pisze bardzo treściwie. Czy przy innych artykułach wyglądało to podobnie, a on dawał się nabierać, bo nie był bohaterem zdarzeń? Spojrzał na podpis. Jerzy Kuriata. Tak, ten sam, co zawsze.

Rozczarowany dziennikarzem, chciał pominąć kolejny tekst jego autorstwa zamieszczony w środku – w weekend doszło we Wrocławiu do jeszcze jednego mordu, na lotnisku – ale ciekawość zwyciężyła. Zwłaszcza że artykuł opatrzone zdjęciami nie samolotów, lecz ofiary. Czy raczej tego, co z niej zostało. Brzecki z mieszaniną odrazy i fascynacji przyglądał się zmasakrowanym zwłokom. Tej samej fascynacji, która ściągała tłumy na egzekucje, dopóki wykonywano je publicznie. Historia zatoczyło koło, nie ścinano ani nie wieszano już skazańców na rynkach miast, ale przegrywająca w starciu z internetem prasa najwyraźniej sobie o tych tłumach przypominała. Choć jeszcze się krygując, bo na jednym ze zdjęć widniał tatuaż, umieszczony pod zagięciem lewego łokcia ofiary i przedstawiający dwa splecione ze sobą węże, a w podpisie pytano, czy ktoś go rozpoznaje i jest w stanie pomóc policji w zidentyfikowaniu zabitej.

Brzeckiemu zrobiło się czarno przed oczami, zakręciło mu się w głowie, gazeta wypadła mu z ręki.

Tego, że osunął się nieprzytomny na podłogę, dowiedział się, kiedy ocknął się w swoim szpitalnym łóżku. Odnotował – bo o wysłuchaniu

trudno mówić, gdy myślami był gdzie indziej – pretensje pielęgniarki, że wstał, chociaż mu nie wolno.

Kiedy siostra opuściła pokój, stanowczo zabraniając mu ponownie wstawać, poleżał kilka minut, intensywnie myśląc, ale potem właśnie to zrobił. Wyjrzał na korytarz, sprawdzając, czy pielęgniarka zamknęła się w dyżurce, po czym zszedł na dół do kiosku i poprosił znowu o pożyczenie smartfona.

– Rozumiem, że chce pan jak najprędzej porozmawiać z córką, ale dopiero co pan nam tu zemdlał – zatroskał się kioskarcz, wręczając mu jednak telefon.

Brzecki wezwał taksówkę.

– W tym stanie chce pan opuścić szpital?!

Pytanie zostało bez odpowiedzi, bo w ogóle do Brzeckiego nie dotarło. Oddał smartfona z niewyraźnym podziękowaniem i ustawił się przy drzwiach, by wypatrywać koguta z numerem telefonu, pod który dzwonił.

Taksówkarz pasażera w szpitalnej piżamie przyjął z taką obojętnością, jakby z tej okolicy innych nie zabierał. Co mu doskwierało, to konkurencja Ubera, na którą narzekał przez całą drogę na Biskupin.

– Ja, panie, ZUS muszę zapłacić i podatki, a Ukraińcy nielegalnie jeżdżą.

Brzecki wiedział, że Uber to firma, która za pomocą specjalnej aplikacji umożliwiała prywatnym kierowcom odpłatne podwożenie w wolnym czasie pasażerów, nie wiedział, co mają z tym wspólnego Ukraińcy, ale teraz zupełnie to go nie obchodziło, więc nie pytał.

Mimo rany postrzałowej i fatalnego stanu psychicznego, a może właśnie dzięki niemu, szybko dotarł z taksówki do bramy i jeszcze

szybciej pokonał schody. Przed drzwiami mieszkania się jednak zatrzymał. Nie z powodu policyjnej plomby, którą zresztą ktoś zerwał. Z powodu kluczy. Te miał w spodniach, a spodnie zostały w szpitalu.

Pierwsze rozwiązanie, jakie mu wpadło do głowy, to wrócić się po nie do szpitala, ale kiedy zszedł na dół, okazało się, że taksówka już odjechała. Zadzwoić po nią nie mógł, nie miał telefonu, ten znajdował się za zamkniętymi drzwiami, gdyby mógł się do niego dostać, już by go nie potrzebował... Tym razem jednak nie zezłościł się na siebie, że znowu przez własną nieporadność tworzy błędne koło. Co innego go gryzło.

Przypomniał sobie, że zapasowe klucze dali Kownackiej. On był przeciwny, uważał Kownacką za wścibskie babsko, które pod ich nieobecność będzie myszkować im po szafkach, ale oczywiście jego zdanie się nie liczyło. Choć w tej sytuacji akurat słusznie, bo przemyślnie zastawiane pułapki w postaci nitek czy skrawków papieru, wtykanych między drzwiczki, nie potwierdziły jego obaw.

Normalnie przy każdym spotkaniu Kownacka zalewała go potokiem słów – dlatego też nigdy nie wychodził na klatkę schodową, kiedy ją tam słyszał – ale tym razem udało mu się zachować stanowczo i na to nie pozwolić. Mimo że chciała go pocieszać, żałować, rozpaczać razem z nim z powodu śmierci „kochanej pani Irenki”, sucho powiedział, że ma natychmiast dać mu klucze, bo źle się czuje i musi się położyć.

W mieszkaniu zaczął gorączkowo wyciągać szuflady meblościanki, aż natrafił na album fotograficzny, którego szukał. Przerzucił foliowe strony. Dobrze skojarzył, znalazł kilka zdjęć, na których byli we dwoje. Nic dziwnego, że go nie rozpoznał, że dopasował tę twarz dopiero po odkryciu w gazecie – nigdy wcześniej na żywo go nie widział. Tylko na tych zdjęciach, które rzadko oglądał. To znaczy często, ale jednym

okiem, kiedy podtykała mu je pod nos Irena, ona siedziała w tych albumach na okrągło.

Jedno ze zdjęć nie miało pary w foliowej kieszonce, więc bez wyciągania go mógł sprawdzić napis na odwrocie. Błogosławił w tej chwili Bergmana za film czy raczej scenariusz do filmu „Dobre chęci”. Kiedy przeczytał, że inspiracją była stara rodzinna fotografia, uświadomił sobie, że on sam na takowych wielokrotnie nie potrafił zidentyfikować swoich przodków, i to z pokolenia dziadków, a nie uwiecznionych na dagerotypach. Od tego czasu nabrał nawyku zapisywania, kogo przedstawia dane zdjęcie. Opłacało się, bo chociaż jego imię pamiętał, to nazwisko dawno uleciało z pamięci.

Nabuzowany adrenaliną, nie tracił czasu na ubieranie się, na pizamę narzucił tylko prochowiec, wziął album i ruszył do wyjścia. Dopiero na schodach uświadomił sobie, że nie ma kluczowej informacji. Usiadł na stopniu, zastanawiając się, jak ją zdobyć. Naturalne miejsce poszukiwań, internet, w tym przypadku było bezużyteczne. Choć czy na pewno? Wrócił do mieszkania, ale zamysł skorzystania z internetu spalił na panewce, nie znalazł bowiem ani laptopów, ani komórek. Musiała je zabrać policja. Zakręcił się bezradnie w miejscu, kiedy jego wzrok padł na telewizor. Smart TV! Sięgnął po pilota, wcisnął przycisk włączania, przeszedł do wyszukiwarki i poruszając się mozolnie po ekranowej klawiaturze, wpisał nazwisko. Pojawiła się ewidencja, której się nie spodziewał. Ale zawierała potrzebne mu dane.

– Jurek, kurwa! Brodziak!

Powiedzieć o Misiaku, że toczył pianę z ust, byłoby eufemizmem.

– Pana Kuriaty nie ma, wyszedł – poinformował go Andrzej Czajczyk, drugi dziennikarz działu kryminalnego. W redakcji wprowadzie wszyscy byli ze sobą na ty, ale Kuriata, odgrywając się za narzucenie

współpracownika, nie pozwolił mu zwracać się do siebie po imieniu i mimo że ten się sprawdził, tak już zostało.

– Dokąd?

– Nie powiedział, nigdy nie mówi.

Naczelnym sięgnął po komórkę i wybrał numer, a potem drugi.

– Nie odbierają sukinsyny. Bierz manele, przenoszę cię do polityki.

– Ale...

– Żadnego „ale”. Jak on mi z gazety robi brukowca, to ja mu pokażę, kto tu rządzi. Obcinam teksty kryminalne o połowę i dział nie będzie potrzebował dwóch ludzi. „Kurier” jest dla czytelników, których interesuje coś więcej niż tania sensacja.

– A co z notariuszem?

– Jakim notariuszem?

– No, ten cykl artykułów o Witkowskim, oszuście, wyłudającym mieszkania od zniedołężniałych starych ludzi. Mamy mocne poszlaki, że notariusz był z nim w zмовie, i został jeszcze artykuł, w którym wykazujemy, że musiał dostrzec niedołość czy wręcz niepoczytalność sprzedających i odmawiać sporządzenia aktu sprzedaży.

– Kuriata dokończy.

– Nie dokończy, bo zajmowałem się tym sam.

– No dobrze, zamkniesz temat i wtedy przeniesiesz się do polityki.

– Ale co się stało? Skąd taka decyzja?

– Nie przeglądasz gazety, w której pracujesz? To zobacz!

Naczelnym gwałtownym ruchem rozpostarł trzymany w ręku egzemplarz i podetknął Czajczykowi pod nos.

Ten z miejsca pobladł, co przy jego zwykłych rumieńcach mocno rzuciło się w oczy.

– A nie mówiłem! – triumfował Misiak. – Nie można publikować takich drastycznych zdjęć, porządny ludziom robi się od nich niedobrze.

– Nie... to znaczy, są drastyczne, tyle że...

– Tyle że co?

– To moja wina, że się ukazały.

– Jaka twoja wina? Co ty bredzisz?

– Pan Kuriata powiedział, że sam mam dobrać zdjęcia do artykułu z lotniska. I to ja je wybrałem. Ale nie wydawały mi się aż tak drastyczne, jak teraz wyglądają, przecież w internecie można znaleźć gorsze.

– Internet, ciągle ten internet. Ale dalej nie rozumiem. Nawet jeśli wybrałeś zdjęcia, to przecież nie ty decydujesz, jakie zostaną opublikowane.

– Zaniósłem je Waldziowi, ale go nie było, nie odbierał też komórki. Zapytałem pana Kuriatę, co w tej sytuacji robić, a on powiedział, że nie mam ze wszystkim zawracać mu dupy, tylko zachowywać się jak na dziennikarza przystało i wykazywać inicjatywę.

– Która była wtedy godzina?

– Wpół do dziesiątej.

O wpół do dziesiątej było po merytorycznych decyzjach, co znajdzie się w gazecie następnego dnia, i trwały techniczne przygotowania do druku. Waldzio jako prowadzący nie miał już nic do roboty i szedł do domu. Oczywiście gdyby na przykład prezydent Wrocławia rozbił wtedy służbowy samochód, jadąc z kochanką, która dyskretnie oddaliłaby się

przed przybyciem służb, a miejski włodarz tłumaczył nietypową porę przejazdu wizytą u arcybiskupa, dziennikarze od razu zjawiliby się w redakcji i stawano by na głowie, żeby zdążyć zamieścić relację z tego wydarzenia. Ale jeśli nie działo się nic nadzwyczajnego, do numeru żadnych zmian już nie wprowadzano.

– I co zrobiłeś, jak Kuriata kazał ci się wykazać inicjatywą?

– Poszedłem do składu, powiedziałem, że te zdjęcia do artykułu są zaaprobowane przez prowadzącego i mają je dać.

Naczelnny chwilę przetrwał tę relację. Najbardziej zirytowało go w niej, że Kuriata wyręczył się młodym współpracownikiem w ten sposób, że był kryty. Nie kazał mu przepychać podstępem zdjęć, tylko udać się do Waldzia, który nieraz w sporach między naczelnym a dziennikarzami stanowił instytucję odwoławczą. I zawsze mógł powiedzieć, że przez wykazywanie inicjatywy rozumiał dotarcie do prowadzącego, a nie okłamywanie składu.

– Wiesz co? Powinienem cię wylać na zbity pysk.

– Wiem – przyznał żałośnie Czajczyk.

– Ale dam ci jeszcze jedną szansę. Dlatego, że się od razu przyznałeś, i dlatego, że Kuriata cię zmanipulował. Ale jeśli jeszcze raz okażesz się taki naiwny i wykroczysz poza swoje kompetencje, to wylecisz.

– Dziękuję.

– I nie idziesz do polityki, tam się trafia w nagrodę, nie za karę. Daję cię do kultury.

– Rozumiem.

– Do tego pięćdziesiąt punktów karnych.

– O Jezu, aż pięć stów?

– Nie jęcz. Ciesz się, że w ogóle dostaniesz pensję. Zresztą masz jeszcze czas, żeby zbierać punkty premiowe, więc będziesz w plecy mniej niż pięć stów. Kiedy skończysz notariusza, zgłoś się do Mrożewicza i rozejrzyj za tematem wartym premii.

Śledztwo śledztwem i Przygodny powinien pokazywać Brzeckiemu w szpitalu zdjęcia przestępców na laptopie, ale miłość miłością, więc po drodze, czy raczej nadkładając drogi, wstąpił do instytutu psychologii, by spotkać się z Justyną. W poniedziałki miała seminarium magisterskie, jedne z nielicznych już zajęć przed obroną pracy. Najchętniej odebrałby ją poprzedniego dnia z dworca, ale ze względu na matkę i brata było to niemożliwe. Mimo tylko dwudniowej rozłąki stęsknił się tak bardzo, że przyjechał pół godziny za wcześnie i mocno się niecierpliwił, że najwyraźniej seminarium się przeciągało, bo Justyna nie wychodziła.

Nad ich spotkaniem nic już nie wisiało, bo załatwił sprawę z Gabi. W sposób najprostszy z możliwych, żadnych restauracji, aranżacji czy innych podchodów, tylko kawę na ławę prosto z mostu bez owijania w bawełnę.

Wiedział, że ekszona często bywa u Asi, więc wracając wczoraj do komendy po przesłuchaniu Brzeckiego, zadzwonił do córki z prośbą, by go o kolejnej wizycie, najlepiej pod nieobecność Stefana, poinformowała. SMS-a dostał jeszcze tego samego dnia i natychmiast pojechał na Biskupin. Ze swojej nowej kawalerki, którą wynajął na osiedlu Cztery Pory Roku, uznając, że sublokatorski pokój nie jest odpowiednim miejscem na spotkania *tête-à-tête*, miałby spory kawałek, ale wiadomość od Asi przyszła, kiedy oglądał z Gajdą filmy z monitoringu.

Gabi przyjęła to rzekomo przypadkowe spotkanie z niechęcią.

– Do córki się nie zapowiadasz?

– Słuchaj, musimy porozmawiać.

– O czym? Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy, źle się to dla mnie skończyło.

– Dla mnie też. Długo byłem w dołku, ale teraz poznałem kogoś i chciałem, żebyś o tym wiedziała.

– Bo lubisz grzebać w ranach, które zadałeś?

– Bo nie chcę, żebyś dowiedziała się z plotek czy od jakiejś pseudożyczliwej duszy. Zwłaszcza że ona jest młodsza od...

Najpierw chciał powiedzieć „od ciebie”, potem „ode mnie”, a zanim na dobre zamilkł, przyszło mu do głowy jeszcze „od nas”.

– Kto to jest? Znam ją?

– Nie znasz, spotkałem ją dopiero po naszym rozwodzie, była świadkiem w śledztwie. Nikt z naszego kręgu znajomych.

– Kto to jest?

– Jakie to ma znaczenie? Inna kobieta.

Nie zapowiadało się, by ten argument miał odwieść Gabi od dalszych dociekań, ale wkroczyła ich córka.

– Mamo, nie naciskaj, przecież ta wiedza nic ci nie da.

– I ty po jego stronie?

– Nie jestem po niczyjej stronie. Czy raczej po stronie was obojga. I proponuję zamknąć temat. Tata jest w nowym związku, uczciwie ci o tym powiedział, chociaż nie musiał, ciebie to boli, ale będzie bolało bardziej, jeśli będziesz sprawę roztrząsać.

Przygodny zauważył zadowolony, że Asia wchodzenie w szczegóły najwyraźniej uznała jednak za niekonieczne. Bardzo mu to odpowiadało, bał się komentarzy, które mógł sprowokować wygląd Justyny.

– A teraz proponuję, żebyśmy usiedli, napili się herbaty i porozmawiali o mnie. Jestem waszą córką, więc temat was obchodzący, a że jestem idealną córką, niekonfliktowy.

Oboje byli temu niechętni, ale Asi nie wypadało odmówić i ta rzeczywiście tak pokierowała rozmową, że wyszło od biedy udane spotkanie eksrodzinne.

– Panie komisarzu?

– Słucham?

Justyna zaśmiała się i zarzuciła mu rękę na szyję.

– Jeśli będziesz tak odjeżdżał, to w końcu cię ukradną.

– I oddzielą od ciebie? Bez szans.

Pocałował ją w usta.

– Jak seminarium?

Pokręciła niezadowolona głową.

– Bezproduktywne. Zdaje się, że promotorka nie ma większego pojęcia, o czym piszę, przerosłam ją wiedzą.

Temat pracy magisterskiej Justyny brzmiał „Analiza męskiej osobowości unikającej w świetle artykułu 148 kodeksu karnego”, czyli mówiąc po ludzku: O nieśmiałych mężczyznach popełniających zabójstwa.

– Może ja mógłbym coś wniesić? Oczywiście tylko z perspektywy praktyka.

Wyszedł z tą propozycją jedynie po to, by pokazać Justynie, że zawsze gotów jest jej pomagać, nie sądził, by jego doświadczenie przełożyło się na jakieś sensowne uwagi do teoretycznej pracy z psychologii, ale Justyna była odmiennego zdania.

– Wiesz co, to nie jest głupi pomysł. To znaczy, jeśli naprawdę chcesz czytać całą pracę, żeby mi w dwóch czy trzech punktach pomóc.

– No pewnie. Poza tym po obronie i tak przeczytałbym z ciekawości, więc doskonale mogę to zrobić wcześniej.

Nie kłamał, wręcz chłonał wszystko, co wiązało się z jego dziewczyną.

– Dzięki. – Pocałowała go. – Jakie masz teraz plany?

Pokazał laptopa i wyjaśnił, do czego go potrzebował, ale powiedział, że ma jeszcze czas, by przed pojechaniem do szpitala usiąść z nią w kawiarni. Zdecydowali się na Starbucks na dworcu PKP i ruszyli w tamtą stronę, biorąc się za ręce.

– Ty skurwysynu!

Odwrócił się, by stanąć oko w oko z Gabi.

– To jest ta kobieta?! Przecież to nie jest żadna kobieta, tylko siuśmajtką!

– Co tu robisz? Śledzisz mnie?

– Na głowę upadłeś? Załatwiałam sprawę w NFZ.

Instytut psychologii i Dolnośląski Oddział Narodowego Funduszu Zdrowia mieściły się naprzeciwko siebie na ulicy Dawida. Ludzie wierzący w zamach smoleński uznaliby zapewne, że siła wyższa, wyręczając się architektami, którzy zaprojektowali te budynki, ukarała Przygodnego za złamanie przysięgi małżeńskiej i niesakramentalny związek.

– Justyna, to moja była żona; Gabi, to jest Justyna.

– Justyna, aha.

Przygodny odetchnął z ulgą, że konstatacja ograniczyła się do owego „aha” i nie została okraszona dalszymi epitetami. Ale odetchnął za wcześnie.

– Chodzisz gdzieś tutaj do przedszkola?

– Studiuję.

– Jak rozbijać małżeństwa?

– Nie rozbiłam pani małżeństwa, poznaliśmy się z Markiem w listopadzie zeszłego roku. Proszę samej wpisać to w ramy czasowe waszego związku.

To rzeczowe wskazanie, wypowiedziane tak chłodno i beznamiętnie, jakby Justyna opisywała przechodniowi drogę, zbiło nieco Gabi z pantałyku. Ale nie na tyle, by zaprzestała ataku.

– Co się stało z chłopakami w twoim wieku, że zadajesz się z takimi starymi? Masz jakiś kompleks braku ojca?

Gabi strzelała w ciemno, ale trafiła w czuły punkt. Przygodny dostrzegł zwężające się źrenice Justyny i przestraszył się, że wybuchnie dzika awantura. Nie docenił swojej partnerki.

– Pani wybaczy, ale to moja prywatna sprawa, według jakich kryteriów wybieram sobie mężczyzn.

Tym razem celna uwaga na tyle pokrzyżowała jego byłej żonie szyki, że Przygodny zdołał wkroczyć.

– Przepraszamy cię, ale trochę nam się śpieszy.

Z tymi słowami pociągnął Justynę za rękę, zostawiając Gabi na chodniku.

Do dworca doszli w milczeniu, czym wcale się nie przejął. Wiedział, że nawet gdyby starali się udawać, że nic nie zaszło, i zaczęli rozmawiać na inny temat, koniec końców i tak dotarliby do jego ekszony albo

różnicy wieku między nimi. Ale nie mogli też cały czas milczeć, dlatego z ulgą przyjął dzwoniący telefon. Jak raz miał nadzieję, że służbowe obowiązki przeszkodzą mu w spotkaniu z Justyną. I ta jego nadzieja się spełniła, choć w sposób, którego nigdy by nie wybrał.

– Panie komisarzu, mamy kolejne morderstwo. – Trzy zabójstwa w ciągu czterech dni były taką rzadkością, że Gajda zapomniał o swoich tradycyjnych wstępach.

– Gdzie?

– Na Polance.

– Na ulicy czy na osiedlu?

– Na osiedlu, ulica to Obornicka.

– Kto?

– Na razie wiem tyle, że mężczyzna. Zastrzelony. Dopiero przyszło zgłoszenie, jestem w drodze z technikami.

– Już jadę. Prześlij mi dokładny adres SMS-em.

– Co się stało? – zapytała Justyna.

– Niestety, zabójstwo. Coś niedobrego się dzieje, normalnie tyle trupów w tak krótkim czasie to mamy na cały kraj. – Przygodny nie doszacował, w Polsce popełniano około tysiąca morderstw rocznie, ale w tej chwili chodziło nie o precyzyjne statystyki, lecz o grozę sytuacji. – Przepraszam, zadzwonię do ciebie później.

– Nie masz za co przepraszać. Twoja praca.

Pocałowali się i rozstali. Komisarz szybkim krokiem wrócił do samochodu, zostawionego na Dawida. Gabi na szczęście już zniknęła.

Budynek po szpitalu przy ulicy Traugutta, przeniesionym na Stabłowice, stał opustoszały. Miasto, które za zlikwidowaną w 2007 roku najstarszą wrocławską lecznicę, Szpital im. Józefa Babińskiego, wzięło od dewelopera ponad trzydzieści pięć milionów złotych, zrobiło się pazerne i teraz wołało pięćdziesiąt, a takiej kwoty żaden inwestor nie chciał wyłożyć.

Trzy postaci zbliżyły się do drzwi dawnego pogotowia ratunkowego, dwupiętrowego gmachu w stylu wczesnego neogotyku niemieckiego. Byli to Zygmunt Kownacki, na którego ramieniu wspierała się młoda kobieta, tak osłabiona, że bez tego wsparcia osunęłaby się zemdlna na ziemię, i osiłek, z którym rozmawiał na Kładce Muzealnej, niosący dużą torbę.

– Dlaczego Anki jeszcze nie ma? Powinna już tu być. – Lekarz spojrział na wyświetlacz swojego smartfona, czy nie dostał SMS-a wyjaśniającego spóźnienie, a potem wybrał numer. – Anka? Gdzie jesteś? Czekamy na ciebie! Aha? Ale się pośpiesz.

– Co z nią? – zapytał jego pomocnik.

– Spóźnia się i podaje jakiś dęty powód. Polacy, cholera!

– Rodowity Szwed się odezwał.

– Żebyś wiedział, że mam szwedzką mentalność.

– To pewnie zaprotestujesz, jak powiem, żeby się włamać.

– Oszalałeś?! – Kownacki oburzył się zgodnie z przewidywaniami osiłka.

– Na razie nikt się nami nie interesuje i nie zacznie, jeśli szybko znikniemy z widoku. Ale jak będziemy tu tkwić, to ktoś się napatoczy i zada sobie pytanie, czego chcemy w nieczynnym szpitalu. Musielibyśmy się schować, ale Christina na dalsze spacerzy chyba nie za bardzo ma siły – wskazał na osłabioną dziewczynę.

– Dobra – poddał się lekarz. – Włamuj się.

Pomagier odstawił torbę na ziemię, przykucnął przy drzwiach i obejrzał zamek.

– Ale tandeta.

Zapowiadało to szybkie otwarcie drzwi i rzeczywiście po kilkunastu sekundach majstrowania ustąpiły z lekkim skrzypieniem,

Weszli do środka, pokonali łącznik, wdrapali się na schody i dotarli do drzwi z napisem „Blok operacyjny”.

Znaleźli się w sali, w której lekarze przygotowywali się do operacji. Kownacki posadził dziewczynę na krześle i sprawdził szafki.

– Nawet fartuchy zostały.

Odebrał od osiłka torbę, wyciągnął z niej pojemnik na narządy i pogładził go niemal z czułością.

– Cud nerczka. Aż się chce być lekarzem, kiedy można w ten sposób ratować życie.

– Dlaczego nie wzięliśmy obu?

– Jedna w zupełności wystarczy. Byłby to niepotrzebny eksperyment, bo nigdy nie wszczepia się dwóch.

– Dlaczego nie?

– Bo jest dużo więcej biorców niż dawców, ciołku. A nawet gdybyśmy nerki pozyskiwali od świń, co pewnie w przyszłości nastąpi, to sam zabieg stanowi bardzo duże obciążenie dla organizmu i nie ma sensu tego obciążenia podwajać. Druga nerka nic człowiekowi nie daje, dokładnie tak samo funkcjonuje się z jedną sprawną.

– To dlaczego mamy dwie nerki, a nie jedną, jak na przykład wątrobę?

Ta ciekawość świata, przez którą osiłek gotów był nawet puścić mimo uszu epitet, nie została przez Kownackiego doceniona.

– Ty się nie baw w filozofa, tylko się przebieraj.

– Za kogo?

– Nie za kogo, tylko do czego. Do operacji.

– Ja? W życiu tam nie wejdę. Zemdleję na widok krwi.

Urolog popatrzył na swego współnika z niedowierzaniem.

– Ty chyba sobie ze mnie kpisz. Kiedy załatwiłeś tę babkę, krew lała się strumieniami, ale nie przypominam sobie, żebyś zemdlał.

– Bo to co innego!

– Tu krew i tam krew. Przestań zgrywać mimozę, nie masz wyboru, bo jest nas za mało i bez ciebie nie damy rady. Zresztą będziesz anestezjologiem, możesz nie patrzeć.

– Anestezjologiem? Ale ja się na tym nie znam!

– Naprawdę? A myślałem, że skończyłeś medycynę. Wszystko ci powiem, zresztą nie powinno być żadnych komplikacji; Christina ma dopiero dwadzieścia cztery lata, młody organizm, nawet dotknięty chorobą, jest silny.

– A jak będą?

– To mnie zaalarmujesz i ja się tym zajmę. Przebieraj się!

Osiłek już bez dalszych protestów sięgnął do szafki, ale lekarz go powstrzymał.

– Czekaaj, nie tak. Myjesz ręce – wskazał na umywalkę – potem pomagasz mi włożyć fartuch, ja myję ręce, pomagam tobie, potem jeszcze raz myjemy ręce, powinno nam się udać uniknąć mikrobów, chociaż nie mamy pomocy z zewnątrz. O, Anka, no wreszcie.

Korpulentna kobieta w pielęgniarskim stroju weszła do pomieszczenia, zdawkowo się przywitała i spojrzała pytająco na dziewczynę, siedzącą z przymkniętymi oczami.

– Tak, to jest Christina. Nie zna polskiego. *Hon ska förbereda dig till operationen* – zwrócił się do pacjentki. – Powiedziałem jej, że przygotujesz ją do operacji.

– Jasne. Chodź, mała – pielęgniarka nie przejęła się trudnościami komunikacyjnymi i wyprowadziła Szwedkę z pokoju.

Mężczyźni przebrali się w zielone fartuchy i anestezjolog amator chciał przejść na salę operacyjną, ale Kownacki go powstrzymał.

– Musimy poczekać na Ankę, żeby pomóc jej się przebrać, kiedy przywiezie Christinę.

– Okej. Skąd ją wytrzasnąłeś?

– Ankę? Pracowaliśmy tu razem, ona dłużej, ja się zwinąłem do Szwecji. Ma córkę w wieku Christiny, więc rozumie, czym dla jej rodziców byłaby strata dziecka. No i zarabia w szpitalu grosze, tak że argument finansowy padł na podatny grunt.

– Ale nie wie, że Christina to twoja dupa?

– Hamuj się. Gdyby to była zwykła kochanka, nie ryzykowałbym dla niej tyle.

Osilek zdał sobie sprawę, że przeciągnął strunę, więc żeby zmienić temat, wskazał na pojemnik.

– Nie zepsuła się?

– Skąd, przetrzymałaby nawet trzy doby.

Nic więcej nie mieli sobie do powiedzenia, czekali zatem w milczeniu. Kąpiel i dezynfekcja zajęły trochę czasu, ale w końcu

pielęgniarka pojawiła się w drzwiach, pchając przed sobą łóżko na kółkach. Błada Christina wyciągnęła rękę w stronę Kownackiego.

– No, niestety, psychicznie nie mogłam jej wesprzeć. Głupio być niekumatym językowo, ale w szkole pielęgniarskiej tak nas uczyli tego angielskiego, żeby nie nauczyć.

Kownacki powiedział po szwedzku do swojej dziewczyny, że wszystko będzie dobrze, ale teraz nie może już wziąć jej za rękę. Pielęgniarka się przebrała i weszli na salę.

– O, kurde! – zareagował urolog na widok wyposażenia.

– Nie mówiłam? – triumfowała Anka. – Na Fieldorfa kupili masę nowego sprzętu, a to, co się dublowało, po prostu porzucili na wyniszczenie, jakby państwo polskie miało na służbę zdrowia za dużo pieniędzy.

– Nie do wiary.

– Oficjalnie to się nazywa, że miasto sprzedaje szpital z końcówką sprzętu. Ale goły sprzedawaliby dokładnie za tyle samo. Owsiak by się wściekł, gdyby to zobaczył – pokazała na czerwone serduszka Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, widniejące na niektórych urządzeniach.

– Dla nas dobrze, mamy na czym operować. Dawajmy dziewczynę na stół.

Formalnie we Wrocławiu nie było osiedla Polanka. Potoczna nazwa, określająca część Różanki, wzięła się zapewne od ulicy Na Polance i błędnej interpretacji, o czym mowa, gdy jej mieszkańcy wskazywali swój adres.

Nawet gdyby Przygodny nie korzystał z Google Maps, nie błędziłby, furgon ekipy technicznej stanowił zawsze niezawodny drogowskaz,

gdzie go oczekują. Tym razem stał pod blokiem z wielkiej płyty, którego ocieplającą warstwę styropianu pomalowano na zielono.

– Co mamy? – zapytał Gajdę, kiedy wszedł do zatłoczonego mieszkania. Byłaby to dobra strona odejścia nagłą śmiercią, gdyby ten tłum ludzi żegnał zmarłego, a nie traktował go jako nośnik śladów. Taka była bowiem konkluzja debaty, która przetoczyła się wśród techników kryminalistycznych, czy zwłoki są śladem. Nie śladem, lecz nośnikiem śladów.

– Trzecie zabójstwo, panie komisarzu, w piątek Brzecka, w niedzielę ta kobieta na lotnisku, a teraz gość tutaj... – aspirant zamiast odpowiedzieć, referował Przygodnemu, co ten już wiedział.

– Co za gość? – Komisarz popatrzył na denata, ciemnowłosego mężczyznę, który barczystą sylwetką imponował nawet, leżąc martwym na podłodze.

– Daniel Rachwalski, trzydzieści sześć lat. W kurtce w przedpokoju miał dowód osobisty i prawo jazdy. Rachunki, które znaleźliśmy, są na inne nazwisko, więc najprawdopodobniej to mieszkanie wynajmował.

– Trzeba dotrzeć do właściciela i go przesłuchać. Kto nas powiadomił?

– Sąsiad. Wojskowy rencista, rozpoznał, że huk był od wystrzału, i zadzwonił na policję. Zszedł też, żeby zobaczyć, co się stało, ale mieszka trzy piętra wyżej, porusza się o lasce, więc nikogo już nie zastał.

– Od wystrzału? Jednego?

– Tak, od jednego. – Aspirant przykucnął przy denacie i wskazał na krwawą ranę po lewej stronie klatki piersiowej. – Nie wiem, czy Małecki potwierdzi, ale wygląda na trafienie prosto w serce.

Przygodny teraz sobie uświadomił, dlaczego nie odczuwa lekkiego, nieprzyjemnego napięcia, które od pewnego czasu towarzyszyło mu na

miejscu zbrodni: patolog nie zdążył jeszcze dotrzeć.

– Ale najlepsze, panie komisarzu, jest to, co nam już dawno się nie zdarzyło, może dlatego, że zabójstwa przy użyciu broni palnej są raczej rzadkie, ale mimo to uważam, że mieliśmy niesłychane szczęście, zwłaszcza...

– Robert!

– No co, przecież mówię, że sprawca zostawił pistolet. Z odciskami palców!

– Naprawdę? – pytanie Przygodnego potwierdziło opinię aspiranta, że morderca wyświadczył im niewąską przysługę.

– Beretta M9. Taki sam jak na Biskupinie!

– Gajda, ja cię kiedyś zabiję za to stopniowanie napięcia, dlaczego nie mówisz od razu?!

Jeśli komisarz przechodził od imienia do nazwiska, oznaczało to, że był zły.

– Przepraszam, tak wyszło.

– Potrzebujemy natychmiast balistyki, żeby potwierdzić, że nie tylko taka sama beretta, lecz ta sama.

– Musi być ta sama. Jakie jest prawdopodobieństwo, że przy czymś tak rzadkim jak strzelanina będą naraz dwie różne z tym samym modelem, ale innym pistoletem?

Z jednej strony komisarz przyznawał Gajdzie rację, z drugiej strony wiedział, że można zejść ze śledztwem na manowce, jeśli kierowało się nie wynikami badań, a prawdopodobieństwem.

– Mimo wszystko. Domyślałam się, że skoro zabójca zostawił pistolet, to łuskę tym bardziej?

– Tak jest.

– Więc ją bierz, bierz pistolet, gnaj do balistyki i nie daj się wyprosić bez wyników.

Gajdzie nie trzeba było dwa razy powtarzać, odebrał od jednego z techników foliowe torebki z zabezpieczoną berettą i łuską i nie czekając na windę, zniknął na schodach, pokonując po trzy stopnie naraz. Co Przygodny zobaczył, bo wyszedł na klatkę, żeby rozejrzeć się za wojskowym, który zgłosił przestępstwo. Bez trudu wyłowił go z grupki gapiów, która zebrała się na korytarzu, i poprosił do środka. Ale poza dokładną godziną strzału jego odpowiedzi nie wniosły nic więcej ponad to, co powiedział mu aspirant. Tyle że kiedy komisarz usłyszał tę godzinę, zrobiło mu się słabo. Jeśli użycie tej samej broni by się potwierdziło, wskazywałoby to na tego samego sprawcę, co na Biskupinie. To z kolei oznaczało, że gdyby Przygodny, zamiast czekać na swoją dziewczynę, pojechał do Brzeckiego, a ten rozpoznałby mordercę na zdjęciach, dałoby się temu zabójstwu zapobiec. Nie mieliby wprawdzie zbyt dużo czasu na dotarcie do winnego, ale przy sprzyjających okolicznościach wystarczająco.

– Źle się pan czuje, panie komisarzu? – innego pytania po przykucnięciu pod ścianą i ukryciu twarzy w dłoniach nie można było się spodziewać.

Poza tym, że nie przeszkodziłem w zabiciu człowieka, choć mogłem, a nie przeszkodziłem, bo zajmowały mnie miłości, to czuję się świetnie, przebiegło Przygodnemu przez głowę.

Nie trwał długo w tej pozycji, poderwał się, musiał mieć pewność. Musiał pojechać do Brzeckiego i pokazać mu zdjęcia. Jeśli ten rzeczywiście wskaże zabójcę, nie będzie miał wyboru: złoży dymisję. Sumienie nie pozwalałoby mu po takim błędzie, który kosztował czyjeś

życie, pozostać w zawodzie. Gorzej, nie popełnił błędu, przełożył prywatne przyjemności nad swoje obowiązki

Wzorem Gajdy zbiegł po schodach, zatrzymał się dopiero przy swoim golfie, do którego nie wsiadł, lecz wskoczył. Przez parę minut mocował się z przenośną syreną, nie mogąc jej uruchomić. W pewnym momencie zniecierpliwiony chciał ją rzucić w kąt, ale zdał sobie sprawę, że nawet jeśli zejdzie mu na uruchamianiu kwadrans, to będzie i tak mniej, niż czas stracony w korkach i na światłach. W końcu ruszył. Przez to, że musiał skupić się na szybkiej jeździe i uważać, by nie spowodować kolizji z kierowcą, który niezbyt sprawnie zareaguje na dźwięk syreny, oderwał nieco myśli od swojego niewybaczalnego zaniechania.

Ale powróciły z całą siłą, kiedy zaparkował przed wejściem do szpitala i ściskając w ramionach laptop, szedł do pokoju, w którym leżał Brzecki. Niemal się modlił, żeby usłyszeć od niego „Niestety, nie poznaję nikogo na tych zdjęciach” albo „Jestem pewien, że tego, co do nas strzelał, na tych zdjęciach nie ma”. Zapukał do drzwi, odetchnął głęboko, czując się tak, jakby wchodził na salę sądową, żeby usłyszeć wyrok, i nacisnął klamkę.

Pokój był pusty.

Wyrok się odwlekał. Przygodny usiadł na krześle, żeby zaczekać na Brzeckiego, zakładając, że ten wyszedł do toalety albo został zabrany na jakieś badania. Czekał z niecierpliwością, co rusz wstając i sprawdzając, czy pacjent nie wraca korytarzem. Po kilkunastu minutach uświadomił sobie, że z toaletą nie trafił, a o badania może zapytać pielęgniarki.

– Pana Brzeckiego nie ma w szpitalu – usłyszał w dyżurce od siostry oddziałowej, wysokiej kobiety z włosami upiętymi w kok i miną, której nie przestraszył się tylko dlatego, że reprezentował stutysięczną zbrojną formację.

– Jak to nie ma? Już go wypisaliście?

– Tak, za dużo nas kosztował, bo Polska nie prowadzi wojny i NFZ płaci grosze za leczenie ran postrzałowych.

Dwóch sekund potrzebował Przygodny, by załapać, że to sarkazm, opatrzony krytyką NFZ-u.

– Oczywiście, że go nie wypisaliśmy. Oddalił się.

– Co znaczy „oddalił się”?

– To znaczy, że poszedł w siną dal, nie informując nas, że chce się wypisać ze szpitala. Bo po co ułatwiać nam życie?

– Kiedy się oddalił?

– Dzisiaj.

– Ale o której godzinie?

– Nie mam pojęcia.

– Nie mogliście go zatrzymać?

– Po pierwsze nikt z personelu nie widział, jak wychodził, a po drugie to nie szpital psychiatryczny, leczenie jest dobrowolne. Ale niewykluczone, że wróci, bo zostawił ubranie.

– Zostawił ubranie?! To skąd wiecie, że opuścił szpital, może leży gdzieś nieprzytomny w toalecie?

– Może leży. Ponieważ jako pielęgniarki nie jesteśmy takie mądre jak policja, nie wpadłyśmy na to i nie sprawdziłyśmy.

Tym razem sarkazm dotarł do komisarza bez opóźnień.

– I co wyszło z tego niesprawdzenia?

– Pożyczył telefon od kioskarza na dole, wezwał taryfę i odjechał.
W piżamie.

Sprawdzenie komórki kioskarza i ustalenie, że Brzecki wziął taksówkę z Mini Radio Taxi, zajęło Przygodnemu pół minuty. A kiedy komisarz zobaczył na wyświetlaczu godzinę 9.22, poczuł ogromną ulgę. Bo nawet gdyby nie pojechał najpierw spotkać się z Justyną, nie zdążyłby dotrzeć do szpitala przed odjazdem Brzeckiego. Musiałby wybrać się do niego z samego rana i wprawdzie tak planował, ale został wezwany przez komendanta z powodu zabójstwa na lotnisku. Jego PR-owski wydzwitek martwił nie tylko kierownictwo portu, lecz także polityków, którzy domagali się od policji wyjaśnień. Jakich, Przygodny do końca nie zrozumiał i podejrzewał, że nie chodziło o wyjaśnienia, tylko o pokazanie, że się ich żąda. Ulgę jednak szybko na powrót zastąpiły wyrzuty sumienia. Bo gdyby przyjechał na Fieldorfa bezpośrednio po biurokratycznej i niczemu niesłużącej rozmowie z komendantem, ustaliliby, dokąd Brzecki się udał, podążył za nim i pokazał mu zdjęcia. Owszem, wzięwszy pod uwagę, że Rachwalskiego zabito półtorej godziny po opuszczeniu przez Brzeckiego szpitala, musiałyby go odnaleźć w ciągu dwudziestu minut i dostać nie tylko nazwisko, lecz także adres zamachowca, żeby mieć jakiegokolwiek szansę, by zapobiec temu zabójstwu. Dopóki jednak nie udowodnił sobie, że było to możliwe wyłącznie w teorii, nie potrafił się rozgrzeszyć.

Znacznie dłużej niż ustalenie korporacji taksówkarskiej trwało wyciąganie od kioskarza informacji, które mogłyby okazać się przydatne.

- Powiedział, dokąd chce jechać?
- Nie, zszedł z góry, poprosił o pożyczenie smartfona, zadzwonił i tyle. Wcześniej dzwonił do córki.
- Najpierw zadzwonił do córki, porozmawiał z nią i zaraz po tej rozmowie wezwał taksówkę? – upewnił się Przygodny, już kombinując,

co takiego Brzecki mógł usłyszeć od Katarzyny, że skłoniło go to do natychmiastowego opuszczenia szpitala.

– Nie, nie. Do niej dzwonił poprzednim razem, ale nie odebrała.

– Jakim poprzednim razem?

– No, jak zemdłał.

Przygodny zaklął w duchu, ale taka była już dola komisarza polskiej policji, że świadkowie, potrafiący zgrabnie i składnie opowiedzieć przebieg wydarzeń, należeli do zdecydowanej mniejszości. Wynikało to zapewne z jakichś deficytów szkolnictwa, bo ani w Belgii, ani w Irlandii, gdzie Przygodny przebywał na stażach, policjanci na coś takiego się nie skarżyli. Choć może mieli większą tolerancję dla tych, u których szwankowała komunikacja między synapsami a językiem.

– A kiedy zemdłał?

– Jak zszedł za pierwszym razem.

– Czyli zszedł dwa razy?

Kioskarz potwierdził skinieniem głowy z taką miną, jakby nie chciało mu się ponownie powtarzać, co już kilkakrotnie powiedział.

– Dlaczego zemdłał? Przejął się, że córka nie odebrała telefonu?

Na odpowiedź komisarz musiał trochę zaczekać, co uznał za dobry omen. Te udzielane po zastanowieniu się zazwyczaj rzetelniej oddawały rzeczywistość.

– Nie, kiedy nie odebrała, powiedział, że będzie chciał pożyczyć komórkę później, i wrócił do czytania gazety. I kiedy ją czytał, zemdłał.

– A jaka to była gazeta?

– No ta, co ją ode mnie kupił. Dwa egzemplarze wziął.

– Pytałem o tytuł.

– „Wyborcza” albo „Wrocławska”. Pamiętam, że na W. Może być jeszcze „Wprost”, ale tak mi się kojarzy, że na stoliku miał rozłożoną szerszą codzienną, a nie formatu tygodnika.

Przygodny poszedł za wzrokiem kioskarza, ale na wskazywanym stoliku nic nie leżało.

– Sprzątaczką musiała zabrać i wyrzucić. – Sprzedawca odgadł myśli komisarza.

– Proszę mi dać i „Wyborczą”, i „Wrocławską”.

– Jak dać? Rekwiruje pan?

– Kupuję. Czy on od razu wziął dwa egzemplarze?

– Nie. Poczytał najpierw jeden, a potem wziął drugi.

– To może dokupił inną gazetę?

– Nie, pamiętam, że powiedział „Jeszcze jeden egzemplarz poproszę”.

Przygodny podziękował i zadzwonił ze swojego telefonu do Mini Radio Taxi z prośbą, żeby zgłosił się do niego taksówkarz, który ze szpitala przy Fieldorfa zabrał pacjenta w piżamie. Korporacja albo starannie odnotowywała kursy, albo taksówkarz z powodu piżamy doskonale zapamiętał pasażera, bo nie minęła minuta, jak oddzwonił, że zawiózł go na Biskupin.

– Konkretnie na Gersona. To podwórko, gdzie przedszkole.

Uściślenie było potrzebne, bo bramy niektórych bloków, chociaż też na Gersona, wychodziły na inne podwórka.

– Okej, już wiem. Nie zdziwiła pana ta piżama?

– Panie, ja od tylu lat jeżdżę, że mnie nic nie dziwi. Kiedyś wiozłem pasażerkę bez majtek. I tak manewrowała girami, żeby zobaczyć, że

pod spódnicą nic nie ma. Szkoda tylko, że ani trochę nie przypominała Sharon Stone.

– Mówił, po co jedzie na Biskupin? Albo dlaczego wyszedł ze szpitala w piżamie?

– Nie. Rozmawialiśmy o Uberze. Tak swoją drogą to moglibyście się za nich wziąć, przecież to nie są żadne okazyjne podwożenia, tylko regularna działalność, cała armia Ukraińców pracuje dla tych bandytów. Nie obchodzi was łamanie prawa?

– Ja jestem od zabójstw.

Przygodny na okrągło dowiadywał się od świadków, że powinien uspokoić głośnego sąsiada, przegonić przekupkę, dać mandat za złe parkowanie czy ukarać za zostawienie nieczystości po psie. Na początku tłumaczył, że przecież policja i straż miejska się tym zajmują, co wywoływało oburzenie, że właśnie nie, choć powinny, więc nauczył się kwitować podobne pretensje stwierdzeniem, które skutecznie je ucinało.

Na Biskupin pojechał też na sygnale, gdyż Brzecki mógł potrzebować pomocy. Coś skłoniło go do natychmiastowego opuszczenia szpitala, ale przecież przez to nie wyzdrowiał i niewykluczone, że po opadnięciu fali adrenaliny legł nieprzytomny. Komisarz nie rozważał jednak, co to było, skoro za kilkanaście minut mógł zapytać samego Brzeckiego. A jeśli ten będzie nieprzytomny, odpowiedź musiała znajdować się w którejś z gazet. Dlatego je kupił, kiedy jeszcze nie wiedział, że Brzecki pojechał do domu, i nie miał pewności, że go szybko znajdzie.

Ponieważ nie gnał już na skręcenie karku, zastanawiał się nad morderstwem na Polance. A właściwie nad różnicami między nim a zamachem na Gersona. Zostawienie broni było wytłumaczalne: sprawca zabił dwie osoby, które chciał zabić (względnie trzy, jeśli Brzecki przeżył wbrew jego intencjom, ale ta wiadomość do niego nie

dotarła), kolejnych zabójstw nie planował, więc porzucił pistolet. Najwyraźniej wiedział albo żywił przekonanie, że donikąd on policji nie doprowadzi. Podobnie z odciskami palców, ucieszyli się z ich znalezienia, ale mogła to być nie nieostrożność zabójcy, lecz właśnie pewność, że nie są nigdzie zarejestrowane. Ale dlaczego sprawca za pierwszym razem użył tłumika, a za drugim już nie? Dlaczego za pierwszym razem włożył rękawiczki, jak zeznał Brzecki, a za drugim nie? Przecież znowu zastrzelił człowieka w jego domu, czyli musiał to zaplanować, nie działał spontanicznie, pod wpływem impulsu. A co jeśli...? Gajda powiedział, że dokumenty Rachwalskiego znajdowały się w kurtce w przedpokoju. A tę mógł tam powiesić jako gość. Czy coś innego potwierdzało, że Rachwalski rzeczywiście był lokatorem, a nie gościem? Wojskowy powiedział, że go nie znał, że pewnie wprowadził się niedawno, ale równie dobrze mógł nigdy tam nie mieszkać.

Przygodny chciał zadzwonić do Gajdy, żeby dopytać, czy mają pewność, że Rachwalski wynajmował mieszkanie, w którym został zabity, kiedy wyświetlacz smartfona w uchwycie zestawu głośnomówiącego pojaśniał i pojawiło się na nim nazwisko aspiranta.

– Słucham cię.

– Mam, szefie, balistykę. Najpierw nie chcieli mi zrobić od ręki, ale...

Nie wiadomo dlaczego Przygodny pomyślał, że teraz czy raczej po obowiązkowym wstępie usłyszy, że pistolet jednak wcale nie był ten sam, że faktycznie doszło do zbiegu okoliczności i dwóch różnych sprawców posłużyło się identycznym modelem broni. I jego rozważania, dlaczego tylko raz użyto tłumika, okażą się bezprzedmiotowe.

– ...stuprocentowa zgodność, nie ma żadnych wątpliwości. Ta sama beretta M9 w obu strzelaninach.

– Znakomicie. Choć rodzi to parę pytań. – Komisarz podzielił się z podwładnym swoimi przemyśleniami. – Coś lub ktoś potwierdza, że denat rzeczywiście tam mieszkał?

Gajda zastanowił się.

– Zanim pojechałem do balistyki, nic takiego faktycznie nie wypłynęło. Ale kurtka była w szafie, nie na zewnątrz.

– A jest tam wieszak na zewnątrz? Bo jeśli nie ma, to również gość mógł zostawić kurtkę w szafie.

– Zaraz to posprawdzam. Pan co robi, szefie?

– Szukam uciekiniera ze szpitala.

– Co?

Przygodny zdał krótką relację ze swoich poczynań.

– Teraz szansa, że Brzecki okaże się pomocny, rośnie. Jeśli sprawca nie zostawił odcisków na broni przez przeoczenie, to w kartotece go nie mamy, ale Brzecki jakieś punkty styczne między jego rodziną a Rachwalskim, prowadzące nas do zabójcy, powinien umieć wskazać.

Tej teorii komisarz nie zdołał od razu potwierdzić, bo ani na domofon, ani na dzwonek do drzwi nikt nie zareagował. Zerwana plomba świadczyła jednak o tym, że Brzecki do swojego mieszkania wszedł, co uprawdopodobniało obawy, że leży w nim nieprzytomny. Włamywać się Przygodny nie chciał, czekać na ślusarza też nie, ale rozpowszechniony zwyczaj zostawiania zapasowych kluczy u rodziny bądź przyjaciół wymagał tylko wytypowania osoby, która mogła je mieć. A że jedyna córka Brzeckich była w Stanach, w tym przypadku należało postawić na tych drugich. I niewątpliwie jakiś rodzaj przyjaźni łączył zabitą panią Irenkę z Bogumiłą Kownacką.

Rozumowanie okazało się trafne, ale nie uwzględniało dynamiki wydarzeń.

– Miałam klucze, ale pan Bogusław je ode mnie wziął.

– Kiedy?

– Niech pomyślę... o dziewiątej byłam na zakupach na ryneczku, tu zaraz obok, lubię tam chodzić, bo warzywa mają zawsze świeżutkie...

– Czyli dzisiaj wziął te klucze?

– Tak, tak, dzisiaj. Myślałam, że pan komisarz pyta o godzinę, bo wcześniej to był w szpitalu, a jeszcze wcześniej to żyła pani Irenka i pan Bogusław nie decydował sam...

– Jak wyglądał, kiedy z panią rozmawiał? Błady był, sprawiał wrażenie osłabionego?

– Nie, nie, całkiem przeciwnie, taki z energią, jak nigdy, nawet mi coś obscesowo powiedział, chyba zwariował z żalu po śmierci pani Irenki...

Przygodny powstrzymał się od sprostowania, że nie zwariował, tylko wyzwolił się spod jej wpływu. Przestrzeganie zasady, że prywatnymi odczuciami świadków się nie zajmuje, opłaciło się, gdyż pozwoliło Kownackiej na dalszy wywód, zawierający niespodziewanie istotną informację.

– ...w piżamie ganiał, potem niby płaszcz nałożył, ale i tak widziałam, że piżama spod niego wystaje.

– Kiedy potem?

– No, jak odjeżdżał samochodem.

– Nie został w mieszkaniu?

– Nie, wszedł tam może na dwadzieścia minut. Nie żebym go śledziła, nie jestem jakaś ciekawska czy co, przypadkiem podeszłam do okna i zobaczyłam, jak wychodzi z bramy.

Wobec Przygodnego te usprawiedliwienia nie były potrzebne, jako policjant dziękował opatrności za każdego sąsiada, który lubił wtykać nos w nie swoje sprawy.

– Jaki pan Bogusław ma samochód? – w trakcie zadawania pytania komisarz zdał sobie sprawę, co usłyszy w odpowiedzi, i nie pomylił się.

– Seledynowy.

– Ma pani może numer komórki do niego?

Tu również ponieważ zreflektował się, że pytanie nie miało sensu, telefon Brzeckiego jako ofiary postrzelenia zabezpieczyli technicy, więc nie odzyskał go po powrocie ze szpitala i nadal nie było możliwości, by się do niego dodzwonić.

– A czemu miałabym mieć? Do pani Irenki to tak, ale przecież nie dzwoniłam do jej męża za jej plecami, nie żeby mogła coś sobie pomyśleć, ja z takich nie jestem, ale...

Tym razem komisarz uwierzył, że Kownacka nie jest z takich, „obscesowo” się pożegnał i zszedł przed blok. Teraz już miał pewność, że nie zdążyłby zapobiec morderstwu na Obornickiej, ale stanowczo sobie obiecał albo raczej nakazał, że w przyszłości nie może dopuszczać do takich sytuacji, bez względu na to, jak bardzo ciągnęłoby go do Justyny. I zadzwonił nie do niej, a do Gajdy.

– Coś już wiesz z tym Rachwalskim?

– Tak, dotarłem do właściciela mieszkania. Rachwalski je wynajmował. I zarejestrował w nim firmę.

– W wynajmowanym? – zdziwił się Przygodny.

– Czemu nie? Miał umowę, więc mógł je zgłosić jako siedzibę firmy. Samą działalność prowadził pewnie gdzie indziej, bo to handel wszystkim, czym się da, a w mieszkaniu żadnych towarów nie było.

– Właściciel potrafił coś więcej o nim powiedzieć?

– Nic kompletnie. Wziął go z ogłoszenia i widział raz w życiu, jak podpisywali umowę, pieniądze wpływały na konto regularnie i bez opóźnień, więc się nim nie interesował. Też dlatego, że Rachwalski z góry mu powiedział, że chce w mieszkaniu zarejestrować firmę, a z jego doświadczenia mało jest takich uczciwych.

– Uczciwe małżeństwo, uczciwy przedsiębiorca, dlaczego ktoś do nich strzela?

– A co powiedział Brzecki? – aspirant wskazał bardziej kompetentnego adresata pytania.

– Nie ma go, gdzieś pojechał. Ustal, jaki ma samochód, i daj go na listę poszukiwanych. Pilnie poszukiwanych.

– Samochód czy Brzeckiego?

– Jedno i drugie.

Kuriata spojrzął na wyświetlacz dzwoniącego telefonu, ale kiedy zobaczył napis „Naczelnny”, pozwolił dzwonić mu dalej. Trzeba było Misiakowi dać czas, żeby ochłonął, żeby od fazy wkurzenia, że go zlekceważyli i złamali jego zakaz, przeszedł do konkluzji, że w sumie wyszło optymalnie. On ocalił swoje etyczne dziennikarskie dziewictwo, do tego zachowywał twarz, skoro załatwili sprawę rękami Andrzeja, „Kurier” zaś miał najlepsze zdjęcia w całej galaktyce.

Wyciszył komórkę, żeby nie zdradziła go przed spiskowcami, i wszedł za nimi do szpitala. Miał nosa, że postanowił śledzić

Kownackiego. Najpierw dał się nabrać na jego rozbawienie, ale potem ocenił je jako ciut za swobodne, wyśmiewanie zarzutów za nieco zbyt ostentacyjne. I zmysł obserwacji, wyostrzony przez lata dziennikarskiej kariery, go nie zawiódł. Jeszcze wprawdzie nie wiedział, czego Kownacki tu szukał, ale faceci, których całą winą jest zdradzanie żony, nie włamują się do nieczynnych szpitali.

Zresztą przyjezdny, mający we Wrocławiu kochankę, spędzałby czas u niej, a nie w hotelu, w którym znalazł go Kuriata. Zajęło mu to bite dwie godziny i już był bliski poddania się i przyjęcia, że lekarz albo zamieszkał u lubej, albo wynajął dla niej i dla siebie jakąś kawalerkę. Ale w końcu w hotelu Campanile, gdzie po raz n-ty powtórzył, że chciałby przekazać wiadomość doktorowi Zygmuntowi Kownackiemu, ale, niestety, nie zna numeru jego pokoju, nie usłyszał sprostowania, że żaden doktor Kownacki się u nich nie zatrzymał. Campanile znajdował się na Ślężnej i należał raczej do niedrogich hoteli, a pierwszym wyborem Kuriaty były położone te blisko Rynku, skoro lekarz chciał się z nim spotkać w Literatce, i pięciogwiazdkowe, skoro swój zawód wykonywał w Szwecji.

Nie spodziewał się zdemaskowania od tyłu, więc kroki na korytarzu usłyszał tak późno, że ledwo zdążył przeskoczyć spod drzwi bloku operacyjnego do bocznej salki. Przez dziurkę od klucza zobaczył pielęgniarkę, z którą za nic nie chciałby się umówić, oceniając ją w myślach jako „spasione stare pudło”. Kobieta dołączyła do spiskowców, a potem wyprowadziła tę młodą dziewczynę, która z kolei wyglądała Kuriacie na zbyt chorą, by uznał ją za atrakcyjną.

Mężczyźni zostali w środku, więc dziennikarz cierpliwie czekał. I nie pomylił się w swoich rachubach. Pielęgniarka wróciła po jakimś czasie, pchając przed sobą łóżko na kółkach. Pacjentka miała głowę odwróconą w drugą stronę, a włosy schowane pod czepkiem operacyjnym, ale nie

mogło być wątpliwości, kto to jest, założenie, że spiskowcy mieli dwie chore, wymykało się rachunkowi prawdopodobieństwa.

Kiedy mobilne łóżko zniknęło za mlecznymi drzwiami, Kuriata odczekał jeszcze dziesięć minut, po czym ostrożnie sam się przez nie wsunął. Oceniał, że ekipa liczyła zbyt mało ludzi, by ktoś mógł zostać na czatach, wszystkie ręce potrzebne były przy stole operacyjnym. W zasadzie, żeby stwierdzić, że przeprowadzają nielegalny zabieg, nie musiał wchodzić do środka, ale liczył na podsłuchanie rozmowy, która powiedziałaaby mu coś więcej. Na przykład, kim jest operowana dziewczyna i co jej przeszczepiają. A przede wszystkim, skąd mają narząd, który jej przeszczepiają.

Wszystkie inne możliwości poza transplantacją wykluczył podczas tych dziesięciu minut czekania. Kownacki nie był znachorem, miał uprawnienia lekarza i mógł przeprowadzić zgodnie z prawem każdą operację. Jeśli jego rodzimy szpital na coś się nie zgadzał, prywatnych klinik nie brakło. Ale nawet one nie zezwoliłyby na wszczepienie organu niewiadomego pochodzenia. Tylko nielegalny przeszczep wyjaśniał, dlaczego zabieg odbywał się w zamkniętym już szpitalu, z którego najwyraźniej nie zabrano jeszcze całego sprzętu.

Odpowiedzi na żadne ze swoich pytań Kuriata się jednak nie doczekał. Operujący nikłą liczebność i brak kwalifikacji jednego z nich nadrabiali skupieniem, koncentrowali się na tym, co mieli zrobić, padały jedynie komendy, polecenia i wyjaśnienia, na żadną ogólniejszą rozmowę nie było co liczyć. Dziennikarz uznał ryzyko za nieopłacalne – narażał się na zdemaskowanie, bez szans, by cokolwiek w zamian uzyskać – i wycofał się.

Ale tylko na korytarz. Potrzebował dowodu, że Kownacki przeprowadzał nielegalną operację. Mógł włączyć nagrywanie w telefonie, zostawić go w przebieralni i przyjść po niego później.

Pozostawała kwestia, jak go ukryć, żeby uzyskać dobry film, a jednocześnie nie zostać zdemaskowanym. Wrócił do przebieralni i starając się poruszać możliwie cicho, wypróbował różne kryjówki. Za najlepszą uznał jedną z szafek: obiektyw kamery postawionej na sztorc komórki wypadał wprost na wysokości dziurki od klucza i obejmował swym zasięgiem umywalki, gdzie spiskowcy z pewnością będą myli ręce po operacji. Szafki chyba nie mieli powodu otwierać, ale gwarancji, że tego nie zrobią, nie miał.

Po namyśle doszedł do wniosku, że najgorszą konsekwencją byłaby utrata smartfona. Czyli musiał swój zastąpić innym. I miał na to dużo czasu, operacja przeszczepu z pewnością potrwa co najmniej kilka godzin. Wyszedł ze szpitala i odszukał najbliższy salon operatora sieci komórkowej, był to akurat Play. Zakupił telefon na kartę i zarejestrował go na redakcję „Kuriera”, po to, by nie płacić zań z własnej kieszeni. Kownacki raczej bez trudu powiązałby gazetę z Kuriatą, ale że ten zamierzał wyjąć kartę i użyć komórki wyłącznie jako kamery, lekarz nie miał szans na ustalenie, do kogo należała.

Po wyjściu z salonu zreflektował się, że nawet jeśli bateria telefonu jest naładowana, na kilka godzin nagrywania może nie wystarczyć, i po drodze otworzył swój samochód. W schowku woził powerbank, komórki używał w pracy na okrągło, przez co ciągle musiał ją doładowywać. Z nim miał już wszystko, by zainstalować pułapkę, co – zgodnie z przewidywaniami – przebiegło bez przeszkód: z sali operacyjnej wciąż dochodziły te same odgłosy, świadczące o najwyższym skupieniu. Potem usiadł w swoim porsche. Nastawił się na długie czekanie, ale nie bezczynne. Właśnie dlatego, że dla dziennikarza narzędziem pracy był telefon, nie musiał marnować czasu. Najpierw zadzwonił do Przygodnego.

– Słucham cię.

- Wiecie już, kim jest zabita na lotnisku?
- Nie.
- To długo ustalacie jej tożsamość.
- Skomplikowana sprawa.
- Żadnych wskazówek od ludności?
- Dlaczego mielibyśmy mieć wskazówki od ludności?

Pytanie świadczyło o tym, że Przygodny ani Gajda nie czytali dzisiejszego wydania „Kuriera” i że informacja o zdjęciach do nich nie dotarła. Ale też o tym, że nikt z czytelników nie rozpoznał tatuażu względnie nikt z tych, którzy rozpoznali, nie chciał policji ułatwić życia. Kuriata oczywiście wiedział, że policyjny telefon wcale nie milczał, bo apel o pomoc w identyfikacji musiał uruchomić co najmniej dwie setki świrów, żartownisiów, domorosłych detektywów i wrazeniowców („Mam wrażenie, że widziałem ten tatuaż u mojej sąsiadki”). Ale policja była na podobne sytuacje przygotowana, miała ludzi do odbierania takich telefonów, którzy świrów rozpoznawali od ręki, wrazeniowcom wskazywali, że należy kierować się logicznym myśleniem („Sąsiadka zaginęła?”, „Chyba nie, rano szła na zakupy”), a wszelkie informacje, noszące cechy prawdopodobieństwa, weryfikowali, zanim trafiły do prowadzących śledztwo. Skoro na komisarski szczebel nic się nie przedostało, znaczyło to, że każda wskazana przez informatorów osoba żyła.

Pozostając przy zabójstwie na lotnisku, w drugiej kolejności zadzwonił do Brodziaka, by dowiedzieć się, czy fotograf dał się złamać natrętnymi telefonami naczelnego i któryś z nich odebrał.

- Co ty? Jeszcze mi życie miłe.

Wydawszy dyspozycję o poszukiwaniu Brzeckiego, Przygodny znowu poszedł z Gersona na piechotę, ale tym razem nie do córki, lecz do pizzerii Biskupin. Lubił ten lokalik, który przez to, że stał przytulony prostopadle do większego budynku, a wejście miał w rogu, sprawiał wrażenie wciśniętego w kąt. W środku był tylko jeden klient, który przechylał się przez bufet i ze swadą opowiadał coś przygotowującej pizzę dziewczynie. Kiedy komisarz podszedł, z trudem oderwała się od tej opowieści, żeby go obsłużyć. Dopiero teraz w jej pytaniach usłyszał wschodni akcent, chociaż nie była nowa i już u niej zamawiał. Zdecydował się na zupę ogórkową, do której wziął chleb czosnkowy, i usiadł przy stoliku.

Rozłożył kupione w szpitalu gazety i uznając Brzeckiego za intelektualistę – ostatecznie, w handlu bo w handlu, ale pracował z książkami – zaczął od przeglądania „Wyborczej”. Długo mu to nie zajęło, Brzeckiego mogło wytrącić z równowagi tylko coś, co wydarzyło się na miejscu, a dolnośląski dodatek był bardzo cienki. Żadna wiadomość w nim nie przykuła uwagi Przygodnego, przeszedł więc do „Wrocławskiej”. Tutaj od razu skupił się na artykule, opisującym zamach na Gersona. Nie zdziwiło go, że w „Wyborczej” o tym nie wspomniano, nieraz słyszał przechwałki Kuriaty, że tylko on zamieścił relację z dokonanego morderstwa, podczas gdy pozostałe gazety nie zdołały się o nim w porę dowiedzieć. Przeczytał wnikliwie obszerny tekst, raz, drugi, trzeci, ale nie dopatrywał się żadnej informacji, wyjaśniającej omdlenie Brzeckiego, a potem jego gorączkową aktywność. Pytanie brzmiało, czy jej tam nie było, czy do wyłapania brakowało mu wiedzy, którą miał wdowiec.

Odsunął gazetę i zobaczył, że dziewczyna stawia na bufecie jego zupę, poszedł więc, by ją wziąć. Kiedy wracał do stolika, usłyszał, jak klient gaduła ścisza głos i pyta o coś obsługującą. Dobiegły go słowa „pani Wiktorio” i „zaprosić na kawę”. Podrywa ją, uśmiechnął się

Przygodny do siebie w duchu. Kiedy z powrotem usiadł, dyskretnie spojrzał na tamtych w nowych rolach: nie gościa pizzerii i bufetowej, tylko adoratora i kobiety. Ona była naprawdę bardzo ładna – regularne rysy szczupłej twarzy podkreślały upięte ciemne włosy, wydatny biuścik idealnie wpisywał się w zgrabną sylwetkę – on przeciętny, co najmniej dwa razy od niej starszy. Były czasy, kiedy takie zaloty oburzyłyby Przygodnego, ale w tej chwili widział w nich dobraną parę.

Wrócił do „Wrocławskiej” i przejrzał resztę numeru, ale nie natrafił na nic, co wyjaśniałoby zachowanie Brzeckiego. Owszem, zawierała wstrząsające informacje, na przykład o rażeniu paralizatorem i duszeniu obezwładnionego już młodego mężczyzny w komisariacie na Trzemeskiej, co doprowadziło do jego śmierci, czy raczej o mocno niemrawym śledztwie w tej sprawie, ale przecież nie dotyczyły one Brzeckiego osobiście. To już prędzej Przygodnego, który ze wstydem przypominał sobie, jak w sumie pobłaźliwie potraktował Wójcika i Wojtkiewicza, kiedy uderzyli potencjalnego podejrzanego. Zmył im wprawdzie głowy, ale nie wyciągnął konsekwencji służbowych. Kazał im przeprosić poszkodowanego, ale nie dopuścił, by ten złożył skargę. Wtedy wydawało mu się, że postępuje racjonalnie i stosownie do winy posterunkowych, ale teraz dostrzegał, że przymknął oko na przestępstwo. A funkcjonariusze policji nie mogli stać ponad prawem. Obiecał sobie, że jeśli Wójcikowi i Wojtkiewiczowi jeszcze raz zdarzy się przekroczyć uprawnienia, to wyrzuci ich ze służby. Ale byli o tyle bezpieczni, że reprimendą mocno się przejęli – co może trochę usprawiedliwiało, że uznał ją za wystarczającą – i od tego czasu zachowywali się przykładowo. W każdym razie jeśli chodzi o podejście do podejrzanych, same działania policyjne w ich wykonaniu nadal pozostawiały nieco do życzenia.

Podniósł oczy znad gazety i natrafił spojrzeniem na mężczyznę, jedzącego przy przeciwległym stoliku pizzę. Tego samego, który

podrywał obsługującą. Niemal płakał, pizza rosła mu w gardle, ale starał się udawać, że pałaszuje ją ze smakiem, że nie wydarzyło się nic, co pozbawiłoby go apetytu. Ten teatr był najwyraźniej na użytek dziewczyny, od której musiał dostać kosza. Komisarz przeniósł na nią wzrok: krzątała się za bufetem jakby nigdy nic, ale unikała patrzenia na zalotnika. Ciekawe, dlaczego mu odmówiła, przecież słuchała go z niekłamanym zainteresowaniem, jej uśmiech też nie wydawał się czysto służbowy.

Nieszczęsnemu pociekła po policzku łza, którą błyskawicznie otarł. Wyglądało na to, że nie było to z jego strony pierwsze podejście, żaden mężczyzna nie reaguje po początkowej odmowie płaczem, tylko próbuje dalej. Przygodny uświadomił sobie teraz, że rzekoma swada maskowała ogromne napięcie, strach przed ostatecznym odrzuceniem. Zrobiło się mu go żal, sam szczęśliwy, przychyliłby teraz wszystkim nieba.

Nie chcąc ujawnić swoich odczuć – każdy mężczyzna źle znosi litość, na dodatek litość obcych – skupił się ponownie na pytaniu nurtującym go w śledztwie: co skłoniło Brzeckiego do opuszczenia szpitala? I wtedy go oświeciło. Zajęcie myśli czymś innym, a dopiero potem powrót do problemu często skutkowało znalezieniem rozwiązania. W tym przypadku jeszcze nie, ale do Przygodnego dotarło, że źle szukał. Skupił się na artykułach, a pomiął ogłoszenia, nekrologi, reklamy. Tymczasem – jeśli odpowiedź nie znajdowała się w relacji z zamachem na Brzeckich – najprawdopodobniej ukryta była właśnie tam. No, może nie w reklamach, ale ogłoszeniami posługiwali się przecież nawet szpiedzy do przekazywania sobie informacji.

Ich lektura nic jednak Przygodnemu nie dała, poza wiedzą, że w rubryce „Towarzyskie” wcale nie szuka się partnerów do brydza, a anal i analitka nie są skrótami od analityk i analityczka. Z nekrologów dowiedział się tyle, że umierali sami dobrzy i kochani ludzie, co sprawiło, że zaczął się zastanawiać, jak wyglądałoby wspomnienie

pośmiertne o Irenie Brzeckiej, spisane przez zabójcę. Albo jeszcze lepiej o tej zabitej na lotnisku. Może bardziej prawdziwie niż to zredagowane przez rodzinę? Nie ulegało wątpliwości, że morderca jej nienawidził, nigdzie zaś nie było powiedziane, że ta nienawiść wzięła się z urojeń, a nie z postępowania ofiary.

W „Wyborczej” obok nekrologów znajdowały się zdjęcia osób zaginionych, jakby redakcja chciała zasugerować, że wkrótce trafią do sąsiedniego działu. W przypadku zaginionych od dawna była to zresztą smutna prawda: brak jakichkolwiek śladów nie świadczył o skutecznym ukrywaniu się, choć zwykle rodziny chciały się tak ludzić, lecz o skutecznym ukryciu zwłok. Może Brzecki rozpoznał kogoś na tych zdjęciach? Mordercę swojej żony? Nawet jeśli, dlaczego nie zadzwonił z tym na policję? Ale zanim Przygodny odczytał nazwiska pod fotografiami mężczyzn, pasującymi do rysopisu „kuriera”, jego uwagę zwrócił podpis „obywatelka amerykańska”. Trzydziestotrzyletnia Sara Taylor zaginęła we Wrocławiu przed tygodniem. Córka Brzeckiego mieszkała w USA, może występował tu jakiś związek? Nonsens. Nie wiedział wprawdzie, ilu Amerykanów przebywało we Wrocławiu, ale z pewnością zbyt dużo, by samo obywatelstwo wskazywało na jakieś powiązania. Co innego, gdyby chodziło o mieszkańców wysp Tuwalu.

Odłożył gazetę, uznając swoją porażkę. Nie było innej metody, żeby dowiedzieć się, dlaczego Brzecki opuścił szpital, niż zapytać jego samego. Zobaczył, że nieszczęśliwy mężczyzna zniknął. Przygodny miał nadzieję, że nie poszedł skoczyć ze Sky Tower. Jego rozpacz cechowało coś takiego ostatecznego, nieodwoływalnego. Może powinien ustalić jego nazwisko i podesłać mu policyjnego psychologa? Ale te szlachetne zamiary ukrócił telefon od Gajdy.

– Panie komisarzu, musi pan tu natychmiast przyjechać, do Lasu Strachocińskiego, źle jest!

- Jeszcze jedno złamane serce?
- Co?
- Nieważne. Co się stało?
- Znaleźliśmy samochód Brzeckiego. Z krwią w środku.

Kiedy Kuriata nie miał już do kogo dzwonić, zaczął zastanawiać się nad nielegalną operacją, na której zakończenie czekał. Przyszło mu do głowy, że dziewczyna mogła być dawcą, a nie biorcą, a to, co brał za oznaki choroby, stanowiło efekt otumanienia środkami uspokajającymi. Od razu jednak odrzucił tę hipotezę. Spiskowcy traktowali pacjentkę z troską, której raczej nie okazywaliby komuś, kogo mieli zamiar okaleczyć lub zabić. Poza tym, gdzie mieliby dokonać przeszczepu, który musiałby się odbyć najdalej w ciągu kilku godzin? W innym zamkniętym szpitalu? Nonsens. Skoro znaleźli tak dogodne miejsce, wykorzystaliby je nie tylko na pobranie, lecz także na samą transplantację.

Z faktu, że Kownacki miał w nieczynnym szpitalu tylko jedną operację, wynikało, że narząd do przeszczepu zdobył bez konieczności przeprowadzania takowej, a to mogło oznaczać wyłącznie zabójstwo. Czyje? Sąsiadki z dołu! Kuriata podejrzewał go o romantyczne uniesienia, a tymczasem facet był daleko bardziej praktyczny. Zabił, by zdobyć organy.

Problem w tym, że Brzecka została poszatkowana pociskami, a tak się nie strzela do potencjalnego dawcy. Dostarczycielowi organów ładuje się kulkę w tył głowy. Można zobaczyć na filmach z chińskich egzekucji. Poza tym zginęła trzy dni temu, przez taki czas to można przechowywać wątrobkę na obiad, a nie do przeszczepu. No i była zwyczajnie za stara. Nawet jeśli ktoś wbrew opinii Kuriaty chciałby

twierdzić, że stare kobiety wcale nie są bezużyteczne, to w tym przypadku poprawność polityczna nie zdołałaby zniweczyć medycznych wymogów: człowiek przestawał wchodzić w grę jako dawca, kiedy kończył...

Ponieważ Kuriata nie wiedział, ile lat, sprawdził to w internecie na swoim smartfonie. Okazało się, że się mylił, nie było ograniczeń wiekowych, liczył się wyłącznie stan zdrowia, nadawał się nawet osiemdziesięciolatek, jeśli zawału dostał na korcie tenisowym. Oczywiście nie na dawcę serca. Tyle że obalenie tego argumentu nie podważało pozostałych.

Jeśli nie Brzecka, to ofiarą Kownackiego musiała być kobieta zabita na lotnisku. To, co wzięli z Julkiem za skutek masakry, było w rzeczywistości efektem wycięcia narządów. A głowę sprawca rozwalił, bo nie chciał atakować innych części ciała, żeby nie uszkodzić potrzebnych organów. Wiadomo zaś, że głowę rozbić najtrudniej, starając się to zrobić, można przedobrzyć. Oczywiście Kownacki był zbyt cherlawy, żeby zatłuc kobietę gołymi rękami, ale ten jego pomagier poradziłby sobie nawet z koniem. Przez chwilę Kuriata zastanawiał się, czy niesięgnięcie po pistolet lub nóż nie przemawia przeciwko jego teorii, ale doszedł do wniosku, że nie. Żadna z tych metod nie była ani lepsza, ani gorsza. A za jego teorią przemawiał fakt, że więcej zabójstw we Wrocławiu przez ostatnią dobę nie było. Ściślej rzecz biorąc, on o żadnych nie wiedział, ale to wychodziło na jedno. Nieraz docierał do zwłok jeszcze przed policją.

„Przez ostatnią dobę”. Zatrzymał się na tym określeniu czasowym. No właśnie, czy między śmiercią kobiety na lotnisku a przeszczepem na Traugutta nie minęło zbyt dużo czasu? Znowu sprawdził w internecie i okazało się, że nie. Serce trzeba było wprawdzie wszczepić w ciągu 4–6 godzin, ale nerki mogły czekać nawet 72. Czyli jednak Brzecka

czasowo też się mieściła. Pod warunkiem że kanonada nie zmieniła jej nerek w rzeszoto, bo zamiast filtrować, by przeciekały.

Czy też popełniał błąd, zakładając, że organy pochodziły z Wrocławia? A tu odbywał się wyłącznie przeszczep ze względu na ten nieczynny szpital. Możliwe, przecież Kownacki przyjechał ze Szwecji. Ale czy nie praktyczniej zabić dawcę na miejscu? Przecież jeśli organy trzeba przewieźć, traci się czas. Dużo czasu, bo do samolotu się z nimi nie wsiądzie.

Sprawdził, do jakiej miejscowości prowadził numer kierunkowy telefonu Kownackich. Do Sundsvall. Nic wiedział, gdzie to miasto leżało, więc poszukał na mapie. Północ Szwecji. Może nie daleka, ale kilkaset kilometrów powyżej Sztokholmu. W którym raz był i pamiętał, że płynął promem ze dwadzieścia godzin. A z Wrocławia do Gdańska jechał cały dzień.

Ale z nerkami by zdążyli. Do tego Kownacki, mając dostęp do wyników badań swoich pacjentów, wiedział, który z nich nadawał się na dawcę. Nie można było przecież zabić dowolnej osoby i liczyć na łut szczęścia, że jej organy okażą się pasować biorcy. Chociaż w grę wchodziło i takie rozwiązanie, że lekarz wcale nikogo nie zabił, tylko narządy ukradł. Dawca zmarł śmiercią naturalną, a Kownacki przywłaszczył sobie jego nerki, zamiast oddać je czekającemu w kolejce. Tylko po co wtedy ten cyrk z przeszczepem w nieczynnym szpitalu? Mógł go przeprowadzić w lepszych warunkach we własnym, bo kradzieży narządów od swojego pacjenta tak czy tak nie zdołałby zataić, a po co się kryć, jeśli wpadka jest nieunikniona? Albo inaczej: jeśli zdołał obejść procedury stosowane przy przydzielaniu narządów, to obszedłby również procedury operacyjne. Nie, ryzykowny zabieg wskazywał na równie ryzykowny sposób zdobycia narządów. Paradoksalnie dający większe szanse na uniknięcie odpowiedzialności. Za fałszowanie dokumentów groziła niższa kara, ale śladów nie dało się

usunąć. Przy morderstwie jeśli sprawca nie był powiązany z ofiarą i zadbał, żeby nie zostawić odcisków palców i swojego DNA, mógł z powodzeniem liczyć na to, że śledczy nie wpadną na jego trop.

Powiązany z ofiarą. No właśnie. Zabijanie własnego pacjenta wiązało się z dużym ryzykiem. Czy nie rozsądniej było zadać sobie trud, by podstępem czy w jakiś inny sposób zdobyć wyniki badań zupełnie obcej osoby, a potem ją zabić? W zasadzie wystarczyło włamać się do jakiejś bazy danych i wybrać kogoś odpowiedniego. Albo zwyczajnie do praktyki lekarskiej. Osilek na hakera nie wyglądał, ale potrafił sforsować zamknięte drzwi, co zademonstrował w tym szpitalu. Z praktyki mógł ukraść leki i bloki recepturowe, żeby skierować podejrzenie na narkomanów na głodzie i zatuszować, że zjawiał się tam po to, by przejrzeć karty pacjentów.

Taki modus operandi przemawiałby jednak za miejscową ofiarą. I wykluczałby tę z lotniska jako przymusowego dawcę. W karcie pacjenta jest jego adres, a nie plan podróży, łowcy organów nie wiedzieliby, kiedy i z jakiego samolotu wysiądzie. Czyli zostawała Brzecka. Ale znowu: pięć kul świadczyło o wściekłości, tymczasem do człowieka, którego traktuje się jako bank organów, nie ma się osobistego stosunku.

Czyli jednak ktoś trzeci, szkopał w tym, że tego trzeciego nie... Zaraz! Brzecki! Nerkę można przecież wyciąć żywemu. A dzięki temu, że Brzecki został postrzelony, trafił do szpitala, gdzie są odpowiednie warunki, by to zrobić. Tylko jak? Przecież Kownacki nie wszedł tam pod osłoną nocy, by potajemnie pobrać organ. Moment! Są nie tylko sąsiadami, matka jednego od lat przyjaźni się z żoną drugiego. Kownacki „dowiaduje się” o postrzeleniu, którego dokonał jego współnik, jedzie do szpitala i oferuje Brzeckiemu, że się nim zajmie. To dlatego był we Wrocławiu już od piątku, chociaż operację na Traugutta przeprowadzał dopiero w poniedziałek. Miejscowy lekarz nie powinien mieć nic

przeciwko zastępstwu, polscy lekarze są przepracowani, a tu kolega po fachu ze Szwecji chce go za friko wyręczyć. Kownacki pobiera nerkę, a Brzeckiemu i asystującym pielęgniarkom wmawia, że została uszkodzona przez pocisk i trzeba ją usunąć.

Tylko jak w tym scenariuszu mieściło się zabicie jego żony, skoro celem zamachu było zranienie Brzeckiego? Bardzo prosto: gość strzelił do niej, by ją uciszyć i usunąć z drogi, ale najwidoczniej to nie podziałało. Pyskate baby nigdy nie wiedzą, kiedy się zamknąć. Więc władował jej cały magazynek. Albo był to świadomy manewr, mający na celu wyprowadzenie policji w pole: śledztwo skupia się na zabójstwie, a prawdziwy cel pozostaje w cieniu. Nie, niewarta skórka wyprawki. Nie popełnia się przestępstwa zagrożonego dożywociem, żeby utrudnić policji rozwikłanie przewinienia mniejszego kalibru.

Kuriata uznał swoją teorię, że mimowolnym dawcą jest Brzecki, za wystarczająco sensowną, by poświęcić czas na jej sprawdzenie. Zadzwoił do Czajczyka z prośbą, by zajrzał do sobotniego numeru „Kuriera” i powiedział mu, który szpital miał wtedy ostry dyżur chirurgiczny. Przy okazji dowiedział się o rozmowie z Misiakiem i o tym, że dział kryminalny został okrojony, a jego współpracownik przeniesiony do kultury.

– Do tego idioty Mrożewicza? Nauczysz się od niego, jak nie należy pisać do gazety. Bardzo przydatna wiedza!

Entuzjazm, że nadarza się okazja, by tę wiedzę zdobyć, nie przeniósł się na drugą stronę słuchawki, czym Kuriata wcale się nie przejął. Wyrzutów sumienia, że Andrzej wyleciał z działu przez niego, też nie miał – redakcja gazety to było samo życie w pigułce, wygrywali ci, którzy mieli twarde łokcie, a nie mazgaje.

Dowiedziawszy się, że w sobotę pracował szpital na Stabłowicach, dziennikarz stanął przed dylematem, czy jechać tam od razu, czy czekać,

aż spiskowcy skończą operację. Nic nie stało na przeszkodzie, by po nagrywającą komórkę wrócił później – prawdopodobieństwo, że jeszcze ktoś skorzysta z tego pomieszczenia i ją odkryje, było zerowe. Jadąc za nimi, mógł jedynie ustalić, dokąd zawiozą chorą, bo nie mieli żadnego powodu, by udawać się w miejsce, gdzie ukryli zwłoki dawcy, jeśli mimo wszystko był to trup, o którym nie miał pojęcia. A jeśli nie mylił się, że dawcą jest Brzecki, to te zwłoki w ogóle nie istniały. Owszem, chętnie by się dowiedział, gdzie pacjentka będzie dochodzić do zdrowia, ale Kownacki musiał jej doglądać, więc wystarczyło go śledzić w dowolnej chwili.

Po dojściu do tej konkluzji zrezygnował z czekania na koniec operacji, zwłaszcza że mogła trwać jeszcze długo. W tempie karetki na sygnale pognął w stronę szpitala, ale pilnując się, by nie przekraczać prędkości więcej niż czterdzieści dziewięć kilometrów na godzinę. Powyżej groziła utrata prawa jazdy, a na to nie mógł sobie pozwolić. Czy raczej nie chciał. Pewnie, że jako początkujący reporter jeździł robić materiały tramwajem, ale w młodości żywił się też chińskimi zupkami, na które teraz nawet by nie spojrział. Co do ewentualnego mandatu jeszcze przedwczoraj planował wcisnąć takowy Misiakowi, ostatecznie nie szalał po mieście dla przyjemności, tylko wykonując swoje służbowe obowiązki, ale w tej chwili naczelny pewnie nie był otwarty na nowatorskie rozwiązania, polegające na podwyższeniu Kuriacie pensji o wysokość zapłaconych mandatów. Nie szkodzi, jeśli rzeczywiście dopadnie go policja, wspomni o tym Misiakowi, kiedy sinusoida między kolejnymi jego wyskokami osiągnie dno.

Dojechał jednak na miejsce, nie natykając się na żaden patrol. Nie wiedział, w którym pokoju leżał Brzecki, poszedł więc do dyżurki pielęgniarek, gdzie przedstawił się jako „krewny” i zapytał o numer. Nie sądził, by wnikały, dlaczego jako krewny nie może po prostu do niego zadzwonić i zapytać. Ale siostra oddziałowa zaskoczyła go czym innym.

– Pan Brzecki nie leży w naszym szpitalu.

– Jak to nie leży w waszym szpitalu? W sobotę znaleziono go po postrzale, a wyście mieli wtedy ostry dyżur.

– W sobotę leżał. W niedzielę też. A w poniedziałek wyszedł.

– Jak to wyszedł?

– Normalnie. Do pracy. W poniedziałki ludzie wychodzą do pracy.

– To ma być żart?

– Nie. Sarkazm. Czy ja każdemu z osobna muszę tłumaczyć, że to jest szpital, a nie więzienie? Brzecki zrezygnował z leczenia, więc proszę nie zawracać mi nim głowy, nie jest już moim pacjentem, a ja nie jestem infolinią.

– Każdemu z osobna? Ktoś już o niego pytał?

– Czy jak panu powiem, że policja, to da mi pan spokój? Ja mam pracę do wykonania i nie są nią pogaduszki z ciekawskimi.

– Tylko jedno pytanie: dlaczego zrezygnował z leczenia?

– Nie wiem, u diabła, nie zwierzał mi się.

Kuriata nie miał wątpliwości, że o Brzeckiego pytał Przygodny albo Gajda, którzy prowadzili śledztwo w sprawie zabójstwa jego żony. Ale na pewno nie w związku z nielegalnym przeszczepem, bo o Kownackim nie wiedzieli. Brzecki, postrzelony w tym samym zamachu, był po prostu świadkiem, i to najlepszym z możliwych. Co oznaczało jednak, że Przygodny czy Gajda z pewnością nie machnęli tak po prostu ręką na wieść, że Brzecki opuścił szpital, tylko pojechali go szukać. A zachowanie Brzeckiego potwierdzało podejrzenia Kuriaty. Z opisu Kownackiej – na który należało oczywiście brać poprawkę, co jednak nie znaczyło, że był nieprawdziwy – wynikało, że to starszy, gnuśny pan, pozbawiony jakiegokolwiek inicjatywy. Taki ktoś nie zrywał się ze

szpitalnego łóżka ze świeżą raną postrzałową, jeśli nie miał dobrego powodu. Czy tym powodem mogło być to, że zorientował się, co się stało, i postanowił rozmówić się z Kownackim albo wręcz się na nim zemścić?

– Chciałbym porozmawiać z lekarzem prowadzącym.

– Stanisławski. Gabinet na końcu korytarza.

Temu Kuriata przedstawił się jako dziennikarz, co okazało się złą taktyką. Doktor Stanisławski dopuścił się błędu medycznego, którym interesowała się prasa, przez co zdanie o niej miał jak najgorsze. Wyraził je wrzaskami o kłamliwych pismakach i zatrzaśnięciem drzwi.

„Kłamliwy pismak” epitetem się nie przejął, trochę więcej brakiem informacji. I nie pocieszyło go, że jej uzyskanie tak czy tak było wątpliwe. Bo Brzecki powód opuszczania szpitala mógł przemilczeć albo zmyślić, a do wyręczenia się innym lekarzem Stanisławski też raczej by się nie przyznał. Nawet jeśli nie naruszył prawa, to z pewnością złamał jakiś pracowniczy czy szpitalny regulamin. Tyle że zdobywanie informacji, których rozmówcy nie chcieli ujawnić, należało do dziennikarskiego rzemiosła, a Kuriata na swoim rzemiośle się znał.

Rozważył, dokąd Brzecki mógł pojechać. Jeśli chciał się rozmówić z Kownackim, to oczywiście do niego.

Znowu potraktował znaki ograniczenia prędkości jako ozdobny element krajobrazu i dzięki temu w krótkim czasie dotarł do hotelu Campanile. Ale dopiero kiedy rozczarowany dowiedział się, że żaden mężczyzna pod sześćdziesiątkę o Kownackiego nie pytał, uświadomił sobie, że ten wcale nie musiał Brzeckiemu ujawnić, gdzie mieszka.

Ślad się rwał, bo więcej pomysłów na to, dokąd Brzecki mógł pojechać, dziennikarz nie miał. Bo przecież nie do siebie, kiedy człowiek

buzuje adrenaliną, nie wraca po prostu w domowe pielesze, żeby usiąść sobie wygodnie przed telewizorem. Wybrał numer do Przygodnego.

– Cześć. Słyszałem, że Brzecki wam zaginał.

– Skąd wiesz?

Dopiero kiedy Kuriata powiedział, że jest dziennikarzem i to jego praca, żeby wiedzieć, dotarły do niego dwie rzeczy: również Przygodny musiał uznać, że Brzecki nie opuścił szpitala dlatego, że poczuł się zdrowy, tylko miał jakiś interesujący z punktu widzenia śledczych powód, i wcale nie rozmawiali o opuszczeniu szpitala. Bo to nie jest zaginięcie. Najwyraźniej policja szukała Brzeckiego i nie mogła znaleźć.

– Tylko nie wiem, gdzie wam zaginał. Zdradzisz mi?

Mimo lekkiego westchnienia po drugiej stronie padła odpowiedź:

– W Lesie Strachocińskim.

Las Strachociński to nie był żaden miejski parczek, lecz imponujący kompleks leśny, zajmujący wraz z łąkami około dwustu hektarów, między Odrą a osiedlami Strachocin i Wojnów. Przecinała go rzeczka Piskorna, a część na zachód od niej nosiła historycznie nazwę Smoczy Las, od legendy o Smoku Strachocie. Mniej spektakularnej od tej krakowskiej, gdyż potwór zatruł się nie podstępnie podaną siarką, lecz grzybami, którymi starał się posilić, osłabiony przegraną walką z młodym rycerzem.

I właśnie w Smoczym Lesie stał seledynowy ford mondeo z otwartymi przednimi drzwiami po stronie kierowcy. Samochód musiał dojechać od mostu Bartoszowickiego, gdyż pozostałe drogi dojazdowe były albo za wąskie, albo zabezpieczone blokadami. A że most Bartoszowicki prowadził na Biskupin, nasuwało się podejrzenie, że

Brzecki skierował się tu bezpośrednio po tym, jak zawitał do domu po wyjściu czy raczej ucieczce ze szpitala.

Pytania, po co oraz gdzie się podział, pozostawały na razie bez odpowiedzi. Kobieta spacerująca ze swoim bassetem, która znalazła samochód – dzięki myszkującemu psu, bo Brzecki wjechał w zarośla tak, jakby chciał swój pojazd ukryć, co mu się zresztą udało – nikogo przy nim nie widziała.

Przygodnemu nie pozostało nic innego, jak ściągnąć posiłki do regularnego przeszukania lasu. Tym razem je dostał, posługując się argumentem, że pod którymś z drzew może leżeć dogorywający lub martwy człowiek. Na psy wytresowane do odnajdywania zwłok było jeszcze za wcześnie, rozpoznawały one ciało po woni rozkładu, a ten zaczynał się najwcześniej kilkanaście godzin po śmierci. Brzecki tymczasem jeszcze tego ranka był przy życiu. Ostro zakończone pręty służące do nakłuwania terenu, by wydobyć odór, mogły się jednak przydać, gdyby denat został płytko zakopany albo przykryty warstwą gałęzi.

– Myślisz, że nie żyje? – Kuriata popatrzył za funkcjonariuszami, którzy rozeszli się po lesie.

– Nie wiem. Chciałbym wierzyć, że otworzyła mu się rana i stąd ta krew. – Przygodny pokazał na czerwone plamy na fotelu kierowcy. Ponieważ teren był odludny, policjanci zrezygnowali z taśmy grodzącej i dziennikarz stał z komisarzem koło samochodu. – Tylko dlaczego wjeżdżał wtedy do lasu, zamiast wrócić do szpitala?

– Może po utracie krwi nie był do końca przytomny ani świadomy, co robi.

– Ale właśnie przyjechanie tutaj wskazuje na bardzo świadome działanie. Nie zatrzymał się i nie zemdlał na leśnym parkingu, na który łatwo odbić z głównej drogi, tylko przedostał się przez wertepy na teren

zupełnie nieprzystosowany do ruchu. To musiało wymagać sporej koncentracji. Coś go do tego zmusiło. Albo ktoś. Może ten sam człowiek, który zabił jego żonę. Może od początku chciał zabić ich oboje, zorientował się, że tak się nie stało, i dokończył dzieła.

Kuriata na temat wydarzeń na Gersona miał własną teorię, zachował ją jednak dla siebie. Także dlatego, że zaginięcie w lesie do tej teorii nie pasowało. Jeśli spiskowcy z Traugutta zdobyli już nerkę Brzeckiego, czego jeszcze od niego chcieli? Zabić go, bo się zorientował? Ale kiedy by to zrobili, przecież w tym czasie pilnie operowali?

– I co, są jakieś łuski? – komisarz zwrócił się do Leśniewskiego, który podniósł się z klęczek, wspierając się na niewielkiej brzoźce.

– Nic. Jeśli strzelał, to je zabrał.

– Dotąd zostawiał. Może wziął nóż, skoro porzucił pistolet.

– Zostawiał? Więcej razy? – zainteresował się dziennikarz. – I gdzie porzucił pistolet? O czym ty mówisz?

Ku swojemu zdumieniu dziennikarz dowiedział się, że wydarzyło się jeszcze jedno zabójstwo, o którym dotąd nie miał pojęcia. Chyba musiał przeprowadzić poważną rozmowę ze swoim informatorem. Przez niego przegapił kolejnego potencjalnego dawcę organów. Czy raczej informację, pozwalającą mu stwierdzić, że był w błędzie. Bo to morderstwo w zasadzie wykluczało całą trójkę jako przymusowych dostarczycieli narządów. Po co Kownacki i s-ka mieliby atakować jednocześnie i Rachwalskiego, i Brzeckich, jeśli chcieli uzyskać nerkę czy serce? Przy przeszczepach jeden dawca przypada na wielu biorców, a nie odwrotnie. Nie, ktoś musiał wziąć sobie ich na cel z innego powodu. Tyle że wtedy pytanie, skąd Kownacki miał organ do transplantacji, nadal pozostawało bez odpowiedzi. Doszło do jeszcze jednego morderstwa, o którym on ani policja nie wiedzieli?

Radiotelefon Przygodnego skrzeczał co kilka minut, bo przeczesujący las funkcjonariusze donosili o swoich odkryciach. Czy raczej ich braku.

– Nielegalne wysypisko śmieci, nogi z dupy bym wyrywał, mieć coś tak pięknego w sąsiedztwie i to zasyfić. Ale pogrzebałem, pod śmieciami nic nie ma.

– Sorry, myślałem, że nawet dwa trupy, ale to tylko zakochana parka.

– He, he! Tak nieruchawo się ruchają, że ich za trupy wziąłeś?

– Leżą sobie rozmarzeni na trawce, ruchanie im nie w głowie.

– Przyjdzie, przyjdzie, może nawet zobaczysz akcję, jak będziesz wracał. Dziołcha ładna?

– Proszę zakończyć te pogawędki – zirytował się komisarz. – Ktoś na coś natrafił?

Posypały się jedynie zaprzeczenia.

– Troje zabitych, jeden ranny, teraz zaginiony, prawdopodobnie też już martwy – podsumował Kuriata. – Niezła jatka jak na cztery dni. Bierzesz pod uwagę seryjnego zabójcę?

– W ogóle nie. Ten, kto zabił Brzecką i Rachwalskiego, najwyraźniej nie miał zamiaru dalej mordować, skoro porzucił broń. Ewentualne zabicie Brzeckiego byłoby tylko naprawieniem niedoróbki. I te zabójstwa nie wiążą się w żaden sposób z morderstwem na lotnisku.

– Ale to właśnie przemawia za seryjnym zabójcą, że ofiary nie są ze sobą powiązane. I z tego, co zrozumiałem, na razie nie potwierdziłeś powiązania między Brzeckimi a Rachwalskim, tylko założyłeś, że takowe istnieje, skoro pistolet wskazuje na tego samego sprawcę.

Przygodny musiał przyznać, że dziennikarz złapał go na postawieniu wozu przed koniem.

– Miałem na myśli, że seryjni zabijają w ten sam sposób, a nie strzelają do jednych, podczas gdy innym rozbijają głowy o podłogę. Poza tym działają w tempie jeden mord na jakiś czas, nie trzy naraz. A jeśli profil nie wskazuje na seryjnego mordercę, to założenie, że Brzeckich i Rachwalskiego coś łączy, jest w pełni uprawnione.

Wywód przekonał dziennikarza, a zarazem rozczarował. Kuriata w dziennikarstwie kryminalnym osiągnął właściwie już wszystko poza opisaniem seryjnego zabójcy i cały czas liczył, że takowy w końcu się we Wrocławiu pojawi. Najwyraźniej jednak i tym razem szczęście nie zechciało się do niego uśmiechnąć.

Szybkim krokiem zbliżył się do nich Gajda, którego komisarz posłał, by potwierdził, że samochód rzeczywiście przyjechał od strony mostu Bartoszowickiego.

– Tak, szefie – oznajmił bez przydługiego wstępu, jakby zdążył wygłosić go po drodze – są ślady opon, a blokada na Grobli Łaniewskiej stoi, więc od Strachocińskiej się nie dostał, musiał przyjechać od śluzy. Tam jest tylko zakaz wjazdu, żadnych blokad czy szlabanów.

Przygodny właściwie nie miał nic więcej do roboty, ale zmieniłoby się to diametralnie, gdyby poszukujący natrafili na zwłoki. Nie zdecydował się więc na powrót do komendy. Przysiadł na kamieniu w pewnym oddaleniu od pozostałych i zadzwonił do Justyny.

– Hej.

– Hej.

– Tęsknię za tobą – wyznał.

– To przyjedź.

– Nie mogę, mam zaginionego, właśnie go szukamy.

– Myślałam, że zajmujesz się morderstwami.

– Podejrzewam, że go zamordowano.

– Aha.

– Przepraszam cię za tę awanturę przed południem. Gabi normalnie się tak nie zachowuje, ale kiedy człowieka boli, nieraz stara się dopiec innym.

– Pewnie bym podobnie reagowała, gdybym straciła takiego mężczyznę jak ty.

– Teraz to przesłodziłaś.

– Jaki facet przeprosza za swoją byłą żonę?

Przygodny nie bardzo wiedział, co ma na to odpowiedzieć, ale z ambarasu wybawiło go poruszenie wśród ekipy zebranej wokół forda. Wyraźnie podekscytowany Gajda zawołał do niego:

– Panie komisarzu, mamy głowę.

– Muszę kończyć, coś znaleźliśmy.

– Pa.

Niemal półbiegiem Przygodny wrócił do współpracowników, już po drodze zadając pytania:

– Samą głowę? Brzeckiego? Gdzie?

– Samą, ale kompletnie spalona, nie wiadomo, czy to Brzecki. Przy Jeziorze Leśnym, ciało morderca wrzucił pewnie do wody.

– Jak najszybciej mogę się tam dostać?

Okazało się, że rowerem, który zarekwirowano od wędkarza, zmierzającego Szlakiem Odry ku łowisku. A właściwie pożyczono. Kiedy usłyszał, w czym ma pomóc, nie tylko chętnie odstąpił lekko zdezelowanego rometa, lecz także uznał to za jedno z najważniejszych

wydarzeń w swoim życiu i natychmiast zadzwonił do żony, by się pochwalić, że bierze udział w śledztwie dotyczącym morderstwa.

Jeziro Leśne było rozlewiskiem Piskornej. Cichy spacerowicz mógł tu zobaczyć perkoza, bączka, a nawet imponującego – jak to w przypadku ptaków drapieżnych – błotniaka stawowego, ale tłum policjantów teraz je przepłoszył. Zresztą i tak nie interesowałiby się ptactwem, cała ich uwaga skupiła się na ludzkiej głowie, tkwiącej między pniem a konarem powalonego drzewa. W czarnej skorupie okrywającej czaszkę nie dało się rozpoznać ani twarzy Brzeckiego, ani nawet płci czy wieku ofiary. Przygodny dotknął zwęglonych tkanek.

– Zimne. Musiało minąć już sporo czasu od spalenia.

– Nie, jeśli zabójca schłodził głowę w jeziorze – zaproponował szef techników.

– Jest tu gdzieś w pobliżu pozostałość ogniska?

Była. Przesmyk między drzewami prowadził w głąb zarośli, za którymi na małej polance, niewidocznej z głównej ścieżki, krąg kamieni otaczał popielisko z resztkami gałęzi. Kamienie i zapas drewna w rogu polanki świadczyły o tym, że ogniska nie urządzono ad hoc, zapewne istniało od dłuższego czasu i służyło młodzieży do zakrapianych imprez.

Popiół też nie był ciepły, ale w nozdrza Przygodnego uderzył wyraźny zapach benzyny.

– Bingo. Nikt nie podsycy ognia benzyną, żeby upiec kielbaski.

– Ale spalić głowy do końca mu się nie udało – zauważył aspirant.

– Nie sądzę, żeby miał taki zamiar – odezwał się ponownie Leśniewski. – Do spopielenia zwłok trzeba tysiąca dwustu stopni, ognisko, nawet podlane benzyną, daje ledwie kilkaset.

– Mógł o tym nie wiedzieć – Gajda nie ustąpił – nie każdy jest chodzącą encyklopedią. Niby wszystko można wyczytać z internetu, ale przestępcy do lubiących czytać wcale nie należą.

– Z tym masz rację – przyznał komisarz – ale też mi się wydaje, że morderca chciał jedynie utrudnić identyfikację. Bo oddzielił głowę od ciała i reszty nie palił.

Reszty musieli poszukać w jeziorze, chociaż Przygodny wcale nie podzielał przekonania aspiranta, że właśnie w nim zatopiono korpus. Jeśli już, to w Odrze, jezioro znajdowało się zbyt blisko miejsca znalezienia głowy i zabójca musiał zdawać sobie sprawę, że sprawdzą je w pierwszej kolejności. Ale od sprawdzenia nie mogli odstąpić i komisarz polecił wezwać nurków.

– Taka paląca się głowa to jakie daje efekty? – zapytał Leśniewskiego.

– Czarny dym i smród.

– Robert, trzeba poszukać świadków, którzy zwrócili uwagę na jedno bądź drugie.

– Fajnie, tylko gdzie? – zapytał bezradnie aspirant.

– Będzie ciężko – wsparł go jeden z policjantów, biorących udział w poszukiwaniach, szczupły blondyn z rudą, krótko przystrzyżoną brodą. – Biegam w tej okolicy, w dni powszednie w godzinach pracy praktycznie nie ma tu ludzi, wylegają w weekendy przy ładnej pogodzie i kiedy jest wolne. A czarny dym wali co rusz, bo towarzystwo pali w piecach czym popadnie, od płyt paździerzowych począwszy, a na starych oponach skończywszy.

Po namyśle Przygodny wycofał polecenie. Nawet jeśli ktoś tędy przechodził, gdy morderca palił zwłoki, nie widziałby dymu, a smród nie jest zjawiskiem, które skłania do natychmiastowego ustalania, co go

powoduje. Zwłaszcza że jego źródło może być oddalone o wiele kilometrów. W tym przypadku znajdowało się blisko, ale było dobrze ukryte – nie bez kozery, za palenie ogniska w lesie groziła wysoka grzywna. No i wreszcie Gajda miał rację, że w pobliżu nie stał żaden dom, którego mieszkańców mogliby odpytać w poszukiwaniu świadków. Jeśli nawet jakiś przechodzień odkrył, co się działo, i swoje odkrycie przeżył, nie mieli szans go odnaleźć, skoro z własnej inicjatywy nie zawiadomił policji o paleniu ludzkiej głowy. Musieliby sięgnąć po nadzwyczajne środki jak wezwania w mediach, a na takie cokolwiek rozpaczliwe działania było stanowczo za wcześnie.

Trzyosobowa ekipa nurków dotarła jednocześnie z przewodnikiem z psem. Dla owczarka Dragona była teraz robota: wytropić, dokąd udał się przestępca. Przygodny miał nadzieję, że pies doprowadzi ich na brzeg Odry, ale ten utknął już przy drzewie z zatkniętą głową. Nurkowie – tym razem zgodnie z przewidywaniami komisarza – też nie mogli pochwalić się sukcesem, choć z początku wyglądało na to, że znaleźli zwłoki. Okazały się one jednak manekinem sklepowym. Kto i po co zadał sobie tyle trudu, by przytaszczyć go nad jezioro i wrzucić do wody, byłoby ciekawym pytaniem, gdyby śledczych nie frapowały inne. Przedewszystkim, gdzie szukać dalej. Naturalnie w Odrze, płytką Piskorna nie nadawała się do skutecznego ukrycia ciała, tylko w którym miejscu?

Narada z udziałem koordynatora nurków zakończyła się konkluzją, że jeśli nie ma żadnych wskazówek co do tego, gdzie sprawca pozbył się reszty zwłok, to nie pozostaje nic innego, jak poczekać, aż woda sama je wyrzuci. Prędzej czy później musiało to nastąpić, procesy zachodzące w martwym ciele w połączeniu z prądami rzeki czyniły je tak mobilnym, że mało które obciążenie było w stanie zatrzymać je na dnie. Nawet osławione donice wypełnione cementem, stosowane przez gangsterów, nie okazywały się skuteczne, kiedy napuchnięte ciało parło ku

powierzchni. Problem w tym, że komisarzowi owo „później” było mocno nie w smak.

Justyna zamknęła gładki, pastelowy futerał smartfona. Prezent od Marka, świadczący o tym, że na nią patrzył i ją widział. Kiedy od zalotnika w liceum dostała różowy pokrowiec z kotkami i serduszkami, wywaliła go do kosza, a sam kosz podała chłopakowi. Może jeszcze miałyby szanse na randkę, gdyby inteligentnie zareagował na odmowę, w ogóle ją dostrzegł, ale zapytał zdumiony:

– Dlaczego śmieci mi dajesz? Mam sobie ten futerał wyjąć?

Popatrzyła na Maksa, obwąchującego ławkę, którą najwyraźniej zamierzał oznaczyć, i odciągnęła go pod drzewo.

– Nie można, ludzie tam przecież siadają, będzie im śmierdziało.

Marek usiadł na tej ławce po tym, jak omal nie zginął. I wtedy powiedziała mu, że z nim będzie. Dlaczego? Zaimponowało jej, że jest taki męski, że latają wokół niego kule? Chyba nie, bo ciągnęło ją do niego już podczas ich pierwszego spaceru. A może jednak tak, bo wiedziała przecież, że jest komisarzem policji. No, ale jeśli zdobył ją swoją męskością, to powinna być rozczarowana seksem i odejść. Bo co tu dużo mówić, w łóżku zachowywał się strasznie rutynowo – trudno nabrać doświadczenia, jeśli ma się tylko jedną partnerkę i to mało pomysłów. A nie odchodziła. I nie dlatego, że ceniła go za wierność żonie. Chwalebne rzeczy nie przynoszą nikomu punktów w relacjach międzyludzkich, liczy się wyłącznie efekt. Może przykre, ale życie nie było balem dobroczynnym, tylko walką, nierówną jak w rzymskim amfiteatrze.

Co ją zatem przy nim trzymało? Kompleks braku ojca? Na pewno nie. Miała już kiedyś takiego starającego się dużo starszego od niej

i odrzuciła go właśnie z powodu wieku. A był trzy lata młodszy od Marka. Ale tego też nie rozumiała. W tamtym przypadku pod każdym względem facet jej pasował, jednak wszystko niweczyła czterdziestka, którą w ciągu kilku miesięcy miał przekroczyć. Tymczasem przy Marku ani przez sekundę nie stanowiło to bariery. Czyli co? Miłość? Bez uczucia najdrobniejsza skaza urasta do rangi niepokonywalnej przeszkody, a miłość czyni człowieka ślepy na każdą wadę. Ale czy to nie za duże słowo jak na kilkumiesięczny związek? Poza tym nie dostrzegała większej różnicy w swoim podejściu do nich obu. Przynajmniej na początku; tamten nie dostał szansy, więc na etapie bardziej zaawansowanej znajomości nie miała porównania. A zatem nacisk społeczny? Byłaby konformistką, choć zawsze uważała się za niezależny charakter? Faktem pozostawało, że wtedy nie znała żadnej dziewczyny w swoim wieku w takim związku. Później jedna z koleżanek ze studiów zaczęła spotykać się z dwa razy starszym od niej mężczyzną. I nikogo to specjalnie nie obeszło. Owszem, padały czasem złośliwe komentarze, ale nie bardziej złośliwe niż na temat rzeczywistych czy wyimaginowanych defektów u innych par.

Marek też nie wzbudził większej sensacji, jeśli już to bardziej z racji swojej pracy niż wieku. Komisarz z wydziału zabójstw, to robiło wrażenie. A na początku zawsze jego zawód podkreślała. Później przestała, bo zreflektowała się, że chce w ten sposób przesłonić jego wiek, ale „czym się zajmujesz?” jest standardowym pytaniem, kiedy ludzie świeżo się poznają, więc i tak zawsze to wychodziło. Poza tym dość dobrze dogadywał się z jej rówieśnikami. Może dlatego, że traktował ich po partnersku, nie wpadał w rolę mentora, nie przyjmował postawy „Ja mam takie doświadczenie, że mogę wam, żółtodziobom, powiedzieć o życiu coś, czego nie wiecie”. Zresztą wydawał się chętniej słuchać, niż mówić, co wśród rozgadanych studentów i studentek

kierunków humanistycznych uchodziło za dużą zaletę, uważni i zainteresowani słuchacze stanowili rzadki gatunek.

Gwizdnęła na Maksa, że czas wracać do domu, i skierowała się do bramy. Westchnęła. Problemem była mama. Nie akceptowała związków z dużą różnicą wieku. Nieraz, kiedy oglądały wspólnie film, w którym mężczyzna miał dużo młodszą partnerkę, komentowała, że to nieprzyzwoite. Albo że reżyser czy scenarzysta to stary cap, któremu marzy się młoda dziewczyna, ale że żadna ze zrozumiałych względów go nie chce, zastępuje sobie fikcją rzeczywistość. Kiedy dyskutowały o sprawie Polańskiego i Justyna zarzucała mu pedofilię, mama zaoponowała:

– Trzynastolatkę za dziecko uznaje tylko prawo, biologicznie to kobieta. Jego nie pociągają dzieci, lecz młode dziewczuchy, więc pedofilem nie jest. Ale jest zboczeńcem, bo czterdziestokilkuletni facet nie powinien dobierać się nawet do dwudziestolatki.

Czterdziestokilkuletni Przygodny dobrał się do dwudziestoparolatki, a ona, wchodząc powoli po schodach, które Maks pokonywał z pewnym trudem, zdecydowała się właśnie teraz o tym opowiedzieć. Ukrywanie się stawało się powoli męczące, na ślubie kuzynki była zmuszona znosić zaloty podpitych młodzieńców, przed ślubem próby znalezienia jej osoby towarzyszącej, a poza odwlekaniem nic nie zyskiwała, moment, w którym miała ujawnić istnienie Marka, musiał w końcu nastąpić.

Z kuchni usłyszała lecącą wodę; z jednej strony dobrze, jeśli człowiek, który dostawał złą wiadomość, miał zajęte ręce, z drugiej strony mycie naczyń nie było najlepszym katalizatorem, talerz czy szklanka mogły mu się z tych rąk wymknąć i potłuc. Ale poszła do kuchni. Nie ma nic gorszego, niż wycofać się z decyzji, którą z trudem się podjęło, nawet jeśli przeszkoda nie do końca była pretekstem.

– Mamo!

– Hej, kochanie. Jak spacer z Makssem?

– Jak zwykle. Muszę ci coś powiedzieć.

– Słucham.

Nie przerwała mycia naczyń, najwyraźniej nie sądziła, że to coś ważnego. Innym matkom rysowałyby się już w głowach czarne scenariusze: jest w ciąży? chce się wyprowadzić? nie dopuszczono jej do obrony pracy? Ona nie miała panikarskiego charakteru.

– Związałam się z kimś.

– Wspaniale!

Tym razem odwróciła się od zlewu, szeroko się uśmiechając.

– Kiedy poznasz nas ze swoim chłopcem?

– Szkopuł w tym, że to nie chłopiec.

– Dziewczyna? – Jeśli uśmiech zanikł, to na niedostrzegalny moment. – Nie mam uprzedzeń.

– Nie dziewczyna. Dojrzały mężczyzna.

Los lubił ironię. Dziewięć matek na dziesięć, nawet tolerancyjnych, dużo gorzej zniosłoby informację, że córka jest lesbijką. Choćby dlatego, że w ten sposób dowiadywały się, że nie doczekają się wnuków.

– Jak dojrzały? – Uśmiech pozostał, ale wyraźnie sztucznie podtrzymywany.

– Ma czterdzieści pięć lat.

– O, Jezu! Skąd wzięłaś takiego starego? To jakiś twój wykładowca?

– Dlaczego starego? Ty masz więcej lat niż on, a nikt nie uważa cię za starą. I nie, to nie jest mój wykładowca. Policjant.

Powstrzymała się od powiedzenia, że komisarz z wydziału zabójstw, matka powinna go zaakceptować bez względu na zawód, ale doprowadziło to do nieporozumienia.

– A gdzie go poznałaś? Zatrzymał cię za przechodzenie na czerwonym świetle?

– Nie taki policjant. Marek ściga morderców.

– Marek.

– Tak ma na imię.

Matka zostawiła naczynia, przeszła do pokoju i usiadła na kanapie. W dłoniach trzymała gąbkę, którą nie wiadomo po co zabrała z kuchni. Podniosła ją do twarzy, żeby wytrzeć spływającą łzę, co jednak przy nasączonej wodą gąbce dało efekt odwrotny od zamierzonego.

– To moja wina... powinnam trzymać się ojca... dla waszego dobra. Kamilowi potrzebny jest męski wzorzec, już widzę, że woli towarzystwo kobiet niż mężczyzn... Nie dlatego, że szuka dziewczyny, tylko zastępują mu przyjaciół... co nie jest zdrowe. A ty rekompensujesz sobie brak ojca i wiążesz się z... z takim...

– Mamo. – Justyna usiadła obok niej i wzięła ją za rękę, odkładając gąbkę na stół. – Żeby mówić o winie, musiałyby stać się coś złego. A Marek jest jedną z najlepszych rzeczy, jakie przytrafiły mi się w życiu.

– Ależ dziecko, może teraz tak uważasz, ale jaką masz z nim przyszłość?

– Mam zrezygnować ze szczęśliwej teraźniejszości, bo kiedyś się skończy?

– Z równolatkiem miałybyś szanse znacznie ją przedłużyć.

– Znajdę sobie równolatka, jak rozstaniemy się z Markiem.

– Albo będziesz się go trzymać z lojalności, chodzić z nim po lekarzach i zmieniać mu worki na mocz.

– To byłaby miłość, nie lojalność.

– Zrozum, że chcę dla ciebie jak najlepiej.

– Według swoich wyobrażeń, co jest dla mnie dobre. Pozwól mi samej o tym decydować.

Napięcie wzrosło, bo obie dostrzegły, że żadna nie da się przekonać. Na szczęście w drzwiach wejściowych zazgrzytał klucz, na co obie poderwały się, jakby nie chciały Kamila w to wciągać. I kiedy siedemnastolatek wszedł do środka, matka wracała już do kuchni, a Justyna zdawkowo przywitała się z bratem i sięgnęła po książkę.

Dalszych problemów nastręczyła identyfikacja. I to dosyć niespodziewanie. Gdyby nie mieli podejrzeń co do tego, kim jest zabity, odcięcie głowy i spalenie jej przez zabójcę – prawdopodobieństwo, że zrobił to ktoś inny, odpowiadało szansie trafienia pokera królewskiego – mogłoby okazać się skuteczną przeszkodą w ustaleniu tożsamości ofiary. Identyfikacja na podstawie uzębienia w polskich realiach często się nie udawała. Trzeba je było porównać z kartą stomatologiczną, a tej denat na przykład nie miał, bo na dentystę brakło mu pieniędzy, podczas gdy w NFZ-cie uważali, że od próchnicy się nie umiera, więc nie należy przesadzać z hojnością na leczenie. Albo odwiedzał dentystę, kiedy go ząb bolał, za każdym razem innego, a ten zakładał plombę, o zakładanie karty się nie troszcząc. A jeśli trafiło na człowieka zamożnego, traktującego zęby jako wizytówkę, to nieraz nie dało się ustalić, u jakiego stomatologa się leczył. Bywało, że nawet żona nie potrafiła tego powiedzieć, jeśli sama chodziła do innego. Nie dlatego, że mąż to przed nią zatajał, tylko zwyczajnie nie pamiętała. „Doktor Zięba, gdzieś

na placu Grunwaldzkim”, po czym okazywało się – jeśli w ogóle zdołali to ustalić – że doktor nazywał się Sikora i przyjmował na Psim Polu.

Skoro jednak wiele przemawiało za tezą, że spalona głowa należy do Brzeckiego, pobranie DNA z kości czaszki i porównanie z dostępnym materiałem genetycznym tegoż nie powinno nastęrczyć trudności. W teorii. W praktyce, kiedy technicy ponownie weszli do mieszkania na Gersona, chcąc zabezpieczyć ślady biologiczne pochodzące od właściciela, żadnych nie znaleźli. Naczynia po obiedzie zostały umyte, w pościeli nie natrafiono na ślady spermy, najwyraźniej małżonkowie ze sobą nie współżyli (albo w ogóle, albo od ostatniego prania). W łazience nie znaleziono szczotki do włosów ani maszynki do golenia. Brak pierwszej dało się wytłumaczyć faktem, że Brzecki był łysy, brak drugiej tym, że mógł używać jednorazowych. Tyle że jednorazowych też nie było. Niby mogły mu się skończyć, a nowe miał dopiero kupić, ale że zniknęła również szczoteczka do zębów, wyglądało na to, że ktoś świadomie usunął z mieszkania przedmioty, będące potencjalnymi nośnikami śladów DNA. Zresztą do tego samego wniosku szybciej i jeszcze bardziej przekonująco prowadziła inna okoliczność: ktoś silnymi środkami chemicznymi usunął pozostałe po strzelaniu plamy krwi. Ktoś, czyli zabójca, bo pierwotnego przypuszczenia, że pośpieszyła się firma sprzątająca miejsca zbrodni, właściciel tejże firmy nie potwierdził.

Za to zabójca nie usunął plam krwi z samochodu, co świadczyło o doskonałej orientacji w policyjnych procedurach. Śledczy nie mieli dowodu, że pochodziła od Brzeckiego, więc do potwierdzenia tożsamości ofiary się nie nadawała.

Technicy zabezpieczyli mleko i mrożoną herbatę z lodówki, ale brak piwa, coli czy napojów energetycznych wskazywał na reżim, w którym picie bezpośrednio z kartonu czy butelki uchodziło za ciężkie przestępstwo, i Przygodny wiele sobie po tym nie obiecywał. Ponieważ

ściągnięcie DNA od córki musiałoby potrwać, zgłosił się do szpitala, chcąc dostać szczoteczkę do zębów Brzeckiego. Jednak nikt nie potrafił jej zlokalizować: albo ją wyrzucono po opuszczeniu przez Brzeckiego szpitala, albo nigdy jej nie miał, bo nikt z rodziny takowej mu nie przywiózł, a o szpitalną się nie upomniał. Teraz okazywało się, jak fatalne w skutkach było omyłkowe wypranie zakrawionego ubrania. Bo na udostępnienie krwi pobranej przed operacją do badania oczywiście nie mogli liczyć. Prawo zezwalało wprawdzie prokuratorowi na zarekwirowanie dokumentacji medycznej w ramach prowadzonego śledztwa, ale krew to nie dokumenty. Zdesperowany komisarz nawet o nią poprosił, ale usłyszał zdecydowaną odmowę, wyrażoną w uprzejmej formie, że w ogóle nie ma problemu, jeśli pacjent podpisze stosowne zezwolenie. Na wskazanie, że pacjent zaginął, a krew potrzebna jest do tego, żeby potwierdzić, że ewentualnie nie żyje, niezrażony prawnik, reprezentujący szpital, odparł, że skoro policja nie ma dowodu na zgon Brzeckiego, to należy domniemywać, że pozostaje przy życiu, a skoro pozostaje przy życiu, to tylko on uprawniony jest do podpisania zezwolenia.

– Wygląda na to, że potrwa, zanim potwierdzimy, że ofiarą jest Brzecki – powiedział komisarz do Kuriaty, kiedy ten zadzwonił z pytaniem, czy już ustalili, komu usmazono główkę na Strachocinie, tak właśnie sformułowanym.

– Zakładasz jednak, że to on?

– Przyjmuję taką hipotezę, skoro wcześniej do niego strzelano, a jego samochód stoi porzucony w lesie dwa kilometry od miejsca znalezienia głowy. Ale teren jest idealny na pozbycie się zwłok, więc niewykluczone, że to ktoś inny.

– Czy nie przemawia przeciwko temu statystyka? To byłby wtedy piąty trup w ciągu czterech dni.

– Przy założeniu, że Brzecki też nie żyje. Może to ktoś inny, a Brzecki rzeczywiście tylko zaginął. Zresztą statystyka przemawia również przeciwko temu zabitemu, a bez względu na to, kto nim jest, najprawdopodobniej też został zamordowany. Tak czy tak hipotezę, że to Brzecki, muszę potwierdzić dowodami, a na razie nie mam jak. Wszystko, co nadawało się do badań porównawczych DNA, z mieszkania na Gersona zniknęło.

– Czy to nie najlepszy dowód, że właśnie o niego chodzi?

– Nie staram się wykazać, że w Smoleńsku dokonano zamachu, więc nie mogę braku dowodu uznawać za dowód. Starcie krwi i zniknięcie przedmiotów osobistych, choć podejrzane, może mieć jakieś naturalne wyjaśnienie.

– Jakie?

– Nie wiem. Gdybym wiedział, nie stanowiłoby to dla mnie zagwozdkki. Ale nie ma śladów włamania, co raczej przemawia za tym wyjaśnieniem, a nie celowym działaniem zabójcy.

– Chyba że miał klucze.

– Skąd? Zapasowe klucze miała sąsiadka, niejaka Kownacka...

– Znam, rozmawiałem z nią.

– No to wiesz, że wiele tej kobiecie można zarzucić, ale mordowanie sąsiadów w repertuarze jej przywar zdecydowanie się nie mieści.

– Ale może w repertuarze jej syna – powiedział Kuriata, zanim zdążył ugryźć się w język.

– Skąd taki absurdalny pomysł? Jeśli zakładamy, że teraz ktoś zabił Brzeckiego, to musimy również zakładać, że ten sam człowiek zastrzelił jego żonę. A Brzecki go widział i syna sąsiadki by rozpoznał.

Dziennikarz, zadowolony, że Przygodny nie zainteresował się tym tropem, zmienił temat.

– Jak tam twoja dupa?

– Moja dupa jest w porządku, a jeśli pytasz o Justynę, to proszę, żebyś jej tak nie nazywał.

– Sorry, to co u twojej małolatki?

– Też cię...

– Przecież to nie krytyka, tylko głęboki podziw i szacun, że wyrwałeś laskę, która dopiero co straciła mleczne zęby.

– Jurek!

Kuriata zachichotał.

– Mareczek, powiem ci, że jesteś dureń. Zamiast puszyć się jak paw i obnosić z takim trofeum, ty masz jakieś kompleksy. Przecież każdego faceta skręca z zawiści, kiedy cię z nią widzi.

– Nie dlatego się z nią związałem i Justyna nie jest żadnym trofeum.

– A ja i tak cię podziwiam.

Kiedy Kuriata się rozłączył, komisarz zadzwonił do Katarzyny Brzeckiej, żeby poprosić ją o udostępnienie wymazu do badań DNA. Przy założeniu, że była biologiczną córką zaginionego, ta droga do zdobycia materiału porównawczego wyglądała na jedyną. Ale rzeczywiście wynik negatywny mógłby świadczyć zarówno o tym, że wcale nie Brzeckiemu spalono głowę, jak i o tym, że pani Irenka uznała geny innego mężczyzny za odpowiedniejsze dla jej potomstwa. Nie była to bynajmniej rzadka sytuacja, że mąż safandula, niczego nieświadom, wychowywał dziecko jakiegoś ogiera.

Na Skypie nikt się jednak nie zgłosił i dobrze, bo ponieważ Przygodny zreflektował się, że był nastawiony na rozmowę o próbce

DNA, a nie na poinformowanie córki o przypuszczalnym zamordowaniu ojca i nie powiedziała by o tym w oględny sposób. A nawet jeśli Katarzyna śmiercią rodziców niewiele się przejmowała, nie zwalniało go to z obowiązku traktowania jej z taką samą delikatnością jak krewnych innych ofiar.

Zakład Medycyny Sądowej mieścił się przy ulicy Mikulicza-Radeckiego na terenie zwanym „Klinikami”. Dokładna data powstania nie była znana, choć nastąpiło to nie w średniowieczu, lecz pod koniec XIX wieku. Nawet skrupulatni Niemcy nie wszystko odnotowywali. Odnotowali jednak, że ostatni kierownik zakładu przed nastaniem polskiej administracji, profesor Gerhard Buhtz, kierował w 1943 roku ekshumacją zwłok polskich oficerów, zamordowanych przez NKWD w Lesie Katyńskim.

Józef Małecki nie był ani profesorem, ani kierownikiem zakładu, zwłokami miał się zająć w Lesie Strachocińskim, i choć ledwie jednym, a nie ponad dwudziestoma tysiącami, to i tak tego nie zrobił. Dlatego, że nikt go nie wezwał. Akcja z początku polegała na szukaniu zaginionego, a po znalezieniu głowy policjanci skupili się na szukaniu korpusu i przeoczyli, że teraz mają już denata (choć mocno niekompletnego), do którego należy wezwać patologa. A kiedy Małecki się nie stawił, komisarz uznał, że przeszkodziły mu inne obowiązki, i nakazał przetransportować spaloną głowę do Zakładu Medycyny Sądowej, by lekarz zajął się nią u siebie. Taka procedura naruszała wprawdzie przepisy, ale Przygodny już dawno nauczył się, że ich egzekwowanie uchodziło w Polsce za dziwactwo. Żądanie zrobienia czegoś zgodnie z regulaminem nieraz kończyło się niemal jawnym sabotażem i komisarz obawiał się, że przymuszony do przyjazdu Małecki odłoży później głowę na długo do lodówki. Zresztą lekarz na miejscu zbrodni i tak nie przeprowadzał autopsji, jego zasadniczym obowiązkiem było

stwierdzenie zgonu, a nawet uwzględniając wszelkie medyczne cuda, spalona głowa z pewnością nie należała do nikogo żywego.

Przygodny zaparkował przed budynkiem z czerwonej cegły. W Zakładzie Medycyny Sądowej bywał rzadko, ale nie dlatego, że unikał widoku krojonych zwłok, tylko zwyczajnie nie było potrzeby, by je oglądał. Jeśli informacje z raportu sekcyjnego nie okazywały się wystarczające albo jakichś potrzebował wcześniej, mógł dopytać przez telefon. Tym razem miał ze sobą próbki krwi pobrane z forda mondeo. Chciał, by Małecki w rewanżu za to, że przymknął oko na jego nieobecność w Lesie Strachocińskim, porównał mu nieoficjalnie DNA właściciela tej krwi i odciętej głowy. Oficjalnie badania zlecić nie mógł, jak każde wiązało się z kosztami, z których musiał się rozliczyć, tymczasem wyniki nadawały się jedynie na wskazówkę, a nie dowód. Bo za tym, że krew należy do Brzeckiego, przemawiały tylko poszlaki czy, ściśle rzecz biorąc, zaledwie jedna poszlaka: widziała go sąsiadka, jak wszedł do swojego samochodu i odjechał.

Komisarz zapytał o gabinet doktora Małeckiego, ale dowiedział się, że ten jest w sali sekcyjnej, więc się tam skierował. Patolog zrobił sobie akurat przerwę i siedział na krześle pod ścianą. Nie jadł jednak bułki, co jest stałym dowcipem w kiepskich powieściach kryminalnych, gdy w rzeczywistości żaden człowiek z wykształceniem medycznym nie zaryzykowałby złapania w ten sposób paskudnych mikrobów. Na stole lekarz zostawił denata, który składał się nie tylko z głowy, co Przygodnego nie ucieszyło, bo oznaczało, że Małecki nie zajmuje się jego sprawą. Przypuszczalnie był to jakiś potrącony pieszy albo nieuważny kierowca.

Ale komisarz się pomylił.

– Pana trup – oznajmił patolog. – Rachwalski.

– O! I co z nim?

– Nie żyje, jak pan widzi.

– Gdyby żył, to by tu nie leżał – odciął się Przygodny. – Pytam, czy już coś pan ustalił.

Niezmilczenie sarkastycznej uwagi przyniosło nadspodziewanie dobry efekt, bo Małecki powiedział po prostu „tak”, podniósł się i podszedł do zwłok.

– Strzał w serce, zejście na miejscu, żaden Religa by go nie uratował. Ale ciekawsze są te siniaki – lekarz wskazał na niebieskawe plamy na przedramionach i piersi. – Z kimś się przed śmiercią szarpał. Na ostro, to nie była przepychanka, żeby zdobyć siedzące miejsce w tramwaju.

– Usiłował wytrącić zabójcy pistolet?

– Niestety, do sińców nie załączono opisu, co spowodowało szarpaninę, podczas której powstały. A w każdym razie ja go przy denacie nie znalazłem.

Przygodny chciał powtórzyć odniesiony przed chwilą sukces w pacyfikowaniu sarkazmów Małeckiego, skoro ten jedynie na krótko był w stanie się od nich powstrzymać, ale nie wpadł na żadną ciętą ripostę.

– Głośno tylko myślę. Jakiś naskórek pod paznokciami?

– Nie, najwyraźniej nie natrafił na żadne odkryte partie ciała przeciwnika. Bądź przeciwniczki.

– Szkoda, mielibyśmy DNA zabójcy. Skoro przy tym jesteśmy, miałbym do pana prośbę o porównanie DNA z tej krwi i DNA z kości spalonej głowy. Tej, do której pan nie dojechał. Przy czym chodziłoby mi o porównanie niejako przy okazji, jeśli pan rozumie, o czym mówię.

Lekarz nie zrozumiał, ale nie dlatego, że Przygodny, jak każda osoba nienawykła do prowadzenia lewych interesów, nie potrafił

jednoznacznie, a zarazem owijając w bawełnę przekazać, że taki interes chce załatwić.

– Gdzie nie dojechałem? Jaką spaloną głowę?

Zwłaszcza drugie pytanie zaskoczyło komisarza, a jego treść wydała mu się tak nieprawdopodobna, że przypisał mu inną, uznając, że Małecki musiał niezbyt precyzyjnie się wysławić.

– Ma pan dwie?

– Nie, nie mam żadnej.

– Jak to?

– Nie mam żadnej spalonej głowy, w ogóle nie mam żadnych zwłok z pożaru.

– Nie z pożaru, zabójca odciął głowę i spalił ją w ognisku w Lesie Strachocińskim, dziś ją znaleźliśmy. Dzwoniliśmy po pana, ale widocznie coś panu wypadło, więc kazałem ją przywieźć tutaj.

– Nikt po mnie nie dzwonił i nic do mnie nie przyjechało.

– Jest pan pewien?

Normalnie patolog wygłosiłby jakąś kąśliwą uwagę, że doskonale zna zawartość swoich lodówek, ale on też był zdumiony, że szczątki ofiary przestępstwa do niego nie dotarły.

– Na sto procent.

Kuriata odwrócił się na siedzeniu swojego porsche i odprowadził wzrokiem szczupłą w talii blondynkę o urokliwej twarzy i wprawdzie nieproporcjonalnie grubych udach i szerokim tyłku, ale w jej przypadku tworzyło to erotyczną kombinację, która go podnieciła i nastawiła pozytywnie do życia. Czy raczej jeszcze bardziej pozytywnie, bo już

dokuczenie przyjacielowi i cztery trupy wprawiły go w wyśmienity humor.

Jednym z nich właśnie się zajmował, stał pod blokiem, w którym zamordowano Rachwalskiego, i śledził dwóch zdezorientowanych mężczyzn, żywo dyskutujących w audi zaparkowanym po drugiej stronie ulicy. Rozmawiał akurat z sąsiadką zabitego, od której dowiedział się, że był to podejrzany typek, bo „często, panie, na noc wychodził” (kobieta najwyraźniej nie brała pod uwagę, że całkiem sporo ludzi pracuje na trzy zmiany), kiedy w mieszkaniu Rachwalskiego odezwał się domofon. Kuriata bez żalu porzucił sąsiadkę i zszedł na dół, żeby wypytać jego gościa. Gdy jednak zobaczył dresy, dwie wygolone czaszki i dwa masywne karki, zmienił zdanie, uznając, że niewiele zechcą mu powiedzieć, za to dużo mogła zdradzić ich reakcja na policyjną plombę. Udał więc, że po prostu opuszcza budynek, i przytrzymał drzwi z pytaniem „Wchodzą panowie?”, żeby zachęcić ich do wejścia na górę, gdyby z braku reakcji na domofon zamierzali po prostu się oddalić.

Skorzystali z tej zachęty, a Kuriata stuknął się w czoło, głośno jęknął „Gdzie ja mam głowę, najważniejszego nie wziąłem” i wsiadł razem z nimi do windy. Wcisnął przycisk piętro niżej, tak że zanim ci dotarli do celu, spokojnie zdążył pokonać kilka schodków i zająć dogodną pozycję obserwacyjną. Okazało się, że trafnie ich ocenił, bo plomba wywołała taką panikę, że zdążyli wrócić do windy, zanim zamknęły się jej drzwi, a teraz nad czymś gorączkowo debatowali w swoim samochodzie.

W końcu ruszyli w stronę mostów Trzebnickich. Dziennikarz pojechał oczywiście za nimi, porzucenie tak ładnie zapowiadającego się tropu nie wchodziło w grę, nawet jeśli śledzenie dwóch osiłków nie było całkowicie bezpieczne. Nie towarzyszył im lekarz, który w razie czego mógłby powstrzymać ich od rękoczynów. Do tego Kuriata miał zły samochód do takiej akcji, zbyt rzucający się w oczy. Ale pocieszył się tak samo, jak rano, kiedy jeździł za Kownackim: kto obawiał się, że jest

śledzony, wypatrywał raczej pojazdu, starającego wtopić się w szereg pozostałych na drodze. I jeśli tylko droga nie była zbyt daleka, musiał uznać, że wypasione porsche zmierza po prostu w tym samym kierunku.

Niestety, audi pokonywało kolejne skrzyżowania i proste odcinki, nie włączając migacza przed żadną z bocznych ulic. Kuriata wpuścił przed siebie jeden samochód, ale na więcej nie mógł sobie pozwolić, i tak na niektórych światłach przejeżdżał na czerwonym, żeby ich nie zgubić. Dopiero kiedy minęli stadion piłkarski, zbudowany na Euro 2012, i wjechali na drogę do Leśnicy, która bardziej była szosą niż miejską ulicą, mógł się schować za dwoma samochodami. Dzięki temu nie został zdemaskowany, na co wskazywał fakt, że po dotarciu do Osiedla Malowniczego mężczyźni wysiedli z audi i skierowali swe kroki nie ku porsche dziennikarza, lecz na jedną z posesji.

Ale podobnie jak na Obornickiej, także tu nikogo nie zastali. Dzwonienie do furtki ani jej przeskoczenie i dobijanie się bezpośrednio do drzwi i okien nie zakończyło się sukcesem. Jego brak wywołał widoczną czy raczej słyszalną frustrację.

- Gdzie on może być?!
- Skąd mam, kurwa, wiedzieć?! Nie ma go!
- Przecież logiczne, że nie ma, bo właśnie mówię, że nie ma!

Po krótkiej pauzie powołujący się na logikę dodał jeszcze „kurwa”, jakby uznał, że bez tego wzmocnienia argument będzie nie całkiem przekonujący.

- Zwinęli go!
- To czemu tutaj też nie ma plomby?!
- Bo nie wiedzą o tym domu.
- Jak nie wiedzą, to czemu...

Krzyki przerodziły się w prowadzoną normalnym tonem dyskusję, która do dziennikarza nie docierała.

Nawet gdyby na miejscu Kuriaty znajdował się jakiś fanatyk politycznej poprawności, który chciałby utrzymywać, że nie wolno kierować się stereotypami i wygląd mężczyzn o niczym nie świadczy, bo mogą pracować w przedszkolu, to słowa o zwinięciu nie pozostawiały wątpliwości: Rachwalski był przestępcą. I mieszkanie służyło mu najpewniej do nielegalnych działań, skoro, jak wynikało z relacji sąsiadki, na Obornickiej spędzał dnie, a tutaj miał dom, w którym odpoczywał.

Temu wnioskowi przeczyła okoliczność, że współnicy nie tylko o domu wiedzieli, lecz także znali dokładny adres. Kuriata nie próbował więc dalej spekulować, odczekał, aż ci odjadą – śledzenie najciekawsze efekty już chyba przyniosło, a ryzyko odkrycia z każdym przejechanym kilometrem było coraz wyższe i raczej przestało się opłacać – po czym wysiadł z samochodu, żeby podpytać sąsiadów. Niestety, na takich niedawno wybudowanych osiedlach dla zamożniejszych brakowało nudzących się starszych pań, które wiedziały wszystko o wszystkich. Właściciel domu po lewej oświadczył, że nie ma pojęcia, kto mieszka obok niego, i na dodatek sprawiał wrażenie, że wcale nie unika rozmowy, lecz mówi szczerą prawdę, a po prawej dziennikarz nikogo nie zastał. Siedzenie w oknie zdolności kredytowej w żaden sposób nie podwyższało, więc żeby kupić taki dom, trzeba było poświęcić dużo czasu na zarabianie pieniędzy, nieważne już, czy w sposób legalny, czy nie. Bo wbrew rozpowszechnionemu przekonaniu działalność przestępcza wcale nie należała do mało pracochłonnych. Kuriata pisał kiedyś reportaż o Irakijczyku, który we Wrocławiu zorganizował centrum przemytu ludzi ze swojej ojczyzny, Afganistanu i Syrii do Polski, gdzie wyrabiał im fałszywe papiery, pozwalające przenieść się do bogatszych krajów Unii. Lista paragrafów, które złamał, zajmowała pół

strony, ale jednego nie dało mu się zarzucić: lenistwa. Na taśmach z podsłuchów, założonych na jego telefonie przez wrocławskie CBS, najdłuższe przerwy wynosiły często zaledwie sześć godzin, a przez pozostałe osiemnaście instruował, wydawał dyspozycje, relacjonował, co załatwił, albo omawiał, jak rozwiązać wynikłe problemy czy poradzić sobie z pojawiającym się przeszkodami. I tak przez siedem dni w tygodniu. Dziennikarz nie mógł oprzeć się refleksji, że do tego stopnia pracowity i organizacyjnie uzdolniony człowiek został przestępcą dlatego, że urodził się w kraju bardzo ograniczonych możliwości, w USA byłby szanowanym i cenionym biznesmenem.

Kuriata skierował się do administracji osiedla, żeby tam dowiedzieć się czegoś więcej o Rachwałskim. Przed samymi drzwiami brzydka dziewczyna usiłowała wręczyć mu ulotkę, na co zareagował odmownym ruchem ręki: żadnych śmieci nie chciał, a skoro rozdająca je nie grzeszyła urodą, nie potrzebował pretekstu do nawiązania rozmowy.

– Bardzo pana proszę – zareagowała na to niemal płacząco – mój brat zaginął, może akurat pan go widział.

– Nawet jeśli widziałem – odparł zirytowany, że nie przyjęła jego odmowy – to pewnie już i tak nie żyje.

– Dlaczego pan tak mówi? – zapytała jęklonie. – Dlaczego pozbawia mnie pan nadziei?

– Bo nie ma co robić sobie złudzeń. Jeśli ktoś zaginął, a nie zgłaszają się porywacze po okup, na dziewięćdziesiąt procent jest trupem.

Dziewczyna zanosła się płaczem.

– Do delikatnych pan nie należy – wtrąciła się kobieta w średnim wieku, najwyraźniej też zmierzająca do administracji.

– Ale ma rację – odezwał się towarzyszący jej mężczyzna, ubiegając ripostę Kuriaty. – Gościa już pewnie dawno wypatroszyli z organów

i zakopali w jakimś odludnym miejscu.

Choć uwaga pochodziła z tego samego repertuaru, co twierdzenie, że w prezydenckim tupolewie podłożono bombę, sprawiła jednak, że Kuriata momentalnie stracił zainteresowanie tak ładnie rozwijającą się kłótnią. Rachwalski nie musiał być dawcą narządów, mógł być organizatorem! Jego przestępcza działalność polegała na handlu organami!

Entuzjastycznie wykrzyczane w myślach wnioski natrafiły jednak na opór płynący z lewej półkuli mózgu. Jeśli Rachwalski sprzedał Kownackiemu narząd do przeszczepu, dlaczego ten miałby go zabijać? I nadal pozostawał problem Brzeckich, do których według Przygodnego strzelał ten sam morderca.

Dziennikarz przykucnął, oparł się plecami o ścianę i schował głowę w dłoniach, by skupić się na myśleniu. Wywołało to zaniepokojenie pozostałych, nawet płaczącej dziewczyny, ale mocno niechętnie burknięcie skutecznie ostudziło ich troskę.

A może Brzeccy znali osobę, dla której Kownacki potrzebował narządów? Był przecież synem ich sąsiadki. Powiedział matce o nielegalnym przeszczepie, ta wypaplała pani Irencie, a z jakiegoś powodu posiadanie tej wiedzy przez Brzeckich było niebezpieczne. Nie, Kuriata odrzucił tę teorię. Kownacki przecież doskonale znał swoją matkę, wiedział, że to plotkara, która ze wszystkim poleci do psiapsiółki, w życiu by się jej z czymś takim nie zdradził. Co, jeśli ujawnił tyle, ile uważał za nieszkodliwe, ale Brzeccy mieli dodatkową wiedzę, w połączeniu z którą dośpiewali sobie resztę? I wpadli na pomysł, że go zaszantażują. Założyli, że szanowany lekarz nie może być groźny, grzecznie zapłaci i będzie po sprawie. Ale tragicznie się pomylili. Zastrzeżenie komisarza, że Brzecki rozpoznałby w strzelającym Kownackiego, dawało się łatwo obalić: ten najpewniej nie pofatygował

się osobiście, tylko posłał tego swojego zwalistego pomagiera. Ale co z Rachwalskim? Dlaczego i jego musieli usunąć? Może z tego samego powodu co Brzeckich. Jeśli Kownacki wolał zabić niż płacić, mógł również dojść do wniosku, że szkoda kilkadziesiąt tysięcy, kto wie, czy nie dolarów, które zamiast wyłożyć za nielegalnie zdobyty narząd, lepiej zatrzymać dla siebie. Usuwając wierzyciela. Tylko jak Rachwalski zostałby wierzycielem? Na czarnym rynku – niezależnie już od towaru – nie wystawiało się faktur z odroczonym terminem płatności, obowiązywała zasada z ręki do ręki, gotówka i na przykład narkotyki zmieniały właściciela jednocześnie. Tyle że handlarz organami w przeciwieństwie do dilerów narkotyków nie mógł odwrócić się na pięcie, kiedy nabywca pojawił się na miejscu transakcji bez forsy, i opchnąć ich komuś innemu. Dany narząd był towarem, który pasował do konkretnej osoby i miał bardzo krótki termin ważności. A to dawało kupującemu pole do oszukańczych działań.

Kuriata podniósł się. Miał swoją teorię, która jego zdaniem całkiem nieźle trzymała się kupy, tylko teraz musiał ją potwierdzić. Jeśli Brzeccy rzeczywiście szantażowali Kownackiego, to się z nim kontaktowali, a kontakty pozostawiają ślady.

Zakład pogrzebowy, który wygrał ostatni przetarg na przewożenie zwłok do Zakładu Medycyny Sądowej, mieścił się zaraz po drugiej stronie ulicy Curie-Skłodowskiej. Nosił stosowną nazwę „Ostatnia Podróż”, choć w branży – ze względu na osobę właścicielki – znany był szerzej jako „Wesoła Wdówka”. Honorata Niżyńska, chowając męża, poczuła się oszukana. Jej zdaniem ceny zostały skalkulowane tak, by w całości zagarnąć hojny zasilek pogrzebowy (o co, jak o co, ale o wyprawienie swoich obywateli na tamten świat państwo polskie dbało), nie zaś, by pokryć koszty i dać rozsądny zysk. Ale ponieważ zawsze uważała, że większą korzyść przynosi człowiekowi płynięcie z prądem niż walczenie

z nim, przeznaczyła spadek na otwarcie własnej firmy funeralnej. Złośliwe języki rozpowszechniały jednak wersję, według której miała uznać, że nigdzie nie znajdzie tylu mężczyzn w odpowiednim dla niej wieku, szukających pocieszenia i biustu, by się wypłakać. A że jej należał do obfitszych, nie bez racji spodziewała się, że inne jego funkcje też szybko ich zainteresują.

Komisarz Przygodny, całkowicie nieświadom, że branża pogrzebowa tętni plotkarskim życiem, pchnął mocno drzwi, przez co zdążył dostrzec znikający uśmiech właścicielki. Tylko przy tej usłudze grobowa – nomen omen – mina była na miejscu. Kiedy jednak okazało się, że prywatnie nikt Przygodnemu nie umarł, pani Niżyńska ponownie rozpromieniła się w szerokim uśmiechu. Potem zgasiły go pretensje komisarza, że obcięta głowa nie dojechała na Mikulicza-Radeckiego.

– Dzisiejsze zlecenie? Przepraszam, ale wcześniej mnie tu nie było, załatwiali to moi pracownicy, już dzwonię.

Przyłożyła komórkę do ucha.

– Jola, kto wziął zwózkę prokuratorską z Lasu Strachocińskiego?

Przez chwilę słuchała, marszcząc coraz bardziej brwi i niepokojąc tym Przygodnego.

– Dobra, dzięki.

Rozłączyła się i natychmiast wyszukała na liście kontaktów kolejną osobę. Ponieważ dość długo nie rozpoczynała rozmowy, stało się jasne, że nikt nie odbierze.

– Skwarka... przepraszam... tę spaloną głowę wiozł Ziutek...

Zawieszenie głosu wskazywało, że ma nastąpić dalsza część zdania, ale nie nastąpiła.

– I co z tym Ziutkiem? – spytał zniecierpliwiony komisarz.

– Z Ziutkiem jest taki problem, że nie do końca jest solidny.

Biorąc poprawkę na eufemizm, musiało to znaczyć, że z niego pijak i obibok.

– Ale nie mogę go posłać na zieloną trawkę, nie mam ludzi. Jak już ktoś zacznie, to przekonuje się, że robota wcale niestraszna, sztywni nie gryzą i można się do nich przyzwyczaić, jednak namówić kogoś, to naprawdę ciężki kawałek chleba. Kiedyś nie było tak tragicznie, pieniądze są niezłe, więc stanowiły dobry argument, ale odkąd rząd dał te pięćset plus dla dzieciorobów, a bezrobocie spadło, ja muszę takich jak Ziutek tolerować.

Przygodnego nie interesowała polityka kadrowa zakładu pogrzebowego, tylko gdzie się podziała głowa ofiary, więc o to właśnie zapytał.

Pani Niżyńska przeciągle westchnęła.

– Nie wiem, nie mogę się do Ziutka dodzwonić.

Komisarz zakomunikował właścicielce „Ostatniego Powrotu”, że taka odpowiedź go nie satysfakcjonuje, zakład podjął się przewożenia zwłok na zlecenie prokuratury, czyli nie wywiązał się ze swojego obowiązku, mało tego, zgubienie ofiary morderstwa ta prokuratura mogła uznać za przestępstwo.

– Śledztwo będzie na sto procent, żeby ustalić, czy nie jesteście w zмовie z mordercą.

– My w zмовie? – przeraziła się Honorata Niżyńska. – No skąd!

– A że nie ma reszty ciała, na was padnie podejrzenie, że je usunęliście. Na przykład dokładając do trumny regularnemu nieboszczykowi podczas jakiegoś pogrzebu. Czyli będziemy musieli ekshumować wszystkich, których pochowaliście w ostatnim miesiącu.

Nie minęła jeszcze nawet doba, odkąd Brzecki zaginął, ale nawet gdyby szukali go od miesiąca, groźby Przygodnego też stanowiłyby czystą konfabulację. To nie było śledztwo smoleńskie, by z powodu nieugruntowanego czy w ogóle wymyślonego podejrzenia zarządzać masowe ekshumacje. Komisarz chciał jedynie zmusić właścicielkę, by zamiast rozkładać ręce i uznawać sprawę za załatwioną, bo Ziutek coś tam, zabrała się za szukanie głowy. Wizja klientów przekonanych, że do „Ostatniej Podróży” lepiej się nie zgłaszać, bo „tam odkopują”, powinna ją do tego skłonić.

– Sprawdzę karawan.

Sprawdzenie nic nie dało, gdyż samochód też zniknął.

– Musimy do niego podjechać.

Liczba mnoga okazała się na wyrost, bo pani Niżyńska miała na myśli, że poda adres Ziutka, a komisarz sobie pojedzie, ale ten stanowczo nakazał, by udała się razem z nim.

– Skoro to konieczne... Zaczekam tylko na Jolę, żeby przejęła zakład.

– Ta Jola ma klucze do firmy?

– Oczywiście.

– To jedziemy, sama wejdzie.

– Ale jak zamknę, a w tym czasie przyjdzie jakiś klient?

– Zaczeka albo pójdzie do konkurencji. Pani powinna się teraz martwić zgubieniem zwłok, a nie utratą jednego czy drugiego klienta.

Niżyńska nie wynajdywała więcej przeszkód, tylko wsiadła z Przygodnym do jego golfu. Ziutek, a według metryki Józef Nowak, mieszkał koło dworca Nadodrze i komisarz na rondzie Reagana wybrał drugi zjazd. Po drodze właścicielka zakładu ponownie próbowała

dodzwonić się do swojego niesolidnego pracownika, ale ten nadal nie odbierał.

Ponadstuletnia kamienica mieściła wspólne mieszkania, zaszłość powojennego kwaterunku, kiedy to właścicielom zbyt dużych lokali – więcej niż jeden pokój na jedną osobę – dosiedlano przymusowych lokatorów. Dziadek i babcia Ziotka wprowadzili się w ten sposób do byłego lwowskiego adwokata, który z kolei zajął mieszkanie po oficerze Wehrmachtu. A dzięki ówczesnej decyzji miejskiej rady narodowej Przygodny i Niżyńska mieli teraz w ogóle szansę dostać się do Nowaka, bo ten spity do nieprzytomności leżał koło swojego łóżka. Wpuścił ich drugi z właścicieli dzielonego lokalu.

– Grabarz? Pierwsze drzwi za kuchnią. Którą pewnie znów zarzygał.

We wskazanym pokoju na podłodze walały się puste butelki po wódce, ściany obwieszały półpornograficzne zdjęcia, a jedynym przedmiotem, który miał mniej niż trzydzieści lat, był czterdziestocalowy telewizor plazmowy.

– Skąd go na to stać, skoro tyle przepija? – komisarz pokazał na plazmę i na flaszki.

– Mówiłam, że u nas pieniądze są niezłe. A on najwyraźniej na nic innego poza wódką nie wydaje.

Niżyńska pochyliła się nad swoim pracownikiem i natychmiast przesłoniła nos i usta ręką.

– Uch! Śmierdzi jak zgniłek.

– Jak zgniłe jabłko? – zdziwił się Przygodny.

– Nie, jak trup, który się przeleżał.

Doświadczenie z takowymi pozwoliło jej mimo to przystąpić do cucenia pijanego.

– Ziutek, obudź się, wstawaj! Co zrobiłeś ze spaloną głową? Gdzie zostawiłeś karawan?

Uzyskała jedynie tyle, że Nowak zaczął dawać oznaki życia i coś bełkotliwie wymamrotał.

– Obawiam się, że nic z tego nie będzie.

Ale komisarz nie miał zamiaru tak łatwo się poddawać. Też zatykając nos, zawlókł spitego do wspólnej łazienki, wepchnął do kabiny prysznicowej i odkręcił do końca kurek z zimną wodą.

Ziutek z początku nie zareagował, potem na jego twarzy wykwitł błogi uśmiech i Przygodny domyślił się, że oddał mocz w spodnie, ale w końcu zaczął się kulić, próbując osłonić się przed lodowatym strumieniem, ciałem wstrząsnęły dreszcze, a z ust wydobyły się całkiem wyraźne przekleństwa.

– No, panie Nowak, gdzie jest spalona głowa? W karawanie? Gdzie jest karawan?

– Głó...

– Tak, gdzie jest głowa?

– ...wa boli...

– Nie obchodzi mnie pańska głowa, gdzie jest ta spalona?

– Spa...?

– Tak, spalona.

– W czar... w czar... nej...

– W czarnej co? Torbie? Gdzie jest ta torba?

– Myślę, że jemu raczej chodzi o czarną karetkę, panie komisarzu – Niżyńska wystąpiła w roli interpretatora. – Tak mówimy na karawan.

– Gdzie zostawił pan karawan, panie Nowak?

– Na do... le.

Komisarz, zły na siebie, że mógł się tego domyślić, przetrząsnął kieszenie spodni Nowaka, wyciągnął z nich kluczyki, opłukał je pod ciepłą na wypadek, gdyby mokre były od moczu, umył ręce, po czym pognął na dół, z Honoratą Niżyńską następującą mu na pięty. Czarny mercedes-benz vito stał na podwórzu, dlatego go nie zobaczyli, kiedy przyjechali. Jego odnalezienie okazało się jednak ostatnim sukcesem: odciętej głowy w środku nie było. Sprawdzili każdy zakamarek, bo kierowany pijacką fantazją Ziutek mógł ją upchnąć wszędzie, i najwyraźniej upchnął, ale poza karawanem.

Przygodny sięgnął po telefon.

– Co pan robi?

– Wzywam posterunkowych. Zamykamy tego pana, na razie za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości, pani też będzie miała postępowanie, bo ewidentnie mu pani na to pozwoliła, nie zaprawił się tak przez parę godzin, musi być w ciągu co najmniej od kilku dni. A potem omówię z prokuratorem, pod jaki paragraf podchodzi zgubienie zwłok. I jak pociągnąć panią do odpowiedzialności za współudział. Będzie mogła się pani cieszyć, jeśli skończy się na utracie zlecenia dla prokuratury.

Komisarz dodzwonił się do Wójcika, kazał mu z partnerem przyjechać i podał, kogo oraz gdzie mają aresztować. Potem wrócił na górę, mając nadzieję, że Nowak worek z głową wziął ze sobą do mieszkania, ale przeszukanie jego pokoju, kuchni, łazienki i przedpokoju nic nie dało.

– Łobuz posiał ją gdzieś po drodze, jeśli w ogóle zabrał z Lasu Strachocińskiego. Zobaczmy, może areszt odświeży mu pamięć.

Kontakty pozostawiają ślady, ale gdzie tych śladów szukać, nie było już taką oczywistością. Do telefonów dziennikarz nie miał dostępu: komórki Brzeckich jako ofiar zamachu z pewnością zabezpieczyli śledczy, jeśli nie zabrał ich napastnik, a Kownacki raczej odrzuciłby prośbę o pokazanie swojej. Poza dzwonieniem i wysyłaniem SMS-ów ludzie pisali do siebie maile, ale z laptopami sprawa miała się identycznie jak z komórkami.

Nie mogąc znaleźć rozwiązania, Kuriata uznał, że najlepiej zająć się czymś innym, pozwalając dalej pracować podświadomości. Przede wszystkim musiał zabrać telefon kamerę z Traugutta. Oceniał, że nawet przeciągająca się operacja dobiegłaby już końca, mimo to na blok operacyjny wchodził bardzo ostrożnie, pilnie nasłuchując, czy nie dobiegną go jakieś dźwięki. Głupio byłoby spalić w ostatniej chwili udaną akcję. Udaną, bo spiskowcy komórki nie odkryli, za to zostali przez nią nagrani. Musieli być bardzo zmęczeni tudzież wyczerpani psychicznie, bo rozmawiali ze sobą jedynie półsłówkami, które nic nie ujawniły, ale z obrazem poszło dużo lepiej: kamera uchwyciła twarz każdego.

Potem postanowił napisać artykuły o porzuconym samochodzie i spalonej głowie w Lesie Strachocińskim oraz o zabójstwie na Obornickiej. W redakcji wolał się nie pokazywać, dopóki Misiak nie przespał się ze swoim upokorzeniem, wyszukał więc w nawigacji Google'a pobliskie restauracje. Zdecydował się na Kempę, w której podawano steki wołowe.

W lokalu swoim zwyczajem ocenił wpierw wygląd kelnerek i z niezadowoleniem zakwalifikował je jako kaszaloty. A kiedy jeszcze podeszła do niego najgrubsza, omal nie zrezygnował z obiadu, ale że był zbyt głodny, przekonał sam siebie racjonalnym argumentem, że mimo wszystko nie jest w salonie masażu.

Czekając na usmażenie steku z antrykotu, otworzył laptopa, a na nim folder „Moje dokumenty”. Jego wzrok spoczął na pliku „Powieść”. Skrzywił się. Kiedy powiedział Sobieskiemu, że praca nad książką szła powoli do przodu, powinien położyć akcent na „powoli”. Nie dość, że pierwszą wersję zostawił po napisaniu połowy i zdecydował się na zupełnie inny gatunek: z ewangelijnej parafrazy przerzucił się na kryminał, to coraz dłuższych przerw w tworzeniu nie dało się usprawiedliwić zawodowymi obowiązkami. Nieraz, mając wolną godzinę, wolał zalec ze swoim kotem na kanapie i obejrzeć odcinek „House of Cards”, chociaż wcale nie padał ze zmęczenia i doskonale stać go było na intelektualny wysiłek.

Sobieski. Ciekawe, jak zakończyło się jego zatrzymanie. Jeśli oskarżeniem, można by z tego zrobić materiał. Ekstrawagancki starszy pan zresztą tak czy tak zasługiwał na artykuł. Jak polityka wydawnictw doprowadziła pisarza do rękoczynów. Czyli coś z pogranicza kryminału i kultury. Mógłby to podsunąć Andrzejowi, żeby osłodzić mu degradację.

– Robisz się sentymentalny, Jurek – mruknął do siebie. – Sam to napisz, zamiast oddawać ekstra temat, bo dziaasz i dopadają cię jakieś durne wyrzuty sumienia.

Utworzył plik „Pisarz_bokser”, w którym odnotował „Sobieski, sankcja?”, żeby to później ustalić, po czym skupił się na wydarzeniach z Lasu Strachocińskiego, bo ten artykuł musiał ukazać się w jutrzejszym dniu. Miał do niego tak dużo faktów jak nigdy, więc pisanie szło mu niezwykle sprawnie. Z tej przyczyny i dlatego, że poprosił o stek mocno wysmażony, dotarł gdzieś do jednej trzeciej, zanim kelnerka podała mu potrawę.

Odsunął laptopa i zanurzył nóż w mięsie, ale jedząc, sprawdzał napisany tekst. Kiedy dostrzegł błąd, odkładał sztucce i nanosił

poprawkę; ponieważ nie musiał robić tego zbyt często, jak zwykle doszedł do wniosku, że jest geniuszem.

– Co na to poradzisz, Jurek? Z takim talentem już się urodziłeś.

Czując się panem świata, rozejrzał się po urządzonej w rustykalnym stylu sali, czy któraś z klientek nie mogłaby stać się jego zdobyczą, ale spotkało go podobne rozczarowanie jak przy kelnerkach. Skonstatował, że niemała liczba kobiet jest dowodem na turpizm Pana Boga. Sadyzm polegał na tym, że mężczyźni pociągali tylko ładne i zgrabne. A skoro dla wszystkich nie starczało, frustracja, agresja, bijatyki i wojny.

– Spieprzyłeś to, koleś. – Kuriata popatrzył w sufit. – Nieziemsko spieprzyłeś.

Zamiast kobiety zafundował sobie kaloryczny deser, po czym zabrał się za pisanie dalszej części artykułu. Kiedy kończył jeden z akapitów, który uznał za jeszcze lepszy niż genialna przecież całość, ekran nagle pociemniał, a potem – gdy do dziennikarza dotarło, co się stało – pojawiły się ikonki, informujące o uruchamianiu się systemu od nowa.

– Pierdolony laptop! – Miał ochotę rzucić nim o ścianę. Ustawił automatyczne zapisywanie tekstów co dziesięć minut, więc wspaniały akapit przepadł bezpowrotnie. – Idziesz na złom. Ja potrzebuję niezawodnego sprzętu!

Spojrzeniami pozostałych gości bynajmniej się nie przejął: rozmawiał z Bogiem, a większość ludzi uznawała to za normalne, tym bardziej mógł więc rozmawiać z czymś realnie istniejącym. I rzeczywiście postanowił swoją groźbę wprowadzić w życie, i od razu pojechać po nowy sprzęt. Nie z powodu tej awarii, byłoby to niepoważne, ale laptop miał już swoje lata i nie zastrajkował pierwszy raz, tyle że dotąd nigdy w środku tak pięknego tekstu. Najwyższy czas na wymianę, zwłaszcza że wcześniej o niej już myślał, ale nie zebrał się, by to załatwić. Teraz dostał odpowiedni impuls.

Tym razem nie szukał na mapie Google'a, komputery, począwszy od peceta z DOS-em, kupował zawsze w sklepie na rogu Biskupiej i Wita Stwosza. Po parunastu minutach wszedł do niego, położył swojego laptopa na ladzie i podniósł wieko. Zanim zdążył powiedzieć, że chce kupić identyczny, tylko aktualny, sprzedawca, chudy brodacz, oznajmił:

– Nie prowadzimy komisju.

– A ja go wcale nie chcę sprzedawać!

– W rozliczeniu starego sprzętu też nie przyjmujemy. Zresztą teraz starego nawet na Allegro pan nie opchnie, zostaje rodzina albo elektrośmieci.

– Ale ja chcę tylko poka... Co pan powiedział?

– Że teraz ludzie tak często wymienia...

– Nie, to z rodziną?

– Że rodzinie może pan oddać. Na pewno ma pan jakąś starą ciotkę albo babcię, dla której komputer to taka sama czarna magia jak dla Papuasa z Nowej Gwinei. Ale trzeba spacyfikować początkowy opór, wytłumaczyć, że to tylko rodzaj telefonu, pokazać, jak używać Skype'a. Kiedy babcia zorientuje się, że może przez owo diabelskie urządzenie rozmawiać z wnukami i jeszcze ich przy tym widzieć, będzie wniebowzięta.

Kuriata ucałowałyby brodacza, gdyby nie obiecał sobie, że w dniu, w którym pocałuje faceta, rzuci się pod pociąg, więc po prostu chwycił za laptopa i wybiegł ze sklepu, zostawiając tegoż z otwartą buzią.

Z początku używał niemal wyłącznie pedału gazu, ale kiedy zreflektował się, że musi obmyślić strategię rozmowy, częściej wciskał hamulec i na Biskupin dotarł w takim tempie, jakby poruszał się gierkowskim maluchem, a nie jednym z lepszych modeli Porsche.

Spodziewał się serdecznego przyjęcia ze strony Bogumiły Kownackiej, nie dlatego, by oceniał, że go jakoś szczególnie polubiła, po prostu dla takich ludzi zainteresowanie prasy było wydarzeniem życia, wyrwaniem się z szarości w zasięg jupiterów. Zdziwił się więc niemało, kiedy Kownacka, wyraźnie wytrącona z równowagi jego wizytą, rzuciła mu na powitanie: „A ja panu, panie dziennikarzu, powiem tak!”, i trzasnęła drzwiami. Gdy ciesząc się, że nie wyleciały z futryny, zastanawiał się, co mogło być przyczyną takiej reakcji, otworzyła je ponownie.

– Konacka dla pana jestem?! Konacka?! Edward w grobie się przewraca, że jego szlachetne nazwisko, które po nim mam, tak spostowano! Raz w gazecie o mnie napisaliście, ale nie mogę tego nikomu pokazać, bo mnie wyśmieją. Konacka!

Kuriata odetchnął. Kiedy kobieta ujawnia, o co ma pretensje, to ma się za sobą połowę drogi, żeby im zaradzić.

– Ależ pani Kownacka, przecież ja właśnie przyjechałem panią przeprosić i z panią porozmawiać, żeby jeszcze jeden artykuł napisać i tę fatalną pomyłkę naprawić. Nie moją pomyłkę, żeby była jasność, ja dobrze napisałem, fuszer w korekcie pomylił, nic nie umie, ale że bratanek naczelnego, to pracę dostał i nie do ruszenia jest.

Powszechne wśród Polaków przekonanie, że posady zapewniają znajomości, a nie kwalifikacje, dodatkowo wspierane przez poczynania polityków, gwarantowało Kuriacie, że Kownacka w jego wyjaśnienie uwierzy. Zwłaszcza że bardzo chciała uwierzyć.

– Naprawdę?

– Jak Boga kocham – zapewnił dziennikarz, akurat uważający Boga za dość szkodliwe zjawisko.

– A to co innego. W takim razie zapraszam. O czym będzie ten drugi artykuł?

– O zaginięciu pana Brzeckiego – odparł Kuriata, choć cytować Kownackiej wcale w nim nie zamierzał. Ku jego zaskoczeniu okazało się jednak, że miała ciekawe informacje w tej sprawie.

– Pan Bogusław zaginął? Od razu wiedziałam, że to źle się skończy, kiedy zobaczyłam, jak w piżamie do samochodu wsiada.

– W piżamie? Była pani w szpitalu?

– Nie, właśnie się wybierałam, ale wtedy zobaczyłam, że przyjechał do domu.

– Czyli wysiadał z samochodu w piżamie, a nie do niego wsiadał?

– Nie, nie. To znaczy tak.

Dziennikarz zorientował się, że pytaniami do niczego nie dojdzie, i kazał sobie opowiedzieć całą historię od początku. Zajęło to trochę czasu, gdyż Bogumiła Kownacka jak zwykle dryfowała od jednej dygresji do drugiej, ale przynajmniej wszystko stało się jasne. Brzecki przyjechał taksówką ze szpitala w piżamie, żeby przesiąść się do własnego samochodu, ale tak się śpieszył, że nawet się nie przebrał. A potem – co Kuriata wiedział już od Przygodnego, który jednak o piżamie się nie zająknął – pojechał stąd do Lasu Strachocińskiego. Gdzie zapewne pomagier Kownackiego go zasztylował, odciął mu korpus i spalił głowę. Albo może tym razem Kownacki osobiście. Oddzielanie głowy od ciała to zajęcie dla lekarza.

– Pani syn przy operacji pana Brzeckiego po postrzeleniu nie pomagał?

– Zygmus? Przecież Zygmus jest w Szwecji.

Czyli Zygmus, wbrew zapowiedziom, mamusi nie odwiedził. Bo tę deklarację złożył tylko na użytek Kuriaty, by uwiarygodnić, że o zamachu na sąsiadów dowiedział się właśnie od niego, a tak naprawdę szok mamusi uwzględnił wcześniej w swoich planach i uznał, że poradzi sobie ona bez jego wizyty? Może tak, ale jeśli miała to być poszlaka przemawiająca za udziałem Kownackiego w zamachu na sąsiadów, to bardzo wątpliwa.

– Daleko. Ale pewnie często dzwoni?

– O, tak. Kiedyś dzwonienie było drogie, ale teraz na Skypie to za darmo, no, laptop kosztuje, ale Zygmus dał mi swój stary, tylko proszę nie myśleć, że stary, praktycznie nowy, dwuletni, Zygmus chciał mi nawet kupić nowy, ale sama powiedziałam, że nie chcę, kto to widział, żeby wyrzucać pieniądze i mówić, że jak dwa lata to przestarzały, ja mam jeszcze zenita po Edwardzie, co ponad czterdzieści będzie miał i całkiem dobry by był, tylko że zdjęć z takich już nie wywołują.

Naprowadzenie Kownackiej na interesujący Kuriatę temat okazało się dziecinnie proste, ale pomysł, jak skłonić ją do pokazania mu zawartości laptopa, przyszedł mu do głowy dopiero pod koniec tej tyrady.

– I dobrze, bo nie można ich przesłać mailem, a tak pewnie dostaje pani od syna sporo zdjęć wnuków.

– O, tak! Chce pan zobaczyć?

Kuriata wolałaby kolonoskopię, ale musiał udąć zainteresowanie. Kiedy kombinował, jak z folderu ze zdjęciami przejść do źródła, czyli e-maili z załącznikami, by spojrzeć na pozostałą pocztę, pani Kownacka przyniosła z drugiego pokoju nie laptopa, tylko albumy fotograficzne. Dziennikarz zaklął w duchu i nie przestał kląć podczas oglądania dwojga szczerbatych i piegowatych bachorów, które skutecznie wyleczyłyby każdego pedofila z jego skłonności.

– Tu jesteśmy przed szpitalem Zygmunta, kiedy nas do siebie zaprosił. To jeszcze jak Edward żył, on robi zdjęcie, a my wszyscy...

– Jak się ten szpital nazywa? – Kuriata zwiertzył szansę.

– Nie pamiętam, to po szwedzku.

– Może ma pani gdzieś zapisane? Syn w żadnym mailu nie podał?

– W mailu to nie, on się nie rozpisuje, zawsze krótko, „mamuś, zdjęcia w załączeniu, całuję”, ale z pracy wysyła, to nie ma czasu, żeby coś więcej, musi przecież zajmować się pacjentami.

– Jak z pracy, to w stopce będzie.

– Ale czemu to ważne?

– No jak to czemu? Żeby wynagrodzić pani tę straszną pomyłkę, chcę podać, że o piżamie Brzeckiego opowiedziała gazecie pani Bogumiła Kownacka, matka Zygmunta Kownackiego, lekarza pracującego w takim a takim w szpitalu w Szwecji. Jak napiszę tylko „w Szwecji”, to jeszcze jakiś czytelnik pomyśli sobie, że zatrudnili go ledwie w przychodni albo, co gorsza, wcale nie w zawodzie, lecz przy zbieraniu jagód. Przecież pani wie, że praca w Szwecji kojarzy się Polakom ze zbieraniem jagód.

Kownacka pognała po laptopa, jakby dziennikarz miał artykuł już gotowy i dwie minuty na naniesienie poprawek przed deadline. Kuriata, zadowolony, że młodzieńczy sposób zarobkowania przyniósł dodatkową korzyść, odsunął albumy. Z nieświadomości, że uwolniły go od nich wcale nie szwedzkie borówki, lecz napomknięcie o przychodni, wyprowadziła go sama gospodyni po powrocie.

– Zygmuś zawsze mówi, że wypisywanie recept w przychodni zagryzionym i zagrzyzionym to dla lekarza śmierć zawodowa, byłoby straszne, jakby ktoś pomyślał, że został tak zdergadowany.

Dalej poszło już gładko, laptopa wręczyła mu ze słowami, żeby sam sobie poszukał. Najwyraźniej odbierała i wysyłała pocztę według wyuczonego albo zapisanego schematu i nic więcej nie potrafiła zrobić. Ujawnienia tajemnic nie musiała się obawiać, jej korespondencja ograniczała się do wspomnianych lakonicznych maili z załącznikami od syna, co Kuriata stwierdził, studiując zawartość folderu „Skrzynka odbiorcza” w Outlooku. Niestety, maili sprzed zmiany właściciela ewidentnie w nim nie było. W tej sytuacji dziennikarz otworzył „Elementy wysłane”, mając nadzieję, że Kownacki oczyścił komputer przed przekazaniem jedynie pobieżnie, skoro wiedział, że matka będzie korzystać tylko z tych funkcji, które jej pokaże. A przy pobieżnym czyszczeniu ten folder dość często ludzie przeoczali. Podobnie jak okoliczność, że w mailach wysłanych zacytowana była większość odebranych.

Posegregował odbiorców alfabetycznie i aż mu dech zaparło, kiedy nawet nie musiał przewijać ekranu, bo zobaczyć nazwisko „Bogusław Brzecki”.

Był wprawdzie tylko jeden e-mail, ale jego treść potwierdzała podejrzenia Kuriaty co do szantażu. Kownacki napisał „W porządku” w odpowiedzi na „W takim razie 100 tys. SEK i na tym poprzestaniemy”. Enigmatyczność sformułowań przy braku podpisów i pozdrowień wskazywała na dalszą część wcześniej prowadzonej korespondencji, ale tej Kuriata nie odnalazł, najwyraźniej została wykasowana. Wyjaśnienie, dlaczego jeden wątek rozbito na dwa, było proste: Brzecki nie skorzystał z opcji „Odpowiedz”, tylko utworzył nową wiadomość, a odbiorcę wpisał z książki adresowej, wystarczyły pierwsze litery nazwiska, by program sam uzupełnił. Najpewniej odpowiadał po trwających trochę namyśle i konsultacjach z małżonką (z formy „poprzestaniemy” wynikało, że pisał w imieniu ich obojga) i nie chciało mu się przewijać innych maili, które przez ten czas spłynęły. Szkoda, bo

ewidentnie toczyły się tu jakieś negocjacje i dziennikarz nader chętnie by się z nimi zapoznał. Tyle że gdyby poprzestali na jednym wątku, to w ogóle by się o nich nie dowiedział, bo ten Kownacki usunął. Na szczęście musiał przeoczyć, że korespondencja została rozbita na dwa.

– Znalazł pan?

– Co? – Kuriata lekko się wzdrygnął, przywrócony do rzeczywistości, w której istniała Bogumiła Kownacka. – Aha, tak, tak, jest. Czy mogę przekierować maila na swoją pocztę, bo to obca nazwa i nie chciałbym przekręcić?

Nawet jeśli Kownackiej nasunęło się pytanie, czemu jej sobie zwyczajnie nie przepisze, to pewnie nie wiedziała, co znaczy „przekierować maila” i czy przypadkiem nie jest to prostsze niż przepisanie, więc tylko kiwnęła przyzwalająco głową.

– Ile to jest sto tysięcy koron?

– Czemu pan pyta?

– Bo skoro ma pani syna w Szwecji, to pewnie się pani orientuje.

W żaden sposób nie wyjaśnił swojego pytania, ale logika nie była mocną stroną pani Kownackiej.

– Tak, tak, cały czas mówią mi ceny w koronach i muszę przeliczać, jedna korona to teraz jakieś czterdzieści trzy grosze.

Czterdzieści trzy tysiące złotych nie stanowiły zbyt zawrotnej sumy jak na szantaż. Nawet na dobry samochód by nie starczyło.

– Taki lekarz w Szwecji to pewnie ze dwadzieścia tysięcy koron zarabia?

– Sześćdziesiąt! – podkreśliła Kownacka z dumą i jednocześnie z oburzeniem, że zbyt nisko jej syna wycenił.

To już w ogóle fatalnie wyglądało. Podwójne morderstwo, żeby uniknąć zapłacenia niecałych dwóch pensji?

– Ale połowę zabierają mu w podatkach. Tam są straszliwe podatki.

Zmieniało to niewiele, trzy pensje też były do przełknięcia za święty spokój. Ale właśnie. Zapłacenie szantażystom wcale nie zapewniało świętego spokoju, bo tacy, którzy poprzestawali na jednym żądaniu, praktycznie nie istnieli.

Kuriata dowiedział się wszystkiego, co chciał, więc czym prędzej zebrał się do wyjścia, by uniknąć choćby próby dalszego prezentowania mu dowodów na rozprzestrzenienie się genów pani Kownackiej. W drzwiach jednak się zatrzymał, co mu szkodziło zapuścić sondę, przecież Kownacka ze swoim charakterem z pewnością i przy synu nadstawiała uszu, by pochwycić rzeczy dla niej nieprzeznaczone.

– Czy Brzeccy coś wiedzieli o tej operacji, którą nie chciał się chwalić?

– Kto? Zygmus?

– Tak.

– Proszę pana, mój syn nigdy nie miał powodu do wstydu!

Kuriata wiedział, że trafił: od razu zrozumiała, do czego pije, odpowiedź była zbyt głośna i zapalczywa, kostki dłoni trzymającej framugę zbieleły, a po twarzy przemknął wyraz przerażenia.

Tego dnia powrót wieczorem do domu śledczym nie groził. Zapowiadało się, że nie tylko wieczór, lecz także noc spędzą w komendzie. Nie ruszyliby się z niej wyłącznie z powodu zgubionej głowy, a do tego dochodziły jeszcze nadal niezidentyfikowane zwłoki na lotnisku i zabójstwo Rachwalskiego, w tej sytuacji przyjemnie tradycyjne. Co

psuło ten przyjemny obraz, to brak komórki. Morderca zabrał telefon ze sobą.

– Kolejna niezgodność obok tego, że nie posłużył się tłumikiem i nie miał rękawiczek – zauważył Przygodny. – Telefony Brzeckich zostawił.

Gajda ustawiał na parapecie okna napoje energetyczne, które miały pomóc mu w zwalczeniu snu.

– Może Rachwalskiemu zabrał komórkę dlatego, że przez nią byśmy do niego dotarli. Był w kontaktach albo coś.

– Może.

– Chociaż zgadzam się z panem, że chyba rzeczywiście zbyt pochopnie przyjęliśmy za fakty to, co się tylko nasuwało jako oczywiste. Że mordercą jest ten sam człowiek.

– Masz jakąś inną teorię?

– Mam! – Aspirant podkreślił wykrzyknik gestem ręki, strącając jedną z puszek na podłogę. – Rachwalski mógł zabić czy miał zabić Brzeckich na zlecenie, spartolił zadanie, bo Brzecki przeżył, więc zleceniodawca sam albo kimś się wyręczając, wziął go za to ukarał i dokończył za niego. To by wyjaśniało ten sam pistolet: Rachwalski dostał go tylko na czas roboty, potem oddał, a zamiast pieniędzy, zarobił kulkę. Szarpanina też do tego pasuje. Zorientował się, co mu grozi, i rzucił się, by wyrwać zabójcy broń, ale przegrał tę walkę.

– Tylko kto wynajmowałby kilerą, żeby usunąć nieszkodliwego kierownika hurtowni książek i jego żonę architektkę?

Wątpliwość Przygodnego zmusiła aspiranta do dłuższego namysłu.

– Brzecki!

– Co?

– Brzecki mógł być zleceniodawcą zamachu. Tak się głowiliśmy, dlaczego on dostał jedną kulkę, a żona pięć, tymczasem wyjaśnienie byłoby najprostsze z możliwych: bo ona miała zginąć, a on przeżyć, ale znaleźć się poza podejrzeniem. Sam pan powiedział, że w szpitalu bardziej udawał rozpacz, niż naprawdę rozpaczał.

– Nawet gdyby otwarcie cieszył się z jej śmierci, nie oznaczałoby to automatycznie, że zlecił zabójstwo żony. I o ile jeszcze z trudem, bo z trudem jestem w stanie wyobrazić sobie, że płaci mordercy, to nigdy, że sam morduje. Zresztą po co albo za co miałyby zabijać Rachwalskiego? Jeśli wynajął go, by zamordował mu żonę, a jego dla niepoznaki ranił, to Rachwalski nie spartolił zadania, lecz wykonał je perfekcyjnie.

Przygodny podniósł się, sięgnął po jedną z puszek na parapecie i przestudiował opis jej zawartości.

– Ty zamierzasz to pić?

– Hektolitrami!

– Ja zostanę przy kawie.

Chciał dodać, że w swoim wieku musi unikać świństw, żeby zachować dobrą formę, a ma dla kogo tę dobrą formę zachowywać, ale się powstrzymał. Jeśli chodzi o Justynę, nie mógł wpadać w taką rolę, w jakiej chciałby go widzieć Kuriata.

– Skupmy się na faktach, nie na domysłach. Co z odciskami palców?

Gajda sięgnął po protokół od techników, odnalazł właściwą kartę i przesunął po niej wzrokiem w poszukiwaniu interesującej go rubryki.

– Jak dałem im do wiwatu z balistyką, to z rozpędu daktyloskopię też zrobili od ręki.

Ta uwaga przypomniła komisarzowi, że przekazał do pilnego badania banknot, który potencjalny morderca wręczył na lotnisku sprzątacze, i wciąż czekał na wyniki.

– Pistoletu dotykał Rachwalski i jeszcze jedna osoba. To znaczy ta jedna osoba to domniemany zabójca. W sumie dwie dotykały, nie ma więcej – z chęci wysłownienia się jak najprecyzyjniej aspirant trochę się zaplątał.

– To pasuje do sińców, które stwierdził patolog: Rachwalski musiał szarpać się z zabójcą i złapać przy tym za pistolet. Tych drugich odcisków z pistoletu nie ma w AFIS-ie?

– Nie ma.

Obawy komisarza się potwierdzały: odciski na pistolecie okazywały się ślepą uliczką, bo bez materiału porównawczego nie mogli po nich dojść do sprawcy. Stałyby się niezbitym dowodem dopiero, gdyby go ujęli.

– Wiemy, skąd pochodzi ta beretta?

– Nie, numery seryjne zostały usunięte. Technicy pracują nad ich przywróceniem, ale to potrwa.

Czyli tą drogą na razie też do niczego nie mogli dojść.

– Znalazłeś jakieś punkty styczności między Brzeckimi a Rachwalskim?

– Dotąd żadnych. Przejrzałem jeszcze raz cały materiał, jaki zebraliśmy w sprawie Brzeckich, nazwisko Rachwalskiego nigdzie nie padło. Jego firma nie obsługiwała ani tej hurtowni książek, ani biura architektonicznego. Tak przynajmniej wynika ze służbowych maili, a dużo ich. Do jego rodziny nie dotarłem, wygląda na to, że nikogo nie miał. Sąsiedzi mówią, że starsze małżeństwo go nie odwiedzało, raczej młodzi mężczyźni. On też u Brzeckich w domu nie bywał, bo żadne odciski z mieszkania na Gersona nie są jego.

– Fatalnie.

– Fatalnie – zgodził się Gajda.

– Muszę przejść się do Leśniewskiego, żeby dał mi wyniki badania banknotu z lotniska, bo sam się do mnie nie pofatyguje. Dzwonienie coś przyniosło?

Aspirant zrobił nieszczęśliwą minę.

– Ma pan na myśli do przylatujących? Jeszcze się nie zabrałem, naprawdę nie było kiedy. Najpierw sprawdzałem dwie z tych odlatujących, które się nie odezwały, ale żyją, po prostu nie oddzwaniały, bo myślały, że to jakieś call center. A potem przyszło zgłoszenie z Rachwalskim i musiałem...

– Robert, przecież ja nie robię ci żadnych wyrzutów i nie musisz się tłumaczyć. Jak mówisz, że nie było czasu, to nie było. Koniec kropka.

Gajda miał swoje wady, kto ich nie miał, ale nierzetelność z pewnością do nich nie należała. Zdarzało mu się marudzić, że jakieś zadania są żmudne czy monotonne, ale nie odkładał ich na nieokreśloną przyszłość w nadziei, że dzięki innym ustaleniom staną się zbędne. I przykładał się do nich tak samo, jak do tych atrakcyjniejszych. Był bardzo solidnym współpracownikiem, a komisarz zdawał sobie sprawę, że o takich trudno. Niby solidność uchodziła za warunek sine qua non przy awansowaniu policjantów do wydziałów śledczych, ale w praktyce spełniali go nieliczni. Poprzednik Gajdy potrafił zapomnieć o sprawdzeniu DNA w bazie i dla ukrycia swojego błędu skłamać, że trafień nie było. W efekcie zamiast po prostu pojechać po mordercę, szukali go jeszcze długo. Co gorsza, komisarz nie mógł fuszera za to wyrzucić, musiał znaleźć jakiś pretekst, na szczęście ten postanowił wziąć zwolnienie lekarskie, żeby w czasie rzekomej choroby odmalować sobie mieszkanie.

– Zostaw mi listy pasażerów, ja się tym zajmę. Ty weź samochód i jedź szukać tej głowy. Od miejsca znaleziska do mieszkania na Nadodrze. Jeśli gdzieś można pojechać dwiema drogami, sprawdź obie. Rozejrzyj się, czy tego worka po prostu nie wyrzucił na pobocze albo czy nie ma tam instytucji, którą po pijaku mógł wziąć za zakład medycyny sądowej.

– Już działałam.

Opuścili pokój jednocześnie. Komisarz nie udał się bezpośrednio do techników, lecz pojechał z Gajdą na dół, żeby wstąpić do kantyny i kupić sobie kanapki; poza zupą w pizzerii nie zdążył nic więcej zjeść i robił się głodny. Na moment wrócił myślami do nieszczęśnika, który dostał tam kosza. Kiedy jednak stanął w kolejce i odkrył, że przed nim czeka Leśniewski, skorzystał z okazji, by zapytać o banknot.

– Nic wam nie da, nie świeżo wyjęty z bankomatu, tylko przeszedł przez wiele rąk, cała masa odcisków, ale żadnych czytelnych, jedno na drugim, wszystko rozmazane.

Kolejna przeszkoda.

– Przynajmniej go nie zgubiliście.

– Co?

– Nieważne, dzięki.

Wychodząc z kantyny, Przygodny natknął się na posterunkowych, którzy prowadzili czy raczej wlekli wciąż pijanego Nowaka. Sukcesami w prowadzonych śledztwach nie mógł się pochwalić, ale przynajmniej wpadał na właściwych ludzi.

– Dajemy go do aresztu, panie komisarzu – poinformował Wójcik. – Już jest po dmuchaniu. Dwa promile z okładem.

– Właśnie – potwierdził Wojtkiewicz.

– Sprawiał jakieś kłopoty?

– Nam?

No tak, pracownik zakładu pogrzebowego, nawet gdyby był trzydzieści lat młodszy, trzeźwy i w życiowej formie, nie zdołałby stawić skutecznego oporu roslým posterunkowym, którzy większość wolnego czasu zdawali się spędzać na siłowni.

– Dobra robota – pochwalił komisarz i ta pochwała była szczera, bo przywiezienie przez Wójcika i Wojtkiewicza właściwego człowieka wcale nie należało do oczywistości. Przygodny już się kiedyś zastanawiał, dlaczego się ich nie pozbędzie, ale nie pamiętał, jakiej odpowiedzi sobie udzielił. Teraz w każdym razie nie było żadnego powodu do takich rozważań, wykonali swoją pracę jak należy, a że areszt znajdował się w podziemiach komendy, nie mieli już okazji, by coś zawalić.

Wróciwszy do swojego pokoju, Przygodny chciał wpisać Bogusława Brzeckiego do rejestru zaginionych. Gajda pewnie szukał jego głowy, ale dopóki nie udawało im się potwierdzić, iż rzeczywiście należała do męża pani Irenki, musieli przyjmować za możliwe, że jednak żył. I odpowiednio do tego postępować. Okazało się jednak, że Brzecki był już w rejestrze umieszczony, i komisarz przypomniał sobie, że wcześniej kazał aspirantowi szukać nie tylko samochodu Brzeckiego, ale i jego właściciela.

Potem Przygodny wysłał zapytanie do Krajowego Rejestru Karnego z prośbą o informacje o Rachwalskim. Skłonił go do tego telefon Kuriaty, który chciał się dowiedzieć, czy Rachwalski w nim widnieje, a jeśli tak, to za co. Dziennikarz musiał mieć podstawy, by takie pytanie zadać, więc choć dotąd nic nie wskazywało na przestępczą działalność zabitego, należało to sprawdzić. Wcześniej Przygodny w takich sytuacjach korzystał z pośrednictwa podinspektora Dariusza

Zielińskiego, który w zamian za milczenie o jego kochance, referentce punktu informacyjnego KRK, załatwiał mu odpowiedź na podobny wniosek od ręki. I to mimo że Przygodny wcale go o tę przysługę nie prosił ani nie zamierzał być niedyskretny. Po rozwodzie jednak – kiedy prywatne kontakty się urwały, gdyż żona Zielińskiego była przyjaciółką Gabi – podinspektor dał do zrozumienia, że nie widzi już ryzyka, by Przygodny miał okazję jego małżonce coś wypaplać.

Kiedy załatwił tę sprawę, sięgnął po listy pasażerów, którzy w niedzielę przed godziną znalezienia zwłok na lotnisku przylecieli do Wrocławia, i zaczął dzwonić. Stopniowo odhaczał nazwiska kobiet, które odebrały telefon, znak zapytania stawiając tam, gdzie nikt się nie zgłosił. Po półtorej godziny miał dosyć. Ponieważ na razie wszystkie śledztwa utknęły i nie miał czym się zająć, by odetchnąć od żmudnej czynności, uznał, że zrobi sobie przerwę i porozmawia z Kanią o właścicielce zakładu pogrzebowego. Być może odebrała jego groźby jako straszenie, mające zapobiec gubieniu zwłok w przyszłości, ale komisarz mówił poważnie. Ani myślał pobłażać ludziom, którzy lekceważąc swoje obowiązki, przeszkadzali mu w ujęciu mordercy.

Chwilowo telefonowanie napawało go wstrętem, więc przeszedł się na piechotę, do prokuratury były dwa kroki, mieściła się w sąsiednim budynku. Dopiero widząc panujące w nim pustki, Przygodny uświadomił sobie, że Kania mógł już pójść do domu. Ale jednak przesłuchiwał jeszcze jakiegoś podejrzanego czy, jak to fachowo ujęła sekretarka, „prowadził czynności”. Ponieważ miały zmierzać ku końcowi, Przygodny zdecydował się zaczekać. Usiadł na krześle i początkowo wodził wzrokiem po ścianach, ale potem skierował go na sekretarkę. Oczywiście dyskretnie. Nie była nowa, widział ją już kilka razy, nic sobie przy tym nie myśląc. Ot, młoda, całkiem ładna dziewczyna, jakich wiele na tym stanowisku w wymiarze sprawiedliwości. Teraz jednak porównywał ją z Justyną i zastanawiał się, czy miałby u niej szansę,

gdyby Justyna go zostawiła. Kiedy dotarło do niego, że zachowuje się jak Kuriata, i chciał udzielić sobie reprimendy, otworzyły się drzwi prokuratorskiego gabinetu i wyszli z niego dwaj mężczyźni, podejrzany ze swoim obrońcą.

Sekretarka zaanonsowała go przez interkom i wskazała mu ręką, że może wejść.

– Dzień dobry, panie komisarzu, czy raczej dobry wieczór. – Niepozorny Kania za dużym biurkiem wyglądał mało groźnie, ale dokonujących takiej oceny przestępców i ich adwokatów akt oskarżenia zwykle wprawiał w stupor. – Poradziliście sobie beze mnie w Lesie Strachocińskim? Muszę przyznać, że aktywność zabójców mnie przerosła.

Kania zwykle przyjeżdżał na miejsce zbrodni, chociaż przepisy wcale, wbrew obiegowym przekonaniom, takiego obowiązku na niego nie nakładały. Ale skoro to prokuratura oficjalnie prowadziła śledztwo, nie chciał opierać się wyłącznie na relacjach z drugiej ręki.

– Nie do końca, dlatego tu jestem.

Kiedy Przygodny referował epopeję ze zgubioną głową, odezwała się jego komórka. Chciał odrzucić połączenie, przekonany, że oddzwania jedna z przylatujących, której wcześniej nie zastał, ale na wyświetlaczu zobaczył nazwisko Gajdy.

– Pozwoli pan, że odbiorę, zdaje się, że właśnie w tej sprawie.

Kania wykonał gest mówiący, że absolutnie nie ma nic przeciwko temu.

– Słucham cię, tylko od razu do rzeczy, bo jestem u prokuratora.

– Przecież ja zawsze przechodzę od razu do rzeczy.

– Robert!

– No co, przecież mówię, że nic nie znalazłem. Przejechałem całą drogę w tę i we w tę, dosłownie dwadzieścia na godzinę, żeby czegoś nie przeoczyć, więcej patrzyłem na boki niż przed siebie, cud, że nikomu w tył nie wjechałem. Jak był jakiś budynek podobny do zakładu medycyny albo z szyldem z nazwą, która mogła się pijanemu skojarzyć, to sprawdzałem, czy nie podrzucił tam worka na portierni, ale nie.

– Dobra, dzięki.

– I co? – Kania popatrzył pytająco na komisarza.

– Kazałem aspirantowi sprawdzić trasę, którą musiał przejechać karawan z „Ostatniej Podróży”, ale na nic nie natrafił.

– Mówiłem od razu w komisji przetargowej, że to jest zbyt nisko wyceniona oferta, a tanie mięso psy jedzą i będą kłopoty. Zostałem jednak przegłosowany, bo wszyscy boją się podejrzeń o korupcję. Głos za najtańszą ofertą jest bezpieczny, nawet jeśli jak na dłoni widać, że oferent zaniża cenę, żeby wygrać przetarg. Ale teraz się tej pani pozbędziemy, karalność wyklucza pracę dla prokuratury.

– A pod jaki paragraf to podchodzi?

– Zbezczeszczenie zwłok na pewno.

Widząc, że Kania nie zamierza Niżyńskiej pobłażać i nie trzeba go przekonywać, by ją ścigał, Przygodny chciał się pożegnać, ale coś sobie przypomniał.

– Dostał pan mój wniosek o oskarżenie tego krewkiego pisarza?

– Dostałem i szczerze powiedziawszy, nie rozumiem, dlaczego komisarz wydziału zabójstw zajmuje się taką drobnostką: sprawca niekarany, ofiara tylko z guzem, wersja obrony koniecznej prawdopodobna. O co tu chodzi?

– O to, że to jego trzeci wybryk, wcześniej dwa razy przymknąłem oko, bo właśnie drobnostka, ale przynajmniej o jeden raz za dużo. Trzeba go zastopować, bo jak się rozpędzi, następnym razem będziemy mieli ciężkie obrażenia albo w ogóle trupa.

Kania przez chwilę rozważał te argumenty.

– Dobrze, mam do pana zaufanie i skoro uznaje pan oskarżenie za konieczne, wniosę je. Ale zdaje pan sobie sprawę, że w najlepszym wypadku skończy się wyrokiem w zawieszeniu?

– Myślę, że wystarczająco ostudzi jego zapędy.

Wracając do komendy, Przygodny odebrał SMS-a od Justyny: „Czytam Connelly’ego. Twoje śledztwa są równie pasjonujące?”.

Potrzebował kilku sekund, by skojarzyć, że Michael Connelly to autor serii o Harrym Boschu. I pomyślał, że gdyby Connelly opisał jego obecne śledztwo, nie sprzedałby ani jednego egzemplarza, bo nikt by mu w Ameryce nie uwierzył, że pracownik zakładu pogrzebowego może posiać gdzieś spaloną głowę. Takie rzeczy możliwe były tylko w Polsce.

„Raczej irytujące. Opowiem Ci, jak się spotkamy”.

„Czyli kiedy?”.

„Dziś na pewno nie. Mam cztery nierozwikłane morderstwa”.

„OK. Odezwij się, gdy się wyrwiesz”.

Dopisując już na nowym laptopie część artykułu, którą zjadła awaria starego, Kuriata myślami krążył wokół informacji zdobytych u Kownackiej. Ale nie rozkojarzenie było przyczyną, że ponownie przekreślił jej nazwisko. Przeciwnie, wskutek rozkojarzenia, napisał poprawnie, a literkę „w” usunął dopiero, kiedy postawił znak zapytania po zdaniu „Dlaczego postrzelony wcześniej mężczyzna tak się śpieszył,

że do Lasu Strachocińskiego pojechał w piżamie?”. Dziennikarz nie sądził, by miał jeszcze styczność z wścibską sąsiadką, ale i tak mu się nasunęło, jak odpowiedzieć na jej ewentualne pretensje: w „Kurierze” dbali o jednolitość i redaktor prowadzący niefortunnie uznał wcześniej wydrukowaną wersję nazwiska za właściwą. To kłamliwe wyjaśnienie go rozbawiło i zakrztusił się kęsem kanapki z salami, którą zamówił sobie we Freshpoint. Trafił tu po tym, jak w dolnej części Pasażu Grunwaldzkiego nabył nowego accera. Zmienił miejsce zakupu, ale pozostał wierny marce, ostatecznie nie była to kobieta.

Dopijając wystygłą już kawę, otworzył swoją pocztę i przesłał artykuł do Waldzia, zapowiadając, że zaraz dośle mu drugi, o zabójstwie na Obornickiej. Za dużo czasu na niego nie miał, ale na kilkanaście sensownych zdań też wiele nie potrzebował. Dostał jednak zwrotnego e-maila, że na jutrzejszy dzień w gazecie nie ma już miejsca, a nawet gdyby się znalazło, to pisanie o czwartym zabójstwie w ciągu dwóch dni byłoby zanudzaniem czytelników. Kuriata musiał przyznać Waldziowi rację, zwłaszcza że morderstwa na Rachwałskim w porównaniu z trzema opisanymi rzeczywiście dokonano mało spektakularnie.

Skoro nie musiał pisać, przeczytał ponownie maila, którego przekierował z komputera Kownackiej.

„W takim razie 100 tys. SEK i na tym poprzestaniemy”.

Pierwotne żądanie musiało być wyższe, ale pan doktor najwyraźniej skutecznie się targował. Dlaczego nie? Szantaż też jest transakcją, może nie tak zwyczajną jak zakup komputera, ale przecież dającą pole do negocjacji. Nawet większe niż w przypadku kupna sprzętu, bo w sklepie trudno się targować, w każdym razie jeśli ten sklep nie mieści się na Bliskim Wschodzie.

„Na tym poprzestaniemy”. Może właśnie dodanie tych słów uświadomiło Kownackiemu, że to pusta deklaracja. Że chociaż na daną

chwile miał argumenty pozwalające zbić żadaną kwotę, sytuacja może ulec zmianie. Albo jest tylko kwestią czasu, kiedy ulegnie zmianie. I postanowił Brzeckich usunąć. Oboje. Korespondencja odbywała się z konta Brzeckiego, co oznaczało, że został wciągnięty w sprawę, a jednocześnie nie ulegało wątpliwości, że w tym małżeństwie z własnej inicjatywy mógł się tylko podetrzeć, o strukturze i kolorze papieru toaletowego decydowała już żona. Kownackiemu, wbrew pozorom, łatwiej musiała też przyjść decyzja o zabiciu dwojga ludzi niż przeciętnemu obywatelowi. Lekarz kojarzy się wprawdzie z ratowaniem zdrowia i życia, ale regularnie obcuje ze śmiercią i na nią obojętnieje. To, co dla innych jest magicznym odejściem w wieczność albo w nicość, dla niego po prostu ustaniem biologicznych funkcji organizmu. Nic, co wstrząsałoby świat w posadach. Tym mniej, jeśli dzięki temu jego świat miał pozostać nienaruszony.

Ale dlaczego zabity został też Rachwalski? Swoją wcześniejszą teorię, że Kownacki wykpił się w ten sposób od zapłacenia za nielegalnie zdobyty organ, Kuriata odrzucił. Dwa morderstwa w odstępie trzech dni z niezależnych motywów, kiedy ofiarami byli ludzie zamieszani w tę samą sprawę, przeczyły każdemu rachunkowi prawdopodobieństwa. Zabójstwo Brzeckich – bo w tej sytuacji nie ulegało wątpliwości, że Kownacki czy raczej jego pomagier w Lesie Strachocińskim dokończył to, co zaczął na Gersona – musiało pociągnąć za sobą zabójstwo Rachwalskiego. To drugie było bezpośrednim następstwem pierwszego. Bo Rachwalski sprzeciwił się takiemu definitywnemu rozwiązaniu problemu szantażu? Hm. Mało przekonujące. Nawet jeśli, to co mógł zrobić, kiedy Kownacki go nie posłuchał? Donieść na niego na policję? Żeby samemu się pograżyć? Owszem, w swoim dorobku Kuriata miał artykuł o kieszonkowcu, który poskarżył się policji, że kolega ukradł mu portfel, po czym poszedł siedzieć, bo sam ten portfel wyciągnął pasażerowi w tramwaju z tylnej kieszeni spodni, ale taka głupota była

wśród przestępców jednak rzadkością. Zresztą sprzeciwianie się zabójstwu w przypadku przestępcy handlującego organami z pewnością nie wynikało z pobudek moralnych, a jedynie praktycznych, czyli Rachwalski raczej martwiłby się o zniwelowanie szkód, jakie mogło przynieść czy przyniosło morderstwo, a swoje niezadowolenie ograniczyłby do dzikiej awantury urządzanej Kownackiemu.

Kuriata dostrzegł, że ze swymi rozważaniami zabrnął w ślepy zaułek. Nie było innej drogi, jak skonfrontować Kownackiego bezpośrednio z zarzutem i zobaczyć, co z tego wyniknie. Bo na razie nie tylko do rozwiązania sprawy, ale nawet na artykuł miał za mało twardych faktów. Wyłącznie e-mail Brzeckich. No, może jeszcze okoliczność, że Brzecką i Rachwalskiego zabito z tej samej broni, jednak nadal tekst opierałby się głównie na spekulacjach.

Obmyślając strategię, jak nakłonić lekarza do ponownego spotkania, musiał zadzwonić do Kownackiej z pytaniem, czy jej syn pracował we Wrocławiu w jakimś szpitalu. Wykorzystując ten nieplanowany kontakt, zapewnił ją, że tym razem jej nazwisko będzie w gazecie zapisane poprawnie, o czym naocznie sama przekona się następnego dnia. Rozkoszując się myślą, jak trafia ją szlag przy kiosku, ucieszył się z uzyskanej informacji. Miał pomysł, jak podejść Kownackiego. Gdyby lekarz zakładał, że Kuriata chce pociągnąć temat poprzedniej rozmowy, z pewnością by odmówił. Wzmianka o nielegalnym przeszczepie, zawoalowana, by nie było jasne, jaką ma wiedzę, powinna wzbudzić w Kownackim chęć wybadania, czego dziennikarz rzeczywiście się dowiedział. Oczywiście musiał to przed nim zataić, ostatecznie podejrzewał, że miał do czynienia z podwójnym czy raczej potrójnym zabójcą, a takiemu nie należało lekkomyślnie wkładać do ręki argumentów, że lepiej zbyt dobrze poinformowanego żurnalistę usunąć.

Kuriata przypomniał sobie, jak podobną lekkomyślnością wykazał się na początku kariery. Wrocławska policja wyłowiła z Odry zwłoki

świeżo upieczonego biznesmena, który próbował prowadzić interesy w Rosji, w tym również te nielegalne, czym wszedł w paradę pochodzącej stamtąd mafii. Jak ustalił komisarz Ryszard Drewnowski, mający do pomocy świeżo awansowanego do wydziału zabójstw aspiranta Marka Przygodnego. Drewnowski był jeszcze z PRL-owskiej szkoły, co na jego kompetencje wpływu wprawdzie nie miało, ale na zdrowie już tak. Przez kolejnego papierosa, kieliszek wódki albo podwójnego hamburgera trafił do szpitala z podejrzeniem zawału. Ponieważ sprawa była praktycznie rozwiązana, a zabójstwa nie zdarzały się we Wrocławiu codziennie, góra uznała, że do jego powrotu Przygodny poradzi sobie jako tymczasowy szef wydziału. Może zastąpienie Drewnowskiego kimś innym rozważano by przy porządnym zawale, ale nikt z Komendy Wojewódzkiej nie miał zamiaru pozbywać się rasowego gliny z powodu choroby zwanej „podejrzeniem”. Jak to ujął jeden z naczelników: dla policjanta „podejrzenie” oznacza, że jest bliski ujęcia przestępcy, dla lekarza, że nie ma bladego pojęcia, co pacjentowi dolega. Taka w każdym razie wersja dotarła do Przygodnego i tak później opowiedział Kuriacie.

Doświadczenie polega na tym, że trzeba zrobić coś głupiego, by je zdobyć. Przygodny pojechał sam aresztować wytypowanego zabójcę, przekonany, że wystarczy mu do tego pistolet i autorytet policjanta, a prośba o brygadę antyterrorystyczną zostanie wyśmiana. Kuriata z kolei, wyciągnąwszy od Przygodnego, kto ma być aresztowany, usiłował go uprzedzić i zdobyć wywiad z zabójcą, przy czym wprost mu powiedział, w jakiej roli ma wystąpić. W efekcie dziennikarz i policjant znaleźli się po zmroku w starej chacie pod Wrocławiem, ostrzeliwanej jak Stalingrad w czterdziestym trzecim.

– Co się dzieje?! – Kuriata może i dobrze od razu zidentyfikował rodzaj huków, ale nie mieściło mu się w głowie, że to jest rzeczywistość, a nie gra komputerowa czy amerykański film wojenny.

– Na podłogę! Strzelają do nas!

Kuriata wykonał polecenie, a Przygodny wyciągnął pistolet, przykucnął przy oknie, podniósł się i strzelił. Raz.

– Co? To ma być pańska odpowiedź na ich ogień?

– Nie mam tylu naboji, żeby strzelać seriami. Mogę im tylko dać do zrozumienia, że jak któryś za blisko podejdzie, to zarobi kulkę. Ja będę co jakiś czas strzelał, a pan niech szuka pomysłu, jak się stąd wydostać.

– Ja?

– I to na cito. Bo najdalej za kwadrans będziemy trupami.

Ta nieprzyjemna perspektywa zmobilizowała Kuriatę. Rozejrzał się po pokoju, podpełzł do komody i wyciągnął szufladę w nadziei, że znajdzie coś, co pozwoli im się uratować albo przynajmniej natchnie go pomysłem, jak to zrobić. W szufladzie była czyjaś bielizna. W drugiej butelka szampana obok kieliszków, baloników i kolorowych czapeczek. Najwyraźniej akcesoria do niedawnego sylwestra, których nie wykorzystano. Dziennikarz już zamykał szufladę, żeby sprawdzić trzecią, ale powstrzymało go skojarzenie ze słowem „sylwester”. Gorączkowo odsunął czapeczki. Były. Race i petardy. Wziął te drugie i podczołgał się do okna.

– Chyba możemy podwoić ogień – oznajmił. – Ma pan zapalniczkę?

– Nie palę.

– Cholera. Ja też nie. Niby palenie jest szkodliwe, tymczasem teraz uratowałyby nam życie.

– Niech pan sprawdzi w kuchni.

Kuriata wytypował jedne z drzwi i skierował się w ich stronę, mając nadzieję, że to kuchnia i że ktoś na bieżąco z niej korzystał. Była to kuchnia, używana przynajmniej prowizorycznie, o czym świadczyła

stojąca w rogu butla gazowa z palnikiem. Obok zlewu leżały zapalki. Dziennikarz porwał je i chciał natychmiast wracać, ale tknięty pewną myślą, sprawdził szafki i w tej pod zlewem odkrył dwie zapasowe butle.

Po powrocie do okna zapalił lont petardy, odczekał i wyrzucił ją za okno. Huk i błysk w ciemnościach na tyle nieźle imitowały wystrzał z pistoletu, że Przygodny odłożył swój i też sięgnął po zapalki.

– Naboje zachowamy sobie na bliższy kontakt.

– To ja pana z tym zostawię, muszę coś sprawdzić.

Przygodny nie zapytał co, tylko spokojnie odpalił lont i podobnie jak Kuriata odczekał, zanim rzucił petardę za okno. Błysnęło i huknęło. Pozwolił, by upłynęło trochę czasu – petard też nie mieli w nieograniczonej ilości – i powtórzył operację. Po ósmej dla odmiany wrócił do pistoletu, ale wtedy pojawił się Kuriata, taszcząc dwie butle gazowe.

– Następujący plan: zostawiamy tu zapalone petardy, że niby cały czas prowadzimy ostrzał, doprowadzamy lont do butli, chowamy się w piwnicy, jest tam pomieszczenie na spiżarnię z czasów, kiedy nie było lodówek, powinno przetrzymać i wybuch, i pożar. I modlimy się, żeby goście doszli do wniosku, że trafili w którąś z butli – wiedzą o nich, to ich chałupa – i że nas to załatwiło.

Ryzyko było duże – spiżarnia mogła okazać się niewystarczającym schronieniem, napastnicy pewnie chcieliby się naocznie przekonać, czy zaatakowani rzeczywiście zginęli w wybuchu – ale nawet jeśli mieli tylko odwlec egzekucję, musieli to zrobić.

Udało się jednak. Spiżarnia wytrzymała, także dlatego, że była w drugiej części domu, oddalona od epicentrum wybuchu i pożaru, napastnicy wprawdzie chcieli się upewnić, że dziennikarz i policjant

zginęli, ale zostawili do tego tylko dwóch ludzi i element zaskoczenia wystarczył przyszłemu komisarzowi, by ich obezwładnić.

To przeżycie połączyło ich przyjaźnią. Trwała, bo różne bywają podwaliny męskich przyjaźni, ale żadne nie są tak mocne jak wspólne doświadczenia wojenne.

Dziennikarz otrząsnął się ze wspomnień i zadzwonił do Kownackiego. Ten odebrał i z kpina w głosie zapytał, kogo tym razem zamordował. Kuriata odparł, że nikogo, że pisze artykuł o zamkniętym szpitalu na Traugutta i chciałby porozmawiać na ten temat.

– Myślałem, że pan jest z działu kryminalnego.

– Jestem.

– I zajmuje się pan pustym szpitalem?

– O to chodzi, że nie pustym, zostawiono tam dobry sprzęt, na którym nawet można przeprowadzać operacje. Ktoś powinien za to beknać, sprawy kryminalne to nie tylko morderstwa.

– Ale co ja panu o tym mogę powiedzieć?

– Myślę, że całkiem sporo.

Na dłuższą chwilę zapadło w słuchawce milczenie.

– Co pan wie?

– Wiem, że pracował pan w szpitalu na Traugutta, a jako były lekarz tej placówki musi mieć pan swoją opinię co do tego, że tak ją zmarnowano. Opinię, która, jak zakładam, świetnie się nada do mojego artykułu.

– W porządku. Czy tym razem może pan przyjechać do mnie do hotelu? Mieszkam w Campanile, pokój dwieście pięć.

– Będę za pół godziny.

Wróciwszy do siebie, Przygodny zasiadł na nowo do telefonowania, a wspomógł go w tym aspirant, który pojawił się niewiele później. Obaj co rusz zadawali to samo pytanie, zmieniało się tylko nazwisko.

– Pani Ewa Chodakowska? Czy jest pani zadowolona z przelotu naszymi liniami w niedzielę? Tak? Dziękuję.

– Pani Barbara Szumowska? Czy jest pani zadowolona z przelotu naszymi liniami w niedzielę? Nie? Przykro nam, dziękuję.

– Pani Beatrice... Co? English? Are you Beatrice Daniels? Are you okay with the... flight with us? On Sunday? Yes? Great.

– Pani Marzena Kuc? Czy jest pani zadowolona z przelotu naszymi liniami w niedzielę? Przeszkadzam pani w pracy? Przepraszam.

– Pani Kate Brzecka? Nie? A do kogo się dodzwoniłem? Pani Buła? Czy jest pani zadowolona... – Gajda urwał, kiedy komisarz znalazł się przy nim i wyrwał mu z ręki wydruk z listą pasażerów. – Co się stało?

– Kate Brzecka! Katarzyna Brzecka! Na lotnisku została zamordowana córka Brzeckich!

– Mówiłem, że przyjedzie – ucieszył się najpierw aspirant, który jak większość ludzi lubił, kiedy okazywało się, że miał rację. Potem zreflektował się, że jego reakcja nie do końca była na miejscu, więc przykrył ją wątpliwościami. – Ale nikt nie powiedział, że zmieniła oficjalnie imię, a nazwisko „Brzecka” do najrzadszych nie należy.

– Do najczęstszych też nie, a jakie jest prawdopodobieństwo, że po zamachu na państwa Brzeckich dwa dni później do Wrocławia będzie przylatywała inna Kate Brzecka niż Katarzyna Brzecka? A w kontaktach z rodziną musiała pozostać Katarzyną i dlatego tak o niej mówiono. Tym nowym imieniem posługiwała się pewnie tylko w Stanach.

– Ale Skype’a miała na Katarzyna Brzecka – przypomniał aspirant – chociaż amerykańscy znajomi też musieli do niej dzwonić.

Nie był to argument, obalający tezę komisarza, ale ten sięgnął po swojego laptopa i w minutę ustalił, że niejaka Kate Brzecka z Florydy również posiadała konto na Skypie. Najwyraźniej córka Brzeckich używała dwóch kont, by mogli ją odnaleźć zarówno Polacy, jak i Amerykanie. To założenie potwierdziła nieudana próba dodzwonienia się. Nikt też nie odpowiedział na telefon, kiedy aspirant wybrał tym razem właściwy numer, podany na liście pasażerów.

– Trzeba poprosić Małeckiego, by porównał jej DNA z DNA matki, ale w tej chwili nie postawiłbym złotówki nawet na zakład milion do jednego, że ofiarą jest ktoś inny – stwierdził komisarz. – Wygląda na to, że ktoś wziął na cel całą rodzinę. Co, niestety, przemawia za tym, że w Lesie Strachocińskim rzeczywiście został zamordowany Brzecki. To by wyjaśniało też, dlaczego grzebiąc wokół tego małżeństwa, nie natrafiliśmy na żaden motyw. Motyw musi wiązać się z córką.

– A gdzie w tym wszystkim jest Rachwalski?

– Nie wiem. Może tu kluczem też jest córka. Nie natrafiliśmy na żadne powiązania między Brzeckimi a Rachwalskim, ale dotąd nie braliśmy pod uwagę, że takie powiązanie może występować przez Katarzynę, trzeba to nadrobić.

– Jasne. Od czego zaczynamy?

– Od DNA.

Przygodny wybrał numer Małeckiego, ten jednak nie odbierał telefonu, więc komisarz przesłał mu SMS-a, żeby porównał DNA Ireny Brzeckiej i ofiary z lotniska. I że ta sprawa ma absolutny priorytet. Kiedy podniósł głowę znad wyświetlacza, zobaczył, że aspirant wyjął

fotografię Rachwalskiego z akt i studiuje profil Kate Brzeckiej na Facebooku.

– Jeśli znała Rachwalskiego, może ten będzie na którymś ze zdjęć.

Połączyli siły, ale mimo to nie dopatrzyli się podobieństwa z żadną z męskich postaci, pozujących na ogół razem z właścicielką profilu.

– Hm. Nie ma – westchnął Gajda. – Ale tak na dobrą sprawę, co zamieszkała w Stanach psychoterapeutka może mieć wspólnego z handlarzem z Polski?

– Jest Polką, nie byłby to jej pierwszy polski znajomy. Wiekowo też do siebie pasują.

– Myśli pan, że byli parą?

– Nic nie myślę. Po prostu znajomych ludzie miewają częściej wśród równoletków. Byli kochankowie występują zwykle w roli morderców i zabijają z nienawiści, w którą przerodziła się ich wcześniejsza namiętność, tymczasem tutaj ten domniemany kochanek również jest ofiarą.

– Ja tam myślę, że jeśli się znali, to byli parą. Bo gdyby to był jej znajomy, nie usuwałaby jego zdjęć z Facebooka.

– Może nigdy ich tam nie było, przecież ludzie nie publikują wszystkich zdjęć, jakie mają.

Przygodny zastanowił się nad własną uwagą.

– Musimy pojechać na Biskupin i przejrzeć albumy w mieszkaniu Brzeckich. Jeśli Rachwalski przewinął się w życiu Katarzyny, nieważne już w jakiej roli, może jest na którymś ze zdjęć. Bo nawet jeśli Katarzyna usunęła jego fotografię ze swojego profilu, to rodzicom zdjęć przecież nie wyrzucała do śmieci. Przy okazji możemy zapytać Kownacką, czy o nim słyszała. Załatwmy to od razu.

Gajda lubił wyprawy poza komendę, więc w piętnaście sekund później stał w drzwiach gotowy do wyjścia. Przygodny chciał jeszcze zadzwonić do Justyny, ale nie znalazł pretekstu, pod jakim mógłby posłać aspiranta przodem. Z żalem odłożył telefon na później i dołączył do swojego podwładnego. Ale kiedy przejeżdżali koło domu Justyny, niemal siłą powstrzymał się od posłania całusa w stronę kamienicy. I sklął się w duchu za te ciążoty. Miałby się z pyszna, gdyby wykonał tego rodzaju gest przy aspirancie.

Na miejscu zaczęli od wyrażnie wzburzonej pani Kownackiej, która poskarżyła się na „bezczelne zarzuty” ze strony dziennikarza „Kuriera”, chociaż nie sprecyzowała, na czym polegały, albo sprecyzowała, ale z jej słowotoku nie udało się tego policjantom wyłowić. A komisarz nie dopytywał, Kuriata obrażał swoich rozmówców na dziesiątki sposobów i nie mogło mieć znaczenia dla sprawy, który akurat w tej sytuacji wybrał. Pytanie o Rachwalskiego musieli jednak powtórzyć przez to trzy razy, bo rozzłoszczona sąsiadka Brzeckich je ignorowała albo w ogóle go nie słyszała, skupiona na przekonywaniu śledczych, że jej Zygmus jest najprawdziwszym chirurgiem. Też się nie zorientowali, dlaczego uznała, że kwestionują przynależność jej syna do medycznej elity, ale musieli zapewnić, że nigdy nie podawali tego w wątpliwość. Dopiero ten należny hołd dla umiejętności doktora Kownackiego sprawił, że zdołała skoncentrować się na Danielu Rachwalskim.

Ale ani nazwisko nic jej nie powiedziało, ani nie rozpoznała go na zdjęciu. Również wskazówka, że to prędzej będzie znajomy Katarzyny niż jej rodziców, nie wywołała żadnych skojarzeń poza uwagą, że to pewnie „jakiś jej gach, bo tych miała na pęczki”. Ponieważ pani Kownacka nie przytoczyła na tę tezę żadnych innych dowodów poza swoimi zastrzeżeniami co do moralności „Katarzynki”, Przygodny nie mógł uznać, że ustalili, co łączyło córkę Brzeckich z Rachwalskim.

Jeśli w ogóle łączyło, bo chociaż przejrzeni wszystkie albumy, jakie znaleźli w mieszkaniu, i chociaż było ich całkiem sporo, a fotografie najczęściej przedstawiały Katarzynę, na żadnej nie znajdowała się wspólnie z Rachwalskim.

Przygodny zbliżył się do okna i wyjrzał na puste podwórko. Nie licząc starca, który podpierając się laską, przemierzał wyasfaltowane boisko.

– Robert, podejdź jeszcze do Kownackiej i zapytaj, jakie córka Brzeckich miała obywatelstwo.

– Po co? To znaczy, czy nie możemy tego ustalić własnymi kanałami, ona niekoniecznie wie, a...

– Dobrze, już dobrze, przyznaję, że zbyt pochopnie chciałem cię oddać w szpony tej kobiety. – Komisarz się uśmiechnął, a potem wrócił do zasadniczej myśli: – Jeśli miała amerykańskie, to tamtejsza policja rzeczywiście pomoże nam w śledztwie. Jeśli tylko polskie, to jej zabójstwem raczej się nie przejmą, skoro doszło do niego w Polsce, i każą nam pisać wnioski o pomoc prawną, a odpowiedź przyjdzie za pół roku albo w ogóle.

– Żeby pomogli nieoficjalnie, trzeba mieć kontakty. Ma pan takie do nich?

– Nie bezpośrednio. Ale McGrath, oficer, który pilotował mnie w Irlandii, obiecał, że w każdej chwili będę mógł się przez niego zwrócić do Amerykanów. Zdaje się, że z pół setki jego krewnych wyemigrowało do USA, a służba w policji to ich rodzinna tradycja. Napiszę do niego, jak tylko wrócimy do cegielni.

Cegielnią policjanci nazywali komendę, nawiązując do okładziny z cegły klinkierowej na fasadzie.

– Nie prędzej zadzwonić?

– Może prędeż, ale w mailu napiszę mu konkretnie, czego chcemy się dowiedzieć, to niczego nie przeoczy.

Tak rzeczywiście było, że na dziesięć zadanych pytań odpowiedź dostawało się na osiem, jeśli przesłało się je pisemnie, i tylko na pięć, jeśli przekazało się je ustnie, ale komisarz wolał pisać z jeszcze jednego powodu. Obawiał się, że jego angielski, którym nigdy zbyt swobodnie nie władał, dodatkowo zardzewiał od czasu pobytu w Irlandii i jeśli nie będzie mógł ograniczyć się do prostych zdań, skończy się na rozpaczliwym szukaniu słówek i żenującym dukaniu.

Odwrócił się od okna, usiadł na kanapie i wpatrzył w licealne zdjęcie Katarzyny Brzeckiej na meblościance. Kto i dlaczego wziął sobie tę rodzinę na cel? Dlaczego zabójca powiedział do matki „pозdrowienia dla Kaśki”? Czy przekazywał w ten sposób, że ją również zabije? Jaki miał motyw? Gdzie było powiązanie z Rachwalskim?

– Transwestyta.

– Co? – Komisarz popatrzył na Gajdę.

– Doszliśmy do wniosku, że zabójca pasażerki na lotnisku był mężczyzną, przebranym za kobietę. Trzeba by popytać sąsiadów Rachwalskiego, czy nie widzieli transwestyty. Niekoniecznie w dniu mordu. Może to będzie jakiś ślad.

Po zastanowieniu się Przygodny pokręcił głową.

– Nie sędę, żeby to był transwestyta. Na lotnisku musiał się przebrać za kobietę, bo gdyby sprzątaczką powiedziała Brzeckiej, że w damskiej toalecie chce się z nią spotkać mężczyzna, ta przecież by nie poszła. A dodatkowo miał rozwiązany problem kamer. Na Polance nic takiego nie zmuszało go do włożenia damskich ciuchów. U Brzeckich udawał kuriera. Dopasowuje się do sytuacji.

Ta argumentacja przekonała aspiranta.

– To co robimy?

– Wracamy do komendy. Ja napiszę do McGratha, żeby poprosił Amerykanów o przeszukanie mieszkania Kate Brzeckiej. Może tam znajdą coś, co połączy nam ją z Rachwalskim. Bo może powiązania między nimi trzeba szukać w USA, nie w Polsce.

– Ale on mieszkał tutaj.

– Mógł na wakacje jeździć. Natrafiliśmy na jego paszport?

– Nie, tylko dowód.

– To poproszę też o sprawdzenie, czy Rachwalski dostawał wizę do Stanów. Równolegle musimy zapytać ambasadę, żeby sprawa już szła drogą oficjalną, na wypadek, gdybyśmy się przez McGratha nie dowiedzieli.

Opuścili mieszkanie, ale przy samochodzie komisarz się zatrzymał.

– Wiesz co, Robert, wracaj już do domu, do pisania maila nie jesteś mi potrzebny, a zrobiło się późno i dzisiaj nic więcej nie wymyślimy. Rano powinniśmy dostać od Małeckiego wyniki badań DNA i ruszymy z kopyta.

– A jak pan dotrze na komendę?

– Zajrzę najpierw do córki i ona albo jej chłopak mnie podrzucą.

– To okej.

Kiedy aspirant odjechał, Przygodny rzeczywiście skierował się w stronę mieszkania Asi, ale minął je i poszedł przystanek dalej. Pod bramą Justyny wysłał jej SMS-a, że jest służbowo w okolicy i na chwilę mogą się spotkać, bo później wraca do komendy. Odpisała, że zejdzie z psem.

Wzięli się za ręce i poszli Orłowskiego w stronę wałów. W milczeniu, dotyk zastąpił słowa.

Chęć szybkiego dotarcia do Campanile zemściła się na Kuriacie. Był już właściwie u celu, kiedy na ostatnich światłach zrobił błąd. Chciał przeskoczyć na żółtym, ale później uznał, że czerwone pali się już zbyt długo, i gwałtownie zahamował. Kierowca za nim nie miał na to szans.

Mimo ostrego stylu jazdy i notorycznego łamania przepisów Kuriata nie miał dotąd wypadku. W pierwszej sekundzie nie wiedział, co się dzieje, pewnie podobnie oszołomiony byłby przy wybuchu bomby, w drugiej zdał sobie sprawę, że uderzył w niego inny samochód, w trzeciej przeraził się, że jego ukochane porsche zostało zniszczone.

Wygramolił się z pasów i poszedł oglądać tył, na który patrzył już przestraszony kierowca drugiego wozu, zielonej toyoty corolli. Ale chociaż ślady nie pozostawiały wątpliwości, że mechanik będzie miał dużo roboty, to kasacja z pewnością cacku dziennikarza nie groziła.

Właścicielem toyoty był starszy mężczyzna, który czuł się winny kolizji. A że wina leżała po stronie Kuriaty, bez wzajemnych pretensji – co zapewne na polskich drogach rzadko się zdarzało – przestawili samochody na pobocze i spisali protokół wypadku. Kuriata nie wiedziałby, jak to zrobić, bo nigdy nie zakładał, że takowy może mu się przytrafić, ale starszy pan był przygotowany. Okazało się, że w schowku woził ze sobą formularze, które wyciął z gazety, doradzającej, jak zachować się po stłuczce, i długopis, by było czym je wypełniać. Kiedy Kuriata usłyszał, że i dla tamtego jest to pierwsza kolizja, a nie miewa je regularnie, poczuł przypływ podziwu dla takiej przezorności.

Nie chcąc jeździć rozbitym samochodem, zostawił go w najbliższej bocznej uliczce i pośpieszył do hotelu na piechotę, odkładając wezwanie mechanika na później. Korytarzem prawie biegł, nie rozglądając się na boki, żeby nadrobić spóźnienie, i kiedy coś z impetem trafiło go w głowę, pomyślał, że znowu się z czymś zderzył.

Dopiero leżąc twarzą do ziemi i przywołując obraz z krawędzi siatkówki, pojął, że tym czymś była ludzka pięść. Napastnik przygniół mu kolanem plecy i skrępował ręce. Obszukał go i zabrał komórkę. Podniósł też laptopa, który podczas tego ataku wylądował koło donicy z kwiatami. Potem poderwał dziennikarza do pionu i przeciągnął ostrym narzędziem u dołu pleców, przecinając ubranie i skórę. Kuriata oczywiście tego nie zobaczył, ale poczuł dotkliwy ból.

– Jak odwrócisz łeb, będziesz miał klingę w nerach po rękojeść. I to nie jest pusta groźba.

– Rozumiem.

– Idziemy.

Dziennikarz wykonał polecenie, wsparte mocnym pchnięciem, i ruszył korytarzem. Miał nadzieję, że natkną się na jakiegoś gościa hotelowego, ale kiedy to się stało, napastnik położył Kuriacie rękę na ramieniu, rzucił parę słów i lekko się zaśmiał. Nawet jeśli gość nabrał wcześniej podejrzeń, takie zachowanie je rozwiało i minął ich z obojętną miną.

Później już nikogo nie spotkali, może dlatego, że nie kierowali się do głównego wejścia, tylko bocznymi schodami dotarli do używanego najprawdopodobniej przez obsługę hotelu. Nie były zamknięte na klucz. Albo porywacz zadbał, by je uprzednio otworzyć wytrychem, albo personel wcale ich nie zamykał, kierując się wygodą i przekonaniem, że żadne nieszczęście się nie wydarzy, jeśli któryś z gości tędy wejdzie czy wyjdzie. Tego, że ułatwią porwanie, raczej nie dało się przewidzieć.

Na podwórzu stał elektryczny nissan z Vozilli, co Kuriata odnotował z pewnym podziwem. Wykorzystanie samochodu miejskiego do kidnapingu świadczyło o sporej inwencji porywaczy, nie każdy potrafił na bieżąco korzystać z nowinek. Wprawdzie zostawiało to ślady, ale nie takie wyraźne, jak w przypadku wzięcia samochodu z tradycyjnej

wypożyczalni, a że decyzja o porwaniu mogła zapaść dopiero po jego telefonie, brakowało czasu na kradzież innego wozu.

Napastnik otworzył tylne drzwi nissana.

– Kładź się! Mordą do siedzenia.

Kiedy dziennikarz się położył, porywacz naciągnął mu na głowę papierową torbę, a sam usiadł za kierownicą, o czym świadczył warkot uruchamianego silnika.

Nadzieje Kuriaty, że uda mu się śledzić trasę w inny sposób, spaliły na panewce. Nie wiedział, w którym miejscu wyjechali z podwórka, dźwięki były charakterystyczne dla miasta, ale nie dla jego poszczególnych części. Kiedy zamilkły, a jazda stała się płynniejsza, też nie musiało to świadczyć o opuszczeniu Wrocławia. Mogli znajdować się w cichszej, peryferyjnej dzielnicy, na dłuższym odcinku bez świateł. A jeśli nawet wyjechali poza miasto, to Kuriata nie był w stanie stwierdzić, w którym kierunku.

Dopiero kiedy weszli do parku nadodrzańskiego, Justyna opowiedziała o rozmowie ze swoją mamą. Przygodny się zasepił.

– Niedobrze.

– Dlaczego niedobrze? Nie spodziewaliśmy się innej reakcji.

– Nawet jeśli złej reakcji oczekujesz, to pozostaje ona złą reakcją.

– Ty mój logiku. – Przyciągnęła go do siebie. – Mogło być gorzej. Nie żąda, bym z tobą zerwała, nie wyrzuca mnie z domu.

– Tego się obawiałaś?

Podczas gdy wchodzili po schodach na wał, puszczając przodem Maksa, Justyna rozważała odpowiedź.

– Nie na poważnie. Ale mogła nas też zaskoczyć in minus.

Przytaknął jej skinieniem głowy, którego nie zobaczyła, bo wzrok miała skierowany na Odrę.

– A myślę, że kiedy cię pozna i zobaczy, jakim jesteś człowiekiem, przekona się do ciebie.

– Masz już konkretne plany tego spotkania?

Z ulgą usłyszał, że jeszcze nie, że chce dać swojej mamie trochę czasu na ochłonięcie. Nie za dużo, by nie utwierdziła się w przekonaniu, że jej córka padła ofiarą łowcy nastolatek, ale zbyt pośpieszna wizyta mogłaby z kolei więcej zepsuć, niż naprawić.

Skoro spotkanie, którego się obawiał, zostało odłożone, Przygodny przestał zaprzętać sobie nim głowę. Martwienie się na przyszłość tylko zatruwało piękne chwile, a nie rozwiązywało żadnego problemu.

Pocałował Justynę we włosy i mocniej ją do siebie przytulił. Mimo ciepłych dni po zmierzchu od rzeki ciągnął chłód. Poszli dalej w kierunku Jazu Opatowickiego, na całej drodze spotykając tylko jednego właściciela psa i biegacza, oświetlającego sobie drogę czołową lampką. Brak latarni wyganiał z parku większość ludzi.

W połowie jazu zatrzymali się, żeby popatrzeć na płynącą wodę. Z jakiegoś powodu ten żywioł, obok ognia, przyciągał wzrok człowieka. Czy był w tym podziw dla siły, która mogła go unicestwić, czy atawistyczna próba dostrzeżenia odpowiednio wcześniej niebezpieczeństwa, trudno powiedzieć. A wrocławianie w dziewięćdziesiątym siódmym na własnej skórze doświadczyli, że uregulowana rzeka w żadnym wypadku nie jest poskromiona. Przy czym takie przekonanie wtedy żywili, zaufanie do niemieckiej solidności sprawiało, że wały i hydrobudowle z czasów Breslau uważali za wystarczające zabezpieczenie. Odra wyprowadziła ich z błędu.

Chociaż Przygodnemu nasunęło się wspomnienie, jak sam taszczył worki z piaskiem i układał je na wałach, nie opowiedział Justynie, że widział taflę rzeki powyżej wału, zatrzymywaną właśnie przez te worki. Przy niej niechętnie wracał do wspomnień z czasów, w których on był dorosłym mężczyzną, a ona małym dzieckiem. Pytanie „Co wtedy ty robiłaś?” nasuwało się nieodparcie, nawet jeśli pozostawało niewypowiedziane.

Zeszli na Wyspę Opatowicką, minęli park linowy, łąkę, ale przy śluzie musieli się zatrzymać. Znajdowała się w remoncie i przejście na Opatowice było zamknięte. Skierowali się więc wzdłuż kanału na wschodni cypel. Dotarli tam wąską ścieżką, wydeptaną na wale, i przysiedli na trawie pod osłoną drzew. Maks podbiegł nad samą wodę i zaczął ją chleptać tak łapczywie, jakby nie pił od tygodnia.

Wtuleni w siebie przez długi czas siedzieli w milczeniu. Pies ułożył się pod nisko zawieszonym konarem i zasnął. Gdyby nie płynąca woda, świat pozostawałby w bezruchu. Rozproszyli ten bezruch pocałunkiem. Najpierw jednym, delikatnym, potem kolejnymi, coraz namiętniejszymi.

– Dobrze mi z tobą – powiedziała Justyna, kiedy się od siebie oderwali. – Naprawdę nie wiem, dlaczego wszyscy oczekują, że będę z kimś, z kim będę gorzej się czuła, jedynie z tego powodu, że niby ty masz za dużo lat. Przecież wiek to tylko liczba.

Przygodny pokręcił głową.

– Wcale nie. Owszem, liczba, jeśli mówimy o różnicy między trzydziestwodwu- a trzydziestoczerolatkiem. Przy dziesiątkach lat to już są inne doświadczenia, inne oczekiwania, inne możliwości fizyczne. Kiedy ja się zacznę sypać, ty będziesz kobietą w kwiecie wieku.

– Mówisz teraz jak moja matka. I żeby nie było wątpliwości: to nie jest komplement.

– Twoja matka jest mądrą kobietą.

– Chcesz, żebym cię rzuciła i wzięła sobie młodszego? Może przedstawiś mi tego swojego aspiranta?

– Robert ma żonę i dziecko. Ale nie chcę, żebyś mnie rzuciła. Byłbym wtedy najniezwyklejszym człowiekiem na ziemi. Wiem, że związek ze mną nie jest najlepszym wyborem, jakiego mogłaś dokonać, ale cieszę się, że go dokonałaś. To egoistyczne, ale miłość jest egoistyczna.

– Miłość...?

Nachyliła się ku niemu i z bliska spojrzała mu w oczy. Poczuł, że to właściwy moment, by wypowiedzieć słowa, które jeszcze nigdy między nimi nie padły.

– Tak. Kocham cię.

Objęła go rękami za szyję.

– I ja cię kocham.

**Z PONIEDZIAŁKU
NA WTOREK**

Cios był tak silny, że z rozbitej wargi trysnęła krew. Kolejny przewrócił krzesło ze skrępowanym człowiekiem.

– Co wiesz, gnoju?

Kuriata, znalazłszy się na podłodze, odwrócił głowę, żeby uniknąć kopnięcia w twarz. Wypluł krew i ułamany ząb. Potem poczuł, jak silne ręce ponownie stawiają krzesło w pozycji pionowej. Oczekiwał kolejnego ciosu, ale oprawca najwyraźniej uznał, że wystarczająco zaakcentował swoją przewagę. Mimo naciągniętej na głowę kominiarki dziennikarz rozpoznał w nim pomagiera Kownackiego, zresztą od początku nie żywił żadnych wątpliwości, kim jest porywacz. A maska go uspokoiła: miał pozostać przy życiu. Nie trzeba zasłaniać twarzy przed świadkiem, którego planuje się uciszyć na zawsze. O braku morderczych intencji świadczyła też nieobecność Kownackiego. W razie oskarżenia o porwanie lekarz zarzekałby się, że nie ma z tym nic wspólnego, że czekał na dziennikarza, ale się go nie doczekał, dzwonił nawet, żeby dopytać, gdzie ten się podział, mogą sprawdzić, ale włączyła się poczta głosowa. I to by wystarczyło, bo zapewne nie było nikogo, kto zechciałby zeznać w prokuraturze, że Kownackiego i osiłka łączą wspólne sprawy.

Czując się więc pewnie, Kuriata odparował:

– Pierdol się.

Zdanie zdążył dokończyć przed otrzymaniem ciosu tylko dlatego, że było bardzo krótkie. Tym razem nie poleciał na podłogę, ale z kolei jego twarz odebrała cały impet uderzenia. Nos miał tak pogruchootany, że musiał oddychać przez usta. Nie pozostawało nic innego, jak zmienić taktykę, jeśli nie chciał przechodzić operacji plastycznej. Tylko ile mógł ujawnić, żeby taktyki nie zmienili oni i nie uznali, że lepiej go zabić? Wiedział o nielegalnej operacji i wiedział o szantażu. Ale oba te

przestępstwa wiązały się z zabójstwami, czyli powiedzenie o nich równało się oskarżeniu o morderstwo. A w systemie, w którym nie było kary śmierci, zabójcy opłacało się usunąć człowieka wiedzącego zbyt wiele.

Z dwojga złego wybrał operację. Wyglądała na bezpieczniejszą opcję. Zabójstwo Brzeckich było faktem, zabójstwo dawcy, jak na razie, tylko domniemaniem. No i to, że wie o operacji, zasugerował już w rozmowie z lekarzem, a nie było powodu, by przyznawać się do szerszej wiedzy. Nie musiał ujawniać, że podejrzewał Rachwalskiego o handel organami, gdyby jednak rzeczywiście mieli związek z tym morderstwem. A tę wiedzę, którą miał, mógł starać się pomniejszyć.

– Wiem, że Kownacki przepł... wadził nielegalnie operację w szpi... talu na Traugutta – rozbite usta utrudniały dziennikarzowi mówienie, dwa razy musiał splunąć krwią. – Bo zamk... zamknięty...

Kuriacie chodziło o to, że w nieczynnym szpitalu raczej nie przeprowadza się legalnych operacji, ale zanim zdążył to objaśnić, padło pytanie:

– Jaką operację?

– Są różne możliwości... na przykład usunięcie kuli po poszczale.

– Komu Kownacki miałby usuwać kulę?

W pierwszej chwili dziennikarz, by kompletnie namotać, chciał odpowiedzieć, że Brzeckiemu, ale w porę zdał sobie sprawę, że taka odpowiedź byłaby całkowicie niewiarygodna, skoro tamten trafił do szpitala na Fieldorfa. Ponieważ inna nie przyszła mu do głowy, zarobił kolejny cios.

– Trans...

– Co trans?

– ...plantacja. Kownacki zrobił przeszczep.

– Od kogo?

– Jakiejś dziewczynie, nie znam.

– Nie pytam, komu zrobił przeszczep, tylko od kogo miał dla niej nerkę.

Dziennikarz jakoś nie potrafił się ucieszyć z faktu, że oprawca ujawnił mu rzeczy, o których dotąd nie miał pojęcia, zwłaszcza że odpowiedź „nie wiem” skończyła się potężnym ciosem. A potem drugim i trzecim.

– Chyba od Rachwalskiego.

– Kim jest Rachwalski?

– Podejrzewam, że handlarzem organów.

Osilek skierował wzrok w lewy górny róg za sobą. Musiała tam znajdować się kamera, przez którą przesłuchanie śledził Kownacki. Z pewnością specjalnie jej nie montowali, znaleźli jakieś opuszczone, uprzednio monitorowane pomieszczenie. Najwyraźniej mieli dryg do adaptowania pozostawionych na pastwę losu lokali do własnych działań przestępczych. Tyle że w tym przypadku dziennikarz nie potrafił powiedzieć, jaką funkcję pełnił pierwotnie ten pokój. Krzesło, na którym go posadzono, pozostało jedynym meblem, ściany ogołococono z wszelkich wywieszek.

Przypuszczenia Kuriaty, że są obserwowani, potwierdził sygnał odebrania SMS-a w telefonie pomagiera, który po przeczytaniu wiadomości zostawił dziennikarza samego. A ten zaczął się zastanawiać, dlaczego tortury nie uchodzą za skuteczny sposób przesłuchań. Parę uderzeń wystarczyło, by powiedział im, co chcieli. I źle to wyglądało. Bo nawet jeśli kupienie nerki od Rachwalskiego nie wiązało ich bezpośrednio z zabójstwem dawcy narządu, to przecież Rachwalski nie

żył. Ale może spróbuje im zasugerować, że nie wini ich za jego śmierć? Jeśli nie dojdą do tego, że ma ich za zabójców Brzeckich, powinno być to skuteczne. Jeśli dojdą, będzie to gwóźdź do jego trumny, skoro Rachwalskiego i Brzeckich zamordował ten sam człowiek.

Chociaż wcale nie tęsknił za powrotem porywacza, nagle jego nieobecność stała się problemem. Pojawiło się drugie źródło paniki. Parcie na pęcherz. I to silne, najwyraźniej wcześniej przytłumione bólem, spowodowanym przez uderzenia.

– Ej, wy! Muszę do kibla!

Nikt nie zareagował.

– Słyszycie?! Bo zeszczam się w spodnie!

Niby martwym jest wszystko jedno, ale mimo to nie miał najmniejszej ochoty zostać znalezionym z zanieczyszczonymi spodniami. Przecież każdy założy, że to ze strachu. Czy oni w ogóle przewidzieli, że zakładnik musi pójść do toalety? Czy też porywania ludzi nauczyli się z filmów, w których scenarzyści taką drobnostką nie zawracali sobie głowy?

– Będzie wam śmierdzieć, kiedy będziecie mnie tłukli!

Albo argument okazał się przekonujący, albo po prostu krzyki dotarły, bo drzwi się otworzyły i pojawił się w nich osiłek.

– Weź się, kurwa, zamknij! Co, małe dziecko jesteś, że chwilę poczekać nie możesz?

– Jakbym mógł, to bym nie wołał. Co zaraz zobaczysz, jeśli natychmiast nie zaprowadzisz mnie do kibla.

Słowa „dobra, dobra” miały wyrażać lekceważenie tej groźby, ale porywacz przystąpił do odwiązywania dziennikarza od krzesła. Szło mu to z trudem, więc kiedy w końcu poprowadził Kuriatę do toalety, ten

z ulgą stwierdził, że znajdowała się tuż obok. W kontekście potrzeb fizjologicznych należało to uznać za zaletę, ale na dokonanie obserwacji, pozwalających ustalić, gdzie go trzymano, nie miał szans. Zwłaszcza że toaleta pozbawiona była okien, podobnie jak pomieszczenie, w którym go przesłuchiowano.

Kiedy tam wrócili, osiłek ponownie przywiązał Kuriatę i wyszedł na chwilę, jak się okazało, po jego laptopa.

– Skąd to masz?

Dziennikarz popatrzył na otwarty program pocztowy i zrobiło mu się zimno. Niezbyt czysty palec pokazywał na maila, w którym Brzeccy godzili się poprzestać na stu tysiącach koron. Wiedzieli, że odkrył szantaż! I następstwo tego szantażu! Koniec złudzeń, teraz będzie piątym trupem, który wywinduje statystykę morderstw popełnionych w jednym tygodniu do niebotycznego poziomu!

– Od pani Kownackiej. – Była to oczywistość, ale należało zyskać na czasie.

– Tyle widzę, że mail forwardowany. Dlaczego ci go przesłała?

Kłamstwo, że przesłała też inne i ten był jednym z wielu, nie miało szans powodzenia. Nie byli tak naiwni, by uwierzyć mu, że pozostałe maile skasował, a ten jeden przypadkiem zachował. Ale dlaczego nie posłużyć się tym samym kłamstwem, które wcisnął Kownackiej?

– Potrzebowałem nazwy szpitala, w którym pracuje jej syn, z pamięci nie umiała napisać i pokazała mi w stopce maila, więc najprostsze było forwardowanie.

– Do czego?

– Co do czego?

– Do czego potrzebowałeś tej nazwy?

– Do artykułu. Korekta przekreśliła nazwisko pani Kownackiej w mojej pierwszej relacji, co strasznie ją zabolowało, więc chciałem jej to wynagrodzić i wpleść w artykuł o zaginięciu Brzeckiego, że jej syn jest lekarzem w szwedzkim szpitalu. Wiadomo, że w hierarchii chwalipięt najwyżej stoją te, których synowie są lekarzami i księżmi.

Dopiero po sylabie „za” Kuriata zmienił planowane słowo „zamordowaniu” na „zaginięciu”. Nawet jeśli szansa na wmówienie Kownackiemu, że wcale nie zakłada, że Brzecki został zabity, była niewielka, należało z niej skorzystać.

Do osiłka przyszedł następny SMS, a kiedy ten zbyt pośpiesznie zadał kolejne pytanie, zdradził się, że znajdowało się ono w tej wiadomości.

– Brzecki zaginął?

– Tak, wyszedł ze szpitala w piżamie i nie ma po nim śladu.

Las Strachociński przemilczał, teraz musiał sugerować, że jego wiedza jest raczej skąpa. Artykuł, z którego wynikało coś dokładnie przeciwnego, ukaże się dopiero jutro. Nagle poczuł się słabo. Gość trzymał przecież jego laptopa. Mieli dostęp do wszystkich jego tekstów. W tym o spalonej głowie w lesie. Nie przeczytali tego? Czy sprawdzali jego prawdziwość?

A może, paradoksalnie, ten artykuł stanowił dla niego szansę? Bo nie stawiał w nim tezy o morderstwie w celu uniknięcia szantażu. Ani tym bardziej nie pisał, kogo o to morderstwo podejrzewa. Przecież właśnie przy poszukiwaniu dalszych poszlak lub dowodów, które potwierdziłyby, że jest na właściwym tropie, wpadł w ręce tych zbirów.

Znowu przyszedł SMS, a pomagier Kownackiego już nawet nie usiłował pozorować, że to on zadaje pytania, i kolejne niemal jawnie odczytał z ekranu.

– Skoro Brzecki tylko zaginął, to czyją spaloną głowę znalazła policja?

W zasadzie mógł się poddać, ale walka o życie to nie szachy, w których po położeniu króla można rozpocząć kolejną partię.

– Jeszcze nie wiedzą.

– Ale zakładają, że to właśnie on, skoro jego samochód z zakrwawionym siedzeniem stoi w tym samym lesie?

– Nie wiem, co zakłada policja.

– A są jakieś podstawy do przyjęcia, że to ktoś inny niż Brzecki?

Dziennikarz milczał. Nie było takich podstaw. Mieli go.

– Odpowiadaj! – Polecenie zostało poparte kolejnym ciosem.

– Nie.

Nigdy nie zastanawiał się, jak umrze. A teraz nagle była to rzecz, która go zafrapowała. Zastrzelą go? Ale pistolet zostawili przy Rachwalskim. Zatluką jak tę na lotnisku? Zaraz, zaraz, czyżby to też byli oni? Ale w takim razie jak ona pasowała do tej całej układanki?

Dalsze uderzenia jednak nie nastąpiły, skończyło się na tym jednym, które wymusiło odpowiedź. Osilek nie wyciągnął też pistoletu, tylko opuścił pomieszczenie. Nie na długo i zanim Kuriata zdążył rozważyć, co to oznacza, porywacz wrócił z nożem. Aha, czyli nóż. Proste, efektywne narzędzie. Podrzyna się gardło i ofiara się wykrwawia. Czy też wbije mu klingę w serce? Może pozwoli mu wybrać. Wtedy poprosi, żeby w serce. Szybciej umrze. Szybka śmierć jest zaletą. Ale czy na pewno w serce jest szybciej? Miał to sprawdzić do swojej książki, ale jeszcze się za to nie wziął. Cholera! Jak mógł się domyślić, że takie niewinne zaniechanie zemści się na nim, kiedy będzie umierał?!

Osilek przyłożył nóż do piersi Kuriaty – jednak w serce, chwiała Bogu – i przeciął opasujący ją sznur. Potem zrobił to samo z więzami na nogach i rękach. Dziennikarz patrzył na niego z niezrozumieniem.

– Co wybałuszasz gały? Drugi raz nie będę się bawił w odplątywanie.

– Co?

– Co „co”? Spierdalaj stąd. Tylko zapomnij, że tu byłeś. Jak pójdziesz do glin albo opiszesz to w tym swoim szmatławcu, wrócę po ciebie. I wtedy już nie po to, by pogadać.

Ostrze noża przesunięte po gardle nie pozostawiło wątpliwości, jaki byłby cel powtórnego spotkania. Kuriata chwycił swojego laptopa, a potem ruszył do wyjścia.

– Czekaj, masz tu swój telefon. – Osilek podał mu wyciągniętą z kieszeni spodni komórkę. – W stronę kibla korytarzem do końca.

Dziennikarz poszedł za tą wskazówką.

WTOREK

Redagowanie spóźnionego maila do McGratha szło Przygodnemu opornie. Spóźnionego, bo miał go napisać poprzedniego wieczoru, a nie dzisiejszego ranka, opornie, bo myślami wciąż wracał do tego, co wydarzyło się nad Odrą. Do ich miłosnego wyznania. Powiedzieć „kocham” i usłyszeć w odpowiedzi „kocham” nappełniało człowieka szczęściem, którego nie dawało żadne inne przeżycie. A do tego po tym miłosnym wyznaniu kochali się na świeżym powietrzu. Dotąd nie mógł uwierzyć, że miał dziewczynę, która go do czegoś takiego zachęciła, i że się na to zdobył. Z Gabi uprawiał seks wyłącznie w łóżku, ale nie dlatego, że ona nie chciała inaczej, tylko oboje uważali, że na miłosne igraszki jest to najwłaściwsze i najwygodniejsze miejsce. I nigdy nie odczuwał potrzeby, by poza nie wyjść.

– Widzę, że nie mógł się pan od wczoraj doczekać, szefie. – Aspirant wszedł do pokoju i rzucił swój komentarz, patrząc na zegar.

– Doczekać? Czego? Co masz na myśli?

Ostry ton nieco zdeprymował Gajdę.

– No... odpowiedzi od Amerykanów. Dopiero szósta trzydzieści, a pan już tu jest i sprawdza pocztę.

– Aha. Nie... dopiero piszę. Wczoraj nie dałem rady, coś... coś mi wypadło i nie dotarłem już do komendy.

Po raz kolejny w tym śledztwie miłość stanęła na drodze jego obowiązkowi służbowym, choć już raz unaoczniał sobie, jakie to mogłoby mieć tragiczne konsekwencje. I niespecjalnie go usprawiedliwiała, że namiętnej randki wcale nie zaplanował. Ani to, że mężczyzna przestaje myśleć, kiedy trzyma w ramionach atrakcyjną kobietę.

– A to przegapił pan fajną sprawę. Kiedy tu szedłem, koledzy dwa razy zdążyli mi opowiedzieć, jak wczoraj wieczorem dyżurny posyłał

patrol do kochającej się parki nad Odrą. „Podjedźcie tam i spróbujcie wyczuć, czy ona kwili dlatego, że jest jej tak przyjemnie, czy dlatego, że dzieje się jej krzywda”.

Aspirant zaśmiał się na całe gardło, a Przygodnemu zrobiło się najpierw zimno, a potem gorąco. Jeśli go rozpoznali...

– Gdzie nad Od... rą? – wydukał.

– Czy to ważne? Chyba w okolicy mostów Jagiellońskich.

Nawet nie wiesz, jakie to ważne, pomyślał Przygodny, odetchnąwszy z ulgą, bo Wyspę Opatowicką od mostów Jagiellońskich dzieliło ładnych parę kilometrów.

Gajda, nieświadom, jak przestraszył swojego przełożonego, zapytał, czym ma się zająć, i Przygodny polecił mu, by sprawdził u operatorów, czy jakiś numer komórki zarejestrowali na Daniela Rachwalskiego. Potem dokończył pisanie maila do irlandzkiego kolegi, wysłał i jednocześnie ściągnął pocztę. Policyjny filtr antyspamowy działał kiepsko, więc musiał wykasować ofertę obejrzenia roznegliżowanych zdjęć biuściastej Jennifer i przyjęcia darowizny od wdowy po nigeryjskim milionerze. Przemknął okiem po tytułach pozostałych maili: poza jednym niezwiązane z morderstwami mogły zaczekać. Tym jednym była zaskakująco szybka odpowiedź z Krajowego Rejestru Karnego. Rachwalski raz trafił na rok do więzienia: za zabór pojazdu i działanie w zorganizowanej grupie przestępczej.

Rozważył, czy zabójstwo Rachwalskiego mogło mieć związek z jego przestępstwami. Wziąwszy pod uwagę, że Brzeccy byli uczciwymi obywatelami, a pistolet wskazywał na tego samego sprawcę, raczej nie. Zwłaszcza że kradzieże samochodów na ogół nie wiązały się z przemocą. Udział w zorganizowanej grupie przestępczej, czyli w mafii, tak, ale Przygodny wiedział, że ten paragraf, skonstruowany właśnie przeciwko mafii, prokuratorzy nagminnie wykorzystywali, niekoniecznie

zgodnie z założeniem, ze względu na zagrożenie wysoką karą. Za kradzież samochodu zwykły złodziej dostawał do pięciu lat, a mafioso drugie tyle, więc większość starała się z tego złodzieja zrobić mafiosa. We wrocławskich organach ścigania krążyła anegdota o prokuratorze, który w oskarżycielskim zapale wniósł o ukaranie przedsiębiorcy dokonującego przekrętów finansowych za udział w jednoosobowej zorganizowanej grupie przestępczej. A potem na przemian pocił się i czerwienił na sali sądowej, kiedy sędzia dał mu różne słowniki języka polskiego i kazał w nich wskazać definicję słowa „grupa” pasującą do aktu oskarżenia.

Nie było żadnego maila od Małeckiego. Zresztą ten zwykle przysyłał oficjalne raporty albo dzwonił. Przygodny jednak nie chciał czekać na telefon i mimo wczesnej pory wybrał numer.

Tak rano jeszcze się z patologiem nie kontaktował i nie wiedział, czy Małecki będzie w pracy, czy też obudzony rzuci jakąś kąśliwą uwagę. Ale musiał podjąć to ryzyko. Potrzebował potwierdzenia, że ofiarą na lotnisku rzeczywiście jest Katarzyna Brzecka.

„Małecki, słucham” nie zabrzmiało specjalnie dziarsko, ale z pewnością nie był to głos człowieka wyrwanego ze snu. A z jego pierwszych słów wynikało, że lekarz znajduje się już w Zakładzie Medycyny Sądowej. Albo chciał zacząć wcześniej, żeby nie siedzieć do późnego popołudnia, albo musiał zacząć wcześniej, żeby się ze wszystkim wyrobić. Przygodnemu było to obojętne, grunt, że mógł zapytać, co wyszło z porównania DNA Ireny Brzeckiej i ofiary z lotniska.

- Jeszcze nic, wyniki będę miał za jakieś dwie godziny.
- Może mi pan przesłać je SMS-em albo mailem, jak tylko je pan uzyska?
- Jeśli to dla pana kłopot, żeby zadzwonić...

– Nie kłopot, ale muszę je dostać bez żadnej zwłoki – wbrew intencjom Przygodnego zabrzmiało to jak tłumaczenie.

– Skoro tak się panu pali... À propos, głowa pana nie interesuje?

– Jaka znowu głowa?

– Jak „à propos” do „pali”, to o jakiej głowie mogę mówić?

Przygodny poczuł się jak tępy uczeń, którego nauczyciel pomocniczymi pytaniami naprowadza na właściwą odpowiedź.

– O tej spalonej?

Małecki westchnął tak wyraziście, że komisarz mógł sobie sam dopowiedzieć kryjący się za tym sarkastyczny komentarz.

– W jakim sensie miałyby mnie ona interesować?

Tym razem po drugiej stronie słuchawki nie było ani westchnienia, ani komentarza. W ogóle nic.

– Pytałem...

– Słyszałem, ale mnie zatkało. Dotąd pana obchodziło, co mam do powiedzenia o pańskich trupach.

– Ma pan tę głowę?! – Do komisarza wreszcie dotarło, co powinno dotrzeć trzy kwestie wcześniej. Trudności z kojarzeniem wzięły się pewnie stąd, że jedyny człowiek, który według wiedzy Przygodnego mógł ją lekarzowi dostarczyć, trzeźwiał w areszcie.

– Pił pan czy jak? Przecież przywieźli mi ją pańscy posterunkowi.

– Kiedy?!

– Wczoraj, nie pamiętam dokładnie o której, ale mogę sprawdzić, rejestrujemy godzi...

– Nie trzeba. I co pan ustalił?

– Że to kobieta. Na szyi są podwójne obrażenia, wskazujące na to, że najpierw poderżnięto jej gardło, a później odcięto głowę. Ale żeby w stu procentach potwierdzić taki przebieg zabójstwa, potrzebuję korpusu.

– Kobieta? Nie mężczyzna?

Lekarz westchnął ponownie.

– Bardzo logicznie pan to ujął. Skoro kobieta, to nie mężczyzna.

– Jest pan pewien?

– Co to za pytanie? Znam się na swoim fachu, ale powoli zaczynam mieć wątpliwości, czy pan nie zapomniał swojego.

Przygodny zignorował ten przytyk.

– To jest na pewno ta głowa z Lasu Strachocińskiego?

– Tak podali posterunkowi w protokole przekazania zwłok. Zdaję sobie sprawę, że nie są zbyt lotni, ale ile spalonych trupów ma pan na chwilę obecną we Wrocławiu?

Przy tym wysypie zamordowanych Przygodny wcale by się nie zdziwił, gdyby skwarków, jak ich określiła właścicielka zakładu pogrzebowego, było więcej. Ale na razie nic na to nie wskazywało, a posterunkowi musieli mieć jakieś podstawy, by wiązać dostarczoną głowę z Lasem Strachocińskim.

– Ja ich zamorduję! – oznajmił podniesionym tonem, kiedy się rozłączył. – Wołaj ich do mnie natychmiast.

Oderwany od swojego zajęcia aspirant popatrzył na przełożonego z niezrozumieniem w oczach.

– Kogo?

– Wójcika i Wojtkiewicza.

– Co znowu zmalowali? – Gajda potraktował to polecenie jako zaproszenie do rozmowy, bo komisarz miał kontakt do posterunkowych w swojej komórce i mógł sam po nich zadzwonić.

– Znaleźli wczoraj tę spaloną głowę i zawieźli ją do medycyny sądowej, nie raczywszy wspomnieć mi o tym słowem.

– Gdzie znaleźli? – ponieważ aspirant szukał jej bezskutecznie, najbardziej zafrapowała go właśnie ta kwestia.

– Skąd mam wiedzieć? Spytasz ich o to, kiedy zmyję im... nomen omen, głowy. A ta spalona nie należy do Brzeckiego. Małecki mówi, że to kobieta.

– Nie do Brzeckiego? To gdzie on jest? I co to za kobieta? Mamy kolejnego trupa?

Ustalenie odpowiedzi na drugie i trzecie pytanie wymagało śledztwa. Ostatnie było wnioskiem. Niekoniecznie prawdziwym, bo jeśli Brzecki żył, liczba zabitych pozostawała bez zmian. Czy to, że nie jego głowę spalono w lesie, oznaczało, że ocalał? Czy też morderca dopadł go w dalszej części lasu, co im umknęło, bo zadowolili się pierwszymi znalezionymi szczątkami? Ale przecież szukali jeszcze korpusu. A jeśli Brzecki wydostał się poza las i dopiero potem skonał, ktoś już powinien natknąć się na jego zwłoki. Nie znajdowali się w odludnych Bieszczadach, tylko w kilkusettyśięczonej aglomeracji. Co przemawiało za tym, że ocalał. To był pocieszający scenariusz: jedno morderstwo mniej do rozwikłania, jedno ludzkie życie zachowane. Ale w grę wchodził też inny: ten, kto zadał Brzeckiemu obrażenia, ruszył za nim w pościg, dokończył dzieła, a zwłoki ukrył. Co więcej, w świetle zabójstwa Katarzyny Brzeckiej ten drugi scenariusz wydawał się bardziej prawdopodobny, bo dlaczego akurat ojciec miał być tym członkiem rodziny, którego zabójca postanowił oszczędzić?

– Zapytanie do operatorów o komórkę Rachwalskiego poszło, jak tylko podadzą nam numer karty, zlecę namierzanie – powiedział aspirant, widząc, że Przygodny pogrążył się w myślach. – Małecki powiedział, kiedy ta kobieta została zabita? Jeśli więcej niż czterdzieści osiem godzin temu, może jest zgłoszenie o zaginięciu, które uda nam się dopasować. Chociaż potrzebowalibyśmy do tego dalszych wskazówek.

Przygodny ze wstydem uświadomił sobie, że nie zapytał o czas zgonu, ale skoro lekarz sam go nie podał, może nie zdołał tego ustalić.

– Podjedź na Mikulicza-Radeckiego. Weźmiesz oficjalny raport z sekcji i zobaczysz, czy coś nam dalej pomoże, i zaczekasz na wyniki badań DNA tej z lotniska.

Aspirantowi nie trzeba było dwa razy powtarzać i zamknął za sobą drzwi, zanim Przygodny uzyskał połączenie z posterunkowymi. Konkretnie z Wojtkiewiczem, który tym razem odebrał ich wspólną komórkę. Właśnie szli do pracy i mogli od razu stawić się u komisarza.

– Skąd macie głowę?

Wójcik i Wojtkiewicz popatrzyli na siebie, po czym obaj wyprężyli się w służbowej postawie. Dopiero kiedy milczenie się przedłużało, Przygodny zorientował się, że uznali pytanie za formę pretensji, niewymagającą odpowiedzi. I że nie wiedzą, o co chodzi, i czekają na sprecyzowanie zarzutów.

– Pytam o tę spaloną głowę, którą zawieźliście do Zakładu Medycyny Sądowej.

Znowu nie padła odpowiedź, ale tym razem jej braku komisarz nie umiał sobie wyjaśnić.

– Zawieźliście wczoraj spaloną głowę do medycyny sądowej?!

– Tak – potwierdził Wójcik. – Zgodnie z poleceniem.

– Właśnie – przytaknął Wojtkiewicz.

– Czym poleceniem?

Mocno niepewna mina obu posterunkowych wskazywała na to, że rozkaz wydał im ktoś nieuprawniony.

– Mówcie, nie będzie miał żadnych kłopotów.

– Kto?

– Ten, kto wydał wam polecenie.

– Przecież to był pan komisarz.

– Ja?

Zdumienie Przygodnego sięgnęło fazy zwanej potocznie zdurnieniem.

– Pan. – Wójcik upierał się przy swoim.

– Właśnie. – Wojtkiewicz też się upierał.

– Kazałem wam zawieźć głowę?

– Kazał nam pan aresztować podejrzanego. Józefa Nowaka. Tego, co miał głowę. Tą spaloną, znaczy się. Aresztowanego przywieźliśmy do aresztu. Tutaj. Nic nie zrobiliśmy źle, bo nawet pan komisarz nas pochwalił, że dobra robota.

– Właśnie!

– Ale głowy nie mogliśmy dać do aresztu. Znaczy się, tej spalonej. Bo zwłoki daje się do medycyny sądowej. On zresztą miał tam tą głowę zawieźć. Sam tak powiedział. Że pracuje w zakładzie pogrzebowym, ma wózek prokuratorski i musi jechać do krajalni. Najpierw nie wiedzieliśmy, co to jest ta krajalnia, ale wytłumaczył, że zakład. Znaczy się, medycyny. I powiedział, że jak nie zawiezie, to będzie afera i babsko urwie mu głowę. I pan komisarz. To jak powiedział, że pan komisarz

kazał, to już nie pytaliśmy, jakie babsko. Ale nie mogliśmy mu pozwolić jechać, bo był pijany i mieliśmy go aresztować. To jego aresztowaliśmy, a głowę zawieźliśmy sami. Tak jak pan komisarz kazał.

Wójcikowi z wysiłku spowodowanego długą wypowiedzią wystąpiły kropelki potu na czoło. Jego partner milczał, jakby przekonany, że taka liczba słów przemawia sama za siebie i żadne wzmocnienie nie jest potrzebne.

– A dlaczego nic mi o tej głowie nie powiedzieliście? Myśmy jej przecież szukali.

Odpowiedź stała się dla Przygodnego oczywista, kiedy tylko zadał pytanie: posterunkowi o tym nie wiedzieli. Dostali polecenie aresztowania Józefa Nowaka, a nie szukania spalonej głowy, powód zatrzymania, jaki im podał, to pijaństwo za kółkiem, a nie zagubienie czy zbezczeszczenie ludzkich szczątków. Wychodziło na to, że jak raz Wójcik i Wojtkiewicz nic nie zawalili. Z rozmowy z zatrzymywanym doszli do wniosku, że w posiadaniu głowy znajdował się legalnie, wniosku nie do końca słusznego, ale była to wyłącznie kwestia perspektywy czasowej, nawet gdyby mieli pełną jasność, jak wygląda sytuacja, nie musieliby zabezpieczać głowy na miejscu i wzywać ekipy technicznej. Ślady zostały już zebrane w Lesie Strachocińskim. Pozostawało jedynie odstawienie zwłok czy raczej części zwłok do Zakładu Medycyny Sądowej i to właśnie posterunkowi zrobili.

– Nowak powiedział wam, że musi zawieźć głowę do medycyny sądowej, i pokazał wam, gdzie ona była?

– Tak jest.

– A gdzie była?

– W lodówce.

– Niemożliwe, przeszukałem kuchnię i lodówki przy tym nie opuściłem.

– Nie w kuchni, w pokoju. I w zasadzie to nie lodówka, tylko zamrażarka.

– Właśnie – Wojtkiewicz podkreślił pewną różnicę między jednym a drugim urządzeniem.

– W pokoju też szukałem, tam nie było żadnej zamrażarki.

– Nie w jego pokoju. U współlokatorów.

Przygodny dostrzegł swój błąd. Szukając, nie poszedł tokiem rozumowania Nowaka, jeśli w przypadku osoby mocno pijanej można mówić o rozumowaniu. Grabarz nie planował kraść czy ukrywać głowy. Najpewniej w alkoholowym zwidzie uroił sobie powód, że w drodze do Zakładu Medycyny Sądowej musi wstąpić do domu. Tam zadbał o odpowiednie warunki na czas postoju, a dla zwłok najodpowiedniejsza jest lodówka. Wprawdzie zwęglonym niewiele groziło, ale można przyjąć, że Nowak działał niejako automatycznie. A najwidoczniej zakładał, że wstępuje do domu na niezbyt długo i że w tym czasie współlokatorzy nie będą niczego z zamrażarki potrzebowali. To, że później alkohol zwałił go z nóg, stanowiło nieprzewidzianą – przynajmniej dla niego samego – komplikację.

– W porządku, wracajcie do roboty.

– Ale... – Wójcik i Wojtkiewicz wymienili spojrzenia.

– Tak?

– To coś źle zrobiliśmy czy jak?

– Właśnie?

– Nie, nie. Zaszło nieporozumienie, ale z mojej winy. Wy spisaliście się na medal.

Druga pochwała dla posterunkowych w ciągu zaledwie jednego śledztwa świadczyła, obok zwycięstwa Trumpa w wyborach prezydenckich w USA i wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej, że świat wypadał z kolein.

– Mama?

– Zygmuś!

– To ja.

– Ale czemu dzwonisz nie na Skype’a, tylko na komórkę? Dużo zapłacisz.

– Nie, bo jestem we Wrocławiu. Sprawy zawodowe, wczoraj przyjechałem, dzisiaj już wyjeżdżam, ale w tej chwili jestem wolny i mógłbym do ciebie wpaść.

– Oj, a ja nic nie mam. Czemu nie zadzwoniłeś wcześniej? To jakieś ciasto bym upiekła, murzynka, wiem, że lubisz, jak byłeś dzieckiem, bardzo lubiłeś, raz zjadłeś trzy kawałki naraz, nie dopilnowałam i było ci...

– Nie jestem już dzieckiem. To mam wpaść czy brak tego cholernego murzynka jest przeszkodą?

– Tak, tak, Zygmuś, nie denerwuj się, oczywiście, że przyjdź, bardzo się ucieszę.

Po dwóch godzinach od tej rozmowy doktor Kownacki wyszedł z bramy bloku przy Gersona, przeklinając przypyływ słabości, który skłonił go do wypełnienia synowskich obowiązków. Wyciągnął komórkę, żeby wezwać taksówkę, kiedy biały mercedes z kogutem na dachu ruszył z parkingu i zatrzymał się koło niego. Siedzący z tyłu pasażer otworzył drzwi, po czym odsunął się w głąb, robiąc mu miejsce.

– Wsiadaj, Zygmunt.

Lekarz potrzebował chwili, by rozpoznać mężczyznę w samochodzie, a potem wyraźnie się zawahał, czy ma wykonać jego polecenie.

– Wsiadaj, u diabła, zanim ktoś nas zobaczy.

Kownacki posłuchał i zatrzasnął za sobą drzwi. Następnie odwrócił się do pasażera i miał już na końcu języka pretensje o dziwne zaproszenie, kiedy dostrzegł ziemię i krew na płaszczu tamtego.

– Co panu jest?

– Później. Gdzie mieszkasz?

– W hotelu Campanile.

– Słyszał pan – ranny mężczyzna zwrócił się do taksówkarza. – Jedziemy.

Milczące skinięcie głową potwierdziło, że cel podróży został odnotowany, mercedes wyjechał z podwórka i po następnym skřęcie znalazł się na głównej ulicy, prowadzącej do centrum.

– Co pan...?

– Porozmawiamy, kiedy znajdziemy się u ciebie.

Więcej się nie odzywali i następne słowa, jakie padły, były ceną za kurs odczytaną z taksometru.

– Mógłbyś zapłacić? Później ci oddam.

– Jasne.

Dwa banknoty ze słowami „reszty nie trzeba” powędrowały do taksówkarza, który przyjął je burkliwym „dziękuję”. Kiedy po opuszczeniu samochodu zbliżyli się do drzwi hotelu, samozwańczy gość

Kownackiego niebezpiecznie się zachwiał i lekarz musiał go podtrzymać.

– Chyba wymagam załatania.

– Powinniśmy od razu pojechać do szpitala.

– Żadnych szpitali! Prowadź mnie do swojego pokoju.

I to polecenie Kownacki wykonał, ale kiedy w tym pokoju się znaleźli, wybuchnął:

– Teraz niech pan mówi, panie Brzecki, co, do ciężkiej cholery, to wszystko ma znaczyć?

Brzecki jednak nie odpowiedział, zdziwiony wpatrzył się w młodą kobietę, leżącą w łóżku.

– Wolałbym porozmawiać z tobą na osobności.

– To Szwedka, nie zna polskiego. *Hur mår du, Christina?*

– *Inte så bra.*

– Ten szwedzki zawsze dziwnie mi brzmiał.

– Zapytałem ją, jak się czuje.

Nie przetłumaczył odpowiedzi, ale kobieta była blada i wyglądała na tak wycieńczoną, że Brzecki łatwo się jej domyślił.

– No, powie mi pan w końcu, co jest grane?

– Potrzebuję, żebyś mnie opatrzył. A potem, żebyś pomógł mi uciec do Szwecji.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Nie jest – przyznał Brzecki. – Ale zaraz zemdleję i niczego się nie dowiesz. Najpierw mnie opatrz.

– Tutaj? Przecież to nie ambulatorium, tylko pokój hotelowy. Nie mam tu odpowiedniego wyposażenia. Muszę zawieźć pana do szpitala.

– Ani mi się waż. Nie zapominaj, że mogę ci zaszkodzić. Profesor Wilczur operował w wiejskiej chacie, we współczesnym hotelu poradziś sobie tym bardziej.

– Przecież to fikcja literacka, w rzeczywistości...

– Nie dyskutuj ze mną. Poza tym nie wymagam operacji, operację już miałem, tylko rana mi się otworzyła i chyba nie jest to nawet specjalnie groźne, bo już wczoraj tamowałem prowizorycznie gąbką z samochodu, a ciągle jestem na chodzie.

– Uwielbiam pacjentów, którzy sami stawiają sobie diagnozy – wymamrotał Kownacki, ale ten sarkazm był już jedynie formą oświadczenia, że to, co robi, robi pod przymusem.

Sięgnął po swoją torbę lekarską, której zawartość zadawała kłam twierdzeniu, że nie dysponował środkami do opatrzenia rannego. Na niefachowe oko Brzeckiego pozwalała ona nawet na zajęcie się ciężko chorym.

Kownacki wziął nożyczki i rozciął nogawkę.

– Mam nadzieję, że szpital nie obrazi się o zniszczenie mu piżamy. Dlaczego uciekł pan ze szpitala?

– Skąd o tym wiesz?

– Od mojej matki. Wybierała się do szpitala, żeby zawieźć panu osobiste rzeczy, kiedy zobaczyła, że przyjechał pan taksówką w piżamie.

– Moje osobiste rzeczy? Skąd je miała?

– Z pańskiego mieszkania.

– Kto jej pozwolił tam wejść?!

Lekarz oglądający ranę, podniósł wzrok.

– Chyba trochę pan przesadza. Chciała dobrze, skojarzyła, że nie ma pan nikogo, kto zawiózłby panu maszynkę do golenia i szczoteczkę do zębów. Inna sprawa, że sprzątanie po strzelaninie to już nadgorliwość, ale tym, że wytarła krew, mogła nabruździć jedynie policji, nie panu.

– Przepraszam, dobrze mówisz, jakoś nie jestem nawykły, że ludzie coś robią z troski o mnie. Jak to wygląda? – wskazał na zakrwawioną i opuchniętą nogę.

– Muszę zdezynfekować, bo ten brud przedostał się do rany. Dlaczego tarzał się pan po ziemi?

– Nie tarzałem się, spałem w lesie.

– Będzie bolało.

Przy syknięciach Brzeckiego lekarz przemył ranę.

– Teraz obandażuję, żeby powstrzymać krwawienie. – Kownacki nawykły już do szwedzkich procedur, informował pacjenta krok po kroku, co będzie robił. – Jak ta rana się panu otworzyła?

– Szarpałem się z takim jednym gościem.

– Za nogi?

– Nie rozumiem.

– Szarpanina angażuje górną część ciała, jeśli więc nie kopnął pana w udo, to szwy raczej nie powinny puścić.

– Może i kopnął, nie pamiętam. Ale chyba masz rację, że krwawienie zaczęło się dopiero w samochodzie. W każdym razie wtedy je zauważyłem.

– Mogło być i tak, że kopnięcie nadwerżyło szwy, a puściły przy zginaniu nogi, kiedy wsiadał pan do wozu. Gotowe. Ale ten bandaż to

tylko prowizorka. Prędzej czy później przesiąknie. Muszę założyć nowe szwy, wykluczone jednak, żebym zrobił to tutaj. A dopóki nie dam nowych szwów, musi pan leżeć.

– Będę leżał, ale dopiero w Szwecji.

– Co pan z tą Szwecją?

– Muszę stąd uciekać.

– Dlaczego?

– Po prostu muszę.

– To niech pan ucieka. Granice są otwarte, nie muszę panu załatwiać fałszywego paszportu ani niczego w tym rodzaju.

– Fałszywego paszportu nie, ale bilet na prom pod innym nazwiskiem by się przydał.

– A skąd ja mam go panu wziąć? Uważa pan, że po godzinach zajmuję się produkcją lewych dokumentów?

– Nie, oczywiście, że nie. Chodzi mi o to, że skoro mniej lub bardziej regularnie podróżujesz na tej trasie, będziesz miał pomysł, jak ją pokonać bez konieczności legitymowania się. No i ze względu na swój stan wolałbym jechać z tobą niż sam. A na miejscu musiałbyś mi pomóc się urządzać, wynająć mieszkanie dla mnie na swoje nazwisko, załatwić...

– Całkiem długa lista życzeń, a zrobienie panu prywatnej operacji na państwowym sprzęcie w szwedzkim szpitalu i wzięcie za to stu tysięcy koron nie jest aż takim przestępstwem, bym musiał ją spełniać.

We wzroku Brzeckiego pojawiła się rozpacz, usta mełły powietrze, jakby chciały dalej mówić, ale mózg nie dostarczał im żadnej treści. W końcu wydobyło się z nich ciche:

– Błagam cię, pomóż mi.

– Kiedy mi pan nawet nie chce podać powodu tej ucieczki.

– Wierz mi, że nie mogę.

– Nie wierzę, wygodna formułka, żeby się za nią schować, kiedy się nie chce czegoś powiedzieć.

Ponownie zbiło to Brzeckiego z tropu i tym razem potrzebował więcej czasu, nim po raz kolejny spróbował dotrzeć do syna swojej sąsiadki.

– Zapłacę ci. Przepiszę na ciebie swoje mieszkanie. Irena nie żyje, ja jestem jedynym spadkobiercą, należy do mnie. Jak przeszmuglujesz mnie do Szwecji i tam ukryjesz, dostaniesz mieszkanie warte jakieś trzysta pięćdziesiąt, czterysta tysięcy. Co na to powiesz?

– Że to musi być grubsza sprawa, skoro chce pan aż tyle zapłacić. Co oznacza, że ryzyko też jest wysokie.

– Jakie ryzyko? Pomagasz starszemu choremu człowiekowi w podróży do Szwecji i pozwalasz mu po starej sąsiedzkiej znajomości u siebie zamieszkać. Nie ma w tym nic nielegalnego.

– Owszem, jeśli popełnił pan przestępstwo.

– Jeśli popełniłem, tak. Jeśli uciekam przed tym, kto popełnił, nie. A zdaje się, że mimo twoich nalegań, nie powiedziałem ci, co się stało, więc nic nie stoi na przeszkodzie, byś przyjął tę drugą wersję. Co więcej, jest ona bardziej prawdopodobna niż pierwsza, przecież zostałem postrzelony, a moja żona zginęła.

Do Kownackiego ta argumentacja chyba trafiła, w każdym razie nie odrzucił jej od razu, więc Brzecki wsparł ją dodatkową zachętą.

– Umowę darowizny możemy spisać od ręki, tam w stoliku powinien być papier i długopis, bo w hotelach zawsze są, jeśli mi podasz, za trzy minuty masz mój podpis na dokumencie, przekazującym ci mieszkanie.

– Tyle że bez notarialnego potwierdzenia nieważny.

Brzecki pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że nie ma sensu mnożyć przeszkód, które nie są przeszkodami.

– Jeśli o mnie chodzi, możemy od razu podjechać do notariusza. Kancelarii notarialnych jest we Wrocławiu bez liku, któraś z pewnością nas załatwi.

– Wszystkie odeślą nas z kwitkiem, bo zamach na państwa był w piątek, a nawet w Szwecji, gdzie takie sprawy załatwia się błyskawicznie, nie przeprowadziłby pan postępowania spadkowego w trzy dni. Nie jestem prawnikiem, ale z tego, co się orientuję, bez oficjalnego odziedziczenia po żonie jej części mieszkania, nie może pan nim rozporządzać.

– O, Jezu, no to umowa przedwstępna czy cokolwiek. Dlaczego zakładasz, że chcę cię oszukać? Nikogo nie oszukałem przez całe swoje życie, moje słowo jest tyle samo warte, co notarialnie poświadczony podpis.

Powoływanie się przez Brzeckiego na własną uczciwość nie zrobiło na lekarzu większego wrażenia, więc ranny wysupłał ze swojego prochowca smartfona i wpisał w wyszukiwarkę hasło „sprzedaż nieruchomości spadkobierca umowa przedwstępna”. Przewinął wyniki wyszukiwania, otworzył jakiś artykuł i przez chwilę go studiował.

– Zobacz – skierował ekran w stronę Kownackiego. – Umowa przedwstępna będzie skuteczna.

Ten wziął telefon i przebiegł oczami tekst.

– Zgoda, ale po pierwsze niech pan to ustrojstwo wyłączy, bo to bardzo zły pomysł, mieć włączoną komórkę, kiedy się ucieka, a po drugie da pan sobie założyć nowe szwy, nie zaryzykuję...

– Nie pójde do szpitala!

– Nie mówię o szpitalu. W każdym razie nie o takim, jaki pan ma na myśli. W tym zamkniętym na Traugutta zostało sporo sprzętu, warunki są odpowiednie, a ciekawskich nie będzie.

– A jak tam wejdziemy?

– Przez drzwi.

Komunikat, że ma się nie dopytywać, był jasny, więc Brzecki zamilkł.

– Wiem, jak dojechać do Szwecji, żeby nas po drodze nie sprawdzali
– oznajmił Kownacki.

– Szybko wymyśliłeś.

– Nie jest specjalnie skomplikowane. Pojedziemy samochodem przez Niemcy i Danię, a potem mostem nad Östersund. Cały czas będziemy na obszarze Schengen, więc na kontrole nie natrafimy. Żadnych samolotów ani statków, bilety niepotrzebne.

– A na miejscu?

– Christina przeszła poważną operację i będzie musiała wyjechać do sanatorium. Na razie zakwaterujemy pana u niej, a potem się zobaczy.

Zapanowała dłuższa chwila milczenia, okazało się, że Brzecki czekał na pytanie, które nie padło.

– Nie zapytasz jej, czy zgadza się, by zamieszkał u niej obcy człowiek?

– I tak szukaliś... szukała kogoś, kto zaopiekowałby się jej mieszkaniem. Szwecja nie jest już tak bezpieczna jak kiedyś.

Przejęzyczenie, bytność w pokoju Kownackiego i fakt, że czuł się władny podejmować za Christinę decyzje, dość jednoznacznie ujawniły Brzeckiemu relację między nimi, ale ten, zachowując dyskrecję, porzucił temat.

– To jak działamy?

– Ja zorganizuję tego Traugutta, notariusza i kupię panu jakieś ubranie. Pan niech się spróbuje przespać, dobrze to panu zrobi.

– A kiedy byśmy jechali?

– Myślę, że jutro z samego rana.

Kto inny z pewnością zgłosiłby porwanie policji, ale Kuriata nosił się z tą myślą zaledwie przez dwie minuty. Później uznał, że padł ofiarą ryzyka zawodowego i powinien przejść nad tym do porządku. Także z praktycznych powodów: bycie pokrzywdzonym stanowiło czasochłonne zajęcie, na przesłuchaniach, okazaniach i zeznaniach w sądzie strawiłby wiele godzin. A Kownacki pewnie i tak uniknąłby skazania. Na dotarciu do zleceniodawców przestępstwa policji zależało, ale tej amerykańskiej w serialach filmowych, polska w zupełności zadowoliliby się wykonawcą. Jest winny, jest wyrok, sprawa rozwiązana, po co się szarpać z oskarżeniem, które nie poprawi już statystyki.

Nie wiedział, gdzie jest, bo za wszystkie punkty orientacyjne miał baraki, z których go wypuszczono, kawałek lasu i szosy. Chciał sprawdzić swoje położenie w nawigacji Google'a, ale smartfon zdążył się przez noc wyładować. Z tego samego powodu nie mógł wezwać taksówki ani ubera. Na taksówkę nie miał zresztą pieniędzy, bandyci telefon mu oddali, ale portfela nie. Domyślał się, że po cichu przywłaszczył go sobie osiłek w ramach ekstra wynagrodzenia za porwanie, słusznie zakładając, że Kuriata na skargę do Kownackiego się nie uda.

Szosa co jakiś czas przejeżdżały samochody, ale na jego machanie żaden się nie zatrzymał. Mężczyzna po czterdziestce, bez towarzystwa,

ma kiepskie szanse jako autostopowicz, a kiedy dodać do tego pokiereszowaną twarz i pomięte brudne ubranie spadają one praktycznie do zera. Książeczki autostopu, dające kierowcy jaką taką gwarancję, że pasażer jest niegroźny, odeszły w zapomnienie dawno temu.

Nie rezygnując z prób zatrzymania jakiegoś odważnego, Kuriata ruszył poboczem. Przeszedł około kilometra, kiedy przy dróżce prowadzącej w głąb lasu natknął się na dwie kobiety. Też machały na samochody – z lepszym skutkiem niż on, bo jeden właśnie wyhamowywał – ale nie były to autostopowiczki. W każdym razie przeciętna autostopowiczka zazwyczaj wcale nie pokazywała nóg po udaniu ani nie epatowała biustem.

Młodsza z prostytutek, przywołana przez kierowcę, podeszła do samochodu i pochyliła się do okna, a druga zagadnęła Kuriatę z rosyjskim akcentem:

– Masz na coś ochotę, przystojniaczku?

Na pewno nie na seks z podstarzałą tirówką, od której mogę złapać HIV-a, pomyślał dziennikarz. Normalnie powiedziałby to na głos, ale potrzebował od niej jeśli nie pomocy, to przynajmniej informacji. A kobiety generalnie źle reagowały na słowo „podstarzała”, nie tylko te wykonujące zawody, w których młody wiek był dużym atutem.

– Nie miałbym z czego ci zapłacić, zostałem okradziony.

– To spadaj, bo odstraszasz klientów.

Kuriata najpierw pożałował swojej wstrzemięźliwości, potem zreflektował się, że nic straconego i może odparować, że klientów to odstrasza głównie jej aparycja, ale niechęć do kolejnego kilometrowego marszu przeważała.

– Już idę, powiedz mi tylko, gdzie jesteśmy.

– Jak to gdzie?

– We Wrocławiu, poza Wrocławiem, w którym miejscu?

– Dwadzieścia kilometrów od Wrocławia, od strony Wojnowa.

To była zła informacja. Środki komunikacji miejskiej też odpadały.

Rozważył pożyczanie komórki od Rosjanki. Ale nawet jeśli by się zgodziła, nigdzie by nie zadzwonił, bo jedyny numer telefonu, jaki znał na pamięć, to własny. Policji nie mógł wezwać, wtedy musiałby złożyć zeznania, raczej wątpliwe, by funkcjonariuszom spodobало się, że jedyna pomoc, jaką chciał uzyskać, to podwiezienie do domu. Poza tym, a właściwie przede wszystkim, gdyby prostytutka zobaczyła, że zadzwonił na policję, dużo wcześniej pojawiliby się tu jej opiekunowie i dokończyli dzieła po osiłku.

– No, co stoisz? Idź stąd, ja potrzebuję zarobić.

– Możesz mi pożyczyć swój telefon?

Na stronie internetowej „Kuriera” opublikowano z pewnością numer do kontaktu albo nawet numery poszczególnych działów. Przyjechałby po niego ktoś z gazety.

– A do kogo będziesz dzwonił?

Wyjaśnił jej swój zamiar, na co pokręciła głową.

– Tu do pracy biorę tylko taką zwykłą komórkę bez internetu – na dowód, że mówi prawdę, pokazała mu wysłużoną nokię. – Klienci kradną smartfony.

Skoro korzystający z usług prostytutek mieli lepkie ręce, to ta druga, wracająca właśnie z lasu, też pewnie zostawiała smartfona w domu. Co potwierdziła Kuriacie, w otoczce słów na K i Ch wyjaśniając, że straciła huaweia za „tysiaka”, i pytając, dziennikarza, czy wie, ile pewnych czynności, które również określiła nieparlamentarnymi słowami, musi wykonać, by tego tysiaka „wyciągnąć”. Potem jednak zadeklarowała:

- Mój facet może cię podwieźć.
- Dziękuję.
- Nie za „dziękuję”, kurwa, za kasę.
- Ale nie mam, okradli mnie.
- Kont ci nie splądrowali, zapłacisz na miejscu.
- Masz do mnie takie zaufanie?
- Do ciebie nie mam, kurwa, za grosz zaufania. Mam zaufanie do pięści mojego faceta. To jak?

Podawała cenę, z której wynikało, że profesja kierowcy jest daleko bardziej opłacalna niż zawód prostytutki, ale wyczerpany Kuriata nie próbował negocjować. Zresztą pewnie negocjacje niewiele by dały, prawo popytu i podaży było nieubłagane. Dziewczyna gdzieś zadzwoniła i po kilku minutach nadjechało lekko zdezelowane audi z również lekko zdezelowanym zawodnikiem wrestlingu za kółkiem.

Zapaśnik nie wykazywał żadnej chęci do rozmowy, więc w milczeniu dotarli na Krupniczą, bo Kuriata wskazał redakcję jako punkt docelowy. Musiał pożyczyć od kogoś gotówkę, żeby zapłacić za podwiezienie. Naczelnego się nie bał, Misiak powinien był już ochłonąć, a jeśli nawet buzowały w nim jeszcze jakieś resztki wściekłości, skutecznie powinna wygasić je troska o dziennikarza. Bo chociaż sam nieraz chętnie by go zatłukł, martwił się przecież o swoich pracowników.

Te przewidywania okazały się trafne, naczelnny, wyraźnie wstrząśnięty wyglądem Kuriaty, słowem nie zająknął się o opublikowanych fotografiach z lotniska, a portfel wyciągnął, ledwie ten zaczął mówić, że potrzebuje pieniędzy. Atmosferę troskliwości poważnie zakłóciło dopiero to, że Kuriata nie chciał opowiedzieć, kto i dlaczego go pobił, ani pojechać do lekarza.

– Później, teraz muszę napisać artykuł.

W samochodzie alfonsa zastanawiał się, jak odegrać się za porwanie, i doszedł do wniosku, że najlepszą zemstą będzie artykuł. Nie o porwaniu, bo o nim pisać nie mógł. Nie dlatego, że przestraszył się gróźb osiłka. Gdyby Kownacki chciał go zabić, zrobiłby to za pierwszym razem, a skoro nie miał w tym interesu, artykuł tego nie zmieni. Przestępcy są racjonalni, nie mordują dlatego, że ktoś im nadepnął na odcisk, tylko kalkulują, jakie to im daje korzyści i czy te korzyści przeważają nad ryzykiem, które niesie za sobą śledztwo w sprawie morderstwa. Tyle że napisanie o porwaniu byłoby równoznaczne z zawiadomieniem organów ścigania o przestępstwie, bo policjanci i prokuratorzy też czytali gazety, a tego Kuriata postanowił nie robić. No i byłoby rażącym błędem warsztatowym: dziennikarz miał być obserwatorem wydarzeń, a nie ich uczestnikiem. Chyba że pisał reportaż wcieleniowy jak Günter Wallraff, kiedy przeistoczył się w Turka i pokazał Niemcom, czego w ich kraju doświadczają gastarbeiterzy. Poza tym wyjątkiem zajmowanie się sobą świadczyło o dziennikarskiej nieudolności. Korespondent wojenny, który zamiast relacjonować walki na froncie, opisywał swoje trudności z przedostaniem się przez punkty kontrolne, kompromitował się na całej linii. Bo dopóki go nie zabito, jego przejścia były dla odbiorców mało ważne. I tak samo z Kuriatą. Żył, więc co go spotkało przy zbieraniu materiałów, nie nadawało się do gazety. Ale doskonale nadawało się do niej to, co zaobserwował, a zaobserwował nielegalną transplantację. I do tego miał potwierdzenie od samych sprawców, że przeszczepiali nerkę. Liczył wprawdzie na to, że ta operacja doprowadzi go do wyjaśnienia zamachu na Brzeckich lub jakiegoś innego morderstwa, i dlatego dotąd o niej nie pisał, ponieważ zresztą też doprowadziła, ale nie zebrał wystarczających dowodów, by to publicznie ogłosić. W tej sytuacji musiał więc się ograniczyć do artykułu o przeszczepie, a nic nie stało na przeszkodzie, by go zredagował.

Zasiadł do pisania, w rytm uderzeń w klawisze klawiatury czarne znaczki szybko łączyły się na ekranie w dłuższe ciągi. Mając gotowy akapit, Kuriata go zaczytywał, nanosił poprawki, po czym przechodził do następnego. Mniej więcej w połowie tekstu przypomniał sobie o zdjęciu. Nagranie z bloku operacyjnego nadawało się na dowód, ale nie na ilustrację do artykułu. Sięgnął po podładowaną komórkę i wybrał numer do Brodziaka.

– Julek? Pierwsze info jest takie, że jeśli omijasz redakcję, to już nie musisz, Misiak się uspokoił.

– A drugie?

– Potrzebuję zdjęcia.

– Takiego, które znowu wkurwi Misiaka?

– Zmusiłem cię do publikacji, że mi wyjeżdżasz z tym tekstem? Bo z tego, co pamiętam, zrobiłeś te fotki z własnej nieprzymuszonej woli i sam bardzo chciałeś je zamieścić.

– Sorry. O co chodzi?

– O szpital na Traugutta.

– Z tego, co wiem, zamknięty jest.

– No, właśnie. A jeden konował przeprowadził tam nielegalną operację, o czym akurat piszę.

– Jak on zrobił operację w pustym szpitalu?

– Na tym polega wic, że „zamknięty” nie znaczy „pusty”. Zostało tam sporo sprzętu. Chcę, żebyś wszedł do środka i go sfotografował. Blok operacyjny na pierwszym piętrze.

– Przez „wejść do środka” rozumiesz „włamać się”?

– Nie do końca.

– Nie do końca?

– Konował musiał się włamać, nie wiem, czy tam ktoś na bieżąco zagląda, raczej nie, więc drzwi powinny być otwarte.

– Prawnie pozostaje to włamaniem.

– Czy ty pracujesz w gazecie, czy w kancelarii adwokackiej?

– Raz chciałbym dostać od ciebie zlecenie, które nie wpędzi mnie w kłopoty.

– Dostaniesz, jak Misiak przeniesie mnie do polityki. Wtedy będę cię posyłał na konferencje prasowe i będziesz mógł w spokoju fotografować spasy ryj naszego europośła, wysłuchując, jak to pobiera sowitą dietę w euro, żeby bronić naszej ojczyzny przed europejską zgnilizną.

– Touché. Ale dowcip na prima aprilis polityce wyszedł. Sami to wymyślili?

– Nie, honory należą się Waldziowi.

Na pierwszego kwietnia „Kurier” napisał, że europoseł jest przymierzany przez władze rządzącej partii do stanowiska szefa wrocławskiej delegatury ABW. Ponieważ polityk ubiegał się już o fotel dyrektora w radiowej Trójce i prezesurę w PZPN, wiadomość w ABW uznano za wiarygodną i przerażeni funkcjonariusze zadzwonili do gazety, by wywiedzieć się, skąd dziennikarze ją mają.

Mając zapewnienie kolegi, że zdjęcia będą dobre i na czas, Kuriata wrócił do pisania artykułu. Starał się podać jak najwięcej informacji o Kownackim w taki sposób, by nie można było mu zarzucić ujawnienia, kto jest bohaterem artykułu, a jednocześnie, by nie tylko aparat ścigania, ale i jego macierzysty szpital przy odrobinie wysiłku nie miał kłopotu z ustaleniem, o kogo chodzi.

– Będziesz mnie, zasrańcu, porywał? To skończysz w najlepszym razie jako salowy.

„Kim jest ofiara z Lasu Strachocińskiego? Gdzie jest Brzecki? Żyje czy nie?”.

Te pytania przelatywały w kółko komisarzowi przez głowę niczym na pasku z wiadomościami w TVN24. I jak w telewizji były na marginesie, bo razem z aspirantem intensywnie pracowali. Gajda wrócił z Zakładu Medycyny Sądowej z potwierdzeniem, że Irena Brzecka i zabita na lotnisku to matka i córka. Ponieważ pojawienie się nieznaney dotąd drugiej córki Brzeckich byłoby możliwe tylko w telenoweli, domniemanie zamieniło się w pewność. Poza tym ustalili, że Katarzyna, kupując bilet na samolot, posłużyła się amerykańskim paszportem. Przygodny od razu dostał tę informację McGrathowi. Nie spodziewał się szybkiej odpowiedzi, bo w Stanach była noc, ale po godzinie irlandzki łącznik odpisał, że w tej sytuacji zadzwonił na telefon alarmowy w Miami. W efekcie do mieszkania Brzeckiej natychmiast wysłano ekipę, i to nie policji, lecz FBI. Zamordowanie amerykańskiej obywatelki na lotnisku sprawiło, że we wszystkich tamtejszych służbach rozblęły czerwone lampki, układające się w słowo „terrorizm”. Mniej ucieszyła Przygodnego wiadomość, że FBI chce się z nim skontaktować bezpośrednio i prosi o numer telefonu. Ale podał, nie mógł przecież z obawy o niewystarczające umiejętności językowe blokować sobie śledztwa.

Długo nie musiał się zastanawiać, jak sobie poradzi, bo po kolejnej godzinie na wyświetlaczu jego komórki pojawił się numer zaczynający się od +1.

– *Detective...?*

Drugie słowo było zapewne jego nazwiskiem, idealnie zniekształconym.

– *Yes.*

Kanonada słów, która nastąpiła, uświadomiła przerażonemu komisarzowi, że angielski i amerykański to dwa różne języki. W każdym razie agent mówił zupełnie inaczej niż Irlandczycy. Spanikowany Przygodny był bliski rozłączenia się pod pretekstem, że stracił zasięg. Przez głowę przeleciało mu, że wezwie tłumacza i wtedy oddzwoni. Ale opanował się, powiedział, że nie rozumie, że prosi o powtórzenie znacznie wolniej.

Agent na szczęście musiał już pracować z ludźmi, którzy angielszczyzny nie wyssali z mlekiem matki, gdyż powtórzył wolniej nie w swoim przekonaniu, lecz tak, że Przygodny większość zrozumiał. Ponieważ Amerykanin poprosił, by szczegółowo opowiedzieć mu o okolicznościach znalezienia zwłok na lotnisku, komisarz musiał na razie skupić się na mówieniu. Szło mu to lepiej, niż się spodziewał, zapewne dlatego, że słownictwo związane ze zbrodniami miał opanowane. Gramatyka kulała, słyszał zresztą swoje błędy natychmiast po ich zrobieniu, ale w tej chwili chodziło o to, by się dogadać, a nie zdać egzamin.

Pierwsze i jedyne uzupełniające pytanie agenta brzmiało, czy jakaś organizacja terrorystyczna przyznała się do zabicia Kate Brzeckiej. W jej domu FBI nie znalazło wprawdzie żadnych śladów, prowadzących do Al-Kaidy, ISIS czy jakiegoś radykalisty, ale niczego to nie przesądzało, gdyż celem terrorystów na ogół bywali przypadkowi obywatele, grunt, żeby amerykańscy. Komisarz zaprzeczył, ale nie próbował przekonywać kolegi zza oceanu, że islamski zamach terrorystyczny jest nieprawdopodobny, rozumiał, że ten ma inną perspektywę. On jako Polak mógł czuć się bezpiecznie. Nie dlatego, że rządzący dzielnie

bronili go przed uchodźcami, tylko islamiści potrzebowali oddźwięku w mediach, a zamach w Polsce takowego nie gwarantował.

Potem agent opowiedział o tym, co zabezpieczyli w domu, a Przygodnego zelektryzowały słowa:

– *This man, Roczałki, is on some photos in the flat.*

Komisarz dopytał o rodzaj zdjęć, przedstawiających Rachwalskiego, a będących w posiadaniu Brzeckiej, i dowiedział się, że *they are kissing each other.*

Całowali się, on i Kate byli parą! Czy raczej eksparą, wzięwszy pod uwagę, że Rachwalski mieszkał w Polsce. Niektórzy utrzymywali wprawdzie związki na odległość, ale wymagały one głębokiego uczucia, tymczasem z zeznań świadków wynikało, że Kate Brzecka preferowała raczej ulotne miłości. No dobrze, z zeznań pani Kownackiej, ale nawet biorąc poprawkę na jej niechęć do córki sąsiadki, ta ocena nie wydawała się wyssana z palca. Zresztą gdyby nadal byli parą, Rachwalski pojechałby na lotnisko odebrać Kate. A tego nie zrobił, bo spotkałby się z nią, zanim weszła do toalety. Gdyby się spóźnił, wszcząłby alarm, kiedy by się nie pojawiała i nie mógłby się z nią skontaktować. Chyba że... Ta myśl uderzyła Przygodnego z całą siłą. Spodziewał się, że raz dwa znajdzie argumenty do jej odrzucenia, ale nie. Zdumiony stwierdził, że to jest prawdopodobny scenariusz. Nawet bardzo prawdopodobny. Tylko kto wtedy zabił Rachwalskiego?

Chyba że tych dwoje miało krótki romans w Polsce, który również pasowałby do charakterystyki Brzeckiej. Zapytał agenta, z jakiego okresu pochodzą zdjęcia, ale usłyszał, że nie ma na nich dat. Poprosił więc o przesłanie ich e-mailem, a także o ustalenie, czy Rachwalski przebywał w USA, jeśli tak, to w jakim czasie i co tam robił. Amerykański kolega obiecał mu jedno i drugie.

Kiedy komisarz rozmawiał przez telefon, Gajda wyszedł z pokoju, bo dostał numer karty SIM Rachwalskiego i chciał zlecić namierzenie. Szansa, że zabójca zabraną komórkę zachował i do tego trzymał ją włączoną, nie była wprawdzie duża, ale czasami łapali takich nieostrożnych przestępców. Z nieobecnych Przygodny nie mógł podzielić się swoim podejrzeniem, a chciał. Wcześniej takie kluczowe zachowywał dla siebie, ale ostatnim razem źle się skończyło, a że aspirant był tym, który wyprawił go z opresji, Przygodny obiecał sobie traktować go bardziej jako partnera niż podwładnego.

Na długo zresztą od telefonu się nie oderwał, bo niemal natychmiast przyszło kolejne połączenie, tym razem od Kuriaty.

– Słucham cię.

– Mam dla ciebie bombę.

To było coś nowego, dziennikarz, jeśli dzielił się informacjami, to zwykle w rewanżu za otrzymane, a tutaj nawet nie podjął próby pociągnięcia go za język.

– Tak?

– Zygmunt Kownacki, lekarz, syn Bogumiły Kownackiej, która jest sąsiadką...

– Okej, kojarzę ludzi.

– Otóż ten lekarz przeprowadził nielegalny przeszczep w zamkniętym szpitalu na Traugutta. Jutro będzie o tym mój artykuł w „Kurierze”.

– Dlaczego ma to być dla mnie bomba? Nie zajmuję się handlem organami.

– A powinieneś, jeśli kogoś zabito, by mu te organy wyciąć. Podejrzewam, że zabójstwo Brzeckich ma związek z tym przeszczepem.

– Brzeckiej nic nie wycięto, inaczej Małecki by mnie od razu zaalarmował, żebyśmy pilnowali szpitali. Bo jeśli nielegalny przeszczep byłby robiony, to szybko, a w warunkach polowych czegoś takiego raczej nie da się przeprowadzić.

– Ale ja nie mówię, że Brzeckiej coś wycięto, tylko że wiedziała z mężem o tej transplantacji i razem nią Kownackiego szantażowali.

– I za to chciał ich zabić? Przecież już o tym rozmawialiśmy, że Brzecki by go rozpoznał.

– Gdyby pan doktor strzelał sam, tymczasem on ma takiego pomagiera od brudnej roboty.

– A dlaczego ten pomagier, zanim strzelił do Brzeckiej, powiedział do niej „pозdrowienia dla Kaśki”?

– Co takiego?

– Taki komunikat dostała Brzecka przed śmiercią, średnio pasuje do teorii szantażu. Podobnie jak i to, że jej mąż nadal może być przy życiu.

– Skąd taki pomysł?

– Stąd, że nie jest tym trupem z Lasu Strachocińskiego, to kobieta. A że zwłok Brzeckiego nie mamy, jak na razie pozostaje zaginionym.

– Czyli może być martwy, tylko o tym nie wiecie. I podejrzewam, że jest, bo Kownacki bardzo boi się ujawnienia tego przeszczepu. Kiedy ja mu o nim napomknąłem, zrobił się strasznie nerwowy, porwał mnie i pobił.

– Kiedy?! Jak?! Nic ci nie jest? Zgłosiłeś się do nas?

– Spokojnie. Nic mi nie jest, do was się nie zgłosiłem i nie chcę, żebyś cokolwiek w tej sprawie robił.

– Dlaczego? Nie możesz tego tak zostawić.

– Marek, proszę cię. Bili mnie fachowo, żeby bolało, a nie, żeby zrobić ze mnie kalekę. Wszystko poza jednym zębem mam na swoim miejscu, sińce zejda.

– Kownacki cię bił?

– Nie, ten jego pomagier. Wagi ciężkiej.

– A jak się uwolniłeś?

– Puścili mnie.

– Puścili cię? Dlaczego?

– Szczerze powiedziawszy, to nie wiem. Może uznali, że kolejny trup zwiększy ryzyko wpadki. Albo właśnie mój trup. Zabójstwo dziennikarza trudno zamieść pod dywan.

– Możesz mi szczegółowo opowiedzieć o tej operacji i przebiegu porwania? Najlepiej żebyśmy się spotkali.

– Czyli przekonałem cię, że Kownacki stoi za zabójstwem Brzeckich?

– Prawdę powiedziawszy, to nie przekonałeś.

– Ale ja mam dowód na szantaż! Mail, w którym Brzecki domaga się do Kownackiego stu tysięcy koron.

– Dobrze, popatrzę na tego maila, kiedy się spotkamy. Ale tam wszystko wskazuje na powiązania rodzinne. Ofiara z lotniska to córka Brzeckich, a Rachwalski był jej partnerem.

– To po co chcesz o tym gadać, jeśli masz inną teorię?

– Bo chcę się jednak zająć tym nielegalnym przeszczepem. Skoro nie zgadzasz się, żeby ścigać ich za porwanie, dopadnę ich za przeszczep. Za coś muszą zostać ukarani.

– Ewakuujemy się – powiedział Kownacki do osiłka, który póleżał w fotelu i starał się zabić nudę jednoczesnym oglądaniem telewizji i strzelanką na smartfonie.

– Najwyższy czas.

– Jutro.

– Ocipiałeś? Musimy zmyć się jak najszybciej.

– Wyszła jeszcze jedna sprawa do załatwienia. Poza tym Christina czuje się gorzej, niż się spodziewałem, potrzebuje dodatkowego dnia odpoczynku, inaczej nie wytrzyma tak długiej podróży.

– Nie podoba mi się to. Najpierw puszczasz wolno gryziopórka, a teraz zachowujesz się, jakbyśmy odbyli z nim sympatyczne spotkanie towarzyskie, a nie spuścili mu wpierdol.

– Powiedziałem: żadnych trupów poza koniecznymi, a puściłem go, bo, jak sam słyszałeś, gość nic nie wie. Chyba myśli, że wykończyliśmy Brzeckich, tymczasem to nie my, to znaczy w przypadku Brzeckiej, bo jej mąż siedzi w moim pokoju. Cały, ale nie do końca zdrowy, muszę mu poprawić szwy i to jest ta sprawa do załatwienia, o której mówiłem.

– Odeślij go do szpitala.

– Chyba ściągnęłoby to nam na głowę policję.

– Nam? Przecież my nie mamy z nim nic wspólnego.

– Teraz już tak, jedzie z nami do Szwecji.

– Dlaczego?

– Powiedzmy, że płacący pasażer, który pomniejszy nam koszty.

– Aha, czyli do szpitala go nie dasz, bo zainteresuje się nim policja, ale do samochodu to trefnego gościa możemy wziąć?

– Samochodu nikt nie będzie sprawdzał.

– Nie będzie musiał. Dupną nas tu w hotelu, jak tylko ten gryzipiórek dotrze na jakiś komisariat.

– Nie dotrze. Gdyby chciał opowiedzieć policji o operacji, już by to zrobił. Jego nie interesuje ściganie przestępstw, tylko pisanie o nich. A jeśli o operacji nie napisał wczoraj, to dzisiaj też nie napisze: bez wiedzy, skąd wzięliśmy nerkę, nie ma kompletnego materiału, a dla niego to punkt honoru, żeby mieć kompletny materiał.

– Tyle że jak będzie węszył, to w końcu dojdzie, że zaciukaliśmy tę babkę.

– Niby jak? Przecież sam słyszałeś, że poszedł zupełnie fałszywym tropem. I policja też.

– No to opowie glinom o porwaniu, nie o operacji! Już dawno nie powinno nas być w tym hotelu.

– Ty cały czas nie potrafisz się w niego wczuć: tego faceta nie bolą ciosy, to rasowy dziennikarz, jego boli, że nie może dotrzeć do informacji, które chce uzyskać. A skarżąc się policji na porwanie, żadnych informacji nie uzyska.

– Co nam szkodzi zmienić hotel, nawet jeśli się nie mylisz? Tu i tak jest do dupy, zamiast kanału porno serwują bogoojczyźniane pogadanki z Telewizji Trwam.

Kownacki narzekania na ofertę rozrywkową hotelu puścił mimo uszu, zwłaszcza że na ekranie śpiewał nie ksiądz, lecz jakiś discopolowiec.

– Mamy dwoje źle wyglądających chorych, jakiś nadgorliwy recepcjonista może zadzwonić po pogotowie albo na policję. I prędzej przyjadą na jego zgłoszenie niż na zawiadomienie dziennikarza, że go porwano. Zresztą on nie zna twojego nazwiska ani numeru pokoju, więc do kogo przyjadą?

– Do ciebie, gość nie jest przecież naiwny, musiał domyślić się, kto stoi za porwaniem.

– Nawet jeśli, to miałyby problem, bo policja opiera się na dowodach, nie na domysłach. Przyjechaliby tutaj na sygnale tylko wtedy, gdyby mieli niezbite dowody, że to ja zleciłem porwanie, a Kuriata takich dowodów nie ma. Nawet jeśli zgłosi się na policję i zdoła ich przekonać, że jestem co najmniej podejrzany, to najpierw wezwą mnie na przesłuchanie. Jako świadka. Pisemnie.

– Skąd to wiesz?

– Z praktyki lekarskiej. Jak zszedł mi pacjent i rodzina oskarżyła mnie o jego o zabicie, to nie zajęły radiowozy z uzbrojonymi antyterrorystami, tylko dostałem pocztą wezwanie. Nawiasem mówiąc, to był jeden z powodów, że wyniosłem się z tego kraju: Szwedowi da się racjonalnie wytłumaczyć, że organizm ludzki to jest konstrukcja, która nieraz zawodzi na całej linii, Polak zawsze będzie uważał, że za przedwczesnym zgonem kryje się spisek, a w najlepszym razie nieudolność lekarza.

Osiłka motywy emigracji nie zainteresowały ani trochę.

– To co innego, psy musiały z góry traktować takie oskarżenia jako dęte.

– I naprawdę uważasz, że zarzuty dziennikarza, że kazał go porwać chirurg pracujący w Szwecji, nie będą wyglądały policji na dęte?

– Ja bym się jednak stąd wyniósł.

– Nie. Zrobiliśmy błąd, że nie wynajęliśmy mieszkania, tylko zdecydowaliśmy się na hotel w przekonaniu, że w hotelu będziemy bardziej anonimowi, ale błędów nie naprawia się, popełniając kolejne. Poza tym dałem ci się przekonać, że jednak dobrze będzie dziennikarza „trochę szturchnąć”, i nic w ten sposób nie zyskaliśmy.

– Jak to nie? Dowiedzieliśmy się, że poza operacją nic nie wywęszył.

– Mało jak na to, że musieliśmy popełnić kolejne przestępstwo. Nie, od myślenia jestem ja, a ja oceniam, że ryzyko ze zmienianiem hotelu jest znacznie większe niż zostanie tutaj. Zwłaszcza że nie zostajemy na dłużej, jutro z samego rana się wynosimy.

Osilek uniósł ręce w geście poddania się.

– Ty rządzisz.

– To chodź. Musimy podleczyć Brzeckiego. – Widząc przestraszoną minę swojego pomocnika, Kownacki dodał: – Nie bój się, tym razem zabieg bez narkozy, twoja kariera anestezjologa jest już zakończona.

Po wyjściu Kuriaty Przygodny, przeglądając notatki z rozmowy, zastanawiał się, jak działać. Przyjaciel, mimo dalszych namów, nie zgodził się złożyć oficjalnego zawiadomienia o porwaniu, co wiązało komisarzowi ręce. Żadnych innych dowodów na porwanie nie było. A bomba z operacją okazała się niewypałem. I w tej sprawie Kuriata nie chciał występować jako świadek, jedynie jako informator. Przy czym zaobserwował tylko zabieg w zamkniętym szpitalu, jakiego rodzaju był to zabieg, już sobie dośpiewał. Niby w czasie porwania pomagier Kownackiego potwierdził, że dośpiewał sobie właściwie, ale musiałby potwierdzić oficjalnie, inaczej na dowód to się nie nadawało. Podobnie jak nagranie. Bez zeznań Kuriaty komisarz musiałby dać je do analizy biegłemu, który niekoniecznie rozpoznałby, że powstało w szpitalu na Traugutta. A gdyby rozpoznał albo gdyby lekarz po prostu okazał skruchę i się przyznał, to nielegalna operacja zwyczajnie nie nadawała się jako pretekst, by ukarać go za porwanie, co było rzeczywistym celem Przygodnego. Groziła za nią bowiem jedynie umiarkowana kara. Tak niska, że komisarz nawet nie miał prawa pod tym zarzutem

Kownackiego aresztować, by mu chociaż w ten sposób napsuć trochę krwi.

Sytuację diametralnie zmieniało założenie, że nielegalny przeszczep poprzedziło morderstwo, ale na to Kuriata również nie miał żadnych dowodów. Komisarz wprawdzie tej tezy całkowicie nie odrzucał, szkopał w tym, że ustalenia dziennikarza prowadziły do zabójstw, które według Przygodnego zostały dokonane z zupełnie innych motywów.

No, właśnie. Wrócił do zdjęć Kate z Danielem Rachwalskim, przysłanych z USA. Niewątpliwie przedstawiały parę, ale nie poprosił o nie, by to weryfikować, uwierzył agentowi na słowo, ostatecznie skrót FBI miał swoją markę. Szukał na nich elementów, które by mu powiedziały, czy spotykali się w USA, czy w Polsce. McDonald's w tle nie stanowił żadnej wskazówki, ale palmy już tak. Starbucks był również we Wrocławiu, muffiny w Polsce też nazywały się muffiny, ale płaciło się za nie złotówkami, nie dolarami. Plakat „Spotlightu” mógłby wisieć w polskim Cinema City, jednak „Star Wars” to były „Gwiezdne wojny”. Nie ulegało wątpliwości, że romans toczył się na amerykańskim gruncie.

Rozbrzmiała komórka i Przygodny z ambiwalentnymi uczuciami odczytał jedynekę poprzedzoną plusem na początku numeru. Informacje za cenę męki mówienia po angielsku. Ale poszło jeszcze sprawniej niż za pierwszym razem, miał tego samego rozmówcę, przyzwyczajając się powoli do jego indywidualnej wymowy i część słów rozpoznawał bez trudu.

– Sprawdziliśmy tego Rachwalskiego. Przyleciał do USA cztery lata temu, w lutym, co trochę dziwne, bo deklarował przyjazd turystyczny, a nawet w Miami nie jest to sezon. Miał wizę na trzy miesiące, ale przedłużył sobie nielegalnie pobyt o rok i najprawdopodobniej chciał zostać na stałe. Tyle że nasze służby imigracyjne go dopadły i został wydalony, oczywiście bez prawa powrotu.

– Czy popełnił w tym czasie jakieś przestępstwo?

– Kilka, ale wszystkie będące skutkiem tego, że nie miał prawa do legalnego pobytu. Posiadał na przykład broń, której oczywiście nie mógł zarejestrować, ale strzelał z niej wyłącznie na strzelnicy. Przerwał mi pan jednak w powiedzeniu najważniejszego: osobą, która doniosła służbom imigracyjnym, że Daniel Rachwański utracił prawo pobytu i że pracuje na czarno w meksykańskiej restauracji, była Kate Brzecka.

Przygodny niemal gwizdnął. Pojawiał się motyw. Sama zemsta byłaby wystarczająca, bo ludzie mordowali z daleko błahszych powodów, a tu mogły dochodzić jeszcze urażone uczucia. Jeśli to ona z nim zerwała, a on starał się ją odzyskać. Może zresztą doniosła na niego w reakcji na te próby, żeby definitywnie pozbyć się byłego, niechcianego już kochanka.

Ale skąd by wiedział, kiedy przylatywała? W sumie proste. Dogodnych lotów z USA do Wrocławia z przesiadką w Warszawie nie mogło być więcej niż dwa, trzy dziennie, więc tyle razy musiał udać się na lotnisko, by śledzić pasażerów. Trudno uznać, że niewarta skórka wyprawki, jeśli planuje się morderstwo.

Tylko jak w to wszystko wpisywali się jej rodzice? I nagle Przygodny miał odpowiedź. Znajdowała się ona w słowach agenta. Wydalony bez prawa powrotu. I w opowieściach Kownackiej, jaka to z Katarzynki wyrodna córeczka, bo rodziców od lat nie odwiedzała. Ale skąd taka różnica w liczbie kul? Czy wtedy nie powinno być mniej więcej symetrycznie? Jeśli miał rację, powinno. Ale nie było. Irena Brzecka dostała pięć kul, jej mąż tylko jedną. Większej paraleli mógł się dopatrzeć między zabójstwem matki i córki niż między strzałami do matki i ojca. Oczywiście nie w sensie techniki pozbawienia życia, lecz zaciekłości, z jaką tego dokonał. Zaciekłość. To było słowo klucz. Nie tylko praktyczne względy, lecz także prywatna animozja.

– Mógłby pan sprawdzić dla mnie jeszcze jedną rzecz?

– Oczywiście, jaką?

– Czy w tym czasie, kiedy Daniel Rachwalski przebywał w USA, przyjeżdżali tam rodzice Kate Brzeckiej: Irena i Bogusław?

Agent powiedział, że oddzwoni, jak to ustalili. Gdy się rozłączył, Przygodny skupił się na przywołaniu myśli, która przez moment przemknęła mu przez głowę, ale gdzieś przepadła. Udało mu się to i sprawdził, kiedy Rachwalski odsiadywał wyrok. Na poczet kary zaliczono mu oczywiście tymczasowe aresztowanie, które – jak wynikało z dat podanych przez agenta – musiało nastąpić tuż po deportacji z USA. Z tego można wywnioskować, że wyjazd do Stanów był ucieczką przed więzieniem. Ucieczką, mającą wszelkie szanse powodzenia: w kraju bez dowodów osobistych, z milionami nielegalnych imigrantów mógł się ukrywać bardzo długo, nawet przez resztę życia. Gdyby nie kobieta. I to wzmacniało motyw: nie samo wyrzucenie z USA, lecz wtrącenie w ten sposób do więzienia.

Do tej układanki nie pasowało tylko jedno: śmierć Rachwalskiego. Na dodatek – jeśli komisarz miał rację – z własnego pistoletu.

– Sukinsyny!

Notariusz Leon Tarczyński zmiął ze złości gazetę i rzucił ją na podłogę. Sytuacja była i tak drażliwa, a przez ten artykuł w „Kurierze” robiła się niebezpieczna. Witkowski już siedział, a on ledwo wyłgał się na przesłuchaniu. Że przecież nie jest biegłym psychiatrą ani nie ma narzędzi do zbadania, czy sprzedający cierpi na zaniki pamięci. Że może i owszem, ci ludzie byli uzależnieni od alkoholu, ale Tomasz Witkowski przywoził ich do niego trzeźwych i schludnie ubranych i czy wynikało to z pory dnia, czy z jakichś zaaplikowanych im środków, sprawiali

wrażenie trzeźwo myślących. I przecież nie mógł reagować na to, że miał do czynienia ze starymi ludźmi. Oskarżono by go o dyskryminację; zdolności do podejmowania czynności prawnych nie traci się z racji wieku. Inaczej nie mógłby sporządzać testamentów, bo chociaż testament powinien być obowiązkowy dla każdego, kto posiada jakiś majątek, to w praktyce spisują je ludzie stojący nad grobem. A same umowy były w porządku. Oddanie mieszkania w zamian za opiekę to częsta praktyka. Kwoty transakcji też nie mogły budzić zastrzeżeń. Owszem, znajdowały się w dolnym przedziale, ale mamy wolny rynek i każdy sam decyduje, za ile chce sprzedać mieszkanie. A to, że opieka trwała krótko, bo lokator, wyniszczony alkoholem i kolejnymi libacjami z Witkowskim, szybko umierał, to przecież nie jego wina. Nie on ustala, kiedy człowiek umrze, tylko Bóg. Tak samo jak jego winą nie było to, że Witkowski nie płacił nawet tej niskiej ceny, bo zdołał kontrahentowi wmówić, że ten pieniądze już dostał i albo wydał, albo przepił, tylko tego nie pamięta.

A teraz prokuratura z pewnością podejmie na nową umorzoną sprawę. Nie mogła zignorować artykułu, w którym dowodzono, że działał z Witkowskim w zмовie i doskonale wiedział, w jakim stanie są ci ludzie. Żeby uspokoić opinię publiczną, musiała pokazać, że poważnie podchodzi do tych zarzutów i ponownie je sprawdza. Nawet gdyby z góry wiedziała, że są nieprawdziwe. Tu problem dla niego polegał na tym, że były prawdziwe. A pod dziennikarską presją prokuratorzy będą bardziej dociekliwi i dokopią się, że wziął od Witkowskiego łapówkę za potwierdzanie umów, które jako notariusz powinien odrzucić. Przekroczenie uprawnień w celu osiągnięcia korzyści majątkowej, groziło za to do dziesięciu lat więzienia. I oczywiście wykluczenie z notariatu. A chyba jeszcze tylko księża mieli taki lekki zawód, gdzie brało się dużą kasę praktycznie za nic.

– Kurwa!

Jeśli wyjdzie z tego obronną ręką, to temu pierdolonemu dziennikarzynie, temu Czajczykowi, który ścigał go od samego początku, pokaże, gdzie raki zimują. Jeszcze nie wiedział jak, ale coś wymyśli.

Do drzwi gabinetu ktoś zapukał i głowę wetknęła jedna z pracownic sekretariatu.

– Panie rejencie – uwielbiał ten tytuł i wszyscy zatrudnieni w kancelarii musieli się do niego w ten sposób zwracać; niewiarygodne, ale nowi, kiedy zaczynali, w ogóle nie mieli pojęcia, że taka forma istnieje, i mówili mu per pan albo, co gorsza, mecenasie, jakby był papugą – mamy nieumówionych klientów, którzy chcą zawrzeć przedwstępną umowę sprzedaży nieruchomości.

– Wyznacz im termin.

– Próbowałam, ale mówią, że muszą załatwić to dzisiaj.

– Zmieścimy ich?

– Jeśli odwołamy pod jakimś pretekstem tego klienta, który chce odrzucić spadek, to tak.

– No to nad czym się zastanawiasz? Wiesz, jakie są priorytety.

Priorytetem były czynności lepiej płatne, więc nieruchomości miały pierwszeństwo przed wszystkimi innymi sprawami. Teraz tym bardziej, kiedy będzie potrzebował dużej kasy na dobrego papugę.

Poświadczył kilka pełnomocnictw, zanim dostał przygotowane przez sekretariat dokumenty, które miały dotyczyć sprzedaży nieruchomości. Dotyczyły de facto umowy dożywocia; de facto, bo dosyć nietypowo opieka miała być zapewniona nie w przekazywanym mieszkaniu, ale za granicą w Szwecji. Obywatel szwedzki dostawał mieszkanie od wdowca, który zapewniał, że jest jedynym spadkobiercą swojej żony,

i zobowiązywał się, po przeprowadzeniu oficjalnego postępowania spadkowego, je przekazać.

Transakcja była do tego stopnia nietypowa, że Tarczyński, czego normalnie nie robił, wyszedł do klientów przed opieczątowaniem dokumentów, żeby potwierdzić, że sekretarka zapisała wszystko zgodnie z ich intencjami. W salce konferencyjnej siedzieli dwaj mężczyźni: strój i zachowanie młodszego wskazywały na wysoką pozycję społeczną, starszy był wyraźnie przestraszony, do tego tak blady, jakby chorował.

– Panowie Kownacki...

Młodszy kiwnął głową.

– ...i Brzecki.

– To ja.

– Leon Tarczyński, notariusz. Mam już projekt aktu notarialnego umowy przedwstępnej, którą chcą panowie zawrzeć. Potwierdzę, że wszystko jest właściwie zapisane, wtedy sporządzimy ostateczną wersję i przystąpimy do oficjalnego odczytania aktu.

– Znakomicie. – Młodszy zachowywał się tak, jakby tego rodzaju umowę zawierał co drugi dzień.

– Pan Bogusław Brzecki obiecuje przekazać panu Zygmuntowi Kownackiemu trzypokojowe mieszkanie przy ulicy Gersona we Wrocławiu w zamian za zapewnienie lokum i utrzymania na terenie Szwecji przez okres dwóch lat, a później pomoc w uzyskaniu pracy lub świadczeń społecznych. Przekazanie mieszkania nastąpi po zakończeniu postępowania spadkowego... Ma pan może akt zgonu żony? Nie jest wprawdzie niezbędny...

– Nie mam. Żona nie żyje dopiero od piątku, a ja byłem w szpitalu...

– Wypadek – pośpieszył z wyjaśnieniem Kownacki. – Państwo ulegli wypadkowi.

– Rozumiem. Czy ta transakcja ma coś wspólnego z tym wypadkiem?

Brzecki popatrzył zakłopotany na swojego kontrahenta, ale tego pytanie nie zbiło z pantałyku.

– A ma to jakiś wpływ na ważność bądź nieważność umowy?

– Nie, oczywiście, że nie, byłem tylko ciekaw...

– Bylibyśmy wdzięczni, gdyby powstrzymał pan swoją ciekawość i zapewnił nam profesjonalną obsługę prawną.

Notariusz wrócił do swojego gabinetu, klnąc półgłosem.

– Kutas jeden, profesjonalną obsługę prawną. Ciesz się, palancie, że potrzebuję kasy, bo dostałbyś takiego kopa w dupę, że wyleciałbyś z tej kancelarii i zatrzymał dopiero na ratuszu.

Sięgnął po swoją okrągłą pieczęć, żeby nadać wydrukowi charakter urzędowy, ale zanim ją przybił, pojawiło się w jego głowie skojarzenie. Gersona. Wypadek śmiertelny. Czy nie czytał o tym w „Kurierze”? Popatrzył na zmiętą gazetę na podłodze. Tak, ale nie w dzisiejszym, tylko we wczorajszym. Sięgnął do dolnej półki stolika w kącie, na którą odkładał przeczytane gazety. Jeszcze nie zostały uprzątnięte, sprzątaczką wyrzucała je zwykle pod koniec tygodnia. Wziął leżącą na wierzchu i nawet nie musiał jej wertować, bo artykuł „Śmiertelne strzały na Biskupinie” na pierwszej stronie był tym, którego szukał. Czytał o zabójstwie, nie o wypadku. Chociaż rzeczywiście w bloku przy Gersona, o czym informował podpis pod zdjęciem czteropiętrowego budynku.

Już miał odłożyć gazetę, ale się powstrzymał. Jakie było prawdopodobieństwo, że w sześciusettyśmym bezpiecznym

europiejskim mieście będzie dwóch wdowców, mieszkających na tej samej ulicy, których żony poniosły gwałtowną śmierć tego samego dnia i którzy zostali przy tym ranni?

– Sranie w gacie, a nie wypadek. Wymyślił go na poczekaniu, kiedy ten Brzecki wygadał się, że przychodzą spisać umowę cztery dni po tym, jak jego lepsza połowa wykitowała.

Przerzucił strony gazety, mając nadzieję, że w środku znajdzie rozbudowany artykuł z czołówki i więcej szczegółów, ale dziennikarze opisywali tam inne morderstwo, na lotnisku. Odłożył „Kuriera” na stół, wrócił do biurka i sięgnął z powrotem po pieczętkę. Ale znowu jej nie przybił. Sprawa była co najmniej podejrzana. Facet kilka dni po postrzale, ledwo trzymający się na nogach, jest w jego kancelarii i oddaje mieszkanie praktycznie za darmo. Normalnie nic by go to nie obeszło, grunt, że skasuje swoje opłaty, ale czy nie nadarzała mu się idealna okazja, by zebrać punkty przeciwko prokuraturze? Jeśli wezwie gliny, jego adwokat będzie mógł gardłować, że przecież podejrzane transakcje zgłasza policji; nad faktem, że zaczął dopiero, kiedy go dupnęli, papuga gładko się prześlizgnie, jak to tylko kauzyperdzi potrafią. A jeszcze lepiej wyjdzie na tym, jeśli okaże się, że wszystko było w porządku. Że na przykład ten Brzecki to utajony pedzio, który w końcu po śmierci żony postanowił się odkuć i poruchać sobie tak, jak naprawdę lubi, i zaślepiony miłością do młodszego gościa postanowił dać mu mieszkanie za dwa lata dupczenia. „Proszę, Wysokiego Sądu, zobaczyć. Transakcja miała wszystkie cechy podejrzanej i odmówiłem jej zawarcia, chociaż od strony prawnej nie budziła zastrzeżeń, i teraz grozi mi wypłata odszkodowania. Przy panu Witkowskim bałem się podobnych reperkusji, nie było formalnoprawnych podstaw, by mu odmawiać”.

Roześmiał się, co uznał za dobry omen, kiedy się śmiejesz, to znaczy, że trzymasz przeciwnika w szachu, i wybrał numer policji.

Przygodny wjechał w Żabią Ścieżkę i zaparkował przed dawnym pogotowiem ratunkowym. Po cichu liczył, że ten drugi rekonesans przyniesie lepsze rezultaty. Najpierw był na Obornickiej, żeby jeszcze raz rozejrzeć się w miejscu śmierci Rachwalskiego. Miał tam dalej niż do szpitala, ale poczucie obowiązku przeważało: najpierw właściwe śledztwo, a potem prywatna wendeta. Niestety, obowiązkowość gwarantowała tylko poczucie, że człowiek zrobił, co niego należało, do sukcesu nieraz nie wystarczała. Tak było i w tym przypadku. Niby, rekonstruuując na miejscu zbrodni zdarzenia na podstawie tego, co dotąd ustalili, domyślił się, kto zabił Rachwalskiego, ale brakowało mu kluczowego ogniwa: dowodu, że wytypowany przez niego zabójca wiedział, że Kasia została zamordowana. Właściwie nawet nie dowodu, tylko okoliczności, która by wskazywała na to, że wiedział. Bo jeśli nie wiedział – a fakty przemawiały za tym, że nie wiedział – nie mógł zabić Rachwalskiego. I komisarz obawiał się, że w tej sytuacji potwierdzą to odciski palców z pistoletu – nie będą należały do jego podejrzanego. Zadzwoił do Leśniewskiego, by natychmiast te odciski porównał, a kiedy ten nie odebrał, wysłał mu prośbę SMS-em z zaznaczeniem, że sprawa jest pilna.

Kiedy przemierzał drogę od samochodu do drzwi szpitala, odezwała się jego komórka. Plus jeden. Ameryka.

– *Detective...?*

Agent FBI kolejny raz przegrał nierówną walkę z nazwiskiem Przygodnego.

– *Yes.*

– Mam dla pana nie tylko potwierdzenie, że matka Kate Brzeckiej była tu w tym samym czasie, kiedy Daniel Rachwalski, lecz także bardzo ciekawe zeznanie jednej z przyjaciółek dziewczyny. Otóż według niej

Rachwalski zdradzał Kate, na czym przyłapała go właśnie Irena Brzecka, i ta zdrada była bezpośrednią przyczyną zerwania przez Kate związku.

– Jak go przyłapała?

– Dosyć drastycznie, bo w łóżku Kate. Obie panie Brzeckie pojechały na wycieczkę do Key West. Zamiast wieczorem, jak planowały, wróciły nad ranem, bo Kate musiała awaryjnie stawić się w pracy. Podrzuciła matkę do domu, w którym Daniel smacznie spał z kochanką po upojnej nocy.

– Powiedział pan, że przyłapała go Irena Brzecka, a nie obie, czyli sama Kate do domu nie wchodziła?

– Nie, śpieszyła się do pracy.

– Czyli jej matka mogła ewentualnie przemilczeć, co zobaczyła?

– Chyba w ogóle nie rozważała takiej opcji, ta przyjaciółka mówi, że i bez tego za Danielem nie przepadała.

– A ojciec?

– Co ojciec?

– Nie przyjechał razem z żoną do Stanów?

– Nie. W tym czasie, kiedy Kate była z Danielem, nigdy jej nie odwiedził.

Jeśli Rachwalski przypisywał winę za rozpad związku matce swojej partnerki i jeśli Brzecki na żywo go nie spotkał, komisarz miał kolejne pasujące puzzle do swojej układanki. Wciąż jednak bez tego kluczowego.

Podziękowawszy za cenne informacje, rozłączył się i nacisnął klamkę w drzwiach. Te ustąpiły, nie były zamknięte na klucz. Kierując się wskazówkami Kuriaty, odnalazł blok operacyjny. Minął pomieszczenia, które uznał za techniczne, i znalazł się w sali

zabiegowej. Ktoś tu niedawno był: na stole leżały gaziki, jeszcze wilgotne. Raczej nie po transplantacji, bo ta odbyła się wczoraj, i chyba zdążyłyby wyschnąć. Poza tym po takiej skomplikowanej operacji zostawało z pewnością więcej odpadów, a dlaczego część miano by zostawić, a resztę usunąć? Czyżby jeszcze inni lekarze korzystali z tego zamkniętego szpitala? Wiedza, że zostawiono tu sprzęt, musiała być w środowisku powszechna. Tyle że sam sprzęt to nie wszystko. Na pewno w działającym szpitalu jest wiele elementów, które są konieczne dla sprawnego i bezpiecznego przeprowadzenia operacji, a o których w ogóle się nie myśli, bo bezpośredniego związku z operacją nie mają. Na przykład ogrzewanie. Niekoniecznie musiało być tu włączone albo ustawione na właściwą temperaturę. I jeśli któryś z tych elementów się przeoczyło albo nie dało się go przywrócić do stanu pierwotnego, ryzyko komplikacji z pewnością wzrastało niebotycznie. Nie, jeśli lekarz nie popełniał przestępstwa, nie miał tu czego szukać. Co przemawiało za tym, że Kownacki pojawił się tu po raz drugi, zapewne jego pacjentka wymagała zmiany opatrunku, poprawienia szwów czy czegoś w tym rodzaju.

Przygodny zastanowił się, czy gaziki na coś mu się przydadzą. Raczej nie, jeśli zachowało się na nich jakieś DNA, to tej pacjentki. A on potrzebował DNA dawcy. Jeśli ten rzeczywiście został zamordowany, pozwoliliby ono dotrzeć do ofiary i obciążyć lekarza za morderstwo. Najlepsze byłyby rękawiczki używane podczas transplantacji. W środku mogły znajdować się odciski palców, potwierdzające, że operację przeprowadził Kownacki, a na zewnątrz DNA dawcy, bo przecież wszczepiając nerkę, operator musiał wziąć ją do rąk. Tylko czy rzeczywiście tkanki nerki osadziłyby się na rękawiczce, tak by można pobrać z niej DNA?

– A niby jakim cudem? – zapytał Małecki, do którego komisarz zadzwonił, by to potwierdzić. – Ale jeśli szuka pan DNA dawcy nerki, to

ma pan go od groma w płynie konserwującym w pojemniku, w którym transportuje się narząd. Resztki krwi, komórki nabłonka naczyń moczowodu i tak dalej.

Taki pojemnik spiskowcy według relacji Kuriata ze sobą mieli. I z pewnością nie używali go jako przenośnej lodówki na piwo. Pytanie, co z nim zrobili, podobnie jak z resztą odpadów. Do śmietnika pod szpitalem czy gdzieś na mieście ich przecież nie wyrzucili. Śmieciarze wezwaliby służby sanitarne, gdyby w zwykłym kontenerze odkryli odpady stanowiące zagrożenie epidemiologiczne. Wyręczyli śmieciarzy i sami zawieźli je na wysypisko?

Dostrzegł, że wybiegł myślami za daleko, też w dosłownym znaczeniu. Przecież tak duży szpital musiał mieć własną spalarnię. Zanieśli tam, co im zostało i co ich demaskowało, i wszystko spalili.

Lekko zniechęcony tym, że i drugi rekonesans nie przyniósł namacalnych efektów, komisarz opuścił blok operacyjny i zmierzał z powrotem do wyjścia, kiedy zatrzymała go własna wcześniejsza myśl: zamknięty szpital nie jest w pełni funkcjonalny, nawet jeśli zostało w nim sporo sprzętu. Może i spiskowcy zanieśli odpady do spalarni, ale ta nie działała, więc je po prostu tam porzucili?

Co prawda za bardzo na taką lekkomyślność nie mógł liczyć, ale mimo wszystko postanowił sprawdzić. Dotarłszy do schodów, zszedł na dół, bo wszelkie pomieszczenia gospodarczo-techniczne w budynkach publicznych architekci zazwyczaj lokowali w piwnicy. Trochę potem krążył labiryntami korytarzy, odczytując tabliczki na drzwiach, w końcu jednak rzeczywiście trafił na właściwe. Nie były zamknięte na klucz i komisarz wszedł do środka, ale cofnął się niemal od razu, tknięty pewną myślą. Sprawdził kilka sąsiednich drzwi – wszystkie zamknięte. Dotąd otwarte miał główne wejście i blok operacyjny, a teraz spalarnię.

Był na dobrym tropie! – poruszał się śladem spiskowców, którzy nie widzieli powodu, by na powrót zakluczać drzwi.

Spalarnia była zgodnie z jego przewidywaniami nieczynna. Wszelkie metalowe powierzchnie emanowały chłodem, panującej ciszy nie zakłócał huk buzującego ognia. Ale panował też sterylny porządek, żadnych pooperacyjnych odpadów. Komisarz otworzył wszystko, co miało drzwiczki, wieka i klapy, i z rozczarowaniem skonstatował, że spiskowcy musieli spalarnię uruchomić, a ogień pochłonął demaskujące ich dowody.

Ale przecież pojemnika nie spalili. Nawet gdyby chcieli, to z pewnością szpitalny piec nie osiągał takich temperatur. Ostatecznie miały płonąć w nim opatrunki, a nie narzędzia, które się sterylizowało. Więc co z nim zrobili?

Oparł się o zlew i potoczył wzrokiem po spalarni. Tu go nie zostawili, więc musieli zabrać ze sobą. Ostatecznie po wylaniu płynu konserwującego i wymyciu nie stanowił zagrożenia, nie różnił się niczym od setek pojemników z tej samej linii produkcyjnej. Pewnie płyn wylali nawet do tego zlewu. Przygodny odwrócił i spojrzał na odpływ, mimo świadomości, że niczego w ten sposób nie wyczaruje. Bo chociaż założenie było prawdopodobne – skoro tu pozbywali się odpadów, to dlaczego nie wszystkich, których mogli się pozbyć – to dowody zniknęły w czeluściach kanalizacji.

No cóż, trudno. Ostatecznie porażka nie była jakoś szczególnie dotkliwa. Robił to dla Jurka, który bardziej przeszkadzał, niż pomagał w dopadnięciu Kownackiego. A patrząc realistycznie, daleko bardziej prawdopodobne było, że Kownacki zdobył nerkę do przeszczepu w inny sposób, niż kogoś zabijając. Przy założeniu, że narząd pochodził z Wrocławia, a raczej musiał, skoro tu odbyła się transplantacja, w razie zabójstwa komisarz miałby jeszcze jedne zwłoki, które nie wpisywałyby

się w rodzinny dramat. Z kolei za sfałszowanie dokumentacji czy nielegalne pobranie narządu od pacjenta, który zmarł śmiercią naturalną, albo skorzystanie przy tym z pomocy wrocławskiego kolegi po fachu, zbyt surowa sankcja Kownackiemu też nie groziła. Według relacji Kuriaty wszczepił nerkę młodej dziewczynie, co wskazywało, że najprawdopodobniej działał z miłości, a nie dla zysku. A to stanowiłoby dodatkową okoliczność łagodzącą i sąd mógłby nawet odstąpić od wymierzenia kary.

Wzrok komisarza przykuło coś białego w otworze odpływu. Pochylił niżej głowę, by się temu dokładniej przyjrzeć. Nitka, która zahaczyła o kratkę. Wyciągnął po nią rękę, ale w połowie cofnął ją i klepnął się otwartą dłonią w czoło. Na litość boską, przecież miał jeszcze jedno zwłoki!

- Dyżurny Matejuk. Czy rozmawiam z komisarzem Przygodnym?
- Nie, z aspirantem Gajdą. Ale jestem w jego zespole i mogę przyjąć wiadomość.
- Mam tu informację, że szukacie zaginionego Bogusława Brzeckiego, lat pięćdziesiąt dziewięć, rysopis...
- Okej, szukamy, macie ciało?
- Ciało? Nie. Mamy zgłoszenie od notariusza, że niejaki Bogusław Brzecki, lat pięćdziesiąt dziewięć, próbuje zawrzeć w jego kancelarii podejrzaną umowę sprzedaży nieruchomości.
- Gdzie ta kancelaria?
- Na Biskupiej, notariusz nazywa się Leon Tarczyński.
- Biskupia, gdzie jest Biskupia?
- Boczna Wita Stwosza. Druga od strony Galerii Dominikańskiej.

– Jakiś patrol tam już podjechał?

– Żeby umowę sprawdzić? A skąd, nie mam ludzi do takich dupereli, niech puści to pisemnie, jeśli podejrzewa przekręt. Przyjąłem zgłoszenie, żeby się z tym notariuszem nie użerać, prawnicy są upierdliwi, jak przez trzy godziny nikt nie przyjedzie, to sam odwoła. Tyle że wstukałem podane nazwiska do bazy i wyskoczyło, że szukacie tego Brzeckiego. Ale musicie sami sobie sprawdzić, czy to ten wasz.

– Zrobimy to. Jaki jest numer do tej kancelarii?

Gajda zadzwonił najpierw do Tarczyńskiego, żeby wywiedzieć się o bliższe szczegóły, pozwalające ustalić, czy to „ich” Brzecki. Kiedy usłyszał, że umowa dotyczy mieszkania na Gersona, nie miał już wątpliwości i poprosił notariusza, żeby zatrzymał Brzeckiego pod jakimkolwiek pretekstem do ich przyjazdu. Obiecał, że będą najdalej za pół godziny. Potem połączył się z komisarzem Przygodnym.

– Słucham cię.

– Mamy Brzeckiego, szefie! Żyje! – Emocje albo konieczność szybkiego dotarcia do kancelarii sprawiły, że aspirant pominął tradycyjny wstęp, choć zapewne nieświadomie. – Jest u notariusza w rynku i usiłuje podpisać jakąś nie do końca legalną umowę. Dlatego ten nam to zgłosił.

– Dobra. Ja jestem na Traugutta, w szpitalu. Spotkamy się przed kancelarią. Masz dokładny adres?

Po kilku minutach Przygodny oddzwonił, że jednak nie spotkają się przed kancelarią, bo jego golf zastrajkował i nie zapalił, i aspirant musi go odebrać.

– Tylko na syrenie, żeby znowu gdzieś nam nie poszedł.

– Jasne, szefie.

Na samą Biskupią wjechali już bez syreny, nie wiedzieli, od której strony notariusz ma okna, a nie chcieli, by spłoszyła Brzeckiego. Jeśli dotąd nie zgłosił się na policję, oznaczało to, że niekoniecznie chciał z nimi rozmawiać.

Kancelaria znajdowała się pod numerem 13, w miejscu nieistniejącej już kamienicy, w której w czasach III Rzeszy mieściła się siedziba NSDAP na cały Śląsk. W tym tak zwanym Brunatnym Domu w kwietniu 1933 roku zmasakrowano trzech studentów za to, że w pobliskiej knajpie rozmawiali po polsku. Ten historyczny szczegół znany był wrocławskim policjantom, odkąd sprawca pobicia profesora, który w tramwaju rozmawiał ze swoim zagranicznym kolegą po niemiecku, tłumaczył się, że wziął odwet za tamto zdarzenie. Sąd nie uznał jednak wymierzenia dziejowej sprawiedliwości za okoliczność łagodzącą i koneser miejskiej historii trafił za kratki.

W drzwiach przyjął ich sam notariusz.

– Jest jeszcze? – niespokojnie zapytał Przygodny.

– Jest, jest, ten drugi też. Nawet nic nie podejrzewają. Polak wie, że biurokracja musi potrwać. Miałem tu kiedyś Szweda, to zapytał, czy złośliwie robimy wszystko pięć razy dłużej, niż rzeczywiście potrzeba na to czasu. Oczywiście takiego prawdziwego Szweda, nie Polaka ze Szwecji, jak ten tutaj, ci przyszywani doskonale pamiętają, jak wyglą...

– Ten Polak ze Szwecji jest może razem z panem Brzeckim?

– Tak, to on ma dostać mieszkanie.

– Jak się na... Moment, czy moglibyśmy kontynuować tę rozmowę w nieco dyskretniejszym miejscu?

– Oczywiście. Salka konferencyjna jest zajęta przez tamtych dwóch, więc zapraszam do mojego gabinetu.

Tarczyński poprowadził ich w głąb kancelarii. Gabinet nie był przeznaczony do przyjmowania większej liczby interesantów, do tego służyła najpewniej wspomniana salka. Przy stoliku w kącie stały jedynie dwa krzesła, Gajda musiał dostawić sobie to sprzed biurka, żeby usiąść razem z komisarzem i notariuszem.

– Jak więc nazywa się ten Polak ze Szwecji?

– Zygmunt Kownacki.

Zaskoczony Przygodny chwilę przetrwał te personalia.

– Lekarz?

– Tego nie wiem, tak szczegółowo się nie przedstawiał. Mogę jedynie pokazać jego paszport, sekretarki jak zawsze zrobiły kopię.

– Poproszę.

Kiedy Tarczyński przez interkom ze swojego biurka zlecał przyniesienie dokumentu, komisarz popatrzył na gazetę, leżącą na stoliku, i stwierdził, że notariusz mógłby nie epatować swoich gości takimi drastycznymi zdjęciami. Chociaż faktem było, że nie on je wydrukował, a gości się nie spodziewał. O czym świadczyła druga gazeta, walająca się na podłodze.

– Proszę nam opowiedzieć, dlaczego uznaje pan tę transakcję za podejrzaną – polecił, gdy notariusz z powrotem do nich dołączył.

W czasie kiedy policjanci słuchali naszpikowanych prawniczymi terminami zastrzeżeń, sekretarka przyniosła kopię paszportu. Komisarz zrobił zdjęcie telefonem i wysłał MMS-a do Kuriaty z pytaniem, czy to jest ten Kownacki, który wykonywał nielegalną operację. Zwrotnym SMS-em otrzymał odpowiedź twierdzącą. Wtedy zadał notariuszowi jedno pytanie:

– Czyli pana zdaniem Bogusław Brzecki nie jest tu dobrowolnie?

– Nie w sensie, że...

– Proszę się dobrze zastanowić nad odpowiedzią.

Tarczyński nie musiał się zastanawiać, zawsze chwytał w lot, czego ludzie od niego chcą. I bardzo mu się to opłacało, bo większość lubi się rewanzować, kiedy spełnia się ich życzenia. Okazji, żeby nastawić do siebie przychylnie komisarza policji, nie miał oczywiście zamiaru odrzucać. Nie był głupcem.

– Tak, jestem przekonany, że ten drugi go przymusił, żeby tu przyjść.

– To mi wystarczy. – Przygodny się podniósł. – Bardzo dziękujemy panu za współpracę. Robert, aresztujemy pana Kownackiego pod zarzutem uprowadzenia Bogusława Brzeckiego. Masz kajdanki?

– Mam. Nawet dwie pary.

– Wystarczą jedne, przy Brzeckim ograniczymy się do rozmowy z elementami wychowawczymi, że utrudnianie pracy policji, kiedy próbujemy znaleźć zabójcę jego żony, jest...

Przygodny nagle urwał, popatrzył na stolik, jakby zapomniał coś z niego zabrać, i chwycił gazetę.

– Przecież to „Kurier”!

– „Kurier” – potwierdził zdeorientowany notariusz. – A co?

Drastyczne zdjęcia, zmasakrowane zwłoki. Trup na lotnisku! Tatuż pod zagięciem lewego łokcia ofiary. Dwa splecione ze sobą węże. I pytanie, czy ktoś go rozpoznaje i może pomóc policji w zidentyfikowaniu denatki.

– Ja go zabiję.

– Kogo? – tym razem zdeorientowany był Gajda.

– Kioskarza.

– Jakiego kioskarza?

– Masz te drugie kajdanki? Daj mi je.

Gajda wykonał polecenie i policjanci z następującym im na pięty Tarczyńskim przeszli do salki konferencyjnej. Czekaący w niej mężczyźni na widok tej procesji podnieśli się, Kownacki z pytaniem, a Brzecki ze strachem w oczach. Komisarz podszedł do niego, dając znak Gajdzie, by robił swoje.

– Bogusław Brzecki – wygiął temu ręce do tyłu i zacisnął na przegubach obręcze kajdanek – jest pan aresztowany pod zarzutem zamordowania Daniela Rachwalskiego.

Agent federalny Kirk Cutting opuścił terminal lotniska w Minneapolis i przystanął w strefie „Kiss and Ride”. Ponieważ samochodu, który miał go odebrać, jeszcze nie było, przeszedł do miejsca dla palących i wyciągnął paczkę Lucky Strike. Zaraz ją jednak schował, bo dostrzegł podjeżdżającego dodge’a chargera; niby cywilnego, ale tylko ślepiec nie rozpoznałby, że pojazd należy do FBI.

– Daleko mamy? – zapytał Cutting, sadowiac się na tylnym siedzeniu.

– Czterdzieści minut, sir – odparł kierowca.

Czterdzieści minut do wykonania jednego z najnieprzyjemniejszych zadań. Lepiej znosił nawet informowanie o gwałtownej śmierci członka rodziny. Dlatego że, wbrew pozorom, lepiej znosiła to sama rodzina. Wiadomość była tragiczna, ale pewna. Jasna i konkretna. Tymczasem tutaj miał odebrać matce i ojcu nadzieję, nie dając im pewności. Potrzebujemy DNA waszej zaginionej córki. Czy to znaczy, że ją znaleźliście? Nie, znaleźliśmy zwłoki kobiety w jej wieku. Czy to nasza

córka? Nie wiemy, do tego właśnie potrzebujemy jej DNA, żeby to ustalić. Ale zakładacie, że to ona?

Cutting otworzył czarną skórzaną teczkę i wyciągnął z niej akta, żeby jeszcze raz je przejrzeć. Czytał je już w samolocie, ale i tak nie miał nic lepszego do roboty. Kierowca nie wykazywał ochoty na pogawędkę, a on zbyt wielkim miłośnikiem small talku też nie był.

Ze zdjęcia popatrzyła na niego raczej brzydka brunetka. Wziąwszy pod uwagę, że zawodowi fotograficy potrafią podkreślić zalety fizjonomii, w rzeczywistości musiała być bardzo brzydka. Sara Taylor, trzydzieści trzy lata. Prowadząca życie tak nieregularne jak rysy jej twarzy. Nieskończona szkoła średnia, i to najwyraźniej wskutek braku zdolności, a nie młodzieńczego buntu czy eksperymentów z narkotykami, bo kartotekę miała czystą. Praca zmieniana z taką częstością, że robotnicy sezonowi uchodziliby przy niej za zasiedziały pracowników. A nowe zajęcia nie wskazywały, że szukała czegoś lepszego, tylko że ją zwalniano. Nieudane małżeństwo. W każdym razie zakończone rozwodem. Bezdzietne. A potem drugie, takie samo. Rozpadło się niedawno, a Sara Taylor zamieszkała z powrotem w rodzinnym domu. Jeśli trzydziestotrzylatka wraca do rodziców, to musi znaczyć, że z jej życiem zdecydowanie poszło coś nie tak. Żeby się pozbierać, pojechała na wycieczkę do Europy. Nie do Paryża zwiedzać Luwr i oglądać Monę Lisę, co Amerykanin zwykle rozumie przez taką wycieczkę, tylko z plecakiem do Skandynawii i Europy Wschodniej. I tam zaginęła.

Odłożył akta na siedzenie obok i wyjrzał przez okno. Mijali akurat gigantyczny plac budowy.

– U.S. Bank Stadium?

– Tak – potwierdził kierowca. – Mam nadzieję, że Minnesota Vikings zagrają na nim w Super Bowl. Pan komu kibicuje?

– Miami Dolphins.

– To kawałek pan przeleciał.

Mógł zlecić przeprowadzenie rozmowy miejscowemu agentowi, zwłaszcza że ten detektyw o niewymawialnym nazwisku upierał się, że sprawy Kate Brzeckiej i Sary Taylor się nie wiążą. Że nawet nie ma dowodu, że tą drugą zamordowaną jest Sara Taylor, po prostu, jeśli tylko mają dostęp do odpowiedniego materiału, porównują DNA wytypowanych zaginionych na ich terenie kobiet z DNA ofiary zabitej dla organów. Na Amerykankę zwrócili uwagę dlatego, że była przyjezdna, a morderstwo z takiego motywu popełniano często na osobach słabo zakorzenionych w danej społeczności, na przykład na bezdomnych albo właśnie na cudzoziemcach.

Cutting miał jednak inną opinię. Jakie było prawdopodobieństwo, że w mniejszym od Montany egzotycznym europejskim państewku, o którym większość jego rodaków nigdy nie słyszała, w tej samej miejscowości i w tym samym czasie jedna obywatelka amerykańska zaginie, a druga zostanie zamordowana, i te sprawy nie będą się łączyć? Policyjny nos podpowiadał mu, że niewielkie. Ten lokalny detektyw znał się na swojej robocie, widać to było po pytaniach, które zadawał, ale najwyraźniej umykało mu, że Ameryka toczyła wojnę z terroryzmem i jej obywatele znajdowali się na celowniku.

Dlatego Cutting przyleciał do Minnesoty. Dopóki nie będzie miał czarno na białym, że kobieta zabita dla organów w tej polskiej miejscowości, której nazwy nie mógł zapamiętać, to nie Sara Taylor i jej zabójstwo nie ma związku ze śmiercią Kate Brzeckiej, musiał prowadzić obie sprawy, zakładając, że się łączą. A to oznaczało również konieczność osobistej rozmowy z rodzicami Taylor. Twarde dowody w postaci DNA były nie do zastąpienia, ale liczyły się też wrażenia

i obserwacje. Strzęp informacji, podany przy przekazywaniu przedmiotu z materiałem genetycznym, mógł się okazać kluczem do rozwiązania.

Dodge zaparkował na zadrzewionej ulicy przed jednym z szeregu niewielkich, dość podobnych do siebie domów. Niższa klasa średnia, ocenił Cutting. Tacy ludzie na ogół nie zdołali zrealizowali swoich ambicji, ale mieli środki, by ich latorośle wykształciły się na prawników czy lekarzy. Sara Taylor musiała być dla swoich rodziców dużym rozczarowaniem. Tyle że każdy, bez względu na to jak nieudane miał dziecko, chciał umrzeć przed nim. Dla Cuttinga była to wiedza teoretyczna, dopóki nie urodził mu się syn, teraz nie miał wątpliwości, że stanie na drodze każdej kuli wycelowanej w jego brzucha.

Państwo Taylor albo postarali się o Sarę dość późno, albo strach o nią znacznie ich postarzył. Ten strach nie tyle wyzierał z ich oczu, co wydobywał się z każdego poru ciała. I wręcz stał się namacalny, kiedy Cutting poprosił o szczotkę do włosów lub szczoteczkę do zębów Sary. Co sprowokowało pytania, których się spodziewał.

– Na razie nie zakładamy, że to wasza córka. Polska policja poprosiła jeszcze parę innych rodzin o udostępnienie materiału do badań DNA.

– Ale dlaczego? – zapytał ojciec – Wszystkie te kobiety były do siebie tak podobne, że na podstawie zdjęcia nie da się dokładniej wytypować?

– Na podstawie zdjęcia nie da się dokładniej wytypować – agent skorzystał z podsuniętego wyjaśnienia, okrajając je tak, by nie skłamać.

– Ale dla...

– Czy państwa córka była zdrowa?

– Jakie to ma znaczenie, jeśli nie żyje? – U ojca wyraźnie dominowało logiczne myślenie.

– Nie mów tak – zaproponowała jego małżonka. – Jeszcze nic nie wiemy.

– Tę kobietę, bo na razie rzeczywiście nie mówimy o państwa córce, zabito, żeby pobrać od niej nerkę do nielegalnego przeszczepu. Jeśli Sara chorowała na przykład na cukrzycę, prawdopodobieństwo, że to ona, drastycznie maleje.

– Nie, na cukrzycę nie – powiedziała matka. – Ale miała zakażenie dróg moczowych. Czy to też wyklucza pobranie?

W tym pytaniu było tyle nadziei, że agent słowa „może, nie wiem” zastąpił optymistyczniejszymi:

– Na czas trwania infekcji chyba tak. Kiedy miała to zakażenie?

– No, właśnie w czasie tej podróży.

– W Polsce?

– Nie, jeszcze przed przyjazdem do Polski.

– Była u lekarza?

– Tak. Nie lekceważyła takich rzeczy, chciała jeszcze zajść w ciążę i bała się komplikacji.

– Wie pani, do jakiego lekarza poszła?

Być może pozostawał w zмовie z tym, który przeprowadził nielegalny przeszczep. Dostarczył mu wyniki badań, potwierdzające, że Taylor pasuje jako dawczyni, i jednocześnie poinformował o przewidywanym czasie zaleczenia infekcji.

– Do urologa.

Cuttingowi chodziło o nazwisko, ale czy on pamiętał nazwisko pediatry, który zajmował się jego synem. I to zajmował się stale, a nie doraźnie.

– Gdzie? W jakim kraju i mieście?

– W Szwecji, ze Szwecji jechała właśnie do Polski. Miasta to nie pamiętam. Jakieś na S.

Agent popatrzył na ojca, ale ten potrząsnął przecząco głową.

– Ja w ogóle nie wiem, że była u lekarza, ze swoich kobiecych chorób mi się przecież nie zwierzała.

– Ale może pan wie, jakie miasto w Szwecji na S odwiedziła.

– Sztokholm.

– Nie, to nie był Sztokholm – teraz jego małżonka pokręciła głową. – Sztokholm znam, to bym zapamiętała. Zresztą ona była gdzieś bliżej koła polarnego.

„Bliżej” w zeznaniach świadków bywało odległością nawet do kilkuset kilometrów. Ale Cutting i tak był zadowolony z tego, co się dowiedział: bezpośrednio przed przyjazdem do Polski Sara odwiedziła w Szwecji lekarza urologa. Te informacje mogły polskiemu koledze przydać się w śledztwie.

Poprosił o zaprowadzenie do łazienki, żeby materiał do badania zapakować tak, by żaden sąd tego nie podważył. Bo przecież w Polsce chyba też były sądy, które odrzucały zdobyte niezgodnie z procedurą dowody.

ŚRODA

A w sercu ciągle maj.

Piosenka Przybory i Wasowskiego dobiegła ich zza drzwi. Justyna lekko się skrzywiła i mruknęła w stronę partnera:

– To ma być jakaś aluzja?

– Przecież to z radia, nie z odtwarzacza. Asia lubi słuchać Trójki, a Trójka lubi puszczać dawne przeboje. Moja córka nie ma inklinacji do złośliwości.

Miłośniczka stacji, nadającej coraz częściej PiS-owską propagandę – choć nie w takim natężeniu jak telewizja – wpuściła ich do środka.

– Poznajcie się...

Dziewczyny podały sobie ręce, wymieniając swoje imiona.

– A może powinnam mówić ci „mamo”?

Przygodny dostrzegł, że Justyna zeszywniała, sam nie mógł uwierzyć, że jego, normalnie unikająca złośliwości, córka zdobyła się na taki docinek. Już widział oczami wyobraźni, jak między tymi dwiema rodzi się wrogość, jak Gabi zyskuje niespodziewanego sojusznika przeciwko jego dziewczynie. Na szczęście ich reakcja nie uszła uwadze Asi.

– Oj, przepraszam. Chciałam zażartować, żeby rozładować atmosferę, a widzę, że udało mi się zachować jak ta posłanka z PiS-u, która wszystkich obraża, nie pamiętam nazwiska.

– Krystyna Pawłowicz – odpowiedział Przygodny.

– O, właśnie. Jeszcze raz przepraszam, wchodźcie, tato, Justyna.

W pokoju przywitał ich Stefan. I tym razem Przygodny chciał, żeby spotkanie odbyło się pod jego nieobecność, ale Asia się temu sprzeciwiła.

– Dlaczego? Ty przychodzisz ze swoją dziewczyną, ja jestem ze swoim chłopakiem. Zupełnie inna sytuacja niż z mamą. Poza tym Stefan też jest ode mnie dużo starszy, czyli Justyna od razu zobaczy, że nic przeciwko takim związkom nie mam. Ale musi go spotkać, jak tylko o Stefanie opowiem, nie będzie takiego wrażenia.

Owo „też” nie do końca odpowiadało prawdzie, bo różnica wieku między nimi wynosiła dziewięć lat, a nie dwadzieścia. Dodatkowy szkopuł polegał na tym, że po chłopaku Asi w ogóle nie było widać, że przekroczył trzydziestkę. Zawsze chudy jak szczapa, teraz, trenując do maratonu, stracił najwyraźniej dalsze kilogramy, choć wcześniej nikt by nie powiedział, że to możliwe.

Uśmiechając się szeroko, wskazał im miejsca na kanapie, po czym poszedł do kuchni. Bardziej po to, by nie przebywać z nimi sam na sam, niż by pomóc w przygotowaniu poczęstunku dla gości. Tak przynajmniej podejrzewał Przygodny, który spostrzegł, że w obecności przyszłych teściów Stefan czuł się nieswojo, jeśli nie miał przy sobie Asi. Z początku Przygodny kładł to na karb niechęci Gabi, która dawała Stefanowi odczuć, że za nim nie przepada, później zorientował się jednak, że kiedy Gabi nie było, ten wcale się nie odprężył. No cóż, rodzinne powiązania nader często wykluczały przyjacielskie relacje.

Atmosfera skrępowania wcale się nie rozproszyła, kiedy usiedli w pokoju we czwórkę. Justyna, mimo przeprosin, najwyraźniej wciąż czuła się dotknięta nietrafionym żartem, Asia była nim zdeprimowana, Stefan nigdy do wodzirejów nie należał i zostawiał ciężar rozmowy innym, a Przygodnego męczyło, że przy jednym stole siedzą z nim jego kochanka i córka i obie są w podobnym wieku.

Wreszcie Asia zdecydowała się chwycić byka za rogi.

– Jak się poznaliście?

Justyna, do której pytanie było skierowane, nie odparła, że Asia musi to już wiedzieć od ojca, czym zasygnalizowała, że również jej zależy na tym, by spotkanie się udało.

– Kręciłam się z psem koło tej ławki, gdzie Marek... twój tato znalazł zwłoki. – Zamilkła na moment. – Boże, jak to brzmi.

– No, ja nie znalazłem tych zwłok, jedynie mnie do nich wezwano – sprostował Przygodny. – Komisarze sami zwykle nie natykają się na zwłoki.

– A zdarzyło się kiedyś?

Pytanie zadał Stefan, który zawsze uciekał się do bezosobowej formy, chociaż Przygodny chciał, by mówił mu po imieniu.

– Hm... chyba nie... – Ledwie zaprzeczył, przypomniał sobie traumatyczne przeżycie, jedno z najgorszych, jakie może stać się udziałem policjanta. – Chociaż raz tak, ale to było w trakcie sprawy, znalazłem dwóch naszych kolegów, których dopadł morderca.

– Jak mu się to udało?

– Zabił ich w czasie, kiedy prowadzili obserwację.

– Dobrze, że ty nie jesteś na pierwszej linii frontu.

Te słowa Asi sprawiły, że Justyna popatrzyła przeciągle na swojego partnera. Impulsem, który sprawił, że od znajomości przeszli do związku, było śmiertelne niebezpieczeństwo, w jakim się znalazł.

Ledwo dostrzegalnym ruchem głowy poprosił ją, by o tym nie wspominała. Zaufanie zaufaniem, ale nie chciał, by jego najbliżsi drżeli ze strachu, kiedy wychodził do pracy. Dlatego zataił przed rodziną, że znalazł się w skrajnie niebezpiecznej sytuacji. Gabi, owszem miała do niego ogromny żal, ale z pewnością nie życzyła mu śmierci.

– Rzeczywiście, komisarzowi w porównaniu z szeregowymi policjantami raczej niewiele grozi – obszedł zgrabnie prawdę, nie kłamiąc przy tym wprost. – To już chyba więcej tobie, Stefek. W sprawie, którą teraz kończę, postrzelono kierownika hurtowni książek i przez chwilę podejrzewaliśmy nawet jednego pisarza.

Na potrzeby rozmowy trochę ubarwił, bo jeśli Sobieski był podejrzany, to literalnie przez chwilę.

– Jakiego? – Stefan wykazał się zawodową ciekawością.

– Tego nie wolno mi ujawniać. Ale dosyć krewki pan, pobił recenzenta w „Kurierze”.

– W takim razie raczej nie od nas, obiłoby mi się o uszy, gdybyśmy z jakimś naszym autorem mieli aż takie kłopoty. Większość bije recenzentów wirtualnie na fejsie i chociaż staramy się im tłumaczyć, że tylko sobie tym szkodzą, rzadko dociera. Czasami dochodzę do wniosku, że wydawnictwo poza specjalistami od promocji powinno zatrudniać również psychologa.

– Justyna, może się zgłosisz – uśmiechnęła się Asia.

– Gdyby to na poważnie rozważali, czemu nie. Ale myślę, że to raczej pomysł z tych nierealnych.

– Zgadza się – przyznał Stefan. – Książki w Polsce to nie jest dochodowy biznes, na takie ekstrawagancje chyba nawet dużo więksi od nas nie mogliby sobie pozwolić.

– A ty myślałaś o karierze w wydawnictwie? – odbiła piłeczkę Justyna. – Chodzi mi o tłumaczenie powieści, skoro studiujesz germanistykę.

– Z początku tak, ale później, kiedy dotarło do mnie, że to jest wielogodzinne ślęczenie nad tekstem bez kontaktu z ludźmi, mój zapał

nieco osłabł. Wolałabym pracę, gdzie trochę więcej dzieje się na zewnątrz, a mniej w mojej głowie.

– Jaką na przykład?

– Trudno powiedzieć, bo nauczać też bym nie chciała. Za często widziałam, jak mama do nocy sprawdzała zeszyty.

– Moja mama też jest nauczycielką i raczej nie pragnęła, bym poszła w jej ślady. Z powodu kiepskich zarobków – dodała Justyna tonem wyjaśnienia – samą pracę bardzo lubi.

– A czego uczy?

– Biologii w podstawówce.

Temat wygasł, ale Przygodny spostrzegł, że jest lepiej, że dziewczyny starają się znaleźć nic porozumienia, i wcale nie robią tego na siłę, ze względu na niego. Napięcie między nimi wydawało się ustępować miejsca sympatii.

Zaczął się zastanawiać, czy Gabi opowiedziała córce o przypadkowym spotkaniu na Dawida. Na pewno komuś chciała się pożalić i bardzo prawdopodobne, że wybrała Asię. Ale jeśli tak było, to ta okazywała się na tyle rozsądna, by o tym nie wspominać.

– Jak przygotowania do maratonu? – zagadnął Stefana, żeby podtrzymać rozmowę.

– Na razie przerwane. Naciągnąłem sobie mięsień podczas ostatniego treningu.

– Biegłeś już maraton?

– Jeszcze nie. Brałem udział w półmaratonie, tym nocnym we Wrocławiu.

To akurat Przygodny wiedział, bo Asia opowiadała, jak mu kibicowała.

- Jak wypadłeś? – włączyła się Justyna.
- Poprawiłem życiówkę, więc nieźle. To mobilizuje, kiedy ma się koło siebie innych biegaczy.
- Podziwiam, dwadzieścia kilometrów w życiu bym nie przebiegła.
- Kwestia treningu.
- Nie tylko, też psychiki. Jeśli jakiś cel wydaje się człowiekowi nieosiągalny, to go nie osiągnie. A mnie tak długi dystans wydaje się nieosiągalny.

Przygodny najpierw pomyślał, że zdobycie Justyny wydawało mu się nieosiągalne, a jednak ją zdobył. Ale potem w wymyślonej dyskusji przyznał jej rację. Nie widział sam siebie w związku z dużą młodszą dziewczyną ze względu na to, jakie życie wcześniej prowadził i jakie zasady wyznawał. Nie starał się jednak o Justynę z założeniem, że nie ma szans, że trzeba podjąć próbę, by później nie mieć do siebie pretensji, ale wiadomo, że spotka się z odmową.

Popatrzył na nią kątem oka. Nie mógł się nadziwić, że jest taka ładna. Długie rzęsy ocieniały migdałowe oczy, gładka cera budziła chęć, by pogłaskać ją po policzku, usta nabierały zmysłowych kształtów nawet teraz, kiedy coś mówiła do Asi. W szerokim uśmiechu odsłoniła białe równe zęby.

Asia odpowiedziała jej takim samym uśmiechem i nagle Przygodnemu przestało przeszkadzać, że są w podobnym wieku. Poczuł się szczęśliwy. Kochał ze wzajemnością piękną dziewczynę, która najwyraźniej polubiła się z jego córką, czego mógł więcej chcieć od życia? Żeby Gabi zaakceptowała Justynę? Było to nierealne, a większość ludzi jest nieszczęśliwa dlatego, że pragnie rzeczy nierealnych. Albo nie do końca szczęśliwa, bo oczekuje ideału. Perfekcyjnej sytuacji życiowej.

Tymczasem drobne skazy pomniejszają wartość diamentu, nie egzystencji.

CZWARTEK

Euforię, w jakiej Przygodny znalazł się po wczorajszym spotkaniu u córki, w pracy podtrzymywało przekonanie, że ustalili, kim byli sprawcy czterech zabójstw. Energia go rozpieierała i wręcz cieszył się na próbę sił z Kownackim.

A do ostatniej chwili nie wiedział, czy nie będzie musiał go puścić. Zarzut, pod którym go zatrzymali, był absurdalny. Upadłby przy pierwszym przesłuchaniu Brzeckiego, bo ten przecież oświadczyłby, że Kownacki wcale go nie porwał. Na szczęście Brzeckiego nie dało się od razu przesłuchać, gdyż zakazał tego lekarz sądowy. Aresztowany był świeżo po postrzale, na dodatek, zamiast leżeć, odbywał jakieś eskapady, więc najpierw musiał wydobrzeć w więziennym szpitalu. To dawało komisarzowi czterdzieści osiem godzin, bo tyle mógł trzymać Kownackiego pod niepotwierdzonym zarzutem. W czterdziestej siódmej spłynęły wyniki badań DNA.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść.

Wójcik z Wojtkiewiczem wprowadzili skutego lekarza. Zdjęli mu kajdanki i posadzili na krześle. Ten rozejrzał się po ścianach i zatrzymał wzrok na zegarze.

– Dlaczego tu jestem? Myślałem, że już mnie zwalnacie, a te łobuzy nakładają mi kajdanki. – Kownacki pokazał na opuszczających pokój posterunkowych. – Co to ma znaczyć? Nie porwałem Brzeckiego i świetnie pan o tym wie. To jakaś sztuczka, żeby przetrzymać mnie dłużej? Nie uda się panu. Albo wychodzę, albo wzywam mojego adwokata.

– Nie wychodzi pan, ale zarzut porwania Bogusława Brzeckiego rzeczywiście się nie ostał, w zamian jest pan oskarżony o nielegalne przeprowadzenie przeszczepu.

– Nonsens. Nie przeprowadzałem żadnego nielegalnego przeszczepu.
– Mamy świadka, który widział pana w trakcie tego nieprzeprowadzania. W szpitalu na Traugutta.

– Żądny sensacji dziennikarz.

– Skąd pan wie, że dziennikarz? Nie powiedziałem, co to za świadek.

– Nie musiał pan, nachodził mnie i próbował mi wmówić dziecko w brzuch.

– Ten żądny sensacji dziennikarz opublikował artykuł, w którym opisuje pański zabieg na Traugutta. – Przygodny sięgnął do szuflady, wyciągnął „Kuriera” i położył go przed Kownackim na biurku. – Sądzi pan, że redakcja puściłaby mu coś takiego, gdyby nie pokazał dowodów, potwierdzających jego słowa? Przecież proces o zniesławienie doprowadziłby ich do bankructwa. A on te dowody pokazał nie tylko redaktorowi naczelnemu, lecz także nam. Konkretnie film, jak się przebieracie po operacji. Chce pan zobaczyć?

– Chcę.

Przygodny odwrócił laptopa i wcisnął Enter. Przygotowane nagranie ruszyło, a on uważnie śledził twarz Kownackiego. Z zadowoleniem stwierdził, że zrobiło na nim duże wrażenie.

– Jest tylko kwestią czasu, kiedy znajdziemy pozostałe osoby z tego nagrania. Pański pomocnik wygląda na takiego, który zmalował niejedno, a z praktyki panu powiem, że tacy rzekomi twardziele chętnie sprzedają swoich kumpli za krótsze wyroki. Dziewczyna jest z kolei pewnie wdzięczna za uratowanie życia, ale chyba nie na tyle, żeby pójść do więzienia.

– Do więzienia, ona? Za co?

Los dziewczyny najwyraźniej leżał Kownackiemu na sercu.

- Kupowanie sobie nerki i płacenie za jej wszczepienie jest karalne.
- Ale ona za nic nie płaciła! Zrobiłem tę operację, bo ją Kocham!

Przygodny miał potwierdzenie swoich wcześniejszych obiekcji, że dowodząc nielegalnego przeszczepu, nie zdołałby Kownackiemu zbytnio zaszkodzić, bo ten działał ze szlachetnych pobudek.

Lekarz po swoim wykrzyknieniu zamilkł, a potem, zdając sobie sprawę, że całkowicie się odsłonił, oznajmił:

- Chcę adwokata.
- W porządku. Mam wezwać z urzędu czy ma pan swojego?
- Mam swojego.

Komisarz podsunął Kownackiemu stojący na biurku aparat.

– To proszę po niego dzwonić. Niech pan mu powie, żeby zgłosił się do recepcji w Komendzie Wojewódzkiej, posterunkowi po niego zejdą.

Misterny plan mógłby się nie powieść, gdyby adwokat zorientował się, że jego klient jest przesłuchiwany w Wydziale Zabójstw, a ta informacja mogła przypadkiem paść, gdyby w recepcji powiedział, że idzie do komisarza Przygodnego. Jeśli posterunkowi będą na niego czekać, nie będzie miał okazji o nic pytać. Prawdopodobieństwo, że obrońca już do czynienia z Przygodnym miał, było nikłe: we Wrocławiu praktykowało ponad tysiąc trzystu adwokatów, sprawy o morderstwo należały do rzadkości.

Lekarz wysupłał z kieszeni spodni karteluszek z zapisanym numerem telefonu i wybrał poszczególne cyfry.

- Mecenase Dubniewski?

Nazwisko Przygodnemu nic nie powiedziało i miał nadzieję, że w odwrotną stronę będzie taka sama sytuacja. Lekarz rozmówił się z obrońcą i zakomunikował, że ten dotrze w ciągu pół godziny.

Najwyraźniej Kownacki należał do lepiej płacących klientów i jakiś mniej zasobny będzie musiał zadowolić się na sali sądowej substytutem.

Pół godziny w praktyce oznaczało co najmniej czterdzieści pięć minut, ale komisarz nie zajął się czymś innym, tylko wykorzystał je na niezobowiązującą pogawędkę z Kownackim. O futbolu, kobietach, różnicach w mentalności polskiej i szwedzkiej. Wszystko po to, by zyskać zaufanie podejrzanego, przekonać go, że chociaż stoi po przeciwnej stronie barykady, rozumie go i chce dla niego jak najlepiej. Temu służyła przemycona w drugim punkcie informacja, że on też ma młodą partnerkę.

Sielankową rozmowę przerwał mecenas Dubniewski apodyktycznym żądaniem, typowym dla stosunkowo młodych adwokatów, jakim się okazał, że musi najpierw omówić sprawę ze swoim klientem na osobności. Przygodny nie miał nic przeciwko i zaprowadził obu do wolnego pokoju, który posterunkowi znaleźli na końcu korytarza.

Konsultacje też trochę trwały, a kiedy je zakończyli i wrócili do komisarza, mina Dubniewskiego mówiła „Mam cię w narożniku, patałachu”. Co Przygodnego bardzo ucieszyło, najłatwiej pokonywało się tych, którzy uznawali się za niepokonywalnych.

– W porządku, mój klient przyznaje się do przeprowadzenia przeszczepu, ale nie nielegalnego, tylko niejako poza systemem.

– Poza systemem jest właśnie nielegalnie i grozi za to do trzech lat więzienia.

– Zapomniał pan dodać, że w pierwszej kolejności grzywna albo prace społeczne. A wzięwszy pod uwagę, że mój klient jest niekarany, chciał ratować ukochaną osobę i posłużył się nerką, która nikomu innemu nie mogła być wszczepiona, skończy się grzywną. Pan naprawdę nie ma jakichś poważniejszych spraw, żeby się nimi zajmować, morderstw albo choćby pobić?

Tak sformułowany sarkazm świadczył o tym, że Dubniewski nie miał bladego pojęcia, co Przygodny trzymał w zanadrzu. Najwyraźniej Kownacki był powściągliwy również wobec swojego adwokata. Choć nigdy nie wychodziło im to na dobre, przestępcy woleli swoim obrońcom mówić mniej niż więcej. Jakby uważali, że przekonanie adwokata o ich niewinności lub stosunkowo niewielkiej winie zapewni im lepszą obronę.

– Każde przestępstwo musi być ścigane. Na tym opiera się porządek prawny.

– Daj pan spokój z tymi głodnymi kawałkami.

– Dlaczego niby ta nerka nie mogła być wszczepiona komuś innemu?

Dubniewski skinął na lekarza, żeby wyjaśnił.

– Dawczynią była chorująca na cukrzycę prostytutka, która zabiła się, prowadząc po pijanemu samochód. Nadużywanie alkoholu, pochodzenie z grupy wysokiego ryzyka, jeśli chodzi o HIV, cukrzyca są, każde z osobna, względnym przeciwwskazaniem do przeszczepu, w takiej trójkowej kombinacji wykluczają człowieka jako dawcę.

Komisarz musiał przyznać, że Kownacki nieźle to wymyślił: kto by się tam przejmował, że alkoholizce, wykonującej najstarszej zawód świata, wycięto po śmierci nerkę.

– Czyli naraził pan zdrowie swojej ukochanej.

– Ale uratowałem jej życie. Nie było dla niej dawcy w systemie, miała do wyboru zaryzykować albo umrzeć. Przy czym dokładnie jej to ryzyko naświetliłem.

– Rozumiem. A kto pobrał te narządy od zmarłej i gdzie?

– Ja. W jednym z wrocławskich szpitali. Dostałem cynk od znajomego patologa.

– W którym szpitalu i jak się ten patolog nazywa?

Tutaj włączył się adwokat.

– Na te pytania mój klient nie odpowie. Nie chce narazić na kłopoty człowieka, który pomógł mu uratować ukochaną.

– Jeśli ma się skończyć na grzywnie, to pana klient musi współpracować i opowiedzieć nam o wszystkim.

– Z całym szacunkiem, ale to podlega ocenie sądu, a nie pańskiej. Pan Kownacki opíše wszystkie okoliczności, ale bez nazwisk. To dotyczy też jego ukochanej, pielęgniarki i pomocnika, który asystował mu przy przeszczepie.

– Nie tylko asystował, lecz także pomógł mu włamać się do szpitala. Ale jeśli pan Kownacki chce winę również tutaj wziąć na siebie, nie widzę problemu. Tyle że jeśli do nielegalnego przeszczepu dołączymy włamanie, to ta grzywna jakby przestaje być aktualna.

– Czy ja naprawdę muszę panu udzielać korepetycji z kodeksu karnego? – Z całej odzianej w garnitur postaci Dubniewskiego emanowało teraz politowanie dla niedouczonego policjanta. – Bezprawne wejście do obiektu bez zamiaru kradzieży to nie żadne włamanie, co najwyżej naruszenie miru domowego. Artykuł 193. A że obiekt był nieczynny, każdy sąd to umorzy ze względu na niską szkodliwość.

Przygodny udał, że się zastanawia.

– Proponuję tak: doktor Kownacki przyznaje się do nielegalnego pobrania i przeszczepienia nerki oraz do bezprawnego wejścia w tym celu do byłego szpitala na ulicy Traugutta. Za to poddaje się dobrowolnie karze jednego roku pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata. Jeśli mu to pasuje, nie grzebiemy dalej w sprawie i nie pytamy o pozostałych uczestników.

Dubniewski demonstracyjnie się podniósł.

– W takim razie do zobaczenia w sądzie.

Kontra spotkała go z niespodziewanej strony.

– Siadaj pan. Ja też mam coś do powiedzenia. To pozbawienie wolności to jest więzienie, ale nie pójdę do więzienia, jeśli przez dwa lata nie popełnię żadnego przestępstwa?

– Dokładnie tak to wygląda – potwierdził komisarz.

– I moją dziewczynę zostawi pan w spokoju?

– Ją i wszystkich, którzy pomogli panu ją uratować.

– W takim razie zgadzam się.

– Ale... – adwokat próbował protestować.

– Żadne ale. Złamałem prawo, wprowadzie ze szlachetnych pobudek, ale rozumiem, że muszę ponieść konsekwencje. Nauczyłem się tego w Szwecji, tam jeśli człowiek naruszy przepisy, nawet niechcący, to nie zgrywa niewiniątka i nie usiłuje się za wszelką cenę wyłgać, tylko przyjmuje karę. Zwłaszcza że kary nie są przesadzone. I tę tutaj też oceniam jako nieprzesadzoną.

– Może pan stracić uprawnienia jako lekarz. – Dubniewski nie dawał za wygraną.

– Bardzo wątpię. Ostatnio mieliśmy w Szwecji sprawę, że lekarka trafiła do więzienia za fałszowanie recept na środki odurzające, które jej wspólnik sprzedawał narkomanom. Działanie z niskich pobudek, bo dla zysku, ale nasza izba lekarska tylko zawiesiła jej uprawnienia, i to zaledwie na rok. Dłużej siedziała, więc w tym czasie i tak nie mogłaby pracować.

– W Polsce straciłby pan uprawnienia – powiedział już bez przekonania adwokat.

– Nie podlegam pod polską izbę – uciął Kownacki i zwrócił się do Przygodnego: – Jak formalnie to się załatwia, co pan powiedział? Mam coś podpisać?

– Tak, protokół przesłuchania z przyznaniem się do winy. Ale najpierw muszę zadzwonić do prokuratora, żeby mi to przyklepał, bo oficjalnie to prokuratura proponuje panu dobrowolne poddanie się karze. Później jeszcze sąd będzie musiał wyrazić zgodę, ale zwykle nie ma zastrzeżeń.

Komisarz sięgnął po słuchawkę, wybrał bezpośredni numer do Kani, a kiedy ten odebrał, wyłuszczył, co zarzuca zatrzymanemu, jaką ma dla niego propozycję, i zapytał Kanię, czy się na to zgadza.

– Może pan powtórzyć?

– Oczywiście. Doktor Zygmunt Kownacki dokonał nielegalnego przeszczepu...

– Chodzi mi o to, czym pan się zajmuje. Czy pan nie jest z Wydziału Zabójstw? – Na szczęście nikt w pokoju poza Przygodnym Kani nie słyszał. – Najpierw ściga pan jakiegoś pisarza za drobne rękoczyny, a teraz to. Uwziął się pan na przedstawicieli szanowanych zawodów? Przecież mamy cztery niezamknięte morderstwa, dlaczego nie przesłuchuje pan ludzi, których pan zatrzymał w związku z tymi morderstwami? Niech się pan skupi na nich, a ten nielegalny przeszczep da jakiemuś świeżakowi, żeby się wdrażał do policyjnej roboty.

Komisarz nie mógł odpowiedzieć wprost, sformułował w myślach wyjaśnienie, rozważył, czy nie wzbudzi ono podejrzeń Kownackiego i Dubniewskiego, i dopiero kiedy doszedł do wniosku, że nie, powiedział na głos:

– Proszę mi wierzyć, że jedno z drugim się wiąże.

– Może mi pan to dokładniej wyjaśnić?

– Tak, ten lekarz jest teraz u mnie razem ze swoim obrońcą, więc od razu możemy spisać protokół i zamknąć sprawę.

– Rozumiem. Nie może pan mówić. Nie mógł pan uprzedzić mnie o tej taktyce?

– Nie wiedziałem, czy coś z niej wyjdzie.

Tak właściwie nie wiedział, czy Kownacki skorzysta z usług adwokata. Gdyby tego nie zrobił, Przygodny nie musiałby odstawiać tej szopki, ale prawnik z pewnością znał procedurę i wydałoby mu się podejrzane, że policjant nie konsultuje się z prokuratorem.

– Dobrze. Niech pan robi, co trzeba. Proszę dać mi tego obrońcę, przekażę mu, że oficjalnie proponujemy lekarzowi dobrowolne poddanie się karze.

– Dziękuję. – Oddał słuchawkę adwokatowi, a Kownackiemu oznajmił: – Prokurator nie widzi przeszkód. A zatem piszemy.

Otworzył na laptopie program do protokołowania zeznań, wprowadził dane osobowe Kownackiego, odnotował, że stawił się z obrońcą, po czym zaczął spisywać jego relację. Na końcu wydrukował ją i dał mu do przeczytania. Kiedy ten nie zgłosił żadnych poprawek, wskazał mu miejsca, gdzie należało protokół podpisać.

– Świetnie – powiedział adwokat, który też złożył swoje podpisy na protokole. – Możemy iść.

Przygodny najpierw myślał, że to pytanie, ale okazało się, że jest to informacja dla klienta, który zaczął się podnosić.

– Chwileczkę, jeszcze jedna sprawa – usadził go komisarz. – Konkretnie jeszcze jeden zarzut.

– Co takiego? – zirytował się Dubniewski. – Jaki?

– Zamordowania Sary Taylor.

– Kim jest Sara Taylor?

Adwokat skierował pytanie do Kownackiego, ale ten wzruszył ramionami.

– Nie znam kobiety.

Mecenasowi ta deklaracja wystarczyła.

– Słyszysz pan. Nie zna jej. Idziemy.

– Nie mówię, że to jego znajoma. To pacjentka, którą zabił, żeby zdobyć organy do przeszczepu.

– Przepraszam bardzo, ale co myśmy tu robili przez ostatnią godzinę? Organy wziął od dziwki, która sama się zabiła, jeżdżąc po pijaku. Tak panu zeznał i pan tych zeznań nie podważał, tylko je oficjalnie zaprotokołował.

– Nie miałem obowiązku podważać, oskarżony może kłamać, ile dusza zapragnie. A chciałem, żeby oficjalnie przyznał się, że przeprowadził ten przeszczep na Traugutta. Bo mamy dowód, że zostały do niego wykorzystane narządy Sary Taylor. Która została zabita. Ergo: przeprowadzający operację maczał palce w zabójstwie. Jak było, panie Kownacki, zlecił pan jej zabicie temu swojemu pomagierowi?

– Miałby zlecać zabójstwo obcej kobiety? Przecież to lekarz, a nie włoski mafioso.

– Nie obcej. To jego pacjentka ze Szwecji. Podróżująca Amerykanka. Zgłosiła się do niego z zakażeniem dróg moczowych. W badaniach wyszło mu, że idealnie nadaje się na dawcę dla jego ukochanej. Mam rację, panie Kownacki?

– Niech pan nie odpowiada!

– Była w depresji po rozwodzie i wybrała się w podróż po Europie, żeby oderwać się od czarnych myśli. Co, panie Kownacki, poskarżyła się

panu, że jest sama jak kołek na tym świecie, a pan uznał, że nikt nie będzie jej szukał? Zwłaszcza jeśli, patrząc z amerykańskiej perspektywy, zaginie w takiej dziurze jak Wrocław?

– A niby jak miałyby zmusić ją do przyjazdu do Wrocławia?

– Sama się tu wybierała. I pewnie się z tym nie kryła, bo i dlaczego miałyby to robić? Turyści chętnie opowiadają, skąd przyjechali i dokąd jadą. Wystarczyło za nią pojechać. Mam rację, panie Kownacki?

Lekarz chciał coś powiedzieć, ale Dubniewski uciszył go po raz kolejny.

– Gdzieżeście ją wykończyli? W Lesie Strachocińskim, gdzie spaliliście jej głowę? Czy tam, gdzie porzuciliście resztę zwłok?

Przygodny liczył na to, że w obliczu serii pytań Kownacki nie wytrzyma i w końcu zacznie mówić, ignorując sprzeciw swojego adwokata. I przede wszystkim ujawni im, gdzie jest korpus Sary Taylor, w przekonaniu, że i tak już to wiedzą. Ale Dubniewski zdołał stanowczo wkroczyć.

– Koniec z tym. Muszę porozmawiać z moim klientem na osobności. A jeśli pan – zwrócił się do Kownackiego – powie chociaż słowo, przestaję pana reprezentować.

Komisarz spojrzał na lekarza, ale ten zasznurował usta, pokazując, że idzie za radą swojego obrońcy.

– Proszę bardzo, macie do dyspozycji ten sam pokój, co wcześniej. Ale nie chcecie dowiedzieć się przed tą rozmową, jaki mamy dowód, że swojej ukochanej doktor wszczepił nerkę Sary Taylor?

– Chcemy. – Adwokat najwyraźniej uznał, że ta informacja pozwoli mu lepiej omówić z klientem strategię obrony.

– W płynie konserwującym, w którym została przetransportowana nerka do przeszczepu, siłą rzeczy musiało się znaleźć DNA z tej nerki. Prawda?

– Nie wiem. – Dubniewski popatrzył na lekarza. – To jest pańska działka.

– Prawda.

– No więc porównaliśmy to DNA z DNA spalonej głowy. Pełna zgodność. Ofiara z Lasu Strachocińskiego była przymusowym dawcą nerki. A kim jest ta ofiara, dowiedzieliśmy się, zestawiając jej DNA z DNA ze szczoteczki do zębów Sary Taylor.

Komisarz patrzył na Kownackiego z triumfem, ale jego reakcja była zupełnie inna, niż się spodziewał. Lekarz założył bowiem ręce za głowę, w geście demonstrującym całkowite odprężenie.

– Błefuje pan. Żeby porównać DNA z płynu konserwującego z jakimkolwiek dostępnym, trzeba najpierw ten płyn mieć. A my go po operacji wylaliśmy i spłukaliśmy zlew wodą. Chyba nie powie mi pan, że nurkowaliście w kanalizacji?

– Nie musieliśmy. W zlewie była nitka z gazika nasiąkła tym płynem. Domyślałam się, że ten, kto go wylewał, trzymał jednocześnie opatrunki do spalenia, gazik mu wypadł, a kiedy go potem podniósł, nie zauważył, że nitka zahaczyła o kratkę.

Teraz lekarz zareagował w sposób, który bardziej odpowiadał oczekiwaniom Przygodnego. Z przerażoną miną opadł na krzesło i wymamrotał:

– Nitka? Nitka z gazika?

– Nitka z gazika – potwierdził komisarz.

Jeśli konfrontację z lekarzem Przygodny mógł porównać do meczu Polska – Peru na Mundialu w Hiszpanii, wygranego wysoko, bo pięć do jednego, ale którego wynik był niepewny, a przegrana oznaczała brak awansu do następnej rundy, to przed przesłuchaniem Brzeckiego czuł się takim faworytem, jak Orły Górskiego przed spotkaniem z Haiti na Mistrzostwach Świata w siedemdziesiątym czwartym. Lato, Deyna, Szarmach i Gorgoń wbili Haitańczykom siedem bramek i on nie przewidywał innego wyniku, jak łatwe uzyskanie od Brzeckiego przyznania się do winy. Choćby dlatego, że znaleźli przy nim komórkę Rachwalskiego, o odciskach palców na pistolecie nie mówiąc. To miała być wisienka na torcie czy truskawka, jak mawiał pewien ekspikararz z komentatorskiej kabiny.

Ale że będzie aż tak łatwo, to się nie spodziewał. Brzecki, wyraźnie już w lepszej formie po dwudniowej rekonwalescencji, ledwie został wprowadzony przez posterunkowych, zanim jeszcze zdążył usiąść, oznajmił:

– Przyznaję się do zabicia Daniela Rachwalskiego.

Nieco zaskoczony komisarz poszukał w pamięci i musiał stwierdzić, że tak sprawnie nie poszło mu żadne przesłuchanie w karierze.

– Cieszę się, że nie chce pan utrudniać. Proszę usiąść i szczegółowo opowiedzieć, jak do tego doszło. Ja będę protokołował, tak że za jednym zamachem załatwimy część oficjalną.

– Pojechałem do Rachwalskiego...

– Chwileczkę. Muszę wpisać pana dane.

Brzecki cierpliwie podyktował swoje personalia, włącznie z nazwiskiem panińskim matki, bo ten, kto opracował formularz, najwyraźniej obawiał się, że mogło istnieć dwóch Bogusławów Brzeckich o identycznym PESEL-u i zamieszkałych pod tym samym

adresem, więc w celach identyfikacyjnych należało wskazać, że mamusia jednego była z domu Kowalska, a drugiego Malinowska.

– Dobrze, teraz pana słucham. Proszę zacząć od opuszczenia szpitala.

– Jak zobaczyłem ten tatuaż na zdjęciu w „Kurierze”...

– No właśnie, kupił pan gazetę na K, nie na W.

– Co?

– Nieważne, przepraszam, niech pan mówi dalej.

– No więc, ten tatuaż, te dwa splecione węże, Kasia miała taki. I od razu wiedziałem, że to ona została zamordowana na lotnisku. Ostatnio rzadko nas odwiedzała, ale przecież nie mogła nie przyjechać, kiedy zabito jej mamę, a tatę postrzelono. Doznałem takiego szoku, że zemdlałem. Później, kiedy się obudziłem, próbowałem się łudzić, że dawniej tatuaże stanowiły jednoznaczny znak szczególny, ale w dzisiejszych czasach ma je coraz więcej osób i nieraz takie same, bo studia tatuażu korzystają przecież z gotowych szablonów. Widziałem na filmie: klient dostawał do ręki cały skoroszyt i wybierał, czy chce smoka ziejącego ogniem, czy serce przebite strzałą. Ale właśnie, cały skoroszyt. Zrozumiałem, że się pocieszam, że chcę zaprzeczyć rzeczywistości. Tych wzorów było za dużo, by – w sytuacji, gdy pasowały wszystkie inne szczegóły – mogło chodzić o inną osobę z wytatuowanymi identycznymi węzami. I to jeszcze dokładnie w tym samym miejscu, pod łokciem.

– No dobrze, wiedział pan, że zamordowaną jest pańska córka, ale jak domyślił się pan, że zabił ją Rachwalski?

– Bo to on do nas strzelał. Do mnie i do Ireny. Chciał w ten sposób ściągnąć Kasię do Polski, żeby ją dopaść. Jak powiedziałem, ostatnio już nie przyjeżdżała, a on po deportacji nie miał szans na wizę do USA.

– I dlatego zależało mu, żebyśmy jak najszybciej was znaleźli i powiadomili Katarzynę o zamachu.

– Co?

Przygodny puścił pytanie mimo uszu.

– Zataił pan przede mną, że to Rachwalski do was strzelał, bo chciał pan sam się z nim rozliczyć?

– Nie, nie, przecież rozmawiał pan ze mną, zanim zobaczyłem ten tatuaż w gazecie. Po prostu nie poznałem go. Widziałem go jedynie na zdjęciu, a przed strzelaniną tylko przez chwilę i to w uniformie, na który człowiek bardziej zwraca uwagę niż na twarz. Dopiero kiedy przeczytałem o morderstwie na lotnisku i zorientowałem się, że to Kasia jest ofiarą, zrozumiałem znaczenie słów „pozdrowienia dla Kaśki”, które wypowiedział zabójca Ireny. Oczywiście trochę musiałem pogłówkować, zanim dopasowałem osobę. Morderca tak zmasakrował moją córkę, że biła z tego czysta nienawiść. Ktoś, w kim buzowały takie emocje, nie byłby w stanie z czystej kalkulacji zabić matki, żeby zwabić córkę. No i oddanie pięciu strzałów wskazywało też na nienawiść, a nie na beznamienne działanie prowadzące do innego celu. Została mi odpowiedź na pytanie, kto nienawidził jednocześnie mojej żony i mojej córki. A oczywiście znałem sytuację z Danielem. Irena z dumą opowiedziała mi, jak przyłapała go na zdradzie, że mimo jego próśb poszła z tym do Kasi i jak Kasia zareagowała. Przykro mi to mówić, ale moja córka potrafiła być okrutna dla mężczyzn. Przecież wystarczyło, żeby z nim zerwała, czy musiała się na nim mścić i wyrzucać go ze Stanów? No, ale miała to okrucieństwo po swojej matce, a na geny nic się nie poradzi.

Brzecki zamilkł na chwilę, jakby rozważał, dlaczego zrobił to swojej córce, że znalazł jej rodzicielkę z takimi genami.

– Ruszyłem od razu do domu, żeby potwierdzić swoje podejrzenie – podjął. – Sprawdzić, czy Rachwalski na zdjęciach w albumie i ten, który do nas strzelał, to ten sam człowiek. To był ten sam człowiek.

– W jakim albumie? – zapytał komisarz. – W państwa mieszkaniu nie znaleźliśmy żadnych fotografii Daniela Rachwalskiego.

– Bo były tylko w jednym albumie, ten romans trwał dosyć krótko, jak, znowu mówię to z przykrością, większość związków mojej córki, a ten nawet krócej od innych przez tę zdradę.

– No dobrze, ale co się stało z tym albumem?

– Wziąłem go ze sobą.

– Po co?

– Po co? Właściwie to nie wiem. Żeby pokazać Rachwalskiemu, że go zidentyfikowałem? Nie wiem. Byłem na adrenalinie. Przecież dopiero, kiedy otworzył mi drzwi, uświadomiłem sobie, że stoję naprzeciwko niebezpiecznego człowieka w prochowcu narzuconym na szpitalną piżamę, bezbronny i kompletnie bez pojęcia, po co tam poszedłem ani jak chciałem to uzyskać.

– A skąd miał pan jego adres?

– Z internetu. Z ewidencji przedsiębiorców.

– Co się wydarzyło dalej?

– Chciał mi zatrzaskać drzwi przed nosem, ale to dało mi kolejny zastrzyk adrenaliny i przyblokowałem je nogą, wtedy uciekł do mieszkania, a kiedy wbiegłem za nim do pokoju, wziął mnie na muszkę. Musiał trzymać pistolet na wierzchu.

– Coś powiedział?

– Tak, że popełniłem błąd, przychodząc do niego, bo nic do mnie nie miał, a teraz będzie musiał mnie wykończyć jak te dwie szmaty. Wyobraża pan sobie? Nazwał Kasię szmatą!

– Co pan zrobił?

– Do końca nie wiem. Mój mózg już chyba w tym momencie nie rejestrował, co się dzieje, była tylko wściekłość, że zabił mi córkę, i strach, że zabije mnie.

– Z obdukcji wynika, że się szarpaliście.

– Tak, rzuciłem się na niego, żeby wyrwać mu broń. Najwyraźniej mi się to udało, bo chwilę później leżał martwy na podłodze.

– Ale jak doszło do tego, że padł strzał?

– Musiałem wyrwać mu pistolet i pociągnąć za spust.

– Jest pan pewien?

– Pewien to niczego nie jestem.

– To może w czasie szarpaniny broń wypaliła przypadkiem?

Brzecki popatrzył zdumiony na komisarza, jakby tej alternatywy dotąd w ogóle nie brał pod uwagę. Milczał, jakby usiłował to sobie przypomnieć. Przygodny go nie poganiał. Była to kwestia kluczowa, od której zależało, czy Brzecki będzie odpowiadał za zabójstwo, za nieumyślne spowodowanie śmierci, czy też zostanie puszczony wolno, bo działał w obronie koniecznej. Ocena należała do sędziów, zadaniem komisarza jako policjanta było ustalenie faktów, a w tym momencie widział wyraźnie, że podejrzany nie kombinuje, jak się wywinąć, tylko stara się te fakty zrekonstruować.

– Nie, nie wypaliła przypadkiem – oświadczył nagle dużo mocniejszym głosem niż wcześniej.

– Nie? Skąd ta pewność, skoro przed chwilą mówił pan, że niczego nie jest pewien?

– Jestem pewien. Wyrwałem Rachwalskiemu pistolet i pociągnąłem za spust.

– Panie Brzecki, mnie nie interesuje, że pan chce dostać dwadzieścia pięć lat, mnie interesuje, co się naprawdę wydarzyło, więc albo mi pan powie, dlaczego ni z tego, ni z owego pan to wie, chociaż przed chwilą nie wiedział, albo odnotuję w protokole, że udziela pan sprzecznych odpowiedzi.

– Wiem stąd, że strasznie bałem się kary za to, co zrobiłem. Dla takiego mieszczucha jak ja perspektywa zamknięcia w więzieniu to coś niewyobrażalnego, człowiek się naczytał o gwałtach i pobiciach. Dlatego w panice uciekłem do Lasu Strachocińskiego, porzuciłem samochód i dalej uciekałem na piechotę, dlatego podarłem album i pozbyłem się strzępów w Odrze, dlatego chciałem uciec do Szwecji i za ukrycie mnie tam gotów byłem oddać mieszkanie. Gdyby broń wypaliła przypadkiem, miałbym świadomość, że nie zrobiłem nic złego i po prostu wezwałbym policję.

Przygodnemu ta argumentacja niezbyt trafiła do przekonania, ale że chwilowo nie miał pomysłu, jak bezpośrednio dociekać prawdy, nawiązał do słów o karze:

– A teraz już nie boi się pan więzienia?

Gdyby komisarzowi kazano zgadywać, jak przesłuchiwany na to pytanie zareaguje, nigdy nie wpadłby na to, że Brzecki się uśmiechnie.

– Chyba nie taki diabeł straszny, jak go malują. Za stary jestem, żeby ktokolwiek chciał mnie gwałcić. A bicie? Był taki jeden wrywny młokos, który uznał, że krzywo na niego patrzę, i postanowił nauczyć mnie pięściami moresu. Wie pan, jak się skończyło? Dostał wycisk od recydywisty, który leżał koło mnie, bo połknął kawałek drutu. Zdaje się, że nie przypadkiem, tylko chciał się wyrwać z celi. Nie będę tego mojego obrońcy cytował, bo wyrażał się mocno wulgarnie, ale sprowadzało się do tego, że zabiłem mordercę mojej żony i córki, za co należy mi się najwyższy szacunek. Okazuje się, że w więzieniu nie tylko

nic mi nie grozi, ale darzą mnie tam szacunkiem. Jestem kimś, kto zrobił coś heroicznego. Ja nigdy w życiu nie zrobiłem nic heroicznego. Byłem ciamajdą i pantoflarzem i nagle ten ciamajda zdobywa się na prawdziwie męski czyn. Z którego przecież ma prawo być dumny. Może nie w świecie aksamitnych reguł, ale w świecie, gdzie w cenie jest męski honor. Pomściłem swoją córkę. Każdy kochający ojciec, któremu zabito dziecko, chciałby osobiście zastrzelić mordercę. Ja się na to zdobyłem. A teraz chce mi pan odebrać tę moją przepustkę do męskości, mówiąc, że strzał padł przypadkiem. Nigdy w życiu na to nie pozwolę.

EPILOG

Co chcesz? – Kuriata nie podzielał zdumienia komisarza. – Woli odsiedzieć wyrok z poczuciem, że jest kimś, niż wrócić do domu, mając się za niedojdę.

– Nie żyjemy w czasach Boziewicza.

– To nie kwestia kodeksu honorowego, tylko docenienia zasługi. Nikt, kto zdobył Mount Everest albo złoty medal olimpijski, nie zgodziłby się na wymazanie tego wyczynu z tabel za wygodniejsze życie.

– Wolność to coś więcej niż wygodniejsze życie.

– A do czego mu wolność? Do siedzenia samotnie w domu i opłakiwania córki? Do znoszenia litościwych spojrzeń i uwag tej całej Kownackiej i innych sąsiadów? Do ponownego ożenku z sobowtórem pani Irenki?

– Dlaczego z sobowtórem?

– Pantoflarz zawsze weźmie sobie żonę, która będzie nim rządziła, tak jak maltretowana kobieta zawsze wybierze faceta, który będzie ją tłukł.

– Ty i twoje teorie.

– To nie jest moja teoria, tylko oparta na doświadczeniu życiowym wiedza psychologiczna. Oceniasz tego Brzeckiego jako inteligentnego?

– Powiedziałbym, że nawet ponadprzeciętnie.

– No, to jak zdobył się na samoświadomość, że był pantoflarzem, ma również świadomość, że nim pozostanie. Na jego miejscu też bym wolał więzienie. Założę się, że przy tej swojej Irencie nie miał nawet prawa wybierać, co będzie oglądał w telewizji, i gapił się razem z nią na telenowełe albo komedie romantyczne równie kiczowate jak ta

kawiarnia; w pierdlu będzie stał najwyżej w hierarchii i on będzie decydował.

Siedzieli w Amorinio w Kamienicy Pod Złotym Psem w narożniku wschodniej pierzei Rynku. Kuriata, który był tu po raz pierwszy, na widok włoskich aniołków cofnął się z obrzydzeniem i komentarzem o pedalskim lokalu, ale Przygodny nie dał się namówić, by pójść gdzie indziej.

– Nawet jeśli to ulubiony lokaj gejów, nic ci się nie stanie, jak posiedzisz razem z nimi; nie gryzą, a całować cię z pewnością nie mają zamiaru. Poza tym później jestem tu umówiony z Justyną.

Kuriata poddał się, ale w rozmowie co jakiś czas komentował Amoriniowy wystrój.

– Zresztą na jakiej podstawie zakładasz, że przypadkowe postrzelenie jest bardziej albo chociaż równie prawdopodobne? Sam powiedziałeś, że wyglądał na szczerze zdumionego, kiedy podsunąłeś mu tę wersję.

– Bo taki człowiek jak Brzecki nie mógł w czasie szarpaniny w pełni świadomie oddać strzału z zamiarem zabicia.

– On ci właśnie tłumaczy, że jest innym człowiekiem niż ten, za jakiego masz go ty i reszta świata. Daj mu tę satysfakcję. Poza tym zapominasz, że jemu w tyle głowy siedziały zdjęcia córki, po tym, jak ten gość ją urządził. Nawiasem mówiąc, bardzo sprytnie wykiwałem naczelnego, który stawał okoniem i nie chciał ich zamieścić. Ja nie mam córki, ty masz, więc ty mi powiedz, czy coś takiego nie wyzwala wystarczająco chęci zabicia gnoja.

– Gdyby odsunął się od niego, strzelił po minucie, dwóch, to tak, ale w czasie szarpaniny?

– Słuchaj, czy ty jesteś jego adwokatem? Zeznał, co uważa za prawdę, zaprotokołowałeś, prokuratura da do sądu i w sądzie będą roztrząsać, czy przypadkiem, czy celowo, więc zamknijmy ten temat, bo mnie już nudzi. Powiedz mi lepiej, czy złapaliście pomocnika Kownackiego.

– Złapaliśmy. Od kiedy doktor usłyszał o nitce z gazika zalanej płynem konserwującym, poszedł na pełną współpracę. Nie chce tylko zdradzić nazwiska ukochanej, mówi, że dziewczyna nic nie wiedziała, że sprzedał jej tę samą bajeczkę, co nam, o nerce pobranej ze zwłok w szpitalu, chociaż oczywiście tym rzekomym dawcą nie była wtedy prostytutka mogąca mieć HIV, tylko kobieta, która za życia sprzeciwiła się oddaniu organów, i nie można było od niej oficjalnie pobrać. I wierzę mu. Nie sądzę, by dziewczyna, która związała się z lekarzem, pochodziła ze środowiska, gdzie akceptuje się morderstwo. A w takim razie mówiąc jej o zabójstwie Sary Taylor, ryzykowałby, że go zostawi. Wziąwszy pod uwagę, czego się dla niej dopuścił, z pewnością takiego ryzyka by nie podejmował.

– On zabił tę Amerykankę czy pomocnik? Co to w ogóle za gość?

– Zabił pomocnik. Nazywa się Henryk Bazylak, recydywista, odsiedział kilka wyroków za pobicia. Też emigrant, tyle że inna grupa zawodowa, budowlanka. Poznali się w Szwecji, kiedy Kownacki zatrudnił polską ekipę do remontu domu. Doktor nie tylko zaoszczędził, podobno polscy robotnicy biorą połowę tego, co szwedzcy, ale też, kierując się zasadą, że w życiu liczą się przede wszystkim kontakty, nawiązał z Bazylakiem znajomość. Którą później wykorzystał.

– A jaki udział miał Kownacki w zabójstwie?

– Był przy tym obecny, żeby pobrać nerkę. – Przygodny przerwał, żeby pociągnąć łyk kawy. – Kiedy Kownacki ustalił, że Sara Taylor idealnie pasuje, kazał Bazylakowi pojechać za nią do Wrocławia i ją tam

porwać. Sam nie mógł od razu dołączyć, bo musiał przygotować swoją dziewczynę do operacji. Bazylak więził Taylor w tych barakach, w których trzymali też ciebie. Kownacki dotarł na miejsce w piątek, ten sam, kiedy była strzelanina u Brzeckich, ale pielęgniarka, która mu pomagała, Anna Szarek, nie wyrobiła się z przygotowaniem.

– Z jakimi przygotowaniem?

– Na Traugutta sprzęt mieli, ale przecież szpital zamknięto już jakiś czas temu, więc musiała sprawdzić, jak będzie działał, i ściągnąć brakujące rzeczy. A u siebie dostała dodatkowe dyżury, z których nie zdołała się wymigać.

– Skoro ona wchodziła wcześniej do tego szpitala, to dlaczego Kownacki z Bazylakiem musieli się włamywać?

– Bo nie mieli klucza. Mogli na nią poczekać, ale ile to dla Bazylaka sforsować drzwi.

– Skąd ta Szarek miała klucz?

– Dysponowała nim jako pracownica, a później nikt nie zażądał od niej zwrotu.

Kuriata lekko się zaśmiał, a zaraz potem skrzywił – obrażenia twarzy nie pozwalały na swobodną mimikę.

– Może mieli nadzieję, że wyniesie ten sprzęt i nie będzie afery, że ktoś go zostawił.

– Może. – Przygodny lekko skinął głową. – Tak więc operacja przesunęła się im na poniedziałek. Nad ranem zamordowali panią Taylor. Doktor przyznaje się nawet, że według pierwotnego planu, to on miał pozbawić Amerykankę życia, ale nie potrafił się przemóc i zniecierpliwiony Bazylak podciął jej gardło. Potem Bazylak pozbył się ciała, a Kownacki pojechał po swoją dziewczynę do hotelu i spotkali się przed szpitalem.

– To się zgadza, śledziłem go od hotelu. Co zrobili z korpusem?

Komisarz potoczył wzrokiem po lokalu, jakby szukał świadka, który mu to powie, ale jedyni goście poza nimi, chyba ojciec z córką dwa stoliki dalej, z pewnością nie orientowali się, gdzie znajduje się reszta ciała Sary Taylor.

– Nie wiemy. Bazylak milczy jak grób.

Kolejna serwetka z notatkami zniknęła w kieszeni spodni Kuriaty. Elektronika elektroniką, a tradycyjne metody nadal doskonale się sprawdzały.

– Niewiarygodne, że tak się z tym spalonym czerepem pomyliłem. Byłem przekonany, że to Brzecki i że załatwił go Kownacki.

– My też na początku skłanialiśmy się ku temu, że to Brzecki. A nas nie wprowadził w błąd ten e-mail, w którym była mowa o stu tysiącach koron, bo w jego laptopie znajdowała się pełna korespondencja i w ogóle nie przykuła naszej uwagi: płacenie za operację w Szwecji nie jest w żaden sposób podejrzane. Ale rzeczywiście pojedynczy mógł wyglądać na negocjacje z szantażystami.

– Dobra, nie bierz mnie pod włos. Dałem dupy. Zwłaszcza że ta kwota od początku wydała mi się zbyt niska, więc powinienem był rozważyć inne możliwości. Także tę, że forsa płynęła w drugą stronę.

– Ciesz się, że nie rozważyłeś. Dopóki zakładałeś, że Rachwalski miał coś wspólnego z handlem organami i że głowa znaleziona w lesie należała do Brzeckiego, nie mogłeś być dla Kownackiego groźny, bo trafiałeś kulą w płot. Właśnie dlatego cię puścili, inaczej mógłbyś skończyć jak Sara Taylor.

– No właśnie, skoro trupem w lesie była Sara Taylor, a Brzecki przeżył, to kto i po co wytarł krew po strzelaninie i usunął z jego mieszkania wszystko, z czego mogliście pobrać DNA?

Przygodny rozłożył ręce.

– Nie mamy bladego pojęcia. Nijak nie pasuje to do zabójstw, chociaż z pewnością rozegrały się tak, jak ustaliliśmy.

– Widzę, że nie tylko ja sobie nie poradziłem, a jestem zaledwie dziennikarzem, nie zaś komisarzem policji. Nie jedyna wasza wtopa zresztą: mieć odciski Brzeckiego na pistolecie, z którego zabił mordercę swojej córki, i nie zorientować się, że to jego, chociaż mu je zdjęliście, to też niezły wyczyn.

– Wypraszam sobie – obruszył się Przygodny. – Odciski palców zdjęliśmy mu tylko po to, żeby wiedzieć, które z zabezpieczonych w mieszkaniu na Gersona pochodzą od lokatorów. A takich nie wprowadza się do bazy danych, więc nie miała szansy wskazać trafienia.

– Gadaj zdrów.

– Idź już sobie, zaraz przyjdzie Justyna, a chcę jej oszczędzić twoich komentarzy.

– Będzie słodkie *tête-à-tête* dwóch starszych panów z ich kochankami? – Kuriata wskazał na pozostałą dwójkę gości.

– Co ty gadasz? Przecież to ojciec z córką.

– Wierz mi, was też biorą za ojca i córkę. Poza tym córka nie mówi do ojca po imieniu.

– Mogą ich łączyć dziesiątki różnych relacji.

– Oczywiście. W kawiarni wystrzałowa laska pije kawę z dwa razy starszym od niej facetem, ona opowiada mu, że kupiła sobie sukienkę, on chwali się swoją pracą, ale mogą łączyć ich dziesiątki różnych relacji.

– Dlaczego ich podsłuchujesz?

– Nie podsłuchuję. Słyszę. Poza tym jestem dziennikarzem i muszę wiedzieć, co się wokół mnie dzieje.

– Ciekawe, że ja ich nie słyszałem.

– Pewnie słuch ci powoli wysiada, w twoim wieku musisz już...
A tak w ogóle to dlaczego zależy ci na udowodnieniu, że nie są parą?
Chcesz być jedynym samcem alfa, który na tym terenie ma młody
towar?

– Czy nie prosiłem cię trzy minuty temu, żebyś sobie poszedł?

Kuriata podniósł się, udając niezadowolonego.

– Zdajesz sobie sprawę, Marczku, że to preferowanie dupy kosztem
przyjaciela w końcu obróci się przeciwko tobie?

– Wynocha.

Kuriata zachichotał i poszedł w kierunku wyjścia. Po drodze zatrzymał się przy kelnerce i pouczył ją, że przy tak fatalnym wystroju zawsze będą mieli mało gości. Czego nie zrobił, to nie poprosił o rachunek, ale Przygodny nie zwrócił uwagi, że kawa i muffiny są na jego koszt. Wrócił myślami do Brzeckiego, którego postępowanie nie dawało mu spokoju. Zabicie mordercy córki przepustką do męskości? Czy Kownacki też tak myślał? Że nie okaże się prawdziwym mężczyzną, jeśli nie uratuje kobiety, którą kochał? Nawet za cenę innego ludzkiego życia, chociaż jako lekarz przysięgał je chronić? A Rachwański? Czy w jego pojęciu puszczanie płazem zniewagi, krzywdy, czy jak tam odbierał postępowanie Kate i jej matki wobec niego, byłoby niemęskie? Jak on sam zachowałby się na ich miejscu? Czy gdyby Asia, nie daj Boże, padła ofiarą zabójstwa, wystarczyłoby mu, że morderca trafił do więzienia? Jako komisarzowi z pewnością, ale czy też jako ojcu? Brzecki powiedział, że każdy ojciec zabitego dziecka chce widzieć mordercę martwego. I mówił na podstawie własnego doświadczenia. Czy gdyby Justyna potrzebowała przeszczepu nerki, poprzestałby na informacji lekarzy, że, niestety, nie ma dla niej narządu? Czy starałby się dla niej tę nerkę zdobyć? A gdyby pozwolił temu hipotetycznemu

mordercy Asi żyć, gdyby nie ratował Justyny za wszelką cenę, czy można by twierdzić, że nie sprawdził się jako mężczyzna?

Podniósł głowę i zobaczył Justynę. Najpierw był przekonany, że widzi ją tylko w swoich myślach; stała tam zjawiskowo piękna, do jakiegoś stopnia nierealistyczna.

– Nad czym tak dumasz, że mnie nie zauważasz?

– Zastanawiam się, co jest moją przepustką do męskości.

Popatrzyła na niego z niezrozumieniem, a potem wybuchnęła śmiechem. Śmiała się tak, że aż pociekły jej łzy. Poczł się lekko dotknięty jej reakcją, więc chwycił ją za rękę, pociągnął do siebie na kolana i zamknął usta pocałunkiem.

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

P O L E C A M Y



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

tel. 510 043 387



SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Prolog

Sobota

Niedziela

Poniedziałek

Z poniedziałku na wtorek

Wtorek

Środa

Czwartek

Epilog

Karta redakcyjna

Copyright © Oficynka & Paweł Pollak, Gdańsk 2021

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana
ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana
w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie drugie w języku polskim, Gdańsk 2021

Redakcja: Agnieszka Kaliszewska

Korekta: zespół

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: © Steve Johnson/Pexels; © Hoang Le/Pexels

© Tim Mossholder /Pexels; © Krisamorn/shutterstock.com

© grop/shutterstock.com

ISBN 978-83-67204-32-3



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek